

Stig Dagerman

WYSPA SKAZAŃCÓW

Państwowy
Instytut
Wydawniczy



Stig Dagerman

WYSPA SKAZAŃCÓW

Przełożyła
Anna Topczewska



Państwowy Instytut Wydawniczy

Rozbitkowie

Dwie rzeczy napawają mnie przerażeniem:
kat we mnie i topór nade mną.

Pragnienie o świcie

Gdyby tak jałowcówki z odrobiną wody z pionowej strugi górskiego strumienia po roztopach plus parę zgniecionych młodych liści ostrokrzewu i prażony kardamon zalany kwasem galusowym – wypić to duszkiem dokładnie o świcie, kiedy drzwiczki auta zatraskują się za ostatnim wybuchem śmiechu, taa –

Prawa dłoń Lucasa Egmonta poruszyła się we śnie, opuszkami palców gładząc szorstki, spojony migotliwą błoną soli piasek.

Musnęła czyjś policzek? Zdawało się, że z liżącej brzeg fali wyłania się długi, biały robak z cienkimi jak włos, ciasno przylegającymi pierścieniami barwy niezgłębionej czerni i w przerażającym tempie wpełza po łagodnej wypukłości. Istniał naprawdę czy był jedynie wytworem jego lęku?

Lucas Egmont leżał twarzą w dół, nieuszkodzoną nogę mocno przyciskając do ziemi ruchem tylko z pozoru poufałym, ponieważ po zachodzie słońca piasek dość prędko zaczął promieniować ostrym, agresywnym chłodem, który powlekał członki bezlitosną błoną, twardą jak pancerz, tym mniej elastyczny, im dłużej wyspa spadała przez noc.

Tak, spadała. Czyżby tylko on zauważył, że noce już nie zstępują z jakiegoś zawieszzonego w górze sklepienia, a dzień nie jest wdmuchiwany pod czarną pokrywę niczym biały gaz? Nie, zmiany są gwałtowne i niespodziewane: światło zapala się na pozór godnym zaufania płomieniem, po czym zostaje raptownie zduszone – lecz duszącej go ręki nigdy nie widać. Czyżby na tej spadającej planecie, na posypanej piaskiem kamiennej kuli, która pędzi w głąb studni wszechświata, znajdował się tylko on? Prześwietlone warstwy powietrza o zielonych krawędziach, liliowe pasma, rozbłyskujące na chwilę ciemnoczerwone płomienie, ich kły niby słoniowe ciosy pogrążają się w drżącym jądrze twojej istoty, która jak kameleon przybiera kolor kolejnych pasażów. Niebieskie lamówki brutalnie rozrywane eksplozjami histerycznie żółtych jaskółczych skrzydeł.

Głęboki mrok, to samo powietrze, lecz barwa musi mieć konsystencję zdolną wyhamować prędkość upadku. Spadanie przez noc nie jest mniej niebezpieczne, ale dokonuje się wolniej, roje iskier, jakie pod postacią gwiazd rozbryzgują się wokół wyspy, wlatują niespiesznie i można je długo oglądać w szarej, podobnej do mleka warstwie, w której niby z wielkiego niewidzialnego wymienia tryskają białe strugi.

A zatem świt. Lucasa Egmonta, który leżał na piasku twarzą w dół, z ranną nogą, tą z przekłutą łydką, lekko uniesioną niby długi, łagodnie pochyły wiadukt, budziły powoli cierpko szare, ostre pręgi malowane na jego powiekach. Lękliwie skulone pod rozedrganymi błonami oczy widziały nadpełzającą po piasku jego własną dłoń.

Napęczniałe ropuchowate zwierzę o krwawiących kończynach. Precz, chciał krzyknąć, zostaw mnie, lecz zwierzę tylko drążyło w piasku dołki, z których ku niebu wznosiły się cienkie jak miedziane druty smużki oślepiająco białego dymu.

Określić położenie: chciał krzyczeć, ale nie był w stanie, bo usta niby duża drżąca pięść zatykał mu język. Przy utknięciu na mieliźnie blaszane kanistry z wodą pitną wypadły przecież za burtę, roztrzaskały się na ostrej rafie. Teraz jak na pół wychylone z wody foki leżały po morskiej stronie grzebienia, a powolne martwe fale, które w niekończących się przenikliwie niebieskich seriach odrywały się od linii horyzontu, dniem i nocą bębniły miękkimi knykciami w

ich połyskujące blaszane barki.

A zatem mieli przynajmniej muzykę. Stłumione głucho dudnienie bębnow pogrzebowych bezlitośnie przebijało się przez szmer martwej fali, a Lucas Egmont odkrył, kiedy wyspa pędziła przez gorące, ogniście żółte regiony, że cienkie, rozedrgane kable muszą łączyć jego nerwy słuchowe z irytującym bębnieniem od strony rafy. Spróbował oderwać się od tego dręczącego dźwięku ucieczką w głąb wyspy, ale kable ciągnęły się za nim po białoczącym, przesuszonym piasku, wzdychających dołkach z wodą, po zębatych skałach, w których cieniu przykucały duże brązowe jaszczurki.

Dudnienie gnało go przez gęste, jadowicie zielone krzaki, pełne tajemniczej ciszy, między sięgające ramion trawy, zwieńczone monstrualnymi kitami i pełne tajemniczych szmerów, może węży, może przedstawicieli gatunku miniaturowego królika, jakie wygłodniały Tim Solider ponoć zauważył na obrzeżu przecinającego wyspę pasa zieleni.

Od marszobiegu krew popłynęła szybciej, rana na łydce się otworzyła, a on, wycieńczony utratą krwi i wyniszczającym strachem, dotarł w końcu na puste, obgryzione skały, które wznosiły się wysoko ponad wąskim pasmem piachu, niby szlak na tapecie opasującym wyspę. Na górze zazwyczaj pałętał się ktoś z pozostałych, wypatrywał w lagunie jadalnych ryb albo wlepiął oczy w horyzont w całkiem płonnej nadziei, że zobaczy bujającą w obrębie widnokregu nową, bardziej towarzyską i skłoną do rozmowy wyspę.

Panie Egmont, panie Egmont, wołali czasem przez pierwsze dni, póki mięso było jeszcze apetycznie pasiaste w wyrzuconych na brzeg czerwonych skrzyniach z prowiantem, panie Egmont, proszę pozwolić sobie pomóc! Pańska noga...

Czyżby więc nie słyszeli nieustannego bębnienia od strony rafy, które przez skonstruowane z bezgranicznym sadyzmem elastyczne przewody wdzierają się do jego czaszki, gdziekolwiek się znalazł?

Ale leżąc tak, uważał, że to równie dobrze może być sen. Czy to możliwe, by te już prawie sparaliżowane, uporczywie drżące nogi o spuchniętym, stopniowo siniejącym mięsie – Boże, gdyby tak mieć nóż! – zdołały zanieść go na szczyt stromego zbocza, przeprowadzić obok snujących się bez celu ludzi, którzy powagę jego położenia rozumieją w równie małym stopniu jak swojego. Miał ochotę rozewrzeć im szczęki, aby wreszcie przekonać się, czy zamiast języków mają tak samo groteskowo rozdęte, oślizłe grudy piachu jak on. Do ostatka, tak, do ostatniej kropli wody, jeśli tylko nogi nie odmówią im posłuszeństwa, będą biegać po płaskowyżach beztroscy jak łowcy motyli, będą przesypiać świt, choć z każdą zmianą oświetlenia pokonują niewyobrażalne odległości w stronę dna wszechświata.

Oooo. Nie mógł nic zrobić, aby temu zapobiec, i nagle wyrwał mu się jęk, cała seria jęków, boleśnie przebijające go kadencje bez początku i końca dudniły w przeponie, kłuły w piersi, piekły w gardle, z żrącą mocą przeciskały się obok języka. Dokąd zmierzały?

Raptem wybuchł tuż przy nim jakiś dźwięk, niezmienny dźwięk, który niejako uniósł go odrobinę, otoczył ze wszystkich stron jak woda, wlewał mu się do uszu, ciepły i pobudzający niby para nad wanną, podpowierzchniowe prądy wiodły go powoli przez rozszerzone kanały, ciało, lekkie jak spławik, obracało się niespiesznie pod ich najlżejszym naporem, na skórze stałe czuł delikatny, urękawiczony nacisk dźwięku, który teraz się wyostrzył, uparte, ślepe palce po omacku napinały jego skórę, aż w przenikliwym świetle kanałowej zieleni zaczęła połyskiwać jak błona, jego nerwy, boleśnie zamotane na trzech spośród tych okrutnych palców, teraz zanurzały się w wartkiej, dojmująco zimnej wodzie – jakby cię żywcem obdzierali aż po miękkie sedno – i oto obudził się na swojskiej łące we śnie spragnionego: Trawa, trawa dzieciństwa o miękkich, pełnych nasion kitach, bujający nad łąką kucyk Pontiac, wokół którego szepcą żdźbła, poluzowane siodło bije i bije o jego lśniący jak świeżo wypastowany bok. Pobiec przez wysoką

zieloną trawę i z wyciem momentalnie wyzwolonego bólu i tryskającej radości rzucić się na szyję roztańczonemu zwierzęciu. Pozwolić, by miękki wilgotny pysk, który stempluje twój kark, twoją nagą szyję, twoje gorące czoło, niespiesznie wciskał cię w ciepłą trawę lata. W tym śnie bowiem zawsze jest lato, nad twoją letnią głową duży biały motyl wyfruwa plisowaną trasę. Teraz siedzisz w siodle, kopiesz Pontiac w brzuch, drzewa w parku ociekają kroplami słońca, widzisz, że piłka do krykieta, którą ostatnio wujek Jim posłał wieczorem we mgłę, chowa się pod korzeniami dębu – a co tam, niech leży! Pontiac dyszy, lśniąca skóra opina serce, płuca, nerwy, ale siedzący na jego grzbiecie chłopiec w czerwonej czapce uderza go obcasem półbuta w bok. Pontiac biegnie środkiem alei w wielkim parku, kurz prószy do góry spod kopyt, ślad kolasy pełźnie wiarołośnie z jednej strony na drugą, na zakręcie kuc nagle klęka, łeb bezwładnie opada w piach.

Natychmiast zza dębu wychodzą dzieci ogrodnika, które się tam ukryły, i w milczeniu patrzą na jeźdźca i konia. Chłopiec i dziewczynka, ich przydługie ręce zwisają ku ziemi jak bezrobotne sznury dzwonicze, nienawiść opina błoną czworo oczu, ubrania mają workowate i zbyt wiele razy prane, Lucas jednak, choć nie bez trudu, poznaje, że bardzo dawno temu należały do niego. Żadne z dzieci się nie zbliża, stoją tylko w milczeniu i patrzą na jeźdźca i na czarnego konia, cztery nogi martwego kuca są nieruchome, drgawki ustały, a pył powoli opada, pudrując koński kłęb, wciąż połyskujący potem, który go zrosił, kiedy koń jeszcze żył. Panuje całkowity bezruch, cienie dębów zmieniają się nagle we wbite w aleję czarne pola, wszelkie szmery wyraźnie odchodzą na dalszy plan, zamilkł nawet kulawy wiatrak za parkiem, który zawsze słychać przez to utykanie, tak więc wąska biała droga ciągnie się za nim i przed nim, a obok niego Pontiac, martwy koń. Oddechy dzieci ogrodnika zasnuły świat, wielki park wiąże się na supeł, do środka przesączają się chmury na niebieskim niebie lata i ćwierkanie ptaków, podczas gdy Lucas stoi nad martwym koniem.

Żeby samemu nie dać się też osnuć, a może z innego powodu, który zrozumie dopiero znacznie później, schyla się i jedwabną chusteczką wyciera swoje brązowe buty z wybornej skóry. Robi to bardzo powoli, dokładnie i metodycznie: najpierw długi, dość spiczasty nosek, aż błyszczący w słońcu jak halabarda, potem dalej, po pięknie ukształtowany obcas. Cały czas zerka ukradkiem na bosc stopy dzieci ogrodnika, chce, żeby przeszedł je dreszcz, by zagrzebały w piasku paluchy, by zadygotały niecierpliwie i pobiegły w park. Po prostu chce pokonać ich oddechy. Następnie z tą samą nieznośnie spokojną dbałością strzepuje pył z nogawek bryczesów, patrząc ukradkiem na nagie nogi dzieci ogrodnika, poharatane od gonitw przez głóg, chce przecież, by zaczęły tańczyć i rozorały ten surowy bezruch – lecz nic takiego się nie dzieje. Nogi dzieci są równie nieruchome jak martwe nogi Pontiac. Tylko pył z jego ubrania powoli opada na martwe ciało konia, na którym pot już zasechł, a ślinę z ostatniego tchnienia zaczynają atakować muchy.

Przez długą chwilę faktycznie nie dzieje się nic. Psy myśliwskie, od których nad okolicą niesie się szczeł łańcuchów, chyba nie wychodzą z bud, stukania młotów z zamkowej kuźni też nie słychać.

Zbity z tropu ściąga krótką kurtkę z czerwonego aksamitu, kilka razy wywija nią nad koniem, w którego mięso roje owadów w upiornym milczeniu zatapiają już żądła, z parkowego trawnika wylewa się strumień rudych mrówek i niby odsłonięta żyła biegnie przez drogę i po włosiu końskiego ogona, który nagle stracił połysk, by na grzbiecie i oklapłym brzuchu zwierzęcia otworzyć się jak wachlarz. Długie rękawy kurtki pokrywa babciny haft, lewitujący w powietrzu męczyzna czyta książki, białe róże nad nagimi klingami szpad, herb rodu. Żeby odwlec rozstrzygnięcie między życiem a śmiercią – bo niewykluczone, że właśnie o coś takiego jednak chodzi – żeby zapanować nad oddechami dzieci ogrodnika, jego dłonie przy każdej róży i przy

każdej szabli zatrzymują się na całą wieczność. W parkowej ciszy nadal nic nie słyhać: może chociaż plusk wiosła w stawie, pogwizdywanie chłopców strzygących zamkowe żywopłaty?

Nie, tylko oddechy, ich lepkie od niskiej żądy dłonie osaczają Lucasa ze wszystkich stron. Patrzy na dzwoniczne ręce dzieci ogrodnika, teraz jeszcze bardziej nieruchome: najdrobniejszy gest – niechby z nabożnymi minami pochyliły się, by pogłaskać konia na przykład po kłębie – mógłby jeszcze przyjść mu na ratunek, ale cisza i paraliż wszystkich rzeczy zastygłych w ucieczce są nadal jednakowo nieznośne. Wreszcie – to dla niego ostatnia szansa odroczenia – niezwykle powoli zdejmuje czerwoną czapkę i o zgięte kolano otrzepuje ją z pyłu, obserwuje przy tym czubki głów dzieci ogrodnika, jakby ściśnięte matowymi obręczami z miedzi: nieruchome niczym marmurowe posągi chylą się niemo nad koniem.

I oto już wszystko stracone, z czapką w garści czuje się nagle bezwzględnie pokonany przez brutalne oddechy i z rozpaczyny odchodząc od zmysłów, z przerażenia, żalu – no, z tego wszystkiego – Lucas napotyka po kolei dwie pary oczu dzieci ogrodnika.

Nieruchome zimne iskry nienawiści palą mu oczy, wzdraga się, dostrzega w nich tryumf nad swoim upadkiem i nad śmiercią konia, i rozpoznaje uczucie, które od samego początku uczył się wypierać: oto wraz z krykietem, z przejażdżkami konno, z łowami z sokołem Ajaksem, a może i z niejedną paniczną ucieczką przed zabiedzonymi dziećmi z okolicy dopada go z mocą, podobne do tego, co wie o poczuciu winy.

I na chwilę wszystko przemienia się w zastygły ból, rude mrówki płyną teraz przez drogę niby strumień cierpkiego wina, brzuch i kłęb martwego konia są usiane mrówkami, a muchy i inne skrzydlate owady puszczają go ze strachem, bezgłośnie wzlatują ku koronom drzew. Potem, może nawet nie bardzo tego chcąc, chłopiec brutalnie kopie konia w bok, aż jedno kopyto unosi się trochę i rozgniata kilka mrówek.

A teraz chłopiec biegnie, jakby miał już nigdy nie wrócić, jakby lata świetlne chciał zostawić między sobą a parkiem na tej nieskończonej białej letniej drodze, na której ślady kół kolasy i kopyt jej czterech koni odcisnęły się w pyłe piętne niby niezliczone mnóstwo srebrnych monet między dwoma liniałami. – Ten, który śni, chyba wie, dlaczego chłopiec biegnie i dlaczego kopnął konia, ale chłopiec na białej drodze z przerzuconą przez ramię czerwoną kurtką wie tylko tyle, że nagle otacza go żywopłot, a żaba, której się boi, cuchnie zieloną i obrzydliwą u jego stóp, i między wysokimi kołami wozu, potężnymi końmi roboczymi, pługami rzuconymi na ziemię i białymi kurami, które rozbiegają się na wszystkie strony, dociera do zamkowego ogrodu i biegnie przez rabaty, grządki lili i śpiące na trawie z chusteczkami na czołach smukłe damy do towarzystwa matki, potem przez małą furtkę aż do biblioteki na piętrze i dopiero tam z płaczem pada na skórę niedźwiedzia, całe swoje „ja” topi w zapachu niedźwiedziej krwi i cygar.

Mijają lata, powoli uczy się pojmować, parku unika, przepelniony osobliwą rozpaczą staje często wieczorem we francuskim oknie na wieży, wpatruje się w półmrok pod drzewami i jeśli widzi wtedy kruka nurkującego między niebieskie pnie koło wiatraka, którego kulawe ramię jest jedynym naprawdę stałym punktem, natychmiast wyobraża sobie, że koń nadal tam leży tak, jak padł na drogę, stare ścierwo, w którym dzioby i zęby pozostawiały głębokie ślady, i kompletnie zagubiony, zrozpaczony, chce zbiec z wieży i kopać grób dla martwego przyjaciela, lecz ciemność zapada szybko, a on zawsze osuwa się w czyjeś ramiona, po czym omdlałego niosą go przez zimne, nagie komnaty, cuchnące kurzem i butwiejącymi portretami, z powrotem do jego pokoju w zielonym cieniu zamkowego skrzydła.

Chory – szepcze się na zamku. Szalony – gadają po wsiach.

Tak, psychologowie, psychiatrzy, psychoterapeuci i psychoanalitycy, wszyscy ci akordeoniści ducha przybywają do jego wezgłowia pociągami, motocyklami, samochodami, autobusami i samolotami, niby zalotnicy w starych baśniach: powstają plany zajęć, rosną wykresy, atrament

trzeba nieustannie rekwirować w mieście, zbrojownia i skład rodowych mumii zostają zaadaptowane na biblioteki i laboratoria, z prawej, z lewej i z ukosa zadawane mu ze śmiertelną powagą pytania domagają się odpowiedzi, zrzucaj papierowe samoloty z dachu, bo ruch wahadłowy duszy należy gruntownie przebadać, nieprzerwanym strumieniem napływają aparaty wyglądające jak małe fontanny albo zmywarki, a wszystko jest bardzo interesujące i bardzo niepewne.

Ale trwoga tak naprawdę nie mija, podobnie poczucie winy i wszystkie pozostałe bzdury; chcą go sprowadzić do parku jak byczka, przedstawiają mu próbki żwiru z parkowej alei i z innych dróg i całkiem słusznie tłumaczą, że różnica jest nieznaczna. Honor wielu osób bardzo słusznie ręczy za to, że kucyk Pontiac został oddany na mięso pewnej podległej zamkowi głodującej rodzinie, która nigdy nie narzekała na swój los, stroniąc od walczących o poprawę bytu pieniaczy. Ale żeby osobiście się o tym przekonać – tego właśnie mu się odmawia – by przejrzeć mroczną tajemnicę wydarzeń, pewnego dnia wczesnym rankiem, kiedy służący z powozem i lektyką przychodzi go zabrać do parku, po niebieskich kręconych schodach ucieka na dach, za stare flanki, gdzie chronią się kawki i tęsknoty zabiedzonych dzieci. W dole, między posągami na dziedzińcu, zbierają się ciemne punkty, niby białe pąki z czarnych futerałów wykwitają nagle twarze wielkości główki od szpilki.

– Dość już powozów i głupich pytań! – krzyczy w dół, balansując na krenelażu, staje na jednej nodze, wywiesza ciało nad oniemiałą przepaść. – Dostyc już doktorów, medycyny i żalonych przyrządów, aparatów do rentgena i całego tego kramu! – Ojciec pewnie też gdzieś tam stoi na dole, stary oficer szaleńczo marzący o cyrku. Oczywiście, biegnie teraz, dwunożna mrówka, przez dziedziniec, to chyba ostrogi tak iskrzą się w słońcu. Potem nastaje żwawe poruszenie: zaprzęga się wozy, auta wypełzają skądś jak szpetne żuki, ładuje się kufry, ludzie wsiadają i wysiadają, trąbka sygnałowa energicznie działa, dźwięki dolatują do niego niby wielkie komary, potem wreszcie gęsta jak atrament rzeka pojazdów silnikowych i fur zaprzężonych w konie wylewa się przez zamkowe bramy na szeroki trakt – a Lucas biegnie na dół, żeby teraz w spokoju rozwiązać zagadkę kuczka imieniem Pontiac i dzieci ogrodnika.

Zamiast tego jednak ojciec brutalnie chwyta go za ramię, wlecze przez opustoszałe komnaty, gdzie wyziewy umierających portretów coraz trudniej znieść – ludzie w różnych stadiach rozkładu jeszcze za życia zaczynają z czasem cuchnąć jak stare konterfekty.

W bibliotece ojciec rygluje drzwi, zaciąga zasłony i zapala świece w kandelabrze, po czym zdejmuje ze ściany czterometrowy bat. W młodości uciekł z trupą cyrkową: pewnie cesał primadonnę, pomagał karmić lwy, potem został zabrany do domu i zamknięty w piwnicy na cztery miesiące. Tam, wśród szczurów, pleśni i piwnicznego zaduchu, nauczył się używać bata, poskramiacz własnych tęsknot, po jakimś czasie potrafił już zabić szczura w biegu, wiewiórkę na czubku brzozy, i wkrótce dla szczurów i wiewiórczych dzieci zapomniał o lwach i tygrysach. Powszechnie kochany za swoją głupotę, powszechnie podziwiany za swoje okrucieństwo, powszechnie lubiany za swoje bogactwo został wkrótce posiadaczem największej w kraju kolekcji batów.

– Rozbierz się – mówi teraz ojciec do chłopca. – Rozbierz się do naga, ubranie połóż na skórze, pochyl się, jak przystało na takie bydlę jak ty, rozsuń nogi, stań tyłem do drzwi, głowę opuść najniżej, jak możesz, grzywa powinna zwisać, jeśli masz przypominać lwa.

Ojciec rozwija niekończący się bat, jeszcze raz przekręca klucz w zamku, za drzwiami o podłogę stukają przerażone kroki służących. Mija minuta ciszy i nagle przez stropy słychać grzmienie wozów, rzenie koni, piosenkę woźnicy, bicz powoli pełźnie przez parkiet jak wąż, wyciąga się w stronę przerażonego chłopca o ciele barwy kości słoniowej. Potem na rozkaz pana bat podrywa się lekko, z przyjemnością oplata srebrny kandelabr i z dziką siłą ciska nim na drugi

koniec pokoju.

– Stój spokojnie, ręce oprzyj na kolanach, wyprostuj plecy, żebym miał większą powierzchnię do bicia.

Bat śwista z powrotem przez pokój i od prawego ramienia na skos do lewego biodra w białej powierzchni chłopięcych pleców wyrzyna czerwony kanał.

– Masz za swoje przekłete mędrkowanie. Mędrkowanie to nieczyste zajęcie, pasuje do zakonników, ubogich, świń i subalternów. Ale u kogoś, kto ma dużo wina, batów i koni, mędrkowanie jest grzechem. Posmakuj, jak wino spływa do gardła – jeśli spływa niedobrze, sięgnij po inne. Poczuj, jak przyjemnie bat sprężynuje w dłoni – jeśli nie, każ cieśli wystrugać wygodniejszy trzonek. Szybki koń pada tylko z własnej winy – masz inne. Nigdy nie współczuj – to tylko prowokuje szyderstwa i zabiera cenny czas, dźgaj konia w bok, niech cię szanują.

Masz za swoje przekłete gadanie o poczuciu winy. Mają je tylko słabi; po to właśnie są. Siedź statecznie na partnerze i patrz, jak się miotają; występują głównie dla pieniędzy, może reżyserem jest szwagier. Nie mieszaj się w grę aktorską, siedź, póki się dobrze bawisz. W wielkiej szmirze życia ludzie nie oczekują od ciebie żadnego działania, a jeśli oczekują – pozwól, by się zawiedli.

Masz za swoją przekłętą młodość, która z czasem ci przejdzie.

Masz za to, żeby przeszła jak najprędzej.

Masz za każdego konia, którego zajeździsz w październiku podczas wielkiego polowania na dziki i będziesz się z tego śmiał jak my wszyscy.

Chłopiec powoli się kuli, system kanałów na jego plecach stopniowo się wypełnia, świat zasklepia się w czaszy smagnięć batem, niedźwiedzia skóra otula go szczelnie, z biegiem lat wywietrzał z niej zapach zwierzęcej krwi i teraz pachnie cygarami, rozlaną whiskey, perfumami kochanek. Mijają minuty, a chłopiec się nie budzi, mijają godziny, a chłopiec się nie budzi, mijają lata: przepadł. Aż nagle odnajduje sam siebie, czas wprowadzie przeleciał, chłopcem już nie jest, plecy go trochę bołą, kiedy marynarka przyciasna albo kiedy wkłada i zdejmuje koszulę, poza tym jednak całkiem wydobrzał. Ojciec się postarzał, skurczył, chodzi paskudnie przygięty do przodu; matka, którą dawniej ledwo zauważał, stoi teraz wiecznie przy kuchni, mrugając oczkami jak ziarenka czerwonego pieprzu, albo na kanapie w przedpokoju kwili z niewyjaśnionego bólu. To prawda: zamek także przepadł, według ojca winni są spekulanci i robociarze, finanse runęły, najpierw sprzedano konie, potem po kawałku ziemię, odprawiono służbę – ale wszystko to nie wystarczyło.

Teraz we troje drepczą po szarych ulicach, zgięci pod jarzmem mrzonek i beznadziejnych nadziei. Weźmy starego na przykład: co wieczór, kiedy się dostatecznie ściemni, przemyka na strych kamienicy czynszowej, by tam w samotności grubym sznurkiem przywiązany do złamanej wędki przywoływać wspomnienia niegdysiejszych chłost. Poza tym zerwał z przeszłością: obecnie przesiaduje prawie pół dnia w jednej z czterech dzielnicowych knajp, dość głośno bełkoce coś o polityce, po kilka dni kleci listy do redakcji poświęcone okolicznym psom, a tak w ogóle to chyba nikt nie wie, co naprawdę czuje.

Matka budzi litość, pewnie serce rozdziera jej ból, bo oprócz zmiętych kartek z zamkowej korespondencji sprzed lat nie ma czym rzucać w oszalałe koty marcowe, które spółkują na ciasnym podwórku.

A sam Lucas? No więc rany od chłosty pobolewają raczej nieznacznie, lecz kto wytłumaczy, jak to się dzieje, że park nadal pojawia się w niedobrych snach, a w czasie pracy Lucas często widzi jego zarys wyłaniający się ze złuszczonej farby na swoim pulpicie w podmiejskim banku, ze szpary zaś wychodzi kucyk. Czy poczucie winy jeszcze nie przeszło, czyżby ciągnęło się w nieskończoność?

Stosunki się zmieniają: jeśli ktoś siedzi na pniu i muzykuje, a ktoś inny leży pod pniem i

ledwo ma siłę słuchać, mogłoby się zdawać, że oczywistym obowiązkiem siedzącego jest wstać i przetoczyć pień na bok. Lecz jeśli ten, co siedzi na górze, jest młody, od bardziej zaprawionych w siedzeniu często słyszy, że najdrobniejsze przesunięcie może sprawić, iż cała budowla – wprawdzie symboliczna, ale zawsze – runie. Lepiej więc nastroić instrument i mocno zadać, żeby zagłuszyć jęki, a może biedak pod pniem, dźwigający cały system życiowy, też będzie miał z koncertu jakiś pożytek. Podłubać mu w ucho, żeby muzyka lepiej trafiała do środka – oto jedyny akt miłosierdzia, na jaki można sobie pozwolić, nie ryzykując rozbicia własnej bańki.

Jeśli zatem człowiek jest młody i o raczej miękkim jestestwie, jak na przykład Lucas w tamtym okresie, myśli, że został do pnia przytwierdzony na stałe i jeśli poruszy się choć odrobinę, cały świat niebezpiecznie zadrży, ryk instrumentów i tłuste, czerwone poliki budzą w nim wstręt i zarazem rozpacz, a poczucie winy i bezsilności są niemal ponad jego siły. Przy odrobinie szczęścia wcisną mu do garści flet, rychło nauczy się trafiać w otwory i dać, rychło znajdzie własne kręte schody w dźwiękowym domiszczu zapomnienia, i oto siedzi już z własnej nieprzymuszonej woli na tym fatalnym pniu, przystrajając świątynkę symboli, którą wznosi z ozdobników własnego pomysłu. Poczucie winy zawiesza wysoko pod powalą na ścianie szczytowej niby niemądrą blaszaną pamiątkę z dzieciństwa.

Z Lucasem natomiast było nieco inaczej, pierwszy okres po nieświadomym infantylnym podskakiwaniu na pniu, okres zniewolenia i poczucia winy: parkowa fobia, dzieci ogrodnika i śmierć kuca przyduszały go jak imadło – lecz przecież pojawił się bat, który pomógł mu się narodzić; flecik przez jakiś czas dźwięczał w jego rękach, chociaż nie do końca czysto; nuta strachu, winy i rozgoryczenia brzmiała w tej rodzinie dosyć ostro i wyraźnie.

Dokładnie w momencie, kiedy ojciec dostatecznie wytrenował bat, aby wypędzić z jego ciała także i tę pozostałość nieposłuszeństwa, przyszedł krach, pień przetoczył się powoli i oto znaleźli się pod nim, z przerażeniem usiłując złapać oddech. Czy Lucas, jak można się spodziewać, zwrócił teraz swoje milczące sumienie w kąśliwym proteście przeciwko tym, którzy wcisnęli jego ciało w błoto – jemu, który wcześniej czuł się winny, teraz chyba wymierzono sprawiedliwość? Zastanawiające mimo wszystko, jak bardzo zawsze wydawał się samotny! Nowi przyjaciele, którzy w pocie czoła pracowali z nim w jednym pomieszczeniu dziesięć godzin na dobę, raz dziennie połykali w pośpiechu odgrzewaną soję z ziemniakami, z obawy, że będą musieli zostać po godzinach, przez co nie zdążą do domu na czas i nie wyrobią się z dodatkową pracą chałupniczą, a muszą ją brać, żeby zarobić na pokój, gdzie dorabiają, kiedy nie śpią, i żeby zarobić na kolejne porcje soi, żeby mieć siłę do pracy w domu i w banku, ci jego nowi przyjaciele o przygarbionych plecach, parszający krótkim śmiechem, roztaczający wokół siebie nieokreśloną woń łoju i nieszczególnie czystych skarpet, nie zdawali sobie sprawy, że przygniatają ich pnie i powoli zabijają muzykanci, którzy z pniaków uczynili sobie ławki.

– Przyjacielu, przejściowe wahanie ciśnienia – protekcjonalnie zbywali Lucasa, kiedy próbował roztrząsać ich położenie. – Proszę, może pomogą tabletki od bólu głowy. – Należeli do gatunku życzliwych, jakkolwiek dowody ich sympatii bywały nieco wymuszone: czas i siły trzeba oszczędzać na pracę, tabletki powinny pomóc na wszystko. Zdumiony, Lucas połykał garść niesmacznych krążków, drapały w gardle jak pieprz, z początku nic nie pomagały, ale po paru tygodniach pień uciskał już nie bardziej niż para przykrótkich szelek na piersi. No dobrze, ale co z tego, skoro z czasem powróciło poczucie winy? Absurdalnie jest mieć poczucie winy, kiedy nikogo już się nie uciska, a może ten, co leży pod pniakiem, powinien przejąć poczucie winy tego, kto na wierzchu dmie we flecik? Zaczął po bibliotekach zgłębiać teologię, lecz donikąd tą drogą, nie zaszedł. W tym samym czasie w Chinach Chińczycy dość licznie umierali z głodu, w welamezyjskiej gazecie przeczytał, że mieszkańcy dotychczas nieznanego mu państwa dręczeni są przez bandycką władzę – na przykład w wyniku okrutnego widzimisię rządzących

osoby o szczególnie szarej tęczęwce pozbawiano oczu. Na to Lucas nic nie mógł poradzić, przez sam dojazd idea wkroczenia do akcji stawała się czystym nonsensem: podróże przede wszystkim kosztują, kradzież pieniędzy z banku byłaby może i do pomyślenia, lecz czy to właściwa droga: obarczać się winą w jednym miejscu, aby naprawiać winy w drugim? Przeklęty to świat, w którym unosząc stopę, człowiek zawsze kogoś kopnie, a stawiając ją, zawsze kogoś zdepcze.

Lucas rozmyślał i wiedział, że w republice welamezyjskiej z każdą chwilą coraz więcej nieszczęśników traci oczy. Przedstawił swój dylemat znajomym, oni jednak czytali inne gazety i nikt mu nie uwierzył. Wówczas wziął na siebie ich winę, bo ktoś przecież musi ją ponosić, i wyraźnie się pod tym brzemieniem uginając, dostał skrzywienia kręgosłupa i oczywiście zalecono mu gimnastykę.

Któregoś dnia pewien wysoce pojętny pan, pełen cynizmu – jedynej mądrości, na jaką jeszcze był gotów przystać – pasożyt w średnim wieku żerujący na lektorskich wdowach, wziął Lucasa pod ramię i przedłożył mu kilka kwestii: na przykład, czy to właśnie Lucas w pierwszej kolejności powinien ratować welamezyjskie oczy?

Wcześniej chyba powinni zareagować sami Welamezyjczycy, a jeśli wyobrazić sobie Welamezję jako środek olbrzymiego okręgu, z Lucasem błędzącym gdzieś na peryferiach, to między nim a całym tym okrucieństwem ciągną się olbrzymie segmenty pełnego winy milczenia, między światem Lucasa a zbrodniami Welamezji niczym mur przeciwogniowy wznosi się niebotyczna ściana ludzi i jeśli rozejrzeć się wkoło, wszędzie wygląda to identycznie. Informacja raczej mętna – ale skoro innej nie ma? Poza tym w banku coś się wydarzyło: zaniepokojony jego malejącą wydajnością w pracy czy też, jak wolał to sformułować, jego wynikającą prawdopodobnie ze zmiany powietrza nadmierną bladłością, kierownik banku wezwał go do siebie i dostatecznie jasno poprosił o usunięcie przyczyn niedyspozycji albo opuszczenie stanowiska.

Wciśnięty zatem między papierową ścianę winy i żelazny mur istnienia postanowił, co ciekawe, odepchnąć tę pierwszą, aby zyskać nieco przestrzeni dla ciała. Jakby za jednym zamachem rany, które uważał za dawno już zagojone, znowu się otworzyły, przez co musiał chodzić ostrożnie i w żaden sposób nie narażać się na niebezpieczeństwa.

Tak więc jego świat otoczyły mury przeciwogniowe, a on w towarzystwie kolegi z banku chadzał w niedziele, dni świąteczne i powszednie nad podmiejską rzeczkę łowić pstrągi karłowatej odmiany, co ledwo starczą na śniadanie. Tam, na podmokłym brzegu rwącej rzeczki, Lucas po raz pierwszy dotknął nieobciążonego winą sensu życia. Po szczęśliwych narodzinach między murami przeciwogniowymi miał absolutny obowiązek cieszyć się tą sytuacją, jak długo się da. Zjawiska takie, jak pozbawianie Welamezyjczyków oczu, są wprawdzie złe, ale nedorzeczne biadolenie chyba tylko je pogarsza, z bliższej perspektywy jawne krzywdy nie dręczą człowieka bardziej, bo czyż nie jest niesprawiedliwością samo przyzwalanie, by o zajmowanym stanowisku przesądzała geografia? Jeśli uwzględni się wszystkie zainteresowane strony i siebie samego oraz zadba o to, by dopraszającym się sympatii nie stała się niesprawiedliwość, na pewno nie ma lepszej recepty niż zostawić wszystko w spokoju, również ciemionych, bo czyż nawet poczucie winy, gdyby trzeba się było tłumaczyć, nie jest li tylko wyrazem niedostatecznej koncentracji? Człowiek działa pod presją winy, owszem, ilu ludzi zostaje wdeptanych w ziemię, kiedy ktoś inny uniesie stopę, a ilu musi czuć się pominiętych, kiedy wina znajdzie sobie obiekt? Czyż więc nie najlepiej z czystej troski przede wszystkim o innych dostosować zajmowanie stanowiska do ułomności swoich czasów?

Wydajność jego pracy zaczęła powoli wzrastać, proszę zauważyć, jak rozkoszny charakter pisma przyswoił sobie w owym czasie, artystycznie ozdobny, wystarczy rzut oka na te pochyłe *S*, by przekonać kierownictwo, że będzie wiernie służył bankowi, dopóki nie umrze na gruźlicę w

wyniku złej wentylacji w miejscu pracy.

Jakaś część jego samego, kto wie, czy nawet nie większość, spływała na czubek stalówki przy wypisywaniu bilansów, nabrał dziwacznej ciągoty do wykresów: niedzielne pstrągi, codzienne spacerki do banku opisywał pod postacią krzywych na papierze w kratkę, na swój sposób był pewnie typowym przedstawicielem epoki, która sama siebie okrada z katuszy: niby kieszonkowiec stał człowiek w czarnym ścisku, wsuwał rękę do własnej kieszeni i chwycił złó.

Potem przychodziła pora grać podwójną rolę okradzionego i zawsze do innej kieszeni, zawsze do kieszeni kogoś innego próbował przemyścić strapienie. Nazbyt często jednak przez brak zręczności manualnej mylił kieszenie, co oburzające, i kiedy wracał do swojego pokoju, kieszeń pęczniała na biodrze jak olbrzymi czyrak, a złodzieja okradzionego jego własna pomyłka prawie kładła na łopatki; cała nadzieja faktycznie w gimnastyce palców.

Pewnego dnia mimo wszystko przychodzi list. Stoi na półce nad piecem niby biały cień, kiedy Lucas wraca wieczorem do domu.

Zauważa go pewnie od razu, lecz najpierw siada do kolacji, udając, że nic nie widział, buduje na talerzu tunele z rącznych panczerzy, otwory zatyka łupinami ziemniaków, o ile to w ogóle może coś pomóc. A jednak nóż strachu i ostry widelec sumienia mocno, ostro zgrzytają o szarą porcelanę, pozłota obowiązku powoli zaczyna się łuszczyć, oczy matki, kiedy napotyka jej wzrok, są zaropiałe, a skóra na twarzy ciasno opina kości, trójkątna izdebka zgniata jakby wszystkie ich myśli, nadzieje, wyobrażenia i mrzonki w ohydne trójkąty. Och, teraz czuje, że chce wydostać się z tego raczoziemniaczanego tunelu, w którym na wieczność ma być zamknięty.

Błaga nóż: przetnij na wskroś wszystkie warstwy wełny na mnie, pozłotę mojej nagości; i widelec: moje zadowolenie i pozbawione sumienia zatrucie wykresami nadziei na swoje srebrne zęby.

Pospiesznie sięga po list, rozdziera, czyta i krzyczy: – Muszę jechać!

Matka najwyraźniej się tego domyśliła, bo już go spakowała, on chwycił walizkę, nie poświęcając matce nawet ostatniego spojrzenia, na schodach słyszy, jak nowy, ewidentnie skurczony z głodu skórzany bat ojca mlaska jęzorem w sklepionej piwnicy. Biegnie na dół, a smagnięcie batem niemal urywa mu ucho.

– Ojczy! – krzyczy. – Muszę jechać.

Bat milknie.

– A to dlaczego?

– Dostałem list. Z listu wynika, że muszę stawić się na umówione miejsce.

– Czy ma to jakiś związek z bankiem?

– Nie, muszę wszystko rzucić. Pora już wreszcie naprawić niedotrzymanie dawno minionego terminu.

– Stój, gdzie stoisz.

– Tak, ojczy.

I czy to ta sama chwila, co kiedyś, bat w każdym razie jakby ten sam, nie, niezupełnie, jest może nawet jeszcze bardziej kąśliwy i żądny krwi. Lucas pada w piwnicznym korytarzu, runęły już wszystkie ściany między wtedy a teraz, betonowa podłoga piwnicy obsuwa się, w górę wyrasta miękkie futro niedźwiedzia, on tym futrem otula swoje „ja” i w końcu dociera do niego, że nigdzie nie pojedzie.

Wstaje i rusza w górę schodami, za nim bat parska śmiechem przy krótkim spotkaniu z kamienną ścianą, matka rozpakowuje bagaż, a on patrzy, jak ich jedyną walizkę chowa pod stertą pisemek bankowych w szafie w ścianie. W milczeniu jedzą dalej i wszystko jest tak, jak było od dawna: rodzinne szczęście, swąd smażeniny i silny zapach butwiejących tapet ponownie

przelatują z szumem przez pokój.

I znów czas płynie stosunkowo szybko, kolumny i pstrągi oplatają jego życie palisadą, on oczywiście zauważa czarny samochód sunący za nim niespiesznie, kiedy po południu wraca spacerem do domu, nieustannie miga światłami, a mężczyźni, którzy wpychają go na tylne siedzenie, wydają się jakby znajomi.

Wyjeżdżają na opustoszałe tereny za miastem, na moście z samotną srebrną latarnią w środku nocy jakiś dziad rzępoli na skrzypcach, pieniądze rzucać do otwartego futerału, nagle samochód wpada w poślizg i przednim kołem miażdży pudło. Pewnie słyszą za sobą krzyki, ale patrzą w dół, w ciemność pod mostem, gdzie światła promu linowego owijają swoje miękkie nici nadwodną mgłą. Lucas gniecie się na tylnym siedzeniu między dwoma potężnymi mężczyznami o sangwicznych głosach, chyba ze zbytnim zapałem chcą go pilnować, ale nikt nie musi obawiać się ucieczki Lucasa, jego naumyślnie zasznurowana wola miękko daje się kształtować każdej dłoni, która tylko zechce, on wie, że jakiegokolwiek działanie z jego własnej inicjatywy wszystko tylko jeszcze bardziej zagmatwa.

Dokąd więc jadą? Ze spokojem, lecz bez oczekiwań – czegoż jeszcze mógłby oczekiwać? – słyszy, jak auto ryczy w nocnych ciemnościach, tu i ówdzie na rozstajach dróg uspione chłopskie wozy chylą dyszle, wystraszone krowy obudzone silnikiem w świetle reflektorów nieudolnie podnoszą się na kolana, samochód z cichym warkotem wtacza się na zużytą, krętą boczną drogę, na której snopy światła bez przerwy obijają się o pnie dębów albo huśtają nad krążkami przerażonej czarnej wody. Trawa podchodzi do samej drogi, kołysząc się łagodnie, jakby światło samochodu było wiatrem, teraz Lucas rozpoznaje okolicę, lecz bez większego lęku ani zdziwienia: droga i dębowy las z dzieciństwa odnalazły go, nawet kucyk pojawia się na zakręcie jakby wprost ze snu, jego stan od chwili wypadku jest wciąż niezmienny, a w ostrym świetle, nim samochód zahamuje, miliony mrówczych ciał połyskują niby pasmo neonu rozpiętego na nie do końca jeszcze martwej skórze konia.

– Wysiada – mówi syn ogrodnika, jeden z tych, co w czasie tej długiej podróży siedział obok niego, pachnący grubymi cygarami, nalany mężczyzna prawie w średnim wieku, z twarzą w obwisłych, żółtych fałdach, jego siostra, kobieta obok kierowcy, cały czas głęboko pogrążona w mapie okolicy, przez którą jechali, nosząca przezroczystą żalobną krepę, rzuca szybkie spojrzenie, po czym wysiada na drogę. Lucas pospiesznie ją mija, słyszy jej oddech zza krepy.

– Dosyć – szepcze kobieta. – Na kolana.

A on powoli osuwa się przy martwym kucu, resory w nogach zginają się jakby pod naciskiem niewidzialnej ręki, światła samochodu gasną, a wóz zaczyna nagle wirować z warkotem na drodze i po chwili zostaje wessany w ciemność pod drzewami. Czy kobieta jeszcze tu jest? Jego słuch bezradnie błądzi po omacku wkoło i wraca z pustymi rękami, a on, łkając z samotności, kładzie się u boku kuca i wyciąga ramiona, żeby przysunąć go do siebie.

Wtedy jednak, ma się rozumieć, kuca już nie ma, jest tylko wgłębienie, grób o obrysie kuca i pięciu dnach czarniejszych niż ciemność, on w swojej samotności chce go pogłaskać, a coś niespiesznie wsysa jego ciało za krawędź, głowa jest spokojnie wciągana niczym prom, który z wolna opada w głębinę, tak, upadek dokonuje się bezgranicznie powoli. Skulone na kształt płodu ciało opada w dół, dłonie, białe czułki, drżą bezustannie w oczekiwaniu szorstkiej skóry, ale biała fala odbija się od dna i lekko niczym wiatr wiruje nad nim. Bronić się, zawrócić jak pływak na niewiele by się zdało, więc gotowy na uduszenie otwiera się całkowicie, aby fala mogła przez niego przeniknąć, i wtedy pojmuje, że nic się nie dzieje, do jego ust nie trafia ani jedna kropla, nie, fala jak jedwab otula jego ciało i chociaż to ciało raptem zmienia się w olbrzymi język, który, wijąc się węzowo, usiłuje zlizać wilgoć, efekt jest wręcz fatalny. On tymczasem opada, a z dalekiego dna podnoszą się ku niemu podniecające zapachy: ambra i jałowcówka, woń śpiewu

ptaków nad otwartą żyłą, pęknięty brzęk chłodu piwniczki na wino, twarde zapach metalu i biedy z mosiężnego kurka, niczego nie wolno pominąć, cały ten zbiór niby wyostrzona spirala tnie zamienione w język ciało, a kiedy wszystko zostaje w końcu przecierpiane, na dnie leży niemo martwy koń, przez tafel wody można nawet dostrzec mrówki: wściekłość zmienia go z powrotem, pojmuje okrutną rolę konia prześladowcy, który leży na samym dnie studni pragnienia, a jego skóra emanuje wszystkimi woniami boleści. Rzuca się na konia, pazernie zakrzywiając palce, i jak gwoździe wbija ostre paznokcie w jego miękkie mięso, pieszczoty dawno zostały zapomniane, teraz pragnie tylko gorzkiej zemsty.

Z rękami zakopanymi głęboko w piach wydobyl się powoli z wielkiej paki snu o siedemdziesięciu pieczęciach, marne ziarenko w wewnętrznej, najmniejszej ze stu szkatulek snu, z jękiem przewrócił się w końcu na plecy i dziko rozdziawił usta na przyśniony deszcz.

Lecz teraz, jak balony na wiosnę, szare kłaczki brzasku oderwały się od sfałdowanego morza, jaśniejącego zarysu wyspy i połamanych masztów w ruinie statku, podobnego lianom olinowania i urwanej kotwicy, i wzniosły się prosto do nieba, którego obwisły zielony jedwab naciągnął się raptem i napiął gładko jak lód, ale że nie starczyło go na pokrycie całej powierzchni, ze szpar w różnych miejscach światło jak sok pomarańczowy chlusnęło do morza, prędko też zostało wchłonięte, po ciemnych, lśniących połaciach przeciągnął szybko żółty jezor pożogi, niby jezor wygłodniałego psa.

Potem nożyce młodego światła postrzępiły brzeg zielonego jedwabiu poranka, w miejscach, gdzie chlustające światło podpaliło kłaczki szarej mgły, porobiły się dziury, nabiegłe krwią oczysko zamrugało, po czym rozpękło się i jak korek na wodzie zakołysało przy wschodnim horyzoncie niby boja rybacka o brzasku.

Lucas Egmont odbierał to wszystko jako spadanie, nadal głupio rozdziwiając usta, próbował stanąć, ale udało mu się to dopiero wtedy, kiedy prędkość spadania zmalała. W przeliku nadal czując łaskotanie wody ze snu, stał w piachu, kołysząc się na zajadle jątrzących nogach, jego brezentowe buty szeleściły przy najmniejszym drgnieniu mięśni, a on ze wstrętem wyczuwał pod paznokciami piekący piasek. Upojony świadomością swojego losu, ruszył chwiejnie w stronę wody, ukląkł na skraju laguny i z wściekłością wbił palce w piekącą wodę, ktoś ciężko zawisł mu na ramionach, ktoś zginał mu kark, pragnienie, by zanurkować, stało się prawie nie do zniesienia, wargi jak namagnesowane coś ciągnęło ku wodzie, zbliżył twarz do powierzchni, a z dna laguny podniosło się jego rozedrgane odbicie.

Urywki snu trzepotały na powierzchni, klęcząc, przeżywał na jawie to, co działo się we śnie. Tymczasem obryzgana krwią olbrzymiej ryby czerwona boja wyłaniała się powoli z morza z niebywałą ostrożnością, jakby niewidzialny wędkarz robił wszystko, żeby tylko nie spłoszyć zdobyczy. Pragnienie, myślał Lucas Egmont, wszystko jest pragnieniem. Poczucie winy, lęk, wszelkiego rodzaju katusze sumienia, okrucieństwo i kłamstwo – wszystko jest pragnieniem, ucieczka i upokorzenie, wyczyny i potrzeba wspólnoty – wszystko jest tylko pragnieniem.

Powoli obalony na plecy tą świadomością, zobaczył, jak pofałdowana powierzchnia morza niby prześcieradło pożarnicze odyma się nagle w wielki błękitny bezruch pod słońcem-akrobatą, które raptem czerwone i pękate stoi na ziemi, podnosząc wzrok na trap i linę. Pragnienie, myślał, wokół którego wszystko się kręci, jedyny stały punkt w płynnym wszechświecie, jak byśmy sobie poradzili bez pragnienia – niczym nieporadny gość po raz pierwszy na proszonym obiedzie, który nie wie, co zrobić z rękami w nazbyt przestronnym salonie?

Dlatego, myślał, dlatego że pragnienie to jedyny pewnik, mogę żyć jeszcze przez chwilę: jednak nie po to, by je ugasić, nie – po to, by je zatrzymać, gdyż jeśli utracę pragnienie – co mi pozostanie?

I w chwili między świtem a rankiem wewnętrzny marzyciel człowieka, cynik nad cynikami,

pomógł mu na skrzydłach umknąć przed tym, co wcześniej go prześladowało: przed poczuciem winy z zamku i banku, strachem, jaki budzi w nim wszystko, co mogłoby zmusić go do działania, przed katuszami sumienia związanymi z ucieczką w świat wykresów i zaczarowanego pstrąga. Cóż innego, myślał, pozostaje, jeśli nie zatrzymać pragnienie? Chcesz, by błahostki rozerwały cię na strzępy – pij!

Jedyne na tej wyspie ptaki, podobne do mew, lecz o nagich szyjach i ostrych, zakrzywionych jak motyki czerwonych dziobach, nieme, latające bezszelestnie, wzbily się białymi obłokami nad środkową częścią wyspy, a on z trwogą przypomniał sobie minuty podniecenia wokół wykopanej beczki z wodą, kuksańce, spiczastość trafiającej go stopy, słodką chwilę spełnienia, kiedy zalewało dziąsła, i następujące potem przewlekłe cierpienie, gdy trzeba było wszystko przeanalizować: dlaczego zdradził bank, bezczelnie oszukał swych zleceńodawców i uciekł z długu ukrywającymi pieniędzmi?

Przypominało to masturbację: godzina słodkiego kuszenia, minuta, gdy wszystko przepada w słodkim bólu, doba skruchy i podstępnych pułapek.

Lecz jemu, który najjaśniej widział, co ma się wydarzyć, i wiedział, że statek ratunkowy nadal stoi w porcie w Melbourne albo w Casablance, powinna chyba być oszczędzona wstydliva chwila refleksji po zaspokojeniu pragnienia. Dygocząc we wszystkich stawach nie tylko z zimna, lecz znacznie bardziej z trwogi, wyczołgał się na brzeg i ruszył przed siebie, usiłując nie szeleścić zakrywającymi mu stopy kawałkami brezentu. Czy wszyscy śpią? Z pazernym wzrokiem – tak, musi być pazerny, jakżeby inaczej? – nieme ptaki krążyły pięć metrów nad ziemią, wyciągając gumowe szyje. Tak, wszyscy sześcioro chyba śpią: trzech mężczyzn pod brezentową płachtą między ogniskiem a białą skałą – w głębi nawiedzony kapitan, który nawet we śnie pogardliwie unosi ramiona, z irytacją odwrócony tyłem do nerwowego żołnierza lotnictwa, którego chude ciało leży zupełnie jakby na baczność, chociaż on śpi, a obok olbrzymi Tim Solider, spokojny, nieruchomy pod krawędzią brezentu, jakby wciąż leżał na domowym szezlongu z żoną u boku, przy ognisku, pod wyrzuconą na brzeg belą bawełny wtulone w siebie – młoda Angielka o wiecznie drżącym ciele łani i postawna ruda kobieta, zamknięta wewnątrz jakiejś tajemnicy, której jeszcze nikt nie poznał, a przy beczce z wodą samotny sparaliżowany bokser leży nieruchomo na plecach jak champion, którego zaczęto liczyć na wieki.

Nieświadomy, że popełnia przestępstwo, nie, napędzany wyłącznie tym, co go zawsze napędzało: pragnieniem, by wymigać się od zwykłej winy, jedynym według niego w ogóle możliwym usprawiedliwieniem działania, Lucas Egmont zaczął wyrwaną z jakiejś skrzyni deszczułką rozkopywać piach, aż usłyszał głuchy odgłos; wówczas bojaźń z poczuciem tryumfu powaliły go pospołu na ziemię, jego oszalałe palce niczym piaskowe torpedy wystrzeliły prosto w chłodną blachę beczki, wydrażyły pod kranikiem zagłębienie na wodę, rozdygotany, odkręcił zawór, kontrolując każdy swój mięsień, aby głowa nie zadrzała pod toporem strachu, aby nie rzucić się na ziemię i nie zacząć pić. Piasek jednak pije szybko, jednym haustem wchłonął wodę z ostatniej beczki, którą pierwszego dnia w radośnie turystycznym nastroju przetoczyli wspólnie ze statku po całej długości podwodnej skały, która niby wielki palec zagina się znacznie dalej w piasku na kształt półksiężyca. Kiedy umorusanymi rękami podniósł beczkę, była niema i lekka, pochował ją wraz ze wspólnymi marzeniami o ratunku dokładnie w chwili, gdy słońce stawiało stopę na pierwszym stopniu drabinki, a morze rozděło piersi, by wziąć głęboki poranny wdech, ptaki w upiornej ciszy zanurkowały w las, jakaś wczesna jaszczurka zaczęła już hałasować.

Z deszczułką w dłoni zszedł na brzeg morza i kazał jej poszybować nad wodą, woda zamknęła się nad nią czule, a potem stało się coś dziwnego: z dna laguny, które – żółte i gładkie – zdawało się dryfować tuż pod powierzchnią teraz wręcz boleśnie przejrzystej wody, prosto ku desce podniosło się kilka baloniastych baniek powietrza, po czym piasek się poruszył i z jego uścisku

powoli oswobodziła się schowana w nim ryba, by naraz błyskawicznym machnięciem ogona wyskoczyć z kryjówki, od ogona po rekinia paszczę przynajmniej metr, paskudnie ostre, długie na pół dłoni lancetowate kolce na grzbiecie, z ohydny trzaskiem uderzyła w deskę, po czym zaczęła bezgłośnie opływać lagunę, powierzchnię wody rozdzierając kolczastym grzbietem, aż w końcu powoli opadła w głąbinę, wwierciła się w grząski piach i zniknęła.

Minęło kilka chwil, nim dno się wygładziło, po wodzie dryfowały jeszcze obłoczki piany, a potem wszystko nagle znów było jak wcześniej.

Pobladły z nadmiaru przeżyć, jakby zobaczył fatamorganę, Lucas Egmont zaczął się niepewnie cofać – czyżby bał się, że w przeciwnym razie zostanie zakłuty od tyłu? – potem popędził do tłącego się ogniska i dorzucił trochę chrustu, naciągnął przykrycie na plecy młodej Angielki, która nieustannie mówiła przez sen, po czym nieco już spokojniejszy ruszył ku beczce, żeby przespać się pod brezentem boksera. Kiedy uniósł brzeg tkaniny, z ledwo rozchylnych ust leżącego z zamkniętymi oczami sparaliżowanego boksera uszły te słowa:

– Wszystko widziałem.

Lucas Egmont poczekał, pochylony nad nim, aż tamten rozchylił powieki i przez szpary zaczęły się sączyć nienawiść.

Wówczas posłał mu delikatny uśmiech, po czym rozwiązał czerwone sznurówki swoich brezentowych butów, bo wraz z nastaniem poranka zrobiło się cieplej. Nadal pochylony nad bokserem, rozbujał czerwone sznurówki tuż nad jego zmrużonymi oczami. Wtedy bokser mocno zacisnął powieki, jakby zatrząskiwał drzwi, po jego ciele węzowym ruchem prześliznął się dreszcz i można było odnieść wrażenie, że mężczyzna opada gdzieś głęboko w dół, chociaż leżał całkiem nieruchomo.

– Będziesz odczuwał pragnienie – powiedział Lucas Egmont, wciąż delikatnie uśmiechnięty.

Paraliż poranka

Przez jedno mgnienie oka Jimmie Baaz myślał, że paraliż ustępuje, biodra nabrały sprężystości, a tępy ból minął, nogi zgięły się po latach usztywnienia, zapragnął uciec i znowu był w stanie to zrobić. Odrzucił brezent, a potem zdało mu się, że słyszy podniecające werble pobudki, gdy stopy zaczęły szybko i rytmicznie uderzać o twarde nad ranem piasek. Boże, jaka radość! Powietrze, ciepłe i zimne zarazem, jeszcze całkiem twarde po chłodnej nocy, niczym płatki kwiatu otulało jego ożywienie, słońce jak świeżo pomalowana na czerwono piłka do krykieta zastygło na chwilę w idealnym bezruchu na czarnej linii, a nieme obłoki ptaków, od spodu ochlapane czerwonym migotaniem morza o świcie, uginały się nad światem jak białe liście palmowe. Skalna droga spiesząca mu na spotkanie wykonała zabawny skręt w ledwo przebudzoną zieleń, tu i ówdzie na zielonych kamieniach jaszczurcze wylinki połyskiwały niczym sztywna lama, a on w wysokiej trawie, gdzie jeszcze nigdy nie był, miał znaleźć rozpadlinę wśród ledwo widocznych głazów, w którą mógłby się cały schować, by zapaść w wieczny bezruch.

Dotarłby tym samym do stacji końcowej swojej długiej ucieczki i można by ją zamknąć, gdyż na tym odcinku nie ma więcej pasażerów. Nie znalazłby go nikt z rozbitków, mogliby biegać po zaroślach, z zapalem wołając, że musi wrócić, bo nie mogą bez niego żyć.

„Nie mogą żyć” – o, już on się domyślał, że jedyne, czego chcą, to swoim strachem przed niedaleką śmiercią podzielić się z paralitykiem, który nie może się bronić. Przesiadali przy nim całymi dniami bez końca i rzucając sobie pełne nienawiści, umykające spojrzenia, bezustannie dopytywali go załęczonym głosem, czy go boli i czy nadal chce żyć, wszyscy bowiem pragnęli żarliwie, by on także był z nimi tego dnia, kiedy statek ratunkowy zarzuci kotwicę w zatoce.

Unosili brezent i z żenującą godnością odwijali szmaty z obu jego nóg, które w noc katastrofy zostały zmiażdżone między podwodnymi skałami a beczką na wodę, kiwali głowami o twarzach zdeformowanych optymizmem i sztuczną wesołością. Unosili jego rękę i udawali, że mierzą puls, choć nie słyszeli uderzeń żadnego serca poza własnym. Przykładali dłonie do jego zakrwawionej koszuli, żeby poczuć bicie serca, to znaczy: stwierdzić, że jeszcze żyją. Mówili z nim o dobrej opiece, jaką będzie miał na statku, którego oczekują, lecz wyłącznie po to, aby samych siebie przekonać, że wkrótce się zjawi. Przypominali mu okres jego sukcesów na ringu, na przykład ów dzień, kiedy trzema ciosami położył trzy byki na piazzie w Gadenii, za co uhonorowano go orderem sztandaru cesarstwa, przemowami trzech burmistrzów, filmami krótkometrażowymi i audycjami radiowymi, a ponadto pewien dom samotnej matki otrzymał jego imię – jednak nie po to, aby ulżyć mu w cierpieniu, lecz by zapewnić siebie samych, że mimo wszystko nie są całkiem opuszczeni, wolno im bawić się w dzieci, które chowają się, przekonane, że świat o nich zapomniał, choć w każdej chwili mogą się pojawić przysłani z domu starsi bracia.

Ostrożnie zwilżali dłonie wodą pitną i jak cielakowi podawali mu do ssania palce, wkładali mu pod wargi twarde skórki chleba i kawałki ananasa, myśląc: ocali nas nasze miłosierdzie, świat nie może być aż tak niesprawiedliwy, by nie wynagrodzić takiego miłosierdzia. Widzieli oczywiście, że umiera, z każdym dniem coraz mniej ochoczo odsłaniali jego chore nogi, przez brudne bandaże przebijał trupi odór, który wyczuwali wszyscy oprócz niego, ich miłosierdzie przenosiło się stopniowo w sferę psychiczną, dodawało jednak nie mniej otuchy. Tonąc, patrzyli,

jak on zapada się coraz głębiej niczym przegniłe koło ratunkowe, lecz nadal starczyło im tchórzostwa, by się go uczepić, myśląc: tonie, bo jest przegniły, my, nienaruszeni, będziemy dryfować na swoich ubraniach i woli tak długo, aż rzuca nam prawdziwe koło ratunkowe. Nie musieli udawać, że sparaliżowany bokser nadal utrzymuje ich na powierzchni wody, należało tylko tak głośno i uparcie wypowiadać słowa otuchy, by ani przez chwilę nie dało się słyszeć szeptu mieszkającego w nich cynika: co by z nami było bez naszych umierających, czymże byłoby nasze zdrowie bez naszych chorych, nasze szczęście bez naszych nieudaczników, nasza odwaga bez naszych tchórzów?

Zostawcie mnie, miał ochotę krzyknąć, co wy wyrabiacie, hipokryci, wodniste maski! Mój ból należy tylko do mnie, dajcie mi umrzeć w spokoju, jak i wy umrzecie. Dlaczego mam samotnie nosić całą waszą trwogę, całą waszą tłamszoną świadomość, że statek ratunkowy, jak go nazywacie, nigdy nie przyplynie! Ale nie wykrzyczał tych słów, bo przecież był sparaliżowany: utkwiał nieruchomo pod beczką na wodę, wciśnięty w nagą płytę skalną jak pokonany zapaśnik, długie, strzępiaste fale boleśnie siekły mu ciało biczowatymi grzywami, a on, lękając się, że znów zostanie wciągnięty w pionową głębinę, wolną ręką usiłował uczepić się skały i czuł, jak razem z krwią wypływającą z poobcieranych palców życie odchodzi i wraca, wycieka z niego, czołga się kawałek po śliskim kamieniu, potem zmienia zamiar i człapie z powrotem. Pamiętał, że bronił się rozpaczliwie, czując, jak zimne, meduzie ciało jego życia znowu się do niego przysysa. Nieruchomymi nogami próbował wymierzać kopniaki swoim wybawcom, kiedy przesunęli beczkę i zaczęli wywlekać go za rękę po skałę na brzeg, lecz mimo że całym ciałem wił się i rozdawał ciosy, ucieczka było nadaremna. Niczym pełen oburzenia skradziony pakunek zwiślał z ich pazernych rąk, dając się wyciągnąć na tę okrutną wyspę, która niby homofagiczny kwiat niezauważalnie zaciskała na ich karkach swoje aksamitne szczęki.

Z trwożliwym utęsknieniem zaglądał ptasim wzrokiem w głąb przewróconej studni świata, której dno między ścianą morza a niebem stanowił widnokraj. Gdyby statek jednak przyplynał, wszystko byłoby stracone, a zarazem uratowane, ucieczka skończyłaby się jeszcze żałośniejszym niż do tej pory niepowodzeniem, tak realna okazja nigdy się nie powtórzy. Paraliż jednak był zdrajcą, mówił, że ucieczki nigdy nie da się przeprowadzić, jeśli nogi nie zdołają zanieść go do głębokiego dołu wśród traw, z dala od spacerujących brzegiem morza, od tych, co wysysają jego ból.

Śmierć, myślał czasem; ale śmierć, mówił paraliż, śmierć nie jest ucieczką, śmierć nie jest prawdziwą ucieczką, tylko przedłużeniem ostatniej trwogi. Wszystko musi się zagoić, aby mógł uciec. Lecz ze szponiastymi dłońmi – wszak paznokcie rosły każdemu i nikt nie myślał, by je zetrzeć – stali przy nim na warcie, opętani nadzieją na ratunek, opętani nadzieją na jego rychłą śmierć, żeby mogli powiedzieć: umarł, dlatego że był chory, był chory i dlatego umarł, my jesteśmy zdrowi i dlatego przeżyjemy, żyjemy, dlatego że jesteśmy zdrowi, i starczy nam sił, by doczekać statku ratunkowego.

Czy w ich litej mrzonce nie było szpar? O, próbował po omacku zbadać te białe ściany grobowca, by znaleźć ukryte wgłębienia, ale był za słaby, za bardzo sparaliżowany, zbyt samotny w sobie samym. I pewnego ranka, kiedy wszyscy znów zebrali się wokół niego ze swoim biadoleniem i zimną trwogą, mocno ugryzł w rękę kapitana artylerii, Wilsona, który z cyniczną cierpliwością pogromcy dzikich zwierząt karmił go resztkami okrętowych sucharów.

Pamięta, że ręka, już umierająca, o zniszczonych, sinych palcach, na których w głębokich bruzdach stwardniałe mięso jaśniało czerwono, prowokująco kołysała się nad jego łapczywie otwartymi ustami, które zawsze układały się w napięty pierścień, czemu nie umiał zapobiec. Morze leżało w dole niby wielka czarna ściana zbiornika gazu, piasek zdawał się szemrać pod stopami niewidzialnego wędrowca, niebo z kolei, sine jak metal, jakby ugięło się pod

nieznanym naciskiem: w górze utrzymywał je wyłącznie mocny filar ich woli. Wtedy, tuż przed chwilą ugryzienia, niby wprost z barków kapitana uleciały w górę śnieżnobiałe chmury ptaków, okrutne dzioby o pełnych nienawiści, obcęgowato zakrzywionych czubkach, na których jakby zawisły krople skrzepłej krwi, były nieodmiennie skierowane w dół, pewien ból sprawiała mu, by tak rzec, ta zapowiedź dziobania, które żwawo i tryumfalnie oddzielił później jego chore ciało od kości. Naraz z przerażeniem zauważył, jak zadowolona z siebie czerwona plamka na czubku kapitańskiego nosa ożywa niejako własnym życiem, równie pełnym nienawiści i bezlitosnym jak czubki ptasich dziobów, a kiedy powoli potoczył wzrokiem po otaczających go twarzach, na każdej zobaczył ten sam wycelowany w siebie krwawy wskaźnik. Ze strachem, lecz zdecydowany wreszcie wyważyć te potajemne drzwi, za którymi kryją się ich niejawne nadzieje, najpierw zamknął oczy w zetknięciu z niepojętym, i znalazł się raptem w krwistoczerwonej, porośniętej stalaktytami grocie, cicho rozbrzmiewającej zapomnianą, prastarą muzyką, tak, stalaktyty pograżały długie palce w jego delikatnym życiu, jakby potrafiły mówić głośnym szeptem. Potem, aby wreszcie wyswobodzić się z tej straszliwej wspólnoty, napiął się jak proca, niepomny paraliżu, lecz jedyne, co mogło się stać, to bezsilny podrzut tułowia, dostatecznie jednak wysoki i dostatecznie zaskakujący, by jego szczęki zdołały zatrzaskać się na dłoni kapitana, nieco poniżej nasady kciuka. Ugryzł z całej siły i pociągnął rękę w dół, opadając z powrotem na piasek.

Teraz spodziewał się gwałtownego wybuchu, silnego, pełnego nienawiści ciosu w szczękę, który zwolniłby go z obowiązku ukrywania prawdy – lecz nos z nienawistną czerwoną plamką i twarz kapitana tylko przysunęły się do niego jeszcze bliżej, a krąg ludzi wyczekujących śmierci jeszcze bardziej się zacieśnił. Ostrożnie i zapewne z uśmiechem kapitan oswobodził dłoń z mocnego uścisku, spokojnie się wyprostował, wykonał półobrót, po czym przyłożył zranioną rękę do serca, jakby to był medal. Nie wydarzyło się nic ponad pełne ubolewania wzruszenie ramion, po chwili ludzie z kręgu się rozeszli, a on próbował uciec, uciec, lecz nadaremno, gdyż stale ktoś przychodził paraliżować go swoim wyczekującym miłosierdziem.

Strach przed śmiercią, który zapewne wzmagał się z godziny na godzinę, przysłaniali poniekąd, siedząc przy nim w maseczkach upiększających z glinki, które po jakimś czasie twardniały w gorącym słońcu, a fałdy i bruzdy powstałe przy pospiesznych, lękliwych uśmiechach utrwały się w osadzie po kuracji, tak, potworny pejzaż ruiny w miejsce niegdyś pięknej i przyjaznej okolicy widział w tych twarzach, które ciekawskie, nieprzyjemnie wykrzywione odrazą, trwożliwie pytające, awansem tryumfalne lub tylko zalęknione pochylały się nad nim, kiedy zdawało się, że śpi albo zapadł w ostateczne omdlenie. Najgorsza jednak była młoda Angielka, która smukła, tak, dosłownie jak gazela, wyciągała się przy nim, a jej palce jak liście brzozy muskały różne części jego twarzy, jej oczy, które coraz częściej zastygały niby do dna zamrożone jeziora w śnieżnym krajobrazie białek, obserwowały go nadzwyczaj czujnie, każdą zmianę wyłapując z niesamowitą prędkością.

– Teraz chce się panu pić – mówiła natychmiast.

Albo:

– Teraz chciałby się pan na chwilę pozbyć tego brezentu.

Mówiła w jego języku, powoli, nisko, osobliwie zmiękczone wyrazy, prawie jak Murzynka znad rzeki. W zwyczajniejszych okolicznościach uznałby to za wzruszające i słodkie, teraz jednak strasznie mu przeszkadzało, było w jego odczuciu ogniwem duszącego procesu zniewolenia. Dziwactwa dziewczyny wciskały się pod twardą skorupę jego oporu jak uwierające ziarenka piasku, bardziej irytujące niż łatwe do przejrzenia, podszyte strachem miłosierdzie pozostałych, gdyż u niej, kiedy leżała obok niego, dostrzegał komiczny autentyzm, który zrazu wydawał mu się bezgranicznie głupi, z czasem zaś stał się krępująco trudny do zniesienia,

ponieważ wszystko momentalnie komplikował, znacznie bardziej niż obłuda pozostałych, uniemożliwiając ucieczkę. Ha, druga Florence Nightingale, myślał z drwiną, nierzadko naumyślnie stając się jeszcze cięższym, kiedy przychodziła, żeby cienkimi rączkami zmienić szmaty na jego usmotruchanym ciele. Widział pewien sens w pastwieniu się nad nią, ponieważ brakowało jej nawet tej przyzwoitości kłamstwa, która cechowała pozostałych. Była prawdziwa, to znaczy uważała siebie za autentyczną, i dlatego jej kłamstwo stawało się nieporównywalnie większe.

Leżała obok niego, często obserwując, jak nad morzem majestatycznie suną aksamitne okręty obłoków. Nowa bruzda biegnąca jak krew z kącika ust pogłębiła się surowo, błękitna żyłka na skroni mogła w każdej chwili pęknąć, do dna zamarznięte spojrzenie topniało nagle, a ona jakby wyciągała ku niemu ramiona, leżąc jednak bez ruchu.

– Proszę spojrzeć – mówiła w jego języku, drżąc w futerale z tkaniny, w który zostało wciśnięte jej ciało. – Tam płynie statek Tong z mgłą wokół masztu. Widzimy kapitana: stoi przy relingu i pali, a z jego fajki ulatuje mgła. Jakiś majtek wylewa za burtę wiadro pary, bo, rozumie pan, inaczej statek Tong płynąłby za szybko. Pewna dama z Szetlandów w żółtym futrze z mgły wyraźnie nie najlepiej się czuje, widzi pan chyba, jak złowroźnie wymachuje białą książeczką czeków podróży. Chłopiec, który uciekł z mojego zadymionego kraju, gwizdże przenikliwie sygnał wolności, widzi pan biały słup, który momentalnie strzela w górę nad statkiem, sądzi pan, że to zwykły gwizdek parowy, tymczasem to właśnie ten chłopiec, powiem panu, jego radość jest tak nieokiełznana, że musi przybrać właśnie taką postać.

Tego rodzaju bezsensowną paplaniną umilała sobie czas, Jimmie jednak nie dał się, porwać, milczący i pospinany wołą ucieczki, pragnieniem, głodem i pogardą, miał ochotę krzyknąć: Kłamiesz, kłamstwem wtykasz w chmury swój statek ratunkowy, na płaszczyznę chmur wytrząsaszesz ciężką skrzynię strachu, ale nie podchodź za blisko, kiedy będzie spadać, bo podłoga jest raczej niestabilna. Czekaj no, aż wyzdrowieją mi nogi i ustąpi paraliż, wtedy nic mnie nie zatrzyma, znam ja wasz strach i wasze plany wobec mnie, ucieknę gdzieś, gdzie nikt mnie nie dosięgnie.

Ale pewnego dnia drgnął, tak – mógł to być ten sam dzień, kiedy wydarzyło się wszystko inne, gdyż okresy jego przytomności w mroku bezprzytomności były żałośnie krótkie. Nowy niuans w jej sposobie mówienia – cóż, może zresztą od samego początku uparcie pukał w jego okno – objawił mu się nagle, słowa zmiękczone z identyczną szlachetną energią nabrały nowego wydźwięku, nawet błękitne drganie cienkich nozdrzy miało teraz coś znaczyć. Leżał z przymkniętymi oczami, jakby nic nie widział i nie słyszał, w rzeczywistości jednak z mozolną uwagą obserwował każdy jej ruch i zrazu zakłopotany, potem zaś z coraz większym wstrętem i rozpaczą dostrzegał jej miłość do siebie, błyskającą niby sygnał alarmowy w każdym geście i słowie. Była mężnie zwrócona do niego profilem, ale i tak widział, że mięśnie jej twarzy drgają z pragnienia, by móc zwrócić się ku niemu i rozedrzeć wszystkie kurtyny sromowe.

– Stoję teraz na górnym pokładzie ze swoją białą walizką, statek Tong pokonał ze mną długą drogę, a ja ciągle tylko chodziłam po całym okręcie jak niespokojny duch, z zapalem i niecierpliwością czekając na znajomego. Chodziłam tak, kiedy otarliśmy się o Antyle, niemal dotknęliśmy Islandii i Hebrydów, cały czas była mgła, rozumie pan, więc trasę podróży mogliśmy śledzić jedynie na mapach. Stoję zatem na górnym pokładzie i nie mam pojęcia, co ze sobą zrobić. Tymczasem napotykały inne statki, pękate jolki z mgły, omotane pienistym dymem z cygara, ale też statki wielorybiczne, które nadal zalewa tryskający wysoko w górę ostatni słup pary z martwego już mgłowego wieloryba. Macham do nich smutno, ale mnie nie widzą, dlatego że jestem taka samotna. I wtedy nagle przychodzi pan. Czy widzi pan siebie pod żółtą koroną, musiał mnie pan szukać, a ja niczym Kasandra biegnę panu na spotkanie, żeby powiedzieć, co

nas czeka. I wtedy dzieje się nieszczęście, widzi pan w górze, co się stało, ot, po prostu, ja w swoim wielkim zapale niechcący upuszczam walizkę, której uchwyt przez całą podróż wiernie ścisnęłam w dłoni od samego wyjścia z portu, walizka pędzi przez pokład, który jest bardzo śliski, a ponieważ nie jest zamknięta na kluczyk, otwiera się i – bach! – wszystko leci do morza. Widzi pan chyba, jak zawartość walizki chlusta do wody, ta mgła podobna do dymu z pożogi, powoli opadająca ku nam, widzi pan, to zawartość mojej walizki. Potrafi pan być bardzo niedobry.

O, jak bardzo pragnąłby mieć teraz zdrowe ruchome nogi, uciec od tej podstępnej i – co gorsza – całkiem szczerzej swady, która jego pragnienie ucieczki osnuwa ślepyimi nićmi pasemek mgły. Ale był sparaliżowany, niechby tylko chwilowo, i z coraz większym bólem – w piersi, w kostkach, nadgarstkach i w skroni – odczuwał swój paraliż, ilekroć próbował przekręcić się na suchym piasku, który w odpowiedzi najwyżej ponuro pojękiwał pod jego brezentem. Musi zostać, a mimo to uciec – dylemat sparaliżowanego. Musi ją przepędzić, jedyną, która swoim brakiem wyrachowania, nieegoistycznym pragnieniem, by widzieć go jeszcze przy życiu, potrafiła sprawić, że zostawał, zamiast uciec – a on nie chciał dać się przekonać, że ucieczka nigdy niczemu nie służy ani że kiedyś istniał powód, by zostać. Zatrzymać rozpoczętą ucieczkę to potworne przedsięwzięcie, zawsze sam moment zahamowania wiesz się człowiekowi kołem młyńskim na szyi, wszystko, przed czym chciał uciec, spada na niego jak smycz, potężne złe psy depczą mu po brzuchu, szarpią jego dyszące ciało, aż pokażą się wnętrzności.

– Jeśli ci się zdaje, że mogę cię kochać, to się grubo mylisz – szepnął jej łagodnie, żeby nikt inny nie usłyszał. – Leżę tu i gniję, i ty o tym wiesz. Cóż to innego, jeśli nie czuła tortura, że do pieaszczot wybierasz właśnie mnie, przecież nie mogę ruszyć się z miejsca, ja przecież nawet nie mogę załatwiać swoich potrzeb, nie narażając siebie i was na przykrości. Dlaczego nie pójdziesz do kapitana, to same muskuły, znajdzie w sobie chyba dosyć potencji. Tylko ukryj mnie przed wzrokiem wszystkich, a zwłaszcza swoim własnym, owiń mnie brezentem, jakbyś owijała zmarłego, a potem zacznij z całej siły walić w niewidoczne ciało, nie będę stawiał oporu, nie nadaję się do życia, chyba sama rozumiesz.

Mimowolnie jego spojrzenie wzbilo się potem nad napiętą, nazbyt gładką, wielką tafłę morza i napotkało tam butne białe jachty południowych chmur, płynące z wiatrem w stronę widnokąregu.

Spuściła oczy, a on zobaczył w nich, że lód powoli dusi wyspą żrenicę, jej twarz jakby smagnął lodowaty wiatr i rysy momentalnie zastygły niczym pofałdowana powierzchnia tundry. Powoli podniosła się z piasku, owinięta grubą tkaniną jak mumia, i w tej samej chwili z głębi wyspy dobiegł ich krzyk, dość głośny i przenikliwy, lecz niezwykle krótki – samotny człowiek czy jakieś zwierzę? – ale młoda Angielka nic nie usłyszała, wierzchem opalanej, zniszczonej od piasku prawej dłoni uderzyła go cztery razy w kość policzkową i nos, słabo i mimowiednie, cały czas zastygła w bólu, jakby zmarły przez pomyłkę podniósł rękę, podrygujący posąg – i nic więcej.

Sztywnym krokiem, osobliwie posągowa, poszła potem przez piach do ogniska, pas tkaniny owinięty wokół jej zranionej prawej stopy powoli się rozchylił i został na piasku jak rozpruty wąż pancerny, z którego wylewa się krew, ona, nic nie spostrzegłszy, osunęła się spiralnie na ziemię przy ogniu. Na całej plaży byli w tej chwili sami, jakby świat ich opuścił, tylko nad dymem przepłynął ptak i zdało się, że upuścił coś z dzioba do ognia. Słychać było też tępe stukanie jaszczurczych ogonów na skale, a z wysoko położonego lasu ktoś uparcie coś wołał, pewnie nadal próbując dogonić tamten krzyk.

Jak uderzenia pomogły mu zwalczyć wewnętrzny paraliż: świat znowu trwał, jasny i dystyngowany, w swojej czystej podłości i co dziwne, dół w wysokiej trawie, której pogardliwe parskanie słyszał wysoko nad sobą, zdawał się przysuwać z każdą chwilą bliżej.

Mięśnie rozluźniły się pod dotykiem wesołych dłoni niewidzialnej masażystki, a on czekał teraz już tylko na ostateczne zło, które wyrwie go z sennego odrętwienia i przerzuci jego ciało kilka pozostałych kroków do przodu. Całą noc przeleżał samotnie, południe także, nikt już nie udawał, że go zauważa, najwyraźniej ich plany przewidywały, że ma umrzeć w spokoju, jego plan zresztą też – ich głęboka niegodziwość w sposób nieopisany zwiększała jego szansę na ucieczkę.

Noc nadeszła nagle, czarna i bezgwiazdna, białe skrzydła ptaków błyskały czasem jak sygnał świetlny nad morzem, które zdawało się pomlaskiwać olbrzymimi ustami, kłapać wielkim jęzorem. W ciemności nieme ptaki otrzymały nagle głos – czy może tylko mu się zdawało? Ich milczenie przekłuwał czasem chropowaty, wydawany z największym wysiłkiem gardłowy dźwięk, jakby odzywały się nie jeden do drugiego, lecz same do siebie. Później piasek nagle zwilgotniał jak polizany, chłód zatrzasnął się niczym zbroja i zapłonęły gwiazdy, przerażająco wysoko, i już nie mrugały, źrenice kogoś, kto umarł przed chwilą.

A o świcie stała się rzecz cudowna, Lucas Egmont, towarzysz snu, wstał, pojękując, by swoje fałszywe miłosierdzie utopie w strumieniu wody pod beczką. Jakąż wdzięczność poczuł Jimmie za to, co się wydarzyło: kolejna cuma została odcięta, teraz mógł jak balon wznieść się prosto w ciszę i samotność. Bolesna rozkosz przebiegła jego członki, jak już zostało powiedziane, paraliż minął, tak mu się zdawało, a on puścił się biegiem. Poczuł, że z szumem śmigła przez poranek, stopy uderzały jak czcionki o niezapisany piasek, zwykle obmywany martwą falą, słońce wkrótce świeciło mu w plecy, morze jeszcze nie zaczęło topnieć od jego gorąca, olbrzymia błękitna powierzchnia nadal drżała po nocy niby niecierpliwy grzbiet konia, delfiny strzelały niczym błyskawice na horyzoncie, laguna jednak pozostała gładka jak zwierciadło, szkicując tor jego ucieczki, statek z przetrąconym kręgosłupem leżał na brzuchu podwodnej skały, jakby jeszcze pojękując, wilgoć migotała w zwojach lin, które na kształt jelit wylewały się z roztrzaskanego boku statku, bulaj o nadal tylko do połowy zbitej szybie zdawał się wypłakiwać do jasnej wody mrok. I jeszcze raz ptaki wzbily się z trawy wysoko nad niego, odsunięte od siebie na odległość skrzydła poszybowały gęstą chmarą niemal bezszelestnie i słychać było tylko delikatny szelest piór, jakby ktoś cicho czytał książkę, nad laguną, gdzie ich odbicie nierealnie lekko kładło się na wodzie, a potem w stronę statku, na który nagle opadły. Pijanym krokiem poczłapały przez pokład rufowy, by jeden za drugim przez jakiś otwór zniknąć we wnętrzu kadłuba. Nietrudno byłoby teraz obieć pół wyspy, przeskoczyć z plaży na podwodną skałę, wspiąć się na statek i deskami albo kawałkiem brezentu odciąć ptakom drogę powrotną, a potem czuwać przy bulajach, przez które mogły wypełznąć, ogłuszyć je przy próbie odlotu – i na jakiś czas prowiant zapewniony.

Ale Jimmie wybrał górną drogę, upojony ucieczką biegł po skale, a wylinki jaszczurek chrupały mu sucho pod stopami, był teraz niezależny i nie dopuszczał do siebie zdziwienia tym, że na najeżonej ostrymi kamieniami ścieżce nie czuje najmniejszego bólu, jaszczurki w popłochu rozpełzały się na boki, ich długie ogony z ostrym trzaskiem uderzały o skałę.

Dlaczego uciekał? No cóż, dlaczego się ucieka? Jimmie Baaz miał pewne bolesne wspomnienie, od którego zawsze uciekał.

Wpędzany na wysokie drabiny, marzył o ratunku czekającym na ostatnim szczeblu, lecz we śnie drabina zawsze wywracała się żałośnie, a trzęsawisko znów zamykało go w swoich lepkich ramionach. W innych snach uciekał długą ulicą, ale jak w wesołym miasteczku chodniki przesuwają się wstecz, nieubłaganie unosząc go z powrotem. Napinał do skoku całe ciało, żeby wyrwać się z żelaznego uścisku ulicy, ale to tylko pogarszało sprawę. Bezradny tobół obwiązany czerwonymi nićmi własnego strachu, budził się zlany zimnym potem i dobrych kilka godzin trwało, zanim zdołał całkiem rozprostować pokrzywione członki. Mięśnie miał jeszcze długo

obolałe, jego ciosy stawały się puste i niedociągnięte, zwłaszcza lewa pięść odskakiwała bezwładnie, w istocie nawet nie dosięgając celu. Ze strachu, że się we śnie skurczy, wieczorem przed ważnym meczem brał zawsze silne zastrzyki, które szybko opuszczały go na dno nieświadomości. Lecz jeśli chwilowo wymknął się koszmarni, prześladowca jeszcze okrutniej nawiedzał go na jawie, mijani na ulicy ludzie pewnego gatunku budzili w nim osobliwą trwogę, pewne ulice wydzierały pewien zapach, który źle na niego działał, a spacerując po wysadzanych perłami szerokich alejach, gdzie zabiegani ludzie wciskali wizytówki w jego słynne pięści, mógł napotkać jakiś nieprzyjemny pojazd czy też samotnego psa, który dygocząc, biegi prosto na niego – i ziemia zapadała mu się pod stopami, a on znów osuwał się w głęboką studnię.

U szczytu kariery, tej bardzo wysokiej drabiny, był wciąż równie boleśnie narażony na bezczelność prześladowcy, mimo to miał już prawie wszystko: naród ofiarował mu dom nad jeziorem pełnym łososi, olśniewająco białą willę zwieńczoną kopułą z państwowym godłem, a do tego otoczoną taką samą liczbą metrów drutu kolczastego, jaka przypadała innym wielkim postaciom w kraju, lecz na co to się zdało, skoro on w końcu i tak nie miał odwagi wyjść przed bramę, każdy ślizgający się po jeziorze podmuch wiatru przynosił bezlitosnego prześladowcę. Kiedy chciał po raz pierwszy wypróbować nową łódź, został wychłostany do szału, wprowadził łódź na mieliznę i zaczął tonąć. Może łatwo byłoby umrzeć, on jednak chętnie dał się uratować, bo w ciągu kilkusekundowej walki ze śmiercią zrozumiał, że dla tego, kto ucieka, śmierć jest równie beznadziejna jak życie, i niby wielka boja rozpacz podtrzymała go na powierzchni.

Potem nastał okres, w którym był tak wielki, że nikt niczego już od niego nie oczekiwał, niby gwiazda został przygwożdżony do firmamentu, nie musiał się boksować, nie, to mogłoby wręcz zaszkodzić jego sławie, wyłącznie na wielkich uroczystościach z udziałem cesarskiego dworu wolno mu było mierzyć się ze sławnymi, choć nie aż tak sławnymi jak on, bokserami, młodymi byczkami, którzy, szczegółowo przygotowani przed meczem niby herbowe tarcze mające zostać skruszone w czasie ceremonii pogrzebowej, w wyznaczonym momencie padali nagle od jego nieskutecznych ciosów. A jednak skulony w głębi groty, do której zawiodła go długotrwała ucieczka, czuł się bardziej bezbronny niż kiedykolwiek wcześniej, a przecież tu właśnie miał być kres tej ucieczki, w ostatniej z osiemnastu jaskiń systemu uciekania rzucał się jak szaleniec na kamienne ściany, żeby wejść jeszcze głębiej, lecz nadaremno, a gdy chciał później uciekać z powrotem, zamykały się także wrota ostatniej jaskini i zapieczętowany w narodowej kasie pancерnej dla bohaterów, biegał wiecznie w kółko jak chomik w kręciołku, podczas gdy oklaski z parteru i galerii niczym szydła torowały sobie drogę do mózgu, serca, nerek. Teraz pragnął, by otworzyła się zapadnia, potem szybki upadek do siedziby bólu, w zielone trzęsawisko pamięci, tak, niech uderzy w niego lepka, zatechła fala, wedrze się do przelyku i zachlupocze w płucach, ukołysz go na wieczność jak opuchłego trupa, nawet najokrutniejsza wersja wydawała mu się teraz prawie rajem – byle tylko nie tortury, jakim go poddawano. Ratunek poprzez hańbę okazał się jedynym wyjściem, lecz jakże mógł się upokorzyć, on, którego najdrobniejsze potknięcie natychmiast usprawiedliwiano jego wielkością?

W końcu podjął niebezpieczną próbę samodzielnego otwarcia zamkniętej zapadni. Podczas jednego z galowych występów, gdy z łoży rodzina cesarska sypała na scenę srebrne płatki, upadł nagle na twarz i leżał z głową w dłoniach, tak, trzymał ją w dłoniach prawie jak owoc. Młody bokser, który go właśnie powalił, niepewnym krokiem wrócił do liny, blady z przejęcia, nie odrywając wytrzeszczonych oczu od swoich rąk, jakby były splamione krwią nieznanego. Czerwoną lampę nad sceną zgaszono nagle, na popełnione świętokradztwo zaczęło się sączyć słabe szarozielone światło. Czekać na rozwścieczone wrzaski zawiedzionych nadziei, jakie powinny nastąpić potem, Jimmie leżał kurczowo znieruchomiły, chyba tylko kark drżał mu przez chwilę ze strachu przed ostrą klingą, poza tym jednak otwarcia zapadni oczekiwał ze

spokojem, jakim obdarzyć może jedynie skrajna rozpacz. Ciche szemranie tysięcy spadających płatków konfetti, a potem już wyłącznie cisza niby szklista błona, zza kulis wyszedł mężczyzna w białym kitlu i zawołał niegłośno jak ksiądz na pogrzebie: on jest chory, nagle zachorował, proponuję, abyśmy wstali, oddając hołd upadłemu. Orkiestra zaintonowała patriotyczną melodię, jego ostrożnie chwycono za ręce i nogi, pilnie bacząc, aby nie zapomnieć o głowie, i w takt muzyki zniesiono ze sceny.

Leżał omdlały w ich ramionach, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej odcięty od wszelkiej ucieczki przed ucieczką. Potem, dokładnie w chwili, kiedy draperia za nim opadała, usłyszał czterogłosowy okrzyk uznania, przeznaczony dla niego, wiecznego zwycięzcy, który pokona wszystko prócz klęski. O, miałby ochotę wyrwać się z lepkości tych szesnastu dłoni, wybiec na scenę i wykrzyknąć swój ból, pozwolić, by trwoga trysnęła z niego nieposkromioną fontanną i zalała cały świat, tymczasem stać go było tylko na krótki podryg w żalonych drgawkach przedśmiertnych, co jedynie zacieśniło i tak już mocny uścisk niosących.

No, przynajmniej pozwolono mu podróżować, dopóki był chory, uwielbiał szwendać się po dzielnicach portowych na wschodzie, gdzie nikt już go nie znał, uwielbiał czuć płynące ku sobie pogardę i wstręt. Naturalnie nigdy nie zostawał całkiem sam, naród miał oczywiście niewidzialnych szpiegów, którzy z pewnej odległości śledzili każdy jego krok, lecz nawet taka samotność dawała mu dosyć dużo. Mógł usiąść za łykowym koszem zaklinacza węży, zacisnąć powieki, odcinając wszystkie dźwięki poza miękkim, aksamitnym szmerem z wnętrza kosza, i myśleć: jestem tylko Tatarem wylegającym się w ciepłe daleko od kraju, z którym łączy mnie jedynie pasmo zajeżdżonych koni. Albo leżeć w milczeniu na dnie zdobionej brokatem łodzi rzecznej, jakich używają Belizeńczycy, i kołysać się w niewielkim porcie, gdzie uginające się od połyskujących srebrzyście owoców barkasy o osobliwej woni kminku i rozpaczy manewrują przy wtórze wesołych okrzyków między tratwami utopionych zwierząt ofiarnych, na żółtej stojącej wodzie unosi się mnóstwo zdechłych koni, a na brzegach wśród obwieszonych małpami drzew stoją bogowie z gliny, oszczędna muzyka, lawendowy grzmot bębna niespiesznie rozchodzi się z wnętrza brązowych, do połowy zakopanych wśród janowców szałasów letnich, z których wiele zostało ostrzelanych w czasie ostatniej rewolty. A z dna łodzi widać jedynie gładkie niebo niczym jedwabny namiot i niesione wiatrem strzępiaste szare dymy z ognisk przy wyrębie cedrów. W takich chwilach myślał: jestem przecież tylko topielcem, którego za późno wyciągnięto między końmi, dryfuję tak po wieczne czasy i nikt nawet nie wie, czyim jestem trupem.

Oszałamiał go urok tej myśli, martwa fala od morza w każdej swojej zmarszczce niosła spokój, a miękkie uderzenia, ilekroć łódź ocierała się o zdechłe zwierzę, napępniały jego ciało alkoholowym ciepłem, życie ograniczało się do sennej powierzchni wody, w którą spadł z chmury pod postacią kropli. Och, móc tak bez oporu zespolić się z morzem!

I nadszedł sztorm, dymy trzepotały dziko i lubieżnie jak powstańcze proporce, w szałasach przystępowano do szlachtowania.

Zwierzęta, których jeszcze nie złożono w ofierze, a które stały spętane w cedrowym zagajniku, prowadzono teraz ryczące z powrotem, na rogach byków wieszali się dygoczący z zimna prawie nadzy chłopcy, próbując głośnym wrzaskiem przenieść się z powrotem w błogi czas lata, lecz wszystko na próżno. Wkrótce nad każdym szałasem wznosił się krwawy słup ryku przerażenia, cierpki smród wisiał między drzewami, a ludzie, którzy rzadko się pokazywali, na widok obcego zatykali uszy dłońmi i z krzykiem znikali z pola widzenia.

Nadeszła pora przełomu, tak. Umocnioną przeciwko sztormom łodzią wiosłową w trudną, granatowoczną pogodę ruszył wzdłuż wybrzeża, gdzie między lądem a morzem niby rzędy zębów leżały straszne białe łąchy piachu. Podróż trwała trzy doby, noce były najtrudniejsze, gdyż

dopadał go niewytłumaczalny lęk i często zdawało mu się, że został połknięty przez wielkiego potwora, w którego brzuchu teraz nieudolnie płynie. Najęci przez niego wioślarze siedzieli w śmiertelnej ciszy, wahadłowe ruchy ich białych ramion w ciemności nie dowodziły wcale, że nie są martwi. Położył się w łodzi, po omacku wystawił dłonie za burtę, nappełnił je wodą z milczącego morza i pił, aż język zaczął palić jak ogień. Uspokojony osunął się na dno, ale dawne marzenia, by nikomu nieznanymi, nawet samemu sobie, dać się ukołysać w ciszę, i tak przepadły.

W Rantonie, stolicy, zaokrętował się chory na nieduży statek, który wkrótce miał pożegłować w rejs turystyczny do małego archipelagu daleko za Wyspy Mostowe. Lekarz pokładowy prędko postawił go na nogi, wystarczyło niewielkie upuszczenie krwi, i pod ochroną dowolnie wybranego fałszywego nazwiska poczuł, że niedługo odnajdzie wewnętrzny spokój, jaki dał mu pobyt w Belize.

Ostatniego dnia spędzonego samotnie w cuchnącej weronalem ciasnej kajucie lekarskiej pożyczył lusterko i bardzo dokładnie obejrzał swoją twarz w zielonkawym świetle wpadającym przez bulaj.

Czyż nie była nowa, czyż nie była to twarz nowego człowieka, kogoś, kto do tej pory nie istniał, kto jednak w bólach narodził się na dnie wysmukłej łodzi dryfującej pośród zdechłych zwierząt w porcie? No, chyba mimo wszystko można stać się kimś całkiem nowym, zderzyć z siebie znieawidzoną osobę, której nie ma się już siły nosić? Jakże liczył na cud przemienienia!

Z lekceważącą swobodą zauważył, że pozostali pasażerowie reagują na niego z kulturalną obojętnością, najwyraźniej nikt nic nie podejrzewał, doświadczenie bezkresnego piękna, morska studnia światła i błękitu, cienka jak włos opaska widnokregu, miękko naciągana falującym ruchem morza, i podobny do perły żółty balon nieba czyniły każdego bez wyjątku samotnym, chwilowo odbierając wszystkim ochotę na wzajemne oględziny. Leżał w cieniu szalupy ratunkowej na tylnym pokładzie, słyszał wprawdzie rozmowy, czyjś zaraźliwy śmiech albo przekomarzanki kucharza z jego papugą, lecz nic go nie dotyczyło, błogi spokój znów go opanował. Nawet przy kolacji nie musiał wracać do przeszłości, jeśli rozmawiano, mówiono wyłącznie o sensacjach, jakie przyniósł kolejny dzień, bliższy celu niż poprzedni: widziano rybę nowego gatunku, wynurzającą się z głębin tuż pod powierzchnię, czerwonawa gwiazda towarzyszyła im od rana, jakby oglądając w morzu jakieś odbicie, albo niemiłosiernie daleko zauważono statek.

Powoli zbliżali się do celu, dzielny stateczek parowy tyrał wytrwale, nie jak te napotykanne u początku rejsu wysokie charty, co nie zapuszczają się tak daleko, lecz jak konisko, które uparcie ciągnie pełną parą, zginając się w pół.

I gdy tak leżał, pewnego dnia poczuł na rękach, które przyciskał do oczu, że z boku ktoś mu się przygląda. Gwałtownie podniósł wzrok, tylko angielska miss, smukła i zawsze chłodna, choćby nie wiadomo jaki był upał, stała przy relingu odchylona do tyłu, wpatrując się w niego z dziwną intensywnością, która wwiercała mu się głęboko w oczy. Pochwycił jej spojrzenie, choć już zaczął drżeć w dojmującym przeświadczeniu, że wszystko przepadło. W końcu dziewczyna straciła pewność, spuściła oczy, kopnęła ku niemu uciętą końcówkę liny i powoli ruszyła w stronę mostku przez rozpalony pokład.

Znowu zamknął oczy, jego palce z udawanym spokojem rozkręciły linę, by mocno zacisnąć ją wokół nadgarstka. Przeleżał tak całe popołudnie, huk maszynierii kipiał w jego przyspieszonym tętnie, a ilekroć podchodził do niego ból, z całej siły zaciskał linę, jakby mógł zdławić to, co i tak musiało nastąpić. Przy kolacji siedział drżący i czekał, prawie nic nie był w stanie przełknąć, na pełne otuchy pytania odpowiadał opryskliwie monosylabami, dopiero przy deserze, krusząc sucharek na bitą śmietaną, powoli podniosła na niego wzrok i spytała szybko, niemal nie otwierając ust, sztywno wyprężona, jak córka pułkownika armii kolonialnej, którą może zresztą

była:

– Bokser Jimmie Baaz to pan, prawda?

O, co mógł odpowiedzieć? Poderwał się gwałtownie, wywracając krzesło, chciał zrzucić z siebie brzemię tej domniemanej znajomości, lecz wszystko nieodwołalnie do niego wróciło, bezlitosny napór na wszystkie części ciała okrutnie, lecz niespiesznie przygiął go ku dołowi, aż zwinął się w powolnym skurczu, nawet gardła to nie ominęło. Chciał całymi zasobami głosu krzyknąć: „nie!”, lecz wszystko prócz jęku skargi zostało brutalnie zatrzymane, a on, wystawiony jak tarcza strzelnicza na spojrzenia innych, opadł z powrotem na krzesło.

– Tak – szepnął i spróbował coś zjeść. – Tak, tak.

I wszystko było definitywnie stracone. Podróż nie miała już sensu, jej cel w ogóle nigdy go nie miał: on sam należał do tego gatunku podróżnych, którzy wyruszają w podróż ze skrytą nadzieją, że nigdy nie dotrą na miejsce, podróżują dla samego podróżowania, chyba wszyscy ich znamy. Teraz, miał wrażenie, opletli go rękami jak polipy i wszelka ucieczka stała się bezsensowna. Teraz bez przerwy otaczali go na pokładzie, na swój sposób szanując jego incognito, potrafili długo milczeć w jego towarzystwie, które chyba sprawiało im ogromną przyjemność, zachłannymi ustami przysysali się do jego milczenia. On sam zaś w nocnym szale marzył już tylko o powrocie do Rontonu, dręczyły go powolne uderzenia tłoków, nocą nie dawały mu spać, a kiedy czasem zasnął, śniło mu się, że jest potężnym olbrzymem, który w kaloszach idzie przez morze obok statku – we śnie zawsze był to parowiec kołowy – i małym palcem okropnie szybko kręci jego kołem. Potem, zrozpaczonego, budził go huk maszynierii i nocne fale omdłalymi dłońmi plaskające o bulaj.

Ostatniej nocy przed katastrofą wybiegł z kajuty dokładnie w sam środek popłochu o świcie, kiedy chmury tak pędzą. Po całym morzu bryzgało bielą, widnokrąg jakby unosił się nad wodą, swobodnie bujał między niebem a wodą, później zaczął się zbliżać, ściągnięty niewidzialną ręką, on zaś natychmiast poczuł ucisk w czubku głowy.

Zwalił się na swoje miejsce przy szalupie, jego palce w roztargnieniu zaczęły bawić się kawałkiem liny, którą dziewczyna podesała mu kopniakiem. Zrazu tego nieświadom, leżał tak, marznąc na wietrze, i słuchał, jak gra kapela, w maszynierii podzwania inna, a w kajucie kucharza miota się papuga.

I nagle poczuł w palcach szorstką linę i powoli przeciągnął ją po piersi pod brodę. Potem, prawą rękę trzymając sztywno uniesioną, patrzył na linę przerażonym wzrokiem, jej potworna właściwość, którą dopiero teraz zauważył, całkowicie wytrąciła go z równowagi, przetoczył się na brzuch i zaczął walić w pokład jak opętany. Lina zwinęła się przed nim, nie, nie ucieknie od jej czerwonej barwy, od tej czerwieni, która jak tysiąc niewidzialnych kolców przesywała go z każdym uderzeniem tętna, i wyjął w duchu, wyleciał z powrotem jak kula w przestworza, a zielona fala znowu na niego spadła z bezlitosnym siorbaniem. Zaczął biegać między dziobem a rufą, nikt nie był w stanie się do niego zbliżyć, młoda Angielka stawała mu kilka razy na drodze, błagając o coś spojrzeniem, kapitan artylerii ze swoim dużym bokserem, który później utonął, biegał, tupiąc oficerkami o tylny pokład, i na żarty szczał go psem, on jednak udawał, że nikogo nie zauważa.

Kiedy nadszedł sztorm, widzieli, jak niczym olbrzymie ptaszysko podrywa się z zachodniego horyzontu, a potem, kierując się prosto na statek, ze stale rosnącą prędkością coraz szerzej rozpina perłowszare skrzydła, ołowiana chmura zwisa mu w szponach niby porwane jagnię, z wyciem spada na nich, chyba z wolą niszczenia; jedno skrzydło – zdążyli zobaczyć, nim ich przydusił – runęło pionowo w wodę i jakby nagle trafił je pocisk, z białego puchu pod postacią krwawej poświaty spłynęła na nich krew. Potem wszystko żałośnie skurczyło się pod ptakiem, lęk i wyobraźnia, radość, ból, zło i wszystkie szczególne przypadki skuliły się jedno w cieniu

drugiego w drgającym salonie, gdzie wybrzuszała się boazeria, i rycząc do siebie nawzajem, wszyscy zaczęli wyznawać sobie rzeczy, które w zwykłej sytuacji można tylko wyszeptać, bokser kapitana i zgrzybiały synek madame leżeli przerażeni, zbici w kosmatą kupę pod schodami, wspólnie dygocząc. Jedynie Jimmie, pełen zatapiającej wszystko odrazy, samotnie przetaczał się po podłodze swojej kajuty.

Katastrofa wybawiła go, tak, tutaj zakłamanie nie wchodzi w rachubę, zatonięcie statku uratowało go w istocie od najgorszego – i gdy teraz pędzi przez jasny ranek na wyspie, w odległości zaledwie kilku skał od tajnego dołu, który go w sobie zamknie, wszystko jest dziecinnie proste, jak boisko do krykieta, na którym każda bramka przywykła nasłuchiwać świstu piłki. Słońce wypuściło czerwone pęki balonów, metalicznie żółte, lecz jeszcze całkiem przemarznęte po nocy, z drzeniem oderwało się od morza na szerokość kciuka nad horyzont, zarośla, do których szybko się zbliżał, poszemrywały słabo w słabej, nadal chłodnej bryzie, którą usta morza, zdawałoby się, obojętnie wydychały, a trawa, nadal dla niego niewidoczna, szeleściła sennie za nimi. Stopy w lekkich podskokach podrzucały go wciąż do góry, z samowładnym rozmachem, nie *bacząc* na pełzające po skale jaszczurki, wpadł w zarośla, gałęzie gładko rozstępowały się pod naporem ciała, zupełnie jakby zanurkował w wodę, i oto znalazł się w wysokiej trawie.

Otumaniony stał w kompletnym bezruchu, wszystko było tak cudownie inaczej, swoboda ogarnęła go niby tchnienie powietrza, nasycona własnym ciepłem i pełna dziwnie doświadczonych woni.

Światło, przesiane przez gęste, rozłamane wiechy trawy znacznie wyższej od człowieka, płynęło niczym ciche chłodne strugi, ciepłe cienie katedry napierały na niego, lekko i powoli osunął się przez trawę na ziemię, zmożony wszystkim, co się stało. Wiało teraz mocniej, lecz on tego nie czuł, domyślał się tylko po trawie, której wyprężona ku słońcu tafla wysoko nad nim kołysała się gwałtownie, a białe motyle z czerwonym maźnięciem na lewym skrzydle kołysały się w górze niczym łodzie w tarapatkach. On zaś leżał jak na dnie morza, żaden ból już go tu nie sięgał, żaden chłód nie musiał go przeszywać, żaden upał nie miał go utulić, żadna nienawiść nie mogła w niego uderzyć, żadna miłość nie śmiała go zadrasnąć, żadna tęsknota posiekać.

Przesuwał palcami po ziemi, równej, twardej, wciąż jeszcze wilgotnawej po nocy, gdy nagle z na pół zduszonym okrzykiem zdumienia trafił na przeszkodę, wówczas rozejrzał się dookoła i ku swojemu obojętnemu zdziwieniu zobaczył, że już został opuszczony w głąb ziemi. Krawędzie dołu były wyszlifowane jak kryształ, ale dno okazało się miękkie i pucha te, wokół jego stóp kłębiła się obłoczyście niska trawa, delikatne tchnienia niewidzialnego ciepła powiewały regularnie w dół między łodygi olbrzymich traw, a spokojne kościelne światło odbijało się w ostrygowatych skrajach dołu, tak, był to dół na wieczność. Długo leżał na wznak, nawet w myśli nie próbując poruszyć jakkolwiek częścią ciała, w górze motyle płynęły leniwie niby gnuśne żaglówki na martwej fali traw, tuż pod powierzchnią, wiatr, niczym podwodne miny, popychał małe, okrągłe jak globusy owady, wytryskujące cienkie strumienie lepkiej cieczy.

Nagle wysoko wśród niespiesznie falujących kłosów wieczności coś zabłysło złowroźnie, zobaczył to pewnie od razu, ale próbował zapomnieć, zwinął dłoń jak poduszkę pod głowę i intensywnie zamknął oczy. A mimo to wiedział, tak, widział pod powiekami, że pajak się zbliża, żółta nić huśtała się lekko wśród mechatych pni traw, rozcapierał szeroko miękkie szpony w obłąkańczej próbie objęcia całego świata, jego czerwone cielsko drżało podle ze zwierzęcej tęsknoty, zwierzęcego bólu, z rozpaczliwego ludzkiego rodzaju.

Jimmie nagle krzyknął, przy próbie wybicia się z głębokiego dołu przez jego ciało niby napęczniała żyła przebiegł dreszcz, a on, sparaliżowany, patrzył, jak pajęczne cielsko kołysze się ospale, tak, właśnie ta ospałość była najbardziej przerażająca, o długość dłoni nad jego twarzą.

Bezsilnie zdana na niełaskę zwierzęcia twarz rozdarły przerażone mięśnie, bezradnie naga jak nigdy dotąd, doszczętnie ogołocoła z wywalczonej godności, wyczekiwała pająka.

Trwało to nieznośnie długo, właśnie owo okrutne czekanie stanowiło perlę tortury, jeszcze chwila, a plugawy dotyk pająka okaże się zbawieniem.

Nagle przez duchotę powiał wiatr, pająk prześliznął się nad Jimmiera, błyskawicznie opuszczonym pazurem nakreślił palącą szramę na jego lewym policzku i z głuchym bezszelcsem, który gruchnął w ciszę, wylądował na lewej krawędzi dołu. Potem ciężko leżał, skulony na ukos od niego, nieruchomo obserwując nieruchomą ofiarę, jego kolor nieprzyjemnie szybko przechodził od winnej czerwieni w czarny granat i z powrotem, tańczące w trawie cienie zdawały się z przerażeniem łapać oddech, kiedy muskały to miejsce, zabłąkany motyl, który zapędził się w ciemność, był nieuchronnie wciągany w dół, jakby miał żelazo w skrzydle.

W końcu pająk ześliznął się z krawędzi, szybko przeleciał nad nim, nic zadrgała tuż przy jego ustach, a potem z niepojętą prędkością nad jego twarzą uprzedła się czerwona sieć, tłusty pająk leżał pewny zwycięstwa, syty, kołyszącym ruchem opuszczał sieć coraz niżej, jakby ona sama nie była wystarczającą udręką. O, gdyby tak sieć zechciała pęknąć i lekko opaść na niego, powolne uduszenie byłoby mimo wszystko lepsze. Zwierzę jednak kołysało się irytująco spokojnie pośrodku sieci, jakby chcąc zakarbować ten widok uwięzionemu, i jakby dotychczas był ślepy, zwała się na niego świadomość, czerwień wdarła mu się do oczu i z samego jądra tortury, pod bezkresnym naciskiem własnego strachu, zawołał o pomoc. Słowa rozpaczliwie rozciągały oka sieci, zaraz jednak omdlałe i zimne niby monety spadały znów do jego ust. Wspólnoty, z którą kosztem ogromnego wysiłku się rozprawił, nie mógł już przywołać z powrotem, na wieczność samotny musiał pozostać na wieczność wyciągnięty pod siecią.

Wówczas jak dar przyszło poczucie, że dno dołu się ugina, obsuwał się powoli, pająk skurczył się już do rozmiarów małego grona, gdy sieć urwała się nagle, by zacząć z wolna opadać ku niemu. Głębiej, głębiej, wrzeszczał w rozpacz i leciał coraz szybciej, na tle lodowato szarego wylotu grobu niby cień rysował się okrutny wzór sieci, a on w ostatnim żalonym geście samoobrony po latach cierpienia dosięgnął! ślepego dna.

Znów klęczał przy kamiennej podmurówce koszar w jakimś punkcie tamtych lat niewypowiedzianego zagubienia. W porcie, gdzie mieszkali, stały zwłoki frachtowców, szturmowane i plądrowane przez portowych ludzi, żaden dorożkarz nie miał już odwagi jeździć do dzielnicy portowej, na środku ulicy głodujący potrafili zatłuc konie na śmierć, trawa porastała portowe torowisko, wychudzone portowe szczury szybko ruszały do ataku, z każdym dniem od morza słyhać było coraz głośniejsze kanonady, a w niektóre niedające się wygnać z pamięci poranki portowe dzieci z pustymi koszami towarzyszyły matkom w drodze do koszar na wzgórzu. Dygocząc z zimna, z pustymi oczami, kuliły się pod długim, zimnym murem, ani jednego uśmiechu, jednego słowa, jednego spojrzenia nie miały dla siebie nawzajem i dawno już przestały próbować zrozumieć dzikie wybuchy śmiechu i okrzyki przerażenia, jakimi rozbrzmiewały koszary. Bili cię, mamó?, wrzasnął, kiedy pierwszy raz wyszła na schody i oparła się o ścianę, żeby nie upaść, pazernie wyciągnął ręce po kosz pełen tego, czym wzgardzili żołnierze.

Bić nie bili, nie, tylko głaskali.

Tamto dzieciństwo wypełniały ponure zabawy, z dojmującą powagą tłukli szybki dźwigów żwirem z zapomnianego składu, godzinami potrafili siedzieć w kucki – to wieczne kulenie się było znakiem rozpoznawczym ich wszystkich – na belkach dźwigowych szkieletów, udając, że są oblężeni przez szczury, pewnego ranka tuż przy pierwszym dźwigu, tam, gdzie ojciec trzymał łódź przemycniczą, znaleźli mocno przywiązany do słupa podłużny tobół. Niby chmara kawek zlecieli się do paki z żaglowego płótna, wspinali się na słup, macali czerwone sznurki, tańczyli

dookoła jak Indianie. Lipcowy upał kładł się ciężko na ich głowach, następnego dnia w zabawie powitał ich dobywający się z tobołu nieznany zapach, dziwnie przygnębieni usiedli na nabrzeżu jak starcy o pomarszczonych ustach, aż nadjechał portowy patrol w opancerzonym wozie, przeciął czerwone sznurki, potem biały worek i rzucił nagiego trupa na lawetę. A oni z wyciem pobiegli do domów, ściskając w dłoniach kawałki czerwonego sznurka na pamiątkę.

W kuchni Jimmiego zapanował dziwny niepokój, ojciec leżał na podłodze i udawał, że śpi, choć się zwyczajnie spał, nagi tors miał cały podrapany, na sznurku nad piecem wisiała świeżo wyprana koszula. *Na sznurku nad piecem wisiała świeżo wyprana koszula* – Jimmie nie musiał szczególnie pieczołowicie porównywać sznurka, który miał w kieszeni, ze sznurkiem znad pieca i kiedy później pędził stromym zboczem do koszar, wszystko było rozpaczliwie jasne, wszystko beznadziejnie skończone, ucieczka, która nigdy nie miała się skończyć, została rozpoczęta. Przykulony w latach młodości, pozwalał, by wszystko się na niego waliło, okrucieństwa koszar, surowa nienawiść głodujących, kiedy trzeba było oczyścić ulicę, pogarda sytych, tak, ucieczkę przez upokorzenie znał aż nazbyt dobrze. W krytycznych chwilach czerwony sznurek zawsze pętał mu nogi, stale trzeba było wymyślać nowe sposoby ucieczki, panika osłabiała mu barki i drażyła od środka jego wolę, powodzenie i w wątpliwy sposób zrobiona kariera stały się nowym środkiem ucieczki, lecz on wciąż był spychany w piaszczyste zasy pamięci.

Skąd takie okrucieństwo, och, nigdy go nie pojmie! Jak zresztą miałyby je pojąć pośród tylu uciekinierów?

Teraz jednak dno dołu uniosło się pod nim jak podłoga windy, czerwony pajak, rozpięty nad zdobyczą, kołysał się w półmroku traw. Wszystko zaprzepaszczone, wszystko zmarnowane, wszystkie lata głuchoty na właściwe działanie bezlitośnie popychały go ku sieci. Te okrutne szpony, to kosmate cielsko, które jak obrzydliwa fala zwała się na niego, wszystko rozplynęło się w krwawej mgłę, A potem tylko opadać, opadać, nie istnieć.

Głód dnia

Jak dzień przyszedł na wyspę? Taa, na ten temat można by długo mówić. Najpierw ze wschodniego horyzontu podniósł się łuk, podkowiasty, po zewnętrznej stronie obciążony srebrem, delikatnie przycisnął się do słońca, obramował je na krótką chwilę niby wiejski łuk tryumfalny, po czym z niemiłosierną prędkością dał zwinnego susa przez niebo, nad głowami wszystkich, na przeciwległy horyzont, by następnie pęknąć nagle pod niewidzialnym naciskiem i runąć w morze. Wtedy w jeszcze porannie błękitnej wodzie potworzyły się wiry, wobec nadchodzącego spotkania z pękniętym łukiem na tak niedawno historycznie napiętej powierzchni dało się zauważyć całkiem zrozumiałą nerwowość, nerwy morza okazały się nagle tak obnażone, że, miało się wrażenie, w każdej chwili można było oczekiwać wielkiego wybuchu rozpaczy, olbrzymie ryby, których kolce pręły nagie ciało błękitnego bezkresu, wydawały się jednak szczęśliwie nieświadome swojej katowskiej służby. Doszło zatem do zderzenia, łuk, mimo złamanego kręgosłupa nadal zachowując giętkość, zanurzył się w morzu, jego długie, miękkie linie rysowały się przez moment na powierzchni, potem niewidzialna dłoń wciągnęła go pospiesznie w głąb i od razu nastąpiło osobliwe przemienienie barw: srebrny połysk zniknął niespodziewanie, został tylko wzbierający błękit, który z mizernych segmentów łuku szybko rozlał się pod powierzchnią morza, po czym wznosił się raptownie prosto w dzień niby sieć wciągana do łodzi. To było *entree* błękitu dnia, a poranne białe konie chmur, zmęczone, wyciągniętym galopem gnały w stronę widnokregu, wtoczyły się krągłe owce, leniwie skubiąc trawę w gorącym słońcu – samotnym balonie ognistym, który oto z wolna pęcznieje od własnego gorąca.

Na wyspie nastąpiła potem dziwna chwila wielkiej, zdeorientowanej nadziei. Po raz kolejny każdy z trwogą zauważył, że żyje, śmiertelny chłód oplatający nocą ciało został na nowo zglądzony, ciepło pieściło członki wszystkich, miękko, miękko. Jeśli się komuś nagle wydało, że zaśpiewał ptak, bojaźliwie wstawano bez słowa i niepewnie patrzono po sobie, było to chyba takie uczucie, jak podczas skoku w nieznaną wodę – lecz wciąż nic się nie działo. Tylko zieleń wciągała nieuchronnie w głąb i znowu nic, tylko dryfujące korale jak zawsze rozstępowały się przed twoim czołem. Ogień płonął na plaży, mokre gałązki, zrywane i zrzucane ze skały, dawały jednostajny, łzawy dym, który zawsze wznosił się pionowo w górę, ogień kiepsko grzał, a teraz nie mieli niczego, co mogliby na nim usmażyć czy ugotować. Płonął chyba tylko jako wstępująca ku niebu nadzieja, której nic nie powstrzyma.

Milczący, lecz przepełnieni jakąś radością, której może nie było widać, którą jednak wielu z nich odczuwało jak migotanie na szybie okiennej w dziecięcym pokoju w pierwszą niedzielę adwentu, chodzili wokół ognia, zagarniali ciemne liście w płomienie, szturchali zwęgloną gałązkę i podążali wzrokiem za dymem aż na samą górę, gdzie słup rozlewał się w niebieską płaszczyznę. Czasem popatrywali na morze, ukradkiem albo dość otwarcie, jak młoda Angielka, która dłonią osłaniała oczy od słońca i cierpliwie czekając, przyglądała się, jak zwały chmur niczym flotylle żeglują nad horyzontem. Wciąż jeszcze była spokojna i niezsępsuta pokusami, jakie mimo wszystko pociąga za sobą beznadzieja, ale to, co było w niej miękkie, w jej twarzy, ciele, ruchach i myślach, z każdą godziną odrywało się i odpadało niczym miękka glina ze ślimaka, odsłaniając lśniąca, twardą jak emalia muszlę.

Nadal nie było jeszcze za ciepło, tak ciepło jak później, kiedy upał niemal z hukiem zwała się

na człowieka, a on z jękiem kuli się w czymkolwiek cieniu. Teraz można było zamknąć oczy, jeśli się chciało, i spacerować po wakacyjnej plaży w letniej zatoce sprzed kilku lat. Woda powoli zapadała w sen, a biała lamówka piany wzdłuż brzegu zalsniła nagle czerwienią dziesięciu tysięcy muszelek, które pieszczotą zostały wywabione z ciszy morskiej. Młoda Angielka powoli weszła bosą do wody, kapitan siedział na piasku, pocierając kamieniem swój jedyny but, i – wiecznie w tej samej pozycji, mocno pochylona w stronę ognia, owinięta kawałkiem brudnego płótna, z twarzą jak u szaleńca okoloną strąkami włosów, dłonią uparcie zakrywając czoło, oczy, nos, lewą rękę zwiesiwszy bezwładnie, jakby była wyrwana ze stawu – madame. Boy Larus, lotnik wojskowy, nadal stał spłoszony przy ognisku, patrzył w nie, czasem deptał popiół dookoła, czasem łpał ponuro na przykucniętą kobietę. Lucas Egmont chyba jeszcze spał, leżał na plecach z rękami wyciągniętymi jak ktoś, kto unosi się swobodnie na jeziorze, bokser, całkiem zasłonięty brezentem, leżał bardziej nieruchomo, niż mu nakazywał paraliż.

Teraz nastał czas głodu, lecz nie tego krzyczącego, jak spławik nad ranem w leśnym jezioru tak cicho zagłębiał się w nich głód, łagodnie wypierał wszystkie myśli, jego piękna wrzecionowatość na chwilę oczyszczała niejedno z ohydnych zielonego szlamu, tęsknota stawała się pełna i niepodzielna. Jak w boleśnie przypominającym sen letargu, gdyż to niedługie głodowanie zdążyło już odebrać im siły, odczuwali wielką pokusę umiejscowioną w dołku obok sparaliżowanego boksera, gdzie leżały zakopane w skrzyni resztki prowiantu – okrętowe suchary, kilka puszek z sardynkami, zielony, na pół zgniły ananas. Każdy czuł, że zrobiłby wszystko, byle zagarnąć tę skrzynię dla siebie, wiedział jednak, że nigdy tego nie zrobi. Właśnie tak, powoli gasnąc, pojmowali głód jako swoistą obietnicę: jestem głodny, więc żyję – a teraz, w litościwym słońcu, które ich otulało aksamitnie, obietnica ta była wszystkim, czego potrzebowali.

Woda sięgała młodej Angielce nad kostki, dziewczyna weszła jeszcze głębiej, a na powierzchnię wypłynęło kilka muszelek, które niby koralowy pierścień otoczyły jej łydkę. Spojrzała w dół i jeszcze potrafiła rozmarzyć się w związku z tym czerwonym pierścieniem.

Było to w salonie na Beavershill, na wspólne rozbieranie choinki przyjechał także kuzyn Charles, którego ze względu na mutację powszechnie nazywano Caruso. *Ah, ma chère*, powiedział afektowaną francuszczyzną, miał przecież piętnaście lat, *comme vous êtes belle*, i zarumieniony ukląkł przed nią, kiedy siedziała na dywanie przy kominku; było to w czasie tych świąt Bożego Narodzenia, kiedy zwichnęła stopę przy upadku z sań i nadal miała trudności z chodzeniem. Szybko zawiązał na jej chudych łydkach dwa duże czerwone pęki grzechotek, jakże później drżała, gdy pomagał jej wstać, jakże w jej oczach wybrzuszała się boazeria i jak nieskończenie długi i rozkołysany wydawał jej się chodniczek wiodący w sam środek wrzawy dziecięcego pokoju, ponieważ idąc, musiała się na nim wesprzeć.

Tak, wszyscy wyglądali na rozmarzonych, w nadziei na szczęśliwe zakończenie albo tylko z rozpaczą, marzyć można z bardzo wielu powodów. – Jeden z nich nie marzył, ten, który godzinę temu zniknął. Nadal szedł przez dżunglę, tak, dla niego, który dopiero w ostatnich miesiącach swojego życia zobaczył tyle drzew, tak wysoką trawę, tak zdumiewające rośliny, wszystko było dżunglą: przy każdym kroku ostrożnie odginał trawy, żeby nie uderzyły go w czoło, poza tym chyba trochę się bał. Czasami stawiał stopę w płytkim, porośniętym mchem pajęczej sieci dołku i wtedy podskakiwał z takim przerażeniem, że nawet jego to śmieszyło.

Powinni go teraz widzieć koledzy z bagrownicy: jego, olbrzymia.

Olbrzym, Olbrzym Tim Solider.

Teraz bał się każdego nieznanego odgłosu przecinającego powietrze, nogi miał tak wycieńczone, że w każdej chwili mogły go zawieść, jego, którego jeszcze nigdy nic nie zawiodło. Owszem, raz wydarzyła się rzecz straszna, zapowiedź tego, co właśnie go dopadło i kruczymi szponami rozdzierało jego istotę. Bagrownica wpłynęła we mgle na mieliznę, stanęła

unieruchomieni na wydymie, miękko weszli na nią pięćset metrów na południe od kamiennego nabrzeża w Nosarii. Było cicho i spokojnie, i wilgotno, a mgła otaczała ich jak cztery ściany, mewy wzbijały się i opadały, holownik stał przed nimi w odległości połowy kabla, cicho dudniąc maszyną. Był sam, słyszał dochodzące z łodzi klótnie i krzyki, i nagle stało się coś bardzo dziwnego, a to, co się stało, należało do tego rodzaju zdarzeń, że chociaż tarł pięścią oczy, i tak było prawdą. Z rozdziawionymi ustami patrzył, jak we mgle nadpływają jego własne oczy, rozdęte niby balony, a jednak jego własne, powiększone w sposób niepojęty i żenujący: z przeraźliwą dokładnością widział nateżone gałki, wydawało się, że w każdej chwili mogą pęknąć od wewnętrznego ciśnienia, czerwone żyłki białek przypominały pręgi po chłoście i wreszcie błona, jakże nędzna, uniemożliwiająca źrenicy i zielonej tarczy wylanie się do morza! Później nagły podmuch wiatru porwał oczy, pochłonęła je mgła, łodzie zawyły w tym samym momencie daleko, a może blisko, lecz mimo to nigdy nie czuł się tak bardzo samotny jak wtedy. Jestem ślepy, pomyślał, oślepiłem, gdyż od kiedy dostrzegł marność własnych oczu, patrzenie wydawało mu się niemożliwe. Nie mógł przestać myśleć o napiętej błonie, o czerwonych pręgach. Takimi oczami nie da się patrzeć, myślał, głaszcząc reling jak ślepiec. Wtedy bagrownica musiała ześliznąć się z piaszczystej łachy i łagodnie ruszyła, stalowa lina się napięła, woda zaśpiewała, tymczasem mgła jeszcze bardziej zgęstniała, a nad sterburtą upiornie powoli wyrosła rufa białego statku turystycznego, by zaraz szybko opaść jak halucynacja, krzyk mewy wydarł we mgle wapiennie białą ryś. Poza tym nic nie przeczyło jego ślepotcie, kto ujrzał własne oko, nie ma odwagi widzieć. Zaciska powieki w panicznym strachu, że oko nagle przestanie działać jak zepsuty zegar, i widzi tylko swoje własne brakujące oko.

O, jak z tego wyszedł? Musiały upłynąć całe miesiące żałosnych prób zapomnienia, nim to w sobie pokonał, nim maszyna osiągnęła doskonałość. A teraz znowu działa się to samo: co począć z maszyną, której wyrosły oczy i teraz z nieufnością obserwuje własne funkcjonowanie? Złamały go wątpliwości, zauważył przecież, jak idiotycznie bez sensu żyją i poruszają się w ciele cienkie stawy, mocne mięśnie, wszystkie kości – więc ze swoimi wątpliwościami i swoim lękiem odsunął się na bok, by ukradkiem przyglądać się samemu sobie, i proszę spojrzeć: ciało już nie żyje, porusza się z trudem. Jakże obawiał się tego dnia, kiedy wszystko znieruchomieje, wszystko zasupła się w jednym wielkim skurczu. On, który zawsze wspierał się swoją siłą, bronił się swoją szybkością, myślał, że sens jest w tym, by zawsze się budzić, czuć, jak mięśnie pragną się napiąć, czuć normalny, przyjemny głód, przyjemny, ponieważ się wie, że wkrótce zostanie zaspokojony, widział już siebie, jak leży wyciągnięty nad wodą, luźno wyciągnięty niby zerwany kabel, cicho żaląc się na płomień, który z jego brzucha wciska chciwy język we wszystkie kanały ciała. Bezsilny, wyobrażałby sobie, że słońce to dojrzałe jabłko, podrzut tułowia, kłapięcie zębami i oto jest w jego paszczy, chrupiące przy ugryzieniu, sok ściekałby mu po brodzie niczym potok krwi, a on dziko wpychałby do gardła miękki miąższ, im bardziej brutalnie, tym lepiej. Albo ryby mogłyby zacząć wylazić na brzeg, mrugając czerwonymi oczami, podpełzałyby do niego na brzuchu, a on tylko by otworzył usta i patrzył, jak mu do nich wchodzi, potem gryźć, potem tylko gryźć.

Jego sytuacja zresztą od początku była bardzo niekorzystna, beznadziejnie niejasna, nieprzyjemna, ale nic się nie dało zrobić.

Jako jedyny ocalały członek załogi statku był przywódcą, kimś, kto także po katastrofie ponosi odpowiedzialność za pasażerów i dlatego w pewnym stopniu może dawać wyraz swojej woli wobec nich, ale zarazem był jednak służącym, kimś, do kogo nadal wolno krzyknąć ze zniecierpliwieniem: przynieś tu tę skrzynię, daj brezent, chcę się przespać, proszę nam podać kolację, jesteśmy głodni.

Dlaczego właśnie ja ocalałem, niejednokrotnie pytał z jękiem samego siebie w długie

wygłodniałe noce, kiedy kuchnia w domu w Dunbari zamykała go w swoich zielonych ścianach (o, zawsze patelnia, zawsze patelnia z pokrywką na gazie i zawsze ta biała para, ta biała para ulatująca przez szparę i zapach tej białej pary, zapach wszystkich sklepów mięsnych, wszystkich barów, knajp, sklepów kolonialnych, restauracji i kajut, które w życiu odwiedził, a żona, jasnowłosa żona ze związanym gumką kokiem na karku, miała we włosach ten sam zapach, kiedy boleśnie rozkładając ramiona, nagie, czyste, białe ramiona, stała przy kuchni, pilnując, żeby nie wyjadał, wiecznie pilnowała, żeby się nie zbliżał, krzyczała: Moje dziecko, moje dziecko!). Dlaczego ocalałem właśnie ja, myślał, dlaczego nie na przykład kapitan?

A prawda jest taka, że w chwili katastrofy kapitan był pijany.

Trzy dni wcześniej ogarnęło go niedobre przeczucie i kazał się zamknąć na klucz w kajucie razem z baterią whiskey, ostatniego dnia sternik dotrzymywał mu towarzystwa, Tim, który po definitywnej zmianie kursu zablokował liną ster, kiedy wszystko się działo, widział, jak tamten uderza o pokład, zenująco, niemal nieprzyzwoicie powoli sunie kawałek w stronę rufy, po czym nagle zmienia kierunek i równie powoli zostaje zmyty z pokładu w miejscu wyłamanej barierki i znika na zawsze bez jednego gestu sprzeciwu czy choćby pożegnania. Z maszynowni nie dobiegł żaden odgłos, nikt nawet nie pisnął, ludzie po prostu zostali tam, jak zawsze anonimowi, na kilka osób zwała się szalupa ratunkowa, jakby ktoś całym ciężarem uwiesił się jednej burty, wywróciła się nagle i z przerażającą prędkością zatoniła wśród połamanych części statku, a ci, którzy uciekli się pod jej obronę, przepadli bezpowrotnie.

Ale Tim Solider ocalał, to prawie cud. Wyrzuciło go za burtę jak sternika, tyle że dosyć blisko brzegu, i zdawało mu się, że ma w brzuchu pełno wody, tonie, ciężki jak ołów, a całe morze niby młot kamieniarza przygniata mu pierś, lecz wielce zdumiony zaszurał nagle plecami o ostre kamienie, leżał tak nieruchomo, bezwolny i sflaczały, tymczasem cały ten świat opięła nieskończenie mocna zielonoszara błona, zza błony, przez którą widział statek niby uwięziony w bańce mydlanej, z trudem docierały do niego krzyki, błona delikatnie wibrowała, aż nagle pękła pieniście, a on znów klęczał i całe morze pędziło ku niemu niczym pociąg ekspresowy. O, jakże walczył tego ranka o życie, furia poderwała go na równe nogi i nic – ani śliskie kamienie pod stopami wszystkich, ani sztorm, który jak trąba powietrzna próbował unieść człowieka w górę, by następnie cisnąć go na plecy, ani ludzie, którzy rozpaczliwie bili się na podwodnej skale oszalali ze strachu, że nie przeżyją albo że ujdą z życiem – nic nie stanowiło dla niego przeszkody. W kilka osób spośród nielicznych tutaj trzeźwo myślących, razem z żołnierzem lotnictwa i zazwyczaj niesympatycznym kapitanem artylerii, wynieśli na ląd kobiety: zzieleniałe, rozdygotane i uparcie jęczące jak przy porodzie. Potem, parę dni później, kiedy wszyscy się ocknęli, ni w ząb nie rozumiejąc jeszcze swojego położenia, narodzili się bohaterowie.

– Nie mówmy o tym – kapitan skromnie poprosił młodą Angielkę, chociaż to on zaczął. – Jako wojskowy wiem, na czym polega dobra organizacja. Katastrofy się zdarzają, hm, a cóż dla mnie bardziej naturalnego niż wziąć sprawę w swoje ręce i wszystko zorganizować, przyczesać, by tak rzec. Cóż to innego, jeśli nie obowiązek, obowiązek, moja dobrodziejko, mój młody przyjaciel lotnik i ja najlepiej znamy się na tych sprawach, nieprawdaż? Weź mój but, co?, i wypoleruj, jak najlepiej się da, dzisiaj dwunasty maja, jeśli mnie pamięć nie myli. Nie, nie mówmy o tym, żadni z nas bohaterowie, po prostu mnie i mojego młodego przyjaciela nauczono organizacji.

A Tim? Nie, o nim nikt nie mówił. Miałby ochotę wykrzyczeć swoją pogardę: Organizacja? Nie, „panika” to właściwe słowo! – coś go jednak powstrzymywało. Czuł jakby wymierzony w siebie strumień chłodu, ilekroć ktoś z ocalałych zwracał się do niego, a zdarzało się to tylko wtedy, kiedy znalazło się coś do zrobienia, jakaś brudna robota, coś uwierało, coś bolało, trzeba było naprawdę ryzykować. Pan jest taki wysoki i silny itd., pan tak dobrze z tego wyszedł, pan

jest w najlepszym stanie z nas wszystkich, mówili, lecz ich głosy były twarde i gładkie. Wyłącznie rozkazy, żadnej prośby, żadnego ciepła, miał po prostu słuchać. A mimo to na początku był dumny, że apelują do jego ciała, nie przejrzał ich brutalnej przebiegłości dopóty, dopóki głód nie nasilił się tak bardzo, iż pojął, że nigdy nie będzie zaspokojony, kiedy ciało zaczęło się buntować i wciąż chciało płatać figle, kiedy wykonanie najdrobniejszego ruchu jakakolwiek częścią ciała budziło w nim skrajną niechęć, ponieważ bez przerwy widział poruszające się pod mięsem martwe kości, ohydnie nagą czaszkę pod skórą i ścięgnami, serce, które kurczy się i rozkurcza w żenująco niepewnym rytmie.

Wtedy już nic nie było takie proste, wznosił myślowe barykady w nadziei, że kiedyś dane mu będzie na nich walczyć, nocami leżał pozornie nieruchomo, lecz tak naprawdę okrutnie ścigany przez samego siebie wzdłuż brzegu morza, w górę po skałach, przez dżunglę i w dół, pionową rozpadliną o nielicznych punktach oparcia dla dłoni i stóp.

Kim jestem, myślał wówczas, kim jestem? Niby dlaczego? Niby dlaczego mam poświęcać się za nich, skoro żadne nie jest gotowe poświęcić się za mnie? Chyba wszyscy jesteśmy rozbitkami? Na statku byłem członkiem załogi, to prawda, ale czy dawny porządek nadal obowiązuje? Czyż nasze życie nie zmieniło się całkowicie, czyż część dawnego nie przepadła? Czyż nie jesteśmy wszyscy jednakowo nadzy, czyż nasze palce nie są jednakowo pazerne przy podziale żywności, a nasze paznokcie jednakowo ostre przy beczcze z wodą?

Czy prócz szkieletu, skóry i flaków istnieje tu coś, co jednemu dawałoby władzę nad drugim? Jeśli na statku jeden mógł krzyknąć do drugiego: słuchaj, niewolniku, chcę jeść! – czyż tego prawa, o ile to w ogóle jest prawo, nie można już uznać za utracone, kiedy wszyscy żyjemy w jednakowych warunkach, kiedy pieniądze, pozycje społeczne i koligacje zostały z nas zmyte? Czyż nie narodziliśmy się na nowo z tego okrutnego morza – a może pamięć minionego ma po wieczne czasy decydować o naszym położeniu? Czy dla odmiany najsilniejszy, ktoś, kto najbardziej się przykłada do tego, byśmy pożyli jeszcze przez jakiś czas, nie może być osobą, która posiada największą władzę, której przypadają największe zaszczyty, która cieszy się powszechnym szacunkiem, osobą, którą wszyscy muszą otaczać ciepłem? A jeśli nie, to co? No, jeśli nie, to odwołaj dostawy i w sumie czemu by się nie wyciągnąć na piasku i tylko słuchać kołysania wody, wstawać czasem, kiedy się zgłodnieje, polować samotnie, bo nie trzeba ani nawet nie można ponosić odpowiedzialności za tych, co gardzą pomocą innego człowieka i nim samym.

Ale nadszedł poranek i kiedy wszyscy powstawali, odbyli rutynową przechadzkę wokół białej skały i wrócili, on znowu poczuł swoisty pęd do posłuszeństwa, co było straszne. Chociaż nikt słowem się nie odezwał, nikt jeszcze nie przywołał go skinieniem ręki, był im wszystkim beznadziejnie poddany; miotać się jak ryba, wić się jak wąż – nie, nic nie pomagało. Rozpalony na plaży ogień należał do niego, pozostali mogli na leżąco patrzeć w chłodne niebieskie płomienie albo dorzucić gałązkę, kiedy im przyszła ochota, lecz to właśnie on musiał utrzymywać ogień przy życiu, to on musiał zrywać ostre gałęzie krzaków, które budziły w nim lęk, jakby kryły w sobie coś kompletnie nieznanego, to on musiał stale pilnować wysokości słupa dymu nad plażą i wielkości płomienia i to na niego wszyscy by się rzucili, gdyby ogień zgasał, to jego by oskarżyli, osądzili i odprawili.

O, cóż zatem trzymało go na uwięzi, czyż pozostałych cechowała jakaś szczególna właściwość, stawiająca ich tak wysoko nad nim? Obserwował ich po kolei, ważył każde ich słowo, oceniał każdy gest, badał każde działanie, aż w końcu zrozumiał, że nawet najsłabsze, najdelikatniejsze z nich zachowuje się z ewidentną przemocą, której chyba nikt oprócz niego nie zauważa, dlatego że jest skierowana wyłącznie przeciwko niemu. Młoda Angielka wchodziła do wody, dzień po dniu wchodziła do niej w ten sam sposób, jej brązowe łydki napinały się pięknie,

tkanina w rzadkich chwilach zsuwała się z jej prawego ramienia, które połyskiwało mroczną bielą, podniecająco, lecz cnotliwie odtrącając jego spojrzenia, hardo wyprężony łuk szyi przeciwstawiłby się każdej próbie ugięcia jej, nie, nie było tu pokory, jakby wszystko w niepojęcie naturalny sposób należało do niej, chociaż nawet nie kiwnęła palcem. Kobiety, które znał, zanim został skazany na śmierć na tej wyspie, były inne, nie śmiały posiadać nawet tego, co odziedzyczyły. O wszystko w nieskończoność pytały: czy wolno usiąść na trawie, a co, jeśli ktoś przyjdzie, wolno iść tą drogą, czy aby nie biegnie przez teren prywatny, wolno cię polubić, nie należysz do innej? A on, który siebie też nigdy nie posiadał, był taki jak kobiety, które miał.

Wieczna świadomość: nic do mnie nie należy, a już na pewno nie ciało, gesty, które wykonuję nad umywalką po powrocie z kuźni, są tylko pożyczone, myśli brzęczące w mojej głowie to lokatorzy na jedną noc, bezdomne pary, co wynajmują miłosne gniazdko, huk żurawia bagrownicy będzie tam słychać bez przerwy, chwile słodkiego niepokoju w moim sercu zostały skradzione z towarzystwa żeglugi, gdzie mnie zatrudnili.

Jakie jest na to lekarstwo, co ma zrobić zrozpaczony, uświadomiwszy sobie własną bezsilność, jeśli pewnego dnia zawiązał się na wesoło, ma więcej pieniędzy niż zwykle i zabiera kobitę do knajpy poza codzienną, ołowianoszarą dzielnicę, do knajpy dla klasy wyższej. Teraz się zabawi, prawda, chrzanić bagrownicę i smród kloaki i zepsutej ryby, który wypełnia mu dni i zatruwa życie w smętnym mieszkaniu. Teraz o wszystkim trzeba zapomnieć, wino zaperli się jak w reklamie, zabrzmi perlisty śmiech, raz w życiu on sam będzie pachniał czystością, winem i kwiatami, lśnącymi kieliszkami, dużymi, miękkimi dywanami, a biało ubrana orkiestra – tylko dlatego wszyscy tak na niego patrzą, kiedy wchodzi, przeszywają go ostrym wzrokiem, przekuwają jego lekki rausz, a żona u jego boku, Sally, dlaczego pyta szeptem: tak tu pięknie, posłuchaj, czy odważymy się wejść? Ale dlaczego wszyscy na niego patrzą, kiedy kroi stek, co wprawia go w takie zakłopotanie, że nóż mu się ślizga, dlaczego wszyscy wstrzymując oddech, drwiąco słuchają jego śmiechu, dlaczego Sally przez cały wieczór mówi o cenie potraw, o jakości obrusa i wieku muzyków, zamiast ulecieć – co niektórzy najwyraźniej potrafią – daleko od tego wszystkiego? No nie, wszyscy bez przerwy się na niego gapią: czyżby cuchnął kloaką, mimo że po południu włożył czyste ubranie i kilka razy się kąpał?

Tak, właśnie, zawsze cuchnie kloaką, spowija go niewidzialna mgiełka, chyłkiem otacza go smród, który sprawia, że jego twarz nie może przybrać wyrazu niezależności, jak u innych, on sam zaś nie może poruszać się całkiem bez skrępowania, bez przerwy musi się zastanawiać: czy mi wolno, kto za to odpowiada, ile to kosztuje, czy się nie zniszczy, jeśli to na siebie włożę? Może wiecie, jak od tego uciec? Człowiek ugrzązł tak, że gorzej się nie da, ugrzązł we własnym brudzie, ugrzązł we własnej biedzie, ugrzązł we własnej niemocy.

Jeśli ktoś przyjdzie i mu powie, że wszystko może się zmienić na lepsze, przynajmniej częściowo, nie będzie chciał wierzyć, spławi frajera. Czy powinien się buntować? Przeciwno komu miałby się buntować – przeciwko tym, którzy się śmieją, kiedy wchodzi tu, by się zabawić w zakazanym miejscu?. Aha. Ale w takim razie jak wiele trzeba by poświęcić, no a jeśli komórka na pokładzie bagrownicy zostanie odkryta – co mu z tego przyjdzie? Nie, jest sam, człowiek jest sam, przywyknij do tego faktu i pokazuj zęby, kiedy ktoś spróbuje się zbliżyć. Boże, dźwiga niewolnika, gdziekolwiek się ruszy, wlecze go za sobą po wszystkich parkach i skwerach, które patroluje policja, Tim Solider jest wysoki, ale tym łatwiej go ugiąć.

A zatem uciec? Tak, można oczywiście popłynąć w świat, choć do tej pory nie było się w świecie, i pożeglować daleko od tego wszystkiego, Brisbane i Mogadiscio, Mascat, Trincomali, Petsamo i Jacksonville, taa, można w nieskończoność podróżować po mapie, a mimo to nie wyzwolić się z tego, z czego się chciało, mimo to stale być utożsamianym ze służą, do dyspozycji na każde skinienie. I pewnego dnia znaleźć się w nieznanym kraju, małym kraju,

ściślej mówiąc – na wyspie, gdzie nie istnieją żadne prawa, żadne bariery finansowe, żadni uzbrojeni policjanci, nic z tych rzeczy, na które człowiek wcześniej zwał winę – a mimo to zginać się z tą samą niechętną chęcią, pozwalać się ciemnić z fatalnym poczuciem bezsilnej niższości, które obudziło się wtedy w restauracji i odtąd zawsze powraca w każdych okolicznościach, w każdym działaniu, w każdym uniku.

Noc przed czternastym maja była chyba najgorsza. Zdawało się, że wszyscy zasnęli wcześniej – czy tylko tak się zdawało, czy też wycieńczenie zaczęło już przynosić pierwsze efekty – kapitan w każdym razie chrapał zadowolony z siebie, a w słabym blasku, który ogień roztaczał aż tam, jego ręce pełzały po brezencie w tę i z powrotem, niby wilki węszące za zdobyczą. Zgrabna, drobna głowa lotnika jakby drgała pod dotykiem cieni, oddech był prawie niezauważalny. Ciche trzaskanie ognia, w górze jakieś zapóźnione jaszczurki klekotały ogonami, obie kobiety zaś leżały mocno w siebie wtulone, nawet we śnie emanując tą samą odmowną pogardą dla nieupoważnionych spojrzeń. Rudowłosej madame blask padał prosto na czoło, przygnieciona jakimś bezgranicznym bólem powtarzała w małych odstępach kilka na pół zduszonych słów, brzmiało to jak glissoluemglissoluem.

Nadszedł chłód, morze jakby skamieniało, nawet jego szum zamarzał i zawisł na zeszywniałych falach, ale Tim Solider nie czuł zimna, nie czuł zimna, ponieważ głód był ogniem płonącym w jego ciele, głód był szydłem kłującym wszędzie, gdzie tylko mogło zadać ból, głód był ptakiem pieczonym na ognisku, obracany na patyku wkoło i wkoło, głód był kobietą szepczącą w ciemności: oczywiście, że dostaniesz jeść, ale najpierw mnie pocałuj, głód był wspomnieniem z kuchni w domu, gdzie patelnia zawsze stała na gazie, głód był innym wspomnieniem, opiętym szarą jak morze błoną, które podniecające, chociaż odległe wzbierało i opadało w nim jak niespokojny słupek rtęci, wspomnienie drogi nad brzegiem morza, w górę po skałach, przez dżunglę i znowu w dół pionową szczeliną z nielicznymi punktami oparcia dla dłoni i stóp.

Tam teraz zmierzał, niepewnie, często się potykając, i już był upalny dzień. Żart z pierwszym delikatnym ciepłem został pociągnięty możliwie najdłużej, teraz zabawa się skończyła, teraz upał nadleciał jak pocisk, by eksplodować w morzu, gdzie piaszczyste łachy jakby skręcały się z bólu, i w jego ciele, i wszędzie dookoła. Jaszczurki śmigają po skałach, spadają półtora metra w dół na grzbiety i nieruchomiały, żółte brzuchy wypinając do słońca.

Tim Solider runął nagle jak długi na twarz, jakby dostał w kark, ostrą rurkową łodygą trawy głęboko przeciął sobie rękę i ciężko dysząc na dnie traw, chciwie ssał ranę. Pot zalewał mu całe ciało, tylko usta były pustynnie suche, z bezgranicznym wysiłkiem dźwignął się na kolana, wymacał oparcie i znowu upadł. Potem zaczął mozolnie czołgać się przez trawę, czując się tak, jakby go powoli pieczono w żarze, a w miarę upływu czasu robiło się coraz goręcej. Pot przestał płynąć, ciało miał teraz ohydnie suche, jakby wyssano z niego wszystkie płyny, a on właściwie powinien się złamać – tak uważał – przy każdej napotkanej nierówności. Co jakiś czas w trawie przed nim nieprzyjemnie rozwlekły szeleściły jaszczurki, pod pewnym kątem wyglądały jak węże, coś bezgranicznie powoli zimnym, szorstkim brzuchem przepelzło przez jego gołe nogi, ale nie miał siły ani odwagi odwrócić się i sprawdzić, co to było.

Mijały godziny, nadal czołgał się z gorzką energią, ciało paliły mu tysiące dolegliwości, nerwy czekały narażone na każdy ból, jaki zapragnął go osiągnąć, z ziemi wydobywał się dym, gryzący i gorzki, aż w końcu prawie nie dało się oddychać. Równina była bezkresna, chociaż unosił głowę, jak mógł, nie widział końca, tylko te przekłete wysokie trawy, których kity kołysały się jak ciała wisielców wysoko nad jego głową. W niekończącej się koszarnej wizji doświadczał wieczności, czas zniknął, przestrzeń zniknęła, on nie był już człowiekiem, nie istniały już żadne właściwości, czymże były działania, kolory się zatarły, dźwięki oniemiały,

myśli nie były już formułowane, słowa nie mogły niczego wyrazić, powierzchownie utraciły granice, wszystko zmartwiało, tylko on sam, anonimowa istota, pełził jak wąż, niezmordowanie, przez ten potworny bezkres, nie dochodząc ani do celu, ani do punktu wyjścia, bo wszystkie strony świata i kierunki przepadły. Jak w mrocznym śnie przypomniawszy sobie słodkie dzieciństwo, ponieważ dzieliło go od niego zaledwie pięć minut biegu przez to, co teraz było wiecznością.

Dość długo leżał z twarzą wciśniętą w ziemię, z rękami rozpostartymi szeroko, o dłoniach otwartych jak w oczekiwaniu na deszcz, zemdlony, na pozór bez życia, a jednak coś w nim cały czas intensywnie parło do pewnego określonego celu, tak, w istocie już tam dotarł, choć jeszcze nie mógł się ruszać ze względu na upał i własne wycieńczenie. Wreszcie słońce złagodniało nieco, powoli odzyskał świadomość i po kilku żałosnych próbach udało mu się wstać.

Nadal osłabiony i z zawrotami głowy, ruszył chwiejnie przez trawę, właściwie nie był w stanie nic zobaczyć, lecz mimo to świadomie podążał w określonym kierunku. Z ziemi już nie podnosiły się opary, w trawie spała bardzo duża, mierząca przynajmniej pół metra jaszczurka, potknął się o nią, po czym błyskawicznie się odwrócił, gotów do obrony, gdyby zaatakowała. Ale jaszczurka nie drgnęła, zdziwiony pochylił się nad nią, delikatnie szturchnął ją stopą i nadal nic. Wtedy szybko przetoczył ją na grzbiet, tak, była zdechła, brzuch miała rozplątany kamieniem, ktoś rozplątał jaszczurkę kamieniem, po czym przewrócił ją grzbietem do góry i uciekł. Tim podniósł ciężkie ciało i rzucił w krzaki.

Zaintrygowany obejrzał się w stronę, z której przyszedł, gdzie nad lasem unosił się biały słup dymu, pionowy niby zwieszona z nieba lina. Niebo było wstrętne niebieskie i puste i wprost z tej pustki niby z kapelusza czarodzieja wyłoniło się stado ptaków i w grobowej ciszy opadło na niego, przeciągając skrzydłami po powierzchni trawy, ptaki jakby go nie widziały, choć najbliższy przeleciał dosłownie na szerokość dłoni nad jego głową, on odruchowo przykucnął, dopiero teraz zdawszy sobie sprawę z ich nieprzeciętnej wielkości.

Ruszył dalej przez trawę, wiedziony pamięcią, aż wyszedł na płaskowyż z kamienia, z czarnego kamienia wulkanicznego zaplamionego ptasim guaniem. Po obu stronach płaskowyżu piętrzyły się strome skały, nagie i pokiereszowane, lecz w jednym miejscu skałę przełamывała szczelina w kształcie litery V dość duża, by zmieścić ludzkie ciało, otwierała niebezpieczne zejście na plażę.

Zatrzyma! się, nasłuchując, jak morze uderza o kamienie w dole, brzmiało to jak próbne takty wybijane pałeczkami na skórze bębna.

Serce zaczęło mu łomotać, ruszył w stronę rozpadliny, poruszony sam nie wiedział czym, a raczej: nie chciał wiedzieć czym.

I znów się zatrzymaj ośladnięty dziwnym poczuciem, że ktoś go obserwuje, ktoś, kogo on jeszcze nie widzi. W następnej chwili zrozumiał, o co chodzi, i z irytacją cofnął się o kilka kroków.

Obserwowały go ptaki, uczipione skały, jakby pilnując zejścia na plażę, nieruchome i milczące, z rzadka tylko drgnęło jakieś skrzydło, teraz spostrzegł, że jednak wcale nie są takie wielkie, jak mu się przed chwilą zdawało, były niebezpieczne raczej ze względu na liczbę niż na rozmiary, dzioby miały ostre jak szpony, oczu nie potrafił uchwycić – pozornie patrzyły na niego, lecz nie podążyły za nim, kiedy się cofnął, w dodatku były szare, jakby zaciągnięte błoną.

Cicho ułamał źdźbło trawy, podkradł się do rozpadliny i zamachał tym źdźbłem przed całym rzędem ptaków, lecz ich oczy pozostały martwo utkwione w jeden punkt.

Nie, nie miał już wątpliwości: ptaki są ślepe, dlatego ocierają się o trawę, żeby móc wylądować. Nieme i ślepe zamieszkują tę wyspę – ciekawe dlaczego. Czekają na coś? Zamierzają skorzystać z pewnej katastrofy morskiej? Czyżby jedynym ich celem było czekanie na tych siedmiorgo umierających ludzi? Tim upuścił źdźbło i stał przez chwilę bez ruchu, żeby

sprawdzić, czy nadal niczego nie wyczuły, nic się jednak nie zmieniło. Wtedy ostrożnie uchwycił się skalnego występu, skulony wśliznął się w szczelinę i wyszedł zwycięsko po drugiej stronie. Zamroczony rozległością panoramy, o mało nie spadł, gwałtownie odskoczył tyłem ku ścianie, oparł się o nią i patrzył na rozgrywające się na jego oczach widowisko. Morze wiecznym ruchem przelewało się przez widnokrąg, napięcie między jego powierzchnią a niebem zdawało się niemal nie do zniesienia, wszystko było czyste, jasne i wielkie, jasnych kolorów nie smotruchały brudne dymy ze statków, w zasięgu wzroku nie pojawiał się ani jeden nowy ląd, słońce zaczęło już opadać i upał zelżał, z głębin powoli podnosiły się nieliczne czerwone gwiazdy, tak, wszystko było klasycznie piękne i bezgranicznie obojętne.

Jego wzrok nieuchronnie zwracał się ku środkowi wyspy, ku wąskiemu pasmu plaży, akurat tutaj pełnej kamieni i piasku. Po raz drugi w czasie swojego życia na wyspie zobaczył w dole zieloną skrzynkę, zaklinowaną niby kostka do gry między dwoma głazami, niebezpiecznie kuszące, niewidzialne pasmo gorąca trysnęło z niej prosto ku skale. Podniecony i przejęty, postanowił natychmiast zacząć ryzykowne zejście. Zapomniał o ptakach i całej reszcie, głód przysysał go do skalnej ściany, głód znajdował najlepsze oparcie dla stóp i najlepsze chropowacizny do zaczepienia palców. Lecz mniej więcej w połowie drogi, kiedy nie zdążył jeszcze nawet pomyśleć o strachu, dosłownie tuż przy kamieniu, na którym on opierał prawą stopę, od skały oderwał się kamień i z przesywającym stukotem poleciał w dół. Stopa zaczęła groteskowo drgać, a on musiał naprawdę się postarać, żeby odzyskać spokój, i raptem nieco powyżej zatrzepotały skrzydła, a kiedy, wykręcając kark, spojrział w górę, okazało się, że jeden z ptaków schodzi do niego, przeskakując z półki na półkę, jego oczy patrzyły obojętnie w przestrzeń, ale wrażliwe jak palce ślepeca stopy bezbłędnie znajdowały bezpieczne miejsca.

Dopiero teraz zrozumiał, co mogłoby się stać, i kiedy wreszcie to do niego dotarło, rozdygotany przycisnął się do skały, ocierając się o nią ciałem, jakby to miało mu zapewnić mocniejsze zaczepienie. Wystarczyłoby jednak, żeby ptak dotknął jego dłoni, musnął jego ramię, dosięgnął stopy – a runąłby w dół i się zabił, roztrzaskałby się kilka lichych metrów od zielonej skrzyni, umarłby akurat wtedy, kiedy ratunek stał się tak rozpaczliwie osiągalny.

Tymczasem ptak zbliżał się coraz bardziej, najstraszniejsze były jego dyskretne ruchy, o, gdyby chociaż krzyknął, dziko zatrzepotał skrzydłami, próbował dziobać – a tu tylko to straszne milczenie, gotowe nagle eksplodować w gwałtownych działaniu, o którego potwornym charakterze nie miał wszak pojęcia.

W końcu ptak po raz ostatni skoczył ku niemu, ku jego prawej dłoni, a on desperacko puścił się ściany, macając na oślep w powietrzu, przesunął paznokciami po skale i przez jedną okrutną sekundę czuł, że powoli się zsuwa, jakby cała góra runęła, wirując razem z nim, spod zdartych paznokci niespiesznie popłynęła krew, wkrótce wszystko ucichło, znalazł oparcie dla prawej dłoni i przyłgnął jak najbliżej do skały.

Ptak siedział teraz cicho pół metra nad jego głową, czekając nieruchomo, bezlitośnie spokojny, martwy wzrok utkwivszy w widnokręgu, jego dziób z okrutnym czerwonym czubkiem celował niezmiennie w dół, jakby, obdarzony wzrokiem, z przyjemnością patrzył na jego strach. Czy ptak już coś przeczuwał, wiedział o jego obecności, czy okazywał mu jeszcze tylko przyzwyczajenie kata? O, bał się oddychać, choć pierś rozsadzało mu koszmarnie ciśnienie, powoli znów uniósł prawą dłoń, wspiął się na palce, lewą rękę do bólu zaciskając na wystającym kamieniu, prawą powoli przesunął w stronę ptaka, rozcapierzone jak wnyki palce błyskawicznie zacisnęły się na szyi zwierzęcia i z siłą, o jaką sam by siebie nie podejrzewał, oderwał jego ciężkie ciało od skały. Słyszał, jak spada ze świstem i ciężko uderza o powierzchnię wody. Znowu oblał go pot, rozdygotały się wszystkie stawy i nagle zapomniał, gdzie jest, chciał cofnąć się o krok i zdążył już nawet unieść stopę, gdy sobie przypomniał. Powoli, z zamkniętymi

oczami, spełzył później ze zbrocza niby wielka szara larwa i dopiero kiedy na ostatnich bezpiecznych metrach zobaczył zieloną skrzynię leżącą między głazami jak kostka do gry, znowu opętał go głód.

Gorączkowo jak pies myśliwski na tropie za wcześnie odpadł od skały i stoczył się na brzeg, morze wypełniło mu uszy ogłuszającym szumem, bryzgi fal przyboju delikatnie skrapiały piasek i kamienie, jego zdumione oczy zasnuwała co chwila tęczowa błona, a do połowy zakopane w pofałdowanym piasku połyskiwały puste pancerze jaszczurek. Ciało znów zaczęło żyć, jakby obudzone ze snu o śnie, oko nie oglądało już samo siebie, szkielet nie dawał już o sobie znać przy każdym ruchu, nawet głód stał się przyjemnym ssaniem, które nie sprawia bólu, tylko rozgrzewa. O, pragnął bez pośpiechu przeżywać wybawienie, rozkoszować się nim, czuć jego smak, drobnymi kęsami dostarczać podniebieniu zmysłowej przyjemności.

Niezmiernie powoli, z zamkniętymi oczami podczołgał się do skrzyni, wyciągając się rozkosznie, wchłaniał osobliwe zapachy, otworzył usta i już na języku rozpływał mu się ananas, był tam też chleb od Myry&Lendarsisa, długi, biały chleb z zielonymi ziarnami i aromatem kwiatu wiśni, woń zimowych jabłek przechowywanych na strychu starych wiejskich domów, ostry zapach mięsa i trocin, jaki wypełnia portowe hale, także dobywał się ze skrzyni, tak, skrzynia nie miała granic, nie miała dna, wszystko w niej było: świeży chleb, który jego brat piekarz posyłał im czasem do domu w zimowe poranki przez małą Christine, wonie domowej patelni i dużej torby karmelków, które matka zawsze trzymała w szafce, żeby móc go nakłonić do kłamstwa, gdy ojciec zapyta, czy coś się działo w domu, kiedy przez cały tydzień pracował na nocną zmianę. W końcu przylgnął do skrzyni jak do kobiety, przycisnął do niej ucho i usłyszał, jak wszystkie potrawy świata gotują się, smażą, bulgocą na wolnym ogniu, są krojone, siekane, mielone, nakładane, szcęk widelców i noży, pospieszne przełykanie i siorbanie, krzesła odsuwają się od stołów i wreszcie gęsty szum zup w jadalniach dobroczynnych, ciężki chłupot tłustych zup, majestatyczny huk, z jakim opróżnia się olbrzymie kotły, a potem tylko huk morza, które zważyło się na niego potężnym chórem głosów, a potem te głosy, z których zwłaszcza jeden wyjątkowo nienawistnie i uparcie go atakował, zaczęły go ostro i z goryczą oskarżać, zmuszały do obrony.

Zdrętwiały, lecz nadal błogo uszczęśliwiony tym, co go spotkało, leżał wciąż przytulony do skrzyni i patrzył, jak na falach kawałek dalej w stronę cypla kołysze się martwy ptak. Gdyby się odwrócił, zobaczyłby wielkie, milczące stado ptaków nieruchomo uwieszone wysoko na skale i dym z małego obozowiska po drugiej stronie wyspy, który z powagą skręca się w spiralę, pełen podejrzeń zauważyłby, że dym powoli zmienia kierunek i ogromnym łukiem zawiewa nad wyspą ku niemu, czy ktoś biegnie górą przez suchą trawę, może ten, kto zabija jaszczurki, czy tylko jakieś zwierzę chce mu napędzić stracha. Czy ktoś stoi w wąskich wrotach, w strzeżonych przez ptaki wrotach, i fanatycznym wzrokiem mu się przygląda, jakże łatwo by było poluzować na górze kamień i w niego rzucić. Już przestraszony, już niepewny, już rozdygotany, skulił się w małym cieniu skrzyni, taki duży mężczyzna w takim małym cieniu. Długo przygotowywany dialog Tima z morzem mógł się zatem rozpocząć:

– A więc znalazłeś coś wspaniałego.

– Tak, zobaczyłem tę skrzynię już pierwszego dnia, leżała tak samo jak teraz, tylko trochę bliżej morza, widziałem, że tuż za nią jakaś ryba bezustannie wyskakuje z wody.

– I tamtego dnia po nią nie zszedłeś?

– Nie, nie byłem głodny, myślałem przecież tak samo jak wszyscy, że ratunek niedługo nadejdzie. Mieliśmy też zapas mięsa, mieliśmy ananasy, mieliśmy kruche ciastka, a w zaroślach niedaleko obozowiska ktoś podobno widział zające, ktoś mówił też, że moglibyśmy przeżyć, łowiąc ryby.

– I nikomu nie powiedziałaś, żeś widział na plaży skrzynię z prowiantem?

– Nie, bo nikt nie był głodny, zresztą i tak panowała podminowana atmosfera, a ja obawiałem się, że to nowe znalezisko mogłoby ją jeszcze bardziej popsuć. Mogłyby na przykład wybuchnąć kłótnie przy podziale, a ktoś i tak już stwierdził, że kobietom i choremu należą się mniejsze racje.

– A więc zatrzymałaś to w tajemnicy przez wzgląd na pozostałych, bynajmniej nie przez wzgląd na siebie. Nie przyszło ci do głowy, że prowiant niedługo się skończy, mięso zacznie cuchnąć i trzeba je będzie zakopać? Nie chciałaś zachować skrzyni dla siebie na później? Nie dostrzegałaś na chłodno możliwości, że nadejdzie dzień, kiedy twój własny głód zażąda wszystkiego, co tylko będzie do wzięcia?

– Nie, głodny nie kalkuluje na chłodno, głodny jest rozgorączkowany i bezlitosny, głodny zrobi wszystko, by zaspokoić głód, a wówczas zwykłe względy przestają się liczyć. Względy mogą obowiązywać wyłącznie w relacjach między sytymi.

– Ale ty przecież byłaś syty, kiedy po raz pierwszy zobaczyłaś tę skrzynię. Byłaś także stosunkowo syty, rozpuszczając plotkę o zającu, który śmignął w zaroślach – wszak to ty zrobiłaś – syty byłaś także wtedy, gdy ukazałaś towarzyszom możliwość łowienia ryb, choć sam nie wierzyłaś, aby było to wykonalne. Dlaczego rozpuszczałaś plotki, wiedząc, że są kłamliwe? Może po to, aby odciągnąć ich uwagę od ewentualnych znalezisk na plaży? A może chodziło ci wyłącznie o ich zszargane nerwy?

– Jakie względy należą się ode mnie tym, którzy tu nazywani są moimi towarzyszami? Uratowałem kilkoro z nich – czy to nie wystarczy? Jakie względy oni okazali mnie, jakie braterskie uczucia, jakie ciepło, jaki szacunek, jakie zaufanie? Stale dają mi do zrozumienia, że jestem sługą, a oni panami, jakie zatem względy prócz samego służenia jest niewolnik winny swemu panu?

– Znów te żalosne wykręty, czyż koleżeństwo nie wynika z tego, że się żyje w jednakowych warunkach? Jeśli kupiec kolonialny straci wszystko, co posiada, i przyjdzie dzielić z tobą twój nędzny los, odepchniesz go jak obcego czy raczej spróbujesz zdobyć jego sympatię, rozumiejąc, że łączy was rzecz najistotniejsza: głód, który trzeba zaspokoić, hańba ubóstwa, którą trzeba z siebie zmyć?

– Czyż nie zrobiłem wszystkiego, by zdobyć ich sympatię: wykonywałem, o co tylko prosili, otwierałem skrzynie, karmiłem chorych, podtrzymywałem ogień, zarywałem noce, a wszystko ze względu na nich?

– Od kiedy to takie chwalebne mieć naturę niewolnika? Nie musiałaś wcale nikogo słuchać, kiedy wszystkie symbole władzy ucierpiały w katastrofie morskiej, ty jednak pozostałaś posłuszny.

Cóż to za tajemnicza właściwość kazała ci nieruchomieć z szacunkiem, ilekroć ci ludzie, równie nieszczęśliwi jak ty, równie sponiewierani i nadzy, wydawali ci rozkazy? Byłaś zbyt tchórzliwy, by sprawdzić, czy ty też to potrafisz, czy ty też potrafisz powiedzieć do kapitana: przynieś chrustu, muszę rozgrzać się przy ognisku.

Nie, ty znalazłaś inne wyjście, będąc jeszcze sytym, chłodno kalkulowałaś, że nadejdzie godzina, w której twój głód przerośnie głód całej reszty. Myślałaś: wkrótce nadejdzie mój głód, stanę się dziki i bezwzględny, zbuntuję się – nie otwarcie, tylko po kryjomu – przeciwko tym terrorystom. Na trzeźwo zastanawiałaś się, jak wykorzystać ten rausz, to właśnie było godne pogardy. Ile warta jest wola buntu, która odmawia działania, póki człowiek czuje się syty?

Teraz leżysz tu obok skrzyni, obok swojej wielkiej tajemnicy, i wyobrażasz sobie, że się zbuntowałaś, lecz naprawdę tylko uciekłaś przed buntem, tchórzliwie dałaś nogę pod najszlachetniejszym pozorem.

No cóż, w końcu to nie pierwszy raz, dla ciebie to już prawie rutyna, bracie. William krwawił

dość paskudnie, prawda, po tym, jak policjanci wzięli go w obroty na przednim pokładzie statku łamistrajków, kiedy wyszło na jaw, że to on organizował tajną walkę o interesy załogi. I oczywiście można to zrozumieć: nie miałeś ochoty krwawić jak on. Wątroba, nerka, śledziona, płuca to delikatne organy i jeśli kogoś gruntownie przetrzepać, któryś można uszkodzić. Poza tym da się chyba zrozumieć, że nie chciałeś przysparzać sobie kłopotów innego rodzaju, wszyscy wiemy, jak wrażliwe potrafią być nerwy i niektóre związki małżeńskie. A przede wszystkim: lękałeś się, iż gdyby wyciągnąć konsekwencje z twoich buntowniczych zapędów, nie można by uniknąć wielkich niesprawiedliwości. Wśród tych, których nazywano ciemiężcami, chyba też zdarzały się trudne dzieci i sieroty. Z tego już choćby powodu nie istniał oczywisty obowiązek rozniecania buntu, choć o czymś takim słyszałeś, nawet jeśli starowinka, która cztery noce przemieszkała na klatce schodowej, tydzień później umiera w lazarecie, zanosząc się kaszlem, ewidentnie w mękach.

Nie, stary, może jednak trzeba było zrobić wiele rzeczy, których nie zrobiłeś, ale teraz jest za późno. Przeciw towarzyszom nie możesz wzniecić buntu, bo to już nie jest bunt, tylko zdrada.

– Wobec tego proszę tylko o jedno: pozwól mi jeszcze trochę pożyć, mogę darować sobie wszystkie wykryty, mogę zrzucić wszystkie maski, oto stoję nagi, nieprzyzwoicie nagi przed samym sobą, i błagam samego siebie: pozwól mi tylko jeszcze trochę pożyć.

Mam taką ochotę oddychać, mam taką ochotę czuć zapach morza, kiedy przelewa się przez podwodną skałę, kołysząc wrakiem, aż padnie na kolana i będzie błagał o litość, i tak bardzo się boję, że ciało zacznie obserwować siebie samo, że oko ujrzy nagie oko, przez co przestanie widzieć. Chcę pożyć jeszcze chwilę, choćby i najmarniej.

– Wobec tego możesz zgwałcić tę skrzynię, rozerwij deski i całą resztę, rzuć się na jej zawartość i wszystko pożyj, zostań w niej na kilka dni, liżąc drewno, kiedy nic innego nie zostanie. Poczuj potem, że żyjesz, poczuj, jak nogi niosą cię w górę stromego urwiska, a później do obozu, jak chętnie nos rejestruje zapach opuszczonego obozowiska, wygasłego ognia i trupów, z jaką przyjemnością dłoń chwyta mocną gałąź nadającą się na szpadel i zapełnia tę piękną plażę siedmioma grobami. Nie zapomnij o sobie, wygrałeś w sam raz odmierzone jakieś osiem dni odroczenia, kiedy możesz wałęsać się po wyspie niby jedna z jaszczurek. Może w końcu tobie też wyrośnie pancerz jak u nich. Naucz się ich zwyczajów, przyjmij ich sposób życia, a unikniesz śmierci przez kolejnych trzysta lat! Unikniesz relacji z ludźmi w czasie i przestrzeni, tych więzów, niewidzialnych kontaktów i sieci napięcia, które sprawiają, że warto przeżyć życie człowieka. Lecz zanim staniesz się jaszczurką, nim zeszywniejesz, nim stracisz mowę, wykrzyknij w ciszę: moim ostatnim ludzkim działaniem była zdrada.

Runęło na niego siedem mórz, jedno po drugim przetoczyły się przez widnokrąg, nie, chlusnęły ze skrzyni, z niezmierzonej, szum wznosił się i opadał, aż w końcu opadł. Znowu w milionach kuchni opróżniono kotły, rozlało się po wszystkich blatach, pociekło cicho po sosnowych podłogach, przeniknęło przez szpary i cienkimi strużkami z szumem wypłynęło ze snu. Nagle skrzynia umilkła, coś w niej umarło na zawsze, a obudzony i przestraszony tą ciszą Tim Solider gwałtownie usiadł. Wówczas powitał go fantastyczny widok, a on najpierw zeszywniał, po czym zrobiło mu się miękko ze strachu. Wysoka czarna skała, z której zszedł, wydawała się teraz znacznie wyższa, jej czarne boki wybrzuszyły się nienawistnie i groźnie jak nabrzmiące żyły, stromo opadające do morza słońce, jakby nie mogąc znaleźć na niej punktu oparcia, połyskiwało za to w czerwonych ptasich dziobach, a ptaki zaczęły schodzić, uformowały szeroką linię frontu, niespiesznie przeskakując z jednej półki skalnej na drugą, na szerokość skrzydła od siebie nawzajem; przez tę sieć nigdy się nie przedrze.

Jeśli pobiegnę, pomyślał, muszę przejść przez te ptaki. Jeśli wezmę z sobą skrzynię, to ślepe ptaki nie będą mogły jej splądrować.

O, jakże gnał po nierównościach plaży, potykając się o kamienie, wpadając do podstępnych dołków z wodą, wpełzając na skały, powłócząc nogami, brodząc w płytkich zatoczkach, gdzie cherlawe płaszczki wiodły życie domatorów, przepływając głębie pod skałami, gdzie nie było plaży, stale z ciężką skrzynią na głowie, na jednym albo drugim ramieniu, przyciśniętą do ud albo zawieszoną na plecach. Ptaka, którego zabił, widział raz, przedryfował naokoło cypla i teraz pełzył w martwej wodzie. Ale w końcu ukazał się statek na podwodnej skale, słońce łagodnie igrało na jego szkielecie, na plaży płonął ogień, ktoś chodził, załamując ręce.

Krzyknął szeptem: przynoszę wam jedzenie, potwory, i zadyszany upadł. Oznaczoną literami CO. (*Captain's Office*) skrzynię postawili wierzchem do góry i odbili deski. Madame, jeden jedyny raz wywabiona z otchłani swego bólu, nagle parsknęła śmiechem, tryskając jak wieloryb, zaczęła kąśliwymi palcami przesypywać leżące w skrzyni śliczne szklane paciorki, paciorki, za które mieszkańcy Elsemitów sprzedają skóry oraz samych siebie tym, którzy mają odpowiednie okręty, patenty żeglarskie i gwiazdy, żeby do nich dotrzeć.

Smutek o zachodzie słońca

Pewnego dnia o zachodzie słońca madame zabiła jaszczurkę. W ręce niosła kamień, a usłyszawszy w trawie szelest, stanęła, czekając w ciszy. Kiedy później zwierzę wyłoniło się z ciemności, najpierw przestraszyła się jego rozmiarów, nie zamierzała zabijać takiej dużej jaszczurki, ale prędko przewróciła ją kamieniem na plecy, zanim ta zdążyła ugryźć albo uciec. Zabiwszy jaszczurkę kamieniem, przetoczyła ją z powrotem na brzuch, żeby się wydawało, że śpi w trawie albo okropnie wolno dokądś idzie. Lepki kamień wyrzuciła daleko, usłyszała, jak rozłupuje się o inny kamień na brzegu.

Wracając później, o mały włos potknęłaby się o śpiącą w trawie wielką jaszczurkę, szybko przewróciła ją gołymi rękami na plecy, a jaszczurka była zdechła. W drodze do obozu madame zataczała kręgi i wciąż trafiała w miejsce, gdzie zabiła jaszczurkę. Za trzecim razem postanowiła krzyknąć. Krzyknęła krótko i piskliwie i zaraz ktoś nadbiegł przez trawę, po szeleście brezentu i skrzypieniu cholewy odgadła, że to kapitan.

Stanęła nad jaszczurką, żeby jej nie zobaczył, szczelnie otuliła się tkaniną, jakby jej było zimno, i kiedy przyszedł, pożaliła się: – Kapitanie, proszę mnie sprowadzić na dół, nagle źle się poczułam.

W milczeniu przecięli trawiasty płaskowyż, na który sączyło się poziome światło zachodu, a wiechy traw wyglądały od dołu jak usta, krwistoczerwone usta otwierały się jedno ku drugim. Wyszli na skały i madame zatrzymała się, by popatrzeć na ścieżkę, na plażę, statek, morze i widnokrąg, teraz jakby uginający się pod ciężarem słońca.

Skały w dole połyskiwały na czerwono pokornie ceglastą barwą, bardzo dobrze jej znaną, długie smugi na morzu, które teraz leżało spokojnie jak w szklance, zabarwiły się tak samo łagodnie, w pasmach dymu z ogniska na plaży też pojawiła się czerwień.

Szczupła dziewczyna z Anglii siedziała jak zwykle u boku boksera, bardziej zainteresowana sobą niż nim. Dłoń kapitana spoczywała lekko na ramieniu madame, która przez tkaninę poczuła jej smutny brak życia i nieprzyjemnie poruszona tym chłodem zaczęła schodzić w dół, żeby wreszcie pobyć samej.

Między jej stopami zwinnie śmigały małe jaszczurki, ale ona nic już nie czuła do jaszczurek. Obojętna na ich spojrzenia poszła na swoje miejsce przy ogniu, wytyczone nakreślonymi palcem wskazującym na piasku czterema liniami prostymi, które co rano poprawiała, żeby móc pobyć samej. Chciała być jeszcze bardziej sama, skuliła się tak, że twarz zasłoniły dłonie, dłonie zasłoniły kolana, a kolana zasłoniła tkanina. I tak całkiem sama zaczęła, zdawało jej się, zjeżdżać niby windą z tej powierzchni, pstrokatej i zapchanej błahostkami, głęboko w pożyteczny smutek.

Oczyszczający, silny smutek wziął ją w posiadanie, teraz już nierozcieńczony, od kiedy jaszczurka została zabita, i jasny, i okrutny w tak oczywisty sposób, że wszystko inne było nie do pomyślenia. Czysty smutek jest wszak majestatyczny w swoim okrucieństwie i w owej krótkiej chwili o zachodzie słońca przeżyła wszystkie jego nieodłączne stadia: prędko mijające głupie odrętwienie, kiedy człowiek myśli, że prawda mu się jasno objawiła, choć w rzeczywistości o prawdzie wie tyle co nic, coś się w człowieku zawiesza, a on raptem okropnie mocno odczuwa swoje serce, jakby w pewnym sensie znalazło się na powierzchni ciała. Potem przychodzą pierwsze łzy, choć człowiek jeszcze nie płacze ani nie chce płakać. Są niebywale duże i gorące i gdyby ich skosztować, też pewnie okazałyby się znacznie bardziej słone niż zwyczajne tanie łzy.

Te łzy człowiek jeszcze ociera, po czym wszystko na chwilę się uspokaja, lecz uspokaja się w napięty, szklany sposób. Jakby człowiek w każdej chwili mógł przebić się stopą na wylot i zacząć nieprzytomnie spadać.

Ale jeszcze nie spada, a szkło ciągle grubieje, jakby człowiek coraz bardziej oddalał się od smutku, i głucha rozpacz, bezsilna i wściekła, gdyż odległość od smutku zdaje się bez przerwy rosnąć, wypełnia człowieka dużymi, twardymi grudami. Wtedy jednak człowiek znajduje sobie coś w czasie lub przestrzeni, co pomaga mu zejść, otwartą kłapę, przez którą można spaść, co przynosi czysto fizyczną ulgę po mocnym napięciu, jakie ma za sobą. Coś miękko pęka w człowieku, łzy napływają do oczu, gdzie leżą przez chwilę jak kaloryfery, zanim się rozplyną. Potem wszystko się ze wszystkim łączy w nieskończony łańcuch i wkrótce nie istnieje już nic, co można by zobaczyć, usłyszeć albo poczuć, nie wiążąc tego natychmiast z przedmiotem smutku, a ilekroć pojawia się coś nowego, w człowieku dokonuje się eksplozja, zrazu potężna, wyzwalamąca łzy i osobliwy, usypiający ból, który zaczyna się w okolicach przepony i wędruje w górę, później eksplozje stają się coraz słabsze, za to nie ma już między nimi przerw. Teraz człowiek płacze spokojnie, równo i potoczycie, dawno już przestał ocierać łzy, ale płacz niesamowicie odtyka nos – jak niektóre tabletki na gardło.

Potem mija jakiś czas i wszystko niby kielich kwiatu na noc powoli zamyka się wokół otwartego bólu, ból zostaje otoczony nie pancierzem, lecz właśnie chłodną, jakby kwiatową powłoką, przez którą czuje się jego pulsowanie, człowiek nadal ma w nim udział, ból jest świeży i żywy i w każdej chwili można zwilżyć w nim usta jak w chłodnym i czystym strumieniu, lecz już teraz udaje się do pewnego stopnia samodzielnie wybierać moment spotkania. Niebezpiecznie jest tylko zostawiać go zbyt długo w spokoju, o świeży smutek trzeba się bardzo troszczyć, wyjmować go niby najcenniejszy skarb i od czasu do czasu polerować jak lustro, w przeciwnym razie zbyt szybko pokryje go twarda błona, opancerzenie stanie się faktem, czego naturalnie na dłuższą metę nie da się uniknąć.

A kiedy już pojawi się pancierz, człowiek w pewnym sensie wraca do punktu wyjścia, znów ten sam dystans w czasie i przestrzeni dzieli go od smutku, teraz jednak wydaje się to bardziej beznadziejne niż poprzednio, ponieważ człowiek wie, że nic go nie czeka. W miejsce głuchej, przytłaczającej rozpacz, która za pierwszym razem wypełniała całą jego wolną przestrzeń, otwiera się ohydny okres apatii, nieruchomego oczekiwania, oczekiwania, że nic się nie wydarzy. Wszystko obojętnie, wszystkie rzeczy wychodzą twardniejącemu naprzeciw, człowiek chce chwytać, ale pochwycić da się tylko śmierć, człowiek chce widzieć, lecz twardość przedmiotu odtrąca jego wzrok, człowiek chce kochać, lecz spostrzega, że nie potrafi, otoczony twardą powłoką, wszystkie uczucia w nim jakby zamarły, jest suchy i wyjałowiony i nawet jego własna nieznośna samotność nie umie wprawić go w drżenie.

Naturalnie to także nie trwa bez końca, choć człowiek zrazu niczego nie zauważa, pod pancierzem i lodem wytrwale pracują delikatne prądy, aż pewnego dnia wszystko pęka, a człowiek po raz ostatni jednoczy się ze smutkiem. Lecz tym razem nie jest oziębiały, ciało nie angażuje się już tak gwałtownie jak wcześniej, jakby mięśniom, naczyniom krwionośnym i stawom, które dawniej tężały ze smutku, teraz już brakło na to siły. Wszystko wycofuje się do poziomu wspomnień, człowiek notorycznie powraca na wypaloną parcelę, szuka w spustoszonych ruinach, a zniekształcone szczątki życia leżą splątane jak węże pod popiołem i belkami. Używając pamięci jako lewara albo praktycznego jarzma, albo miedzianego wiadra, człowiek wywleka te szczątki na ulicę z jej bezlitośnie zimnym światłem i powoli je identyfikuje w cichym bólu, zwanym także melancholią, w blasku lampy. Na kowadło pamięci cęgami i młotem pamięci rozprostowuje te szczątki, niezmiernie pieczołowicie rekonstruuje następnie ich położenie w czasie, przestrzeni i emocjach, a ruiny nie mają kresu, pogorzeliśko kryje pod

popiołem *rzeczy*, które, zdawało się człowiekowi, już dawno przepadły, jeszcze nie całkiem martwe dłonie wyciągają się po niego z pożogi, i do tego te czoła, których białej krągłości nigdy do końca nie pokryje węgiel i popiół.

Wszystkie etapy smutku, zazwyczaj rozciągnięte na całe miesiące i lata, madame przeszła w ciągu tej krótkiej chwili o zachodzie słońca, zarówno wstrząs, pierwsze bolesne zdziwienie, brzemienne w skutki napięcie i upadek, rozbicie i chwilowe zasklepienie, a potem ową gonitwę pamięci, która przy stukocie końskich podków uniosła ją w głąb najgłębszej z samotności.

Słońce zachodziło tak boleśnie powoli, jakby robiło to po raz ostatni, w morzu otwierała się niby studnia, czerwona, a olbrzymie szare chmury, które niczym z ogromnego kotła buchnęły zza najeżonego skałami cypla, zwieńczonego rzędem gigantycznych palców, jak ceglasczerwone kominy fabryczne wznosiły się wprost do nieba, gdzie nadal bujała bladoróżowa ciemność, niezdecydowana, co ze sobą zrobić. I jeszcze te ptaki, jeden po drugim wypełzające z wnętrzości statku, dreptały chybotliwie przez pochyły pokład, by w końcu poderwać się do lotu. Wzbiły się bardzo wysoko i przez chwilę niespokojnie zataczały kręgi wokół słupa dymu, który wytrwale unosił się nad plażą. Wielka cisza, tupot jaszczurek ustał, a wiatr nie pędził już przez dżunglę Tima Solidera. Na mgnienie oka wszystko jakby się skurczyło, puls czasu, na wyspie i tak już ledwo wyczuwalny, chyba całkiem ustał, teraz wszystko mogło się wydarzyć, skompresować, rozwlekłe działania mogły się skrócić jak w dramacie, wszystko dało się przeżyć na jednym oddechu.

Madame miała wielu mężczyzn, lecz żaden nie był jak on.

Przeważnie mieli samochody rajdowe, niespiesznie sunęli nimi przez aleje, nigdy nie widziała, żeby któryś jechał szybko, rychło przejrzała ich sztuczki. Uwielbiali, by ich kojarzono z czymś, co nazywali „powściąganą mocą”, zupełnie jakby pod smukłą drgającą maską należało domyślać się stuosiemdziesięciokilometrowych prędkości, chcieli, by ich głaskać po skórzanej kurtce, czuć, jak wibruje od potężnej mocy powstrzymywanej kosztem niesamowitego wysiłku.

Nosili długie skórzane rękawiczki z grubymi palcami i zawsze namiętnie gestykulowali za kierownicą oraz w prywatnych rozmowach, jakby pochłonięci nieustanną bokserską walką.

Tymczasem bez rękawiczek i skórzanych kurtek, i bryczesów o zielonych lejach stawali się zagubieni i drżący, owszem, prawie nieśmiali. Jakże to było poruszające, gdy zatrzymawszy samochód w chłodnym parku z niskimi wierzbami, z bezradną brutalnością obejmowali cię rękami, które zdecydowanie zbyt niechętnie puściły kierownicę i drążek zmiany biegów, rozkojarzeni mimo pozornego zapału, o ciałach, które nawet w chwili, gdy zdawały się najbardziej przepełnione powściąganą mocą, najczulsze, tęskniły do wibracji silnika, zawsze pytali szeptem: jestem dla ciebie pierwszy, prawda?, albo dowiedziawszy się, że jesteś mężatką: to pewnie twoja pierwsza zdrada.

Tak, sądziła, że zna ten próżny, groteskowy gatunek, który deklaruje pogardę dla namiętności i zaangażowania, ponieważ jest zbyt tchórzliwy, by czuć cokolwiek prócz chłodu. A jednak zdarzały im się chwile prawdziwego roznamiętnienia, kiedy myśleli, że nikt nie patrzy, ciepło, jakiego nie mieli odwagi okazać swoim kobietom, trwonili na lśniące cylindry samochodów rajdowych. Czasem można było przyłapać ich siedzących samotnie w aucie z wyrazem oczu i ust, który wydawałby się naturalny i pożądany w towarzystwie kobiety, a który jednak stawał się perwersyjny właśnie dlatego, że byli sami. Wtedy wzdrygali się, przestraszeni, z tak ewidentną miną winowajcy, jakby przy dybano ich w delikatnej sytuacji z żoną bliźniego.

Tak, znała ich wszystkich. Zmieniały się marki samochodów, kolor kurtek i maniera sączenia koniaku, lecz przebrane za siłę tchórzostwo było dla wszystkich wspólne, uwodzenie zaczynali zawsze w ten sam brutalny sposób, co przekomiczne, ponieważ pozwalało chyba na bardzo niewiele wariacji, zupełnie jakby dzień w dzień czytać ten sam obiegowy wstępniak w tych

samych gazetach, kończący się zawsze równie nieciekawie i niezręcznie, raniąco.

Wydawało im się, że są wystudiuwani i o kobietach wiedzą wszystko, ich żalosną pewnością siebie można było obserwować z ironią, dopóki nie przekraczała granic zdrowego rozsądku i niewinnego samookłamywania, kiedy jednak robili się bezczelni, na mocy swojego rzekomego znawstwa występując z bezczelnymi żądaniami całkowitego posłuszeństwa wobec ich podejrzanym zachcianek, musiała stawać okoniem.

I Boże, jakie to proste, wystarczyło drobne zaburzenie nieprzewidującego żadnych niezręcznych ewentualności programu i momentalnie robili się drażliwi, a cała moc błyskawicznie z nich uchodziła, jakby ktoś z ich twardo napompowanych piersi nagle wyjął korek. Ich plan został przecież sporządzony na wieczne czasy i nie dawał się naciągać: po tyłu a tyłu zdaniach na temat pogody, księżycowej poświaty, nowinek z rajdu ostatniego tygodnia, nieprzeciętnych właściwości samochodu, a także jej ust i włosów przeznaczenie nakazywało się pocałować, więc samochód stawał pięćset metrów od zjazdu w wąską boczną drogę. Pięć minut później była pora w nią skręcić, by następnie zatrzymać się przy niewielkiej pochyłej polance, jakich los najwyraźniej zawsze mnóstwo umieszcza wzdłuż bocznych dróg, w stosownej odległości od terenów zamieszkanym. W wiecznie niezmiennym śmiertelnej ciszy wracało się później do samochodu, człowiek był zmarznięty i mokry od trawy, podróż powrotna mijala szybko, w odpowiedzi słyszało się tylko pomrukiwanie i z należytym brakiem uprzejmości było się wysadzonym pod swoją bramą, w najlepszym razie, o ile garaż nie stał w innej części miasta.

Twarze migają jej przed oczami jak kadry filmowe, kiedy wpatruje się w ciemność wnętrza swoich dłoni. Percival, ten od złotego auta, zupełnie nie do wytrzymania, ten, co gwizdał, ilekroć wstawali z trawy, Charles, który później zginął przy eksplozji gazu i należał do najmniej nieprzyjemnych, Lucien, jeden z nielicznych, którzy tak samo szybko jeździli i w tę, i w tamtą stronę, Henri, który beczał jak rozpieszczone dziecko, jeśli nie mógł zachować się z brutalnością niezbędną mu, by dopiąć swego, Jean, gentleman w średnim wieku, który tak drżał o swoją reputację, że zabronił jej przechodzić pod domem, gdzie mieszkał, całkiem niedaleko niej, i Jacques, młody Jacques, tak młody, że sądził, iż wie wszystko, co tylko można wiedzieć i co kiedykolwiek może się objawić w kwestii kobiet. Dlatego tak jej zależało, żeby go pokonać. Oczywiście, że wyglądał słodko, kiedy na czoło spadał mu kosmyk włosów, a jego coś za bardzo pochłaniało, by to zauważył, spojrzenie miał wiecznym rozbiegane, nawet przy pocałunkach, a jej był tak pewny – może mimo różnicy wieku, a może właśnie ze względu na nią – że w swoim tyrańskim programie wymagał całkowitej subordynacji.

Dotarli na mały cypel, wysoko wypiętrzony cypel w środku nocy, w dole po obu stronach falowała woda, powietrze było ciepłe, a zarazem rześkie, panował tak niewyobrażalny spokój, że prawie nie śmiała oddychać, kiedy wysiedli z samochodu. Wtedy wpadł na pomysł, żeby zostawić włączony silnik, zaprotestowała, zrazu łagodnie, potem bardziej energicznie. Podrażniło jego próżność, że nie chciała natychmiast ustąpić, więc rozkręcił silnik tak, by ryczał wśród nocy jak zwierzę. Potem złapał ją brutalnie za ręce i poprowadził przed sobą na czubek cypla, lecz kiedy chciał ją przewrócić na ziemię, nagle zaczęła się śmiać. Rozumiała przecież, że chce kochać samochód, nie ją, z samochodem chciał się zespolic, nie z nią, jej westchnienia i czułe słówka zagłuszyłyby wycie samochodu.

– Z czego się śmiesz? – spytał, a ona poczuła, że jego uścisk wiotczeje, i z satysfakcją wychwyciła w jego głosie cierpką niepewność.

Naturalnie nie odpowiedziała, śmiała się tylko, kawałek po kawałku krusząc jego wielką pewnością, a kiedy w końcu nie miała już wątpliwości, że jest pokonany, szybko przyciągnęła go do siebie i razem osunęli się na ziemię. I wszystko potoczyło się, jak przewidywała, nerwowo gmerał w jej ubraniu, a potem gwałtownie się odsunął i tak został w trawie, zanosząc się

szlochem.

Wstała i wsiadła do samochodu, a on przyszedł, kiedy się wyplakał, ruszyli szaleńczym zrywem, później z historyczną prędkością pruli ciszę i noc, trafiali pnie drzew, prawy błotnik się wygiął i zgubili reflektor, ale Jacques wciąż prowadził jak opętany, na wjeździe z wąskiej drogi na szosę stracił na chwilę kontrolę nad wozem i syjąc iskrami, stuknęli w dużą cysternę na mleko, która, kiwając się na boki, powoli zsunęła się do rowu. Przy zderzeniu drzwiczki wyskoczyły z jednego zawiasu, oni jednak wciąż tylko przyspieszali. Co dość niezwykle, była spokojna i dopiero kilka dni później zaczęła się bać tego, co się mogło wydarzyć. Rozumiała przecież, że chłopak chciał zwyczajnie pomścić swoją klęskę, co jednak nie miało prawa się udać. Zamiast się bać, czerpała z tego przyjemność, czerpała przyjemność z falującego wkoło silnego wiatru i z czarnego pasma drogi, które, jakby wirując, zniknęło gdzieś pod nimi. Tak, był to jeden z nielicznych tryumfów w jej życiu, jakże ubogim w tryumfy. Na całe życie zapamiętała tamtą noc i im bardziej marzyła, tym jaśniejszym blaskiem świeciła gloria nad tą ich nocą, ozdabiała to wspomnienie kwietnymi girlandami, zbudowała nad nim łuk, a im bardziej marzyła, tym łuk był wyższy.

Kiedy jednak przypomniała sobie tę noc teraz na wyspie, to nie dla poczucia triumfu, gdyż smutek poszukuje z pełną pokorą, lecz dlatego, że był to koniec jednego i początek drugiego, początek tego, co później szorstką ręką miało wpędzić ją w samotność, większą niż samotność innych, początek tego, co pewnego dnia o zachodzie słońca kazało jej ciężkim, okrągłym kamieniem zabić niewinną jaszczurkę.

Pod domem nie przystawały już samochody, klaksony nie goniły jej do okien. Przesiadwała teraz zawsze – z wyjątkiem rzadkich przechadzek po najbliższej okolicy – w towarzystwie zarządczyni domu, mademoiselle Claire, w fotelu w swoim pokoju albo porządkowała z Paulem znaczki, albo do albumów w granatowych okładkach wklejała zbyt długo zaniedbywane amatorskie fotografie.

Nazajutrz po tamtej historii stała w pokoju Paula zwrócona do niego plecami. Z całych sił napinała plecy, żeby odeprzeć to, co się na nią zważyło, ale w końcu się poddała. Jakby jej plecy wciśnięto do środka, upadła na kolana i zaczęła pocierać czołem o parapet, aż się zaczerwieniło, przywiązała sobie twarz do ściany, żeby nie ulec pokusie, nie odwrócić się i nie spojrzeć na paralityka w łóżku.

– Wyobrażasz sobie chyba, że jestem głuchoniemy, ale to nieprawda, co zresztą może obilo ci się o uszy. Myślisz, że nie słyszę twojego śmiechu na dole, nie słyszę szeptów w bramie i samochodów z młodymi chłopcami, które non stop zatrzymują się pod domem.

– Ależ ty jesteś głupi, przecież nigdy nie robiłam tajemnicy z tego, że czasem pojedę się zabawić, nie mogę wiecznie tylko pałętać się sama po tym wielkim domu.

– Zabawić się, taa. Kiedy wobec tego przestaniemy otrzymywać anonimy od ludzi, którzy lubią pastwić się nade mną, i imienne listy od takich, którzy liczą na pieniądze w zamian za opisy pikantnych sytuacji, w jakich cię widzieli. Albo anonimowe telefony, tego rodzaju telefony są zawsze anonimowe, od świtu do nocy nękające mademoiselle Claire. Nie żeniłem się z ladacznicą, to zdumiewające, człowiek nie żeni się z ladacznicą, a pewnego dnia i tak ma ją pod swoim dachem.

Znowu to stukanie. Ta cisza.

– Dlaczego nie odpowiadasz, dlaczego nie mówisz, co myślisz: nie wychodziłam za paralityka. Nie, ale wyszłaś za starego dziada, bo twój ojciec zdefraudował duże pieniądze. Groził mu wstyd i hańba, tylko ty mogłaś go uratować przez bogatą partię.

– Och, dlaczego zawsze dręczysz się tym samym?

– To nie ja mam być dręczony, ale ty. Właściwie ty też nie masz być dręczona, masz tylko

zostać ukarana, tym razem spotka cię sprawiedliwa kara, ale uważaj: następnym razem może być niesprawiedliwa. I przestaniesz wiecznie krzyczeć o szantażowaniu, także w myślach, widzisz, umiem czytać w twoich myślach.

To stukanie. Ta cisza.

– Rozumiesz, to nie jest szantaż, wprawdzie nie puszcę cię, jeśli nie odzyskam przynajmniej pekuniarnego wsparcia, jakiego udzieliłem twojemu ojcu i jego rodzinie, ale co łup, to łup, tak dla jednej, jak dla drugiej strony. Mówiliśmy jednak o karze, prawda.

Swoją drogą nie chodzi tu też o żadną karę, tylko o zwykłą pokutę dla wiarołomnej żony, widzisz, moje miłosierdzie prawie nie zna granic, wybaczam prawie wszystko. Słyszałaś chyba o starożytnej pokucie dla wiarołomnych żon: z zapaloną świecą w dłoniach obejść na kolanach kościół. Możesz sama wybrać dzień i godzinę, byle do końca tego miesiąca, znaj moje miłosierdzie. Możesz na przykład odbyć pokutę w deszczowy dzień, kiedy prawie nikt nie wychodzi na dwór i niewiele osób cię zobaczy. Mademoiselle Claire pójdzie z tobą w charakterze świadka. Kazałem też kupić kilka psów, żeby ci dotrzymywały towarzystwa, gdybyś na przyszłość czuła się zbyt samotna, a lada dzień przyjdzie nowy stróż, jednooki i brzydki, żeby cię nie kusilo go uwodzić, widzisz, chcę dla ciebie jak najlepiej. Ale zdecydowanie żądam, żebyś odbyła pokutę, choćby przez wzgląd na finansową sytuację swojego ojca.

Tego dnia wymknęła się z pokoju Paula z pękniętym kręgosłupem, goiło się niezwykle powoli, zwłaszcza że obecnie stanowczo za często siedziała zgarbiona przy bezsensownym przekładaniu znaczków i fotografii. Cera jej zszarzała i zrobiła się brudna, proces starzenia postępował w niemiłosiernym tempie, coraz rzadziej przeglądała się w lustrze, ale kiedy rano i po południu przysiadła na chwilę u Paula, jej rozpad odbijał się w jego zadowolonych oczach.

– Pokuta dobrze ci zrobiła – powiedział. – Powinnaś częściej chodzić do kościoła. Teraz już niekoniecznie na kolanach.

Stukanie. Potem cisza.

W tamtym okresie snuła wiele planów, lecz po odbyciu pokuty kolana wciąż jeszcze bardzo ją bolały, a kręgosłup bynajmniej nie wydobrzał. Polerując wytarte wspomnienia, myślała o długim niemieckim bagnecie zawieszonym na ścianie nad jego łóżkiem. Z nowym stróżem była na przyjaznej stopie, dopóki pewnego dnia nie zauważyła, jak uporczywie wodzi za nią swoim jedynym okiem, jak poufale, z każdym dniem coraz bardziej, ją traktuje, kiedy mademoiselle Claire wychodzi z domu, aż któregoś wieczoru próbował ją pocałować we wnęce z posągiem Eurydyki piętro wyżej. Poskarżyła się Paulowi, a on powiedział:

– Słusznie, pilnuj swojej cnoty.

Tamten okres wypełniały cienie i skradające się przecucia, ciemność czyhała za każdym filarem domiszcza, w większości pokoi Claire kazała trzymać stale spuszczone żaluzje. Tłumaczyła, że od ulicy strasznie się kurzy. Wkrótce wszelki kontakt ze światem zewnętrznym został odcięty, dom przypominał nagrobek postawiony garstce jeszcze ledwo ledwo żyjących ludzi, brakowało tylko inskrypcji. Nikt już nie opuszczał tego martwego domu, zakupy przynosili posłańcy i przekazywali w progu Claire albo stróżowi, ona tymczasem stała przy balustradzie na samej górze i przerażonymi oczami patrzyła, jak przez uchylone drzwi do hallu wpada biała smuga światła. Miała ogromną ochotę krzyczeć, nie dlatego, że się bała, ale dlatego, że według niej w tym domu było za dużo milczących pokoi. Chodziła po pomieszczeniach, fantazując, jakie instrumenty mogłyby je umeblować dźwiękami, pokój wiolonczelowy, fortepianowy, wnęka ksylofonowa, chodziła, fantazując o krzykach, które pasowałyby do niektórych pokoi, a dla innych byłyby nietwarzowe, próbowała sobie wyobrazić, jak powinien brzmieć krzyk pasujący na przykład do pokoju Paula albo do jej pokoju, albo Claire, albo do komórki stróża.

Pewnej nocy, kiedy w domu i na ulicy panowała absolutna cisza, a ona jak zwykle leżała

bezsenie w swoim wielkim dębowym łożu, przyszło jej do głowy, żeby spróbować małego krzyku, sprawdzić, jak by to było. Otworzyła usta i zdumiewająco łatwo wyrwał jej się krzyk. Okazał się nieco większy, niż się spodziewała, przestraszył ją echem, więc szybko zamilkła i z lękiem czekała, bo ktoś mógł usłyszeć i zaraz przybiegnie. Ale nadal panowała wielka cisza. Po chwili, spokojniejsza nieco, zaczęła sobie przypominać jego brzmienie. Nie umiała dokładnie odtworzyć go w pamięci, lecz zdawało jej się, że jak na ten dostojny pokój było w nim za dużo dyszkantu, ponieważ jednak na razie miała zaledwie jeden krzyk, musiała poszukać innego pokoju, gdzie pasowałyby lepiej. Cicho więc wyśliznęła się z łóżka i pootwierała drzwi do pokojów w całej amfiladzie. Zaczęła w salonie od ulicy, po czym niespiesznie przemierzyła wszystkich pięć komnat, cały czas krzycząc.

Skończywszy, po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że musi zejść przynajmniej o jedną oktawę, aby krzyk choć w przybliżeniu odpowiadał surowemu, zdecydowanemu stylowi wystroju wewnątrz.

Poszła jeszcze raz w przeciwnym kierunku, krzycząc i jednocześnie słuchając krzyków, aby rozstrzygnąć, czy się nadają.

Nie była jeszcze w pełni zadowolona, krzyki brzmiały dosyć ordynarnie, co na pewno wiązało się z tym, że zbyt szeroko otwierała usta, za trzecim razem powinna więc spróbować otwierać je mniej.

Ale do trzeciego razu nie doszło. Mademoiselle Claire i okrutny stróż nadbiegli, każde ze swojej strony, wyraźnie uzgodniwszy to z góry, powalili ją na podłogę, zakneblowali jej usta gałganami i wykręcili ręce. Zaczęła się miotać na wszystkie strony, chciała wypluć gałgany i wreszcie wytłumaczyć, że to tylko zwykłe przymiarki do nowego wystroju wewnątrz, ale byli silniejsi, jakimś sposobem ją uspili i następnego dnia obudziła się wycieńczona, potwornie ochrypła, a oni oboje stali przy jej łóżku, pilnując jej i siebie nawzajem.

– Madame, idziemy do kościoła – powiedział Claire.

Poszły do kościoła, ale nie do tego, pod którym odprawiała pokutę. Teraz szybko wyjrzała zza dłoni. O, ten ceglasty kolor, ten kolor, który dokładnie o zachodzie słońca jest wyjątkowo czysty i gorzki. Na wskroś przez chmurzaste kopuły nieba, przez krawędź słońca, która jeszcze nie utonęła, i przez to morze, płaskie i bez życia niczym płytką do akwaforty, wznosiła się wieża, wieża czerwonego kościoła przyklasztornego, przyćmiewająca wszystko, chwilami nikła z wolna w żółtoczerwonej mgiełce, mgiełce, jaka z pieców hutniczych i kuźni schodzi faliszcie w doliny, lecz potem znów wyraźnie rysowała się we mgle, za każdym razem coraz bardziej znajoma, coraz bliższa sercu, sprawiająca coraz większy ból przy spotkaniu na tak dużą odległość.

Tymczasem po ścianie przypełzła mała jaszczurka, niepozorna jak żuk, w pierwszej chwili sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała smyrgnąć w jedną z tysięcy szczelin na wieży, lecz patrzcie!, oto zaczęła rosnąć, ogon jej się wydłużył, wyciągnął ku iglicy, niezdolnie się poszerzyła, aż jej zimny pancerz całkiem zasłonił mur, ohydnie wąski łebek stawał się coraz smuklejszy, sięgał coraz niżej i niżej ku ziemi, a ona, skamieniała w dole, z zapartym tchem wyciągając ręce w stronę iglicy niewidocznej już wieży, powoli pochylała się do przodu. Pożryj mnie, potworze, chciała krzyknąć, ale w tym śnie pamięci na jej ustach nigdy nie pojawiło się ani jedno słowo.

I znów stała w pokoju Paula, tym razem jednak buntowniczo odwrócona tyłem do okna, plecy już całkiem wydobrzały, do środka przez połamane żaluzje kapą światło, podzwaniając o dywan.

Wiedziała, że ją obserwuje każdym segmentem gałek ocznych, wsysa ją, choć pozornie leży zwrócony lekko do ściany, gładząc okrutny czubek bagnetu.

– Będę miała dziecko – powiedziała i żeby nie upaść, mocno wbiła wzrok w czyjś wzrok

gdzieś daleko. – Będę miała dziecko z księdzem.

Nie odwrócił się, leżał w tej samej pozycji, ona jednak poczuła na skórze, która momentalnie stała się gorąca, że rzuca się na nią oczami, jego oczy nie były paralityczne, umiary bić i gryźć, umiały szarpać i drapać, umiały prześladować człowieka ostro i bezlitośnie, gdziekolwiek by się zaszył na świecie.

Dom zamknięto jak oblężoną twierdzę, lecz to właśnie dom prowadził oblężenie, ściany przesuwają się jakby w głąb, kawałek po kawałku, pokoje stały się ciasne, bo sufity się obniżyły, a podłogi uniosły, trudno było oddychać, wkrótce dało się już tylko leżeć, ściśniętą do granic możliwości klatką piersiową z trudem próbując zaczerpnąć powietrza i miłości, jak ryba wyrzucona na brzeg.

No i ta jaszczurka.

Znowu stała w pokoju Paula, nie, nie stała, pełzała, nieskończenie powoli pełzała po puszystym dywanie między jego łóżkiem a oknem, powietrze było duszne jak nigdy dotąd, zreperowano żaluzje. Nie mogła się podnieść, gdyż ciężar nienawiści i tęsknoty, smutku, rozpacz, okrucieństwa, które gościły w tym domu, momentalnie wciskał człowieka w podłogę, gdy tylko spróbował wstać i unieść je na swoich drżących barkach. Jego oczy położyły ręce na jej karku, nie mogła pochwycić ich spojrzenia, bo zawsze były zwrócone w inną stronę, niby obojętne, bez wytchnienia goniły ją po domu, gdziekolwiek się znalazła. W jego głosie, który przez długi czas brzmiał zrzędlawie i starczo, pojawił się teraz pozornie wymijający ton, łagodny, ciepły tembr smutnej wiolonczeli. I w samym jądrze tego błędnego tonu tak niezauważalna ostrość, że trzeba było bardzo szczególnej rozpacz, żeby ją wychwycić, określonej pozycji, dopiero pełzając z usztywnionymi biodrami i czołem zarytym w trawę dywanu, człowiek mógł ujrzeć to ciepłe okrucieństwo w całej okazałości, przesywały go kliny, by już się nie wysunąć, zostawały w środku i puchły.

– Czujesz jaszczurkę – szeptał. – Czujesz, jak jaszczurka rośnie w twoim ciele? Wkrótce stwardnieje na niej skóra, długi ogon wydłuży się jeszcze bardziej, oczy bez powiek powoli wyjdą na wierzch, jest w tobie ich nieruchome, obojętne spojrzenie, wypala cię od środka. I widzisz, jak formuje się czaszka, niedługo już osiągnie właściwy podłużny kształt, pozbawiony ciepłych warg twardy, zimny pysk napiera na twoje błony, chce wyjść.

O, dzień za dniem leżała na dnie pogrążonego w półmroku pokoju Paula, pełzała, dysząc, po kosmatym dywanie między jego łóżkiem a oknem i czuła, jak jaszczurka rośnie w jej ciele, czuła, jak skóra jaszczurki stwardnieje, długi ogon wydłuży się jeszcze bardziej, oczy bez powiek powoli wychodzą na wierzch, ich nieruchome, obojętne spojrzenie wypala ją od środka, czuła, jak formuje się czaszka, osiąga właściwy podłużny kształt, a pozbawiony ciepłych warg twardy, zimny pysk napiera na jej błony, chce wyjść.

– Jaszczurka! – krzyknęła po porodzie. – Nie chcę jej oglądać, oszczędźcie mi tego. – Podano jej dziecko, przytrzymano ją mocno i zawołano jej prosto do ucha, że dziecko jest normalne, że wygląda jak wszystkie inne dzieci, że ani nie jest pokryte jaszczurczą łuską, ani nie musi pełzać na brzuchu. Ona jednak nie chciała uwierzyć, czasem drzwi otwierały się niespodziewanie, ktoś przysuwał noworodka do światła.

– To nie moje! – krzyczała. – Podmieniliście je. Moja jest jaszczurka.

W obawie, że zrobi dziecku krzywdę, jeśli się je z nią zostawi, pozwolono jej długo leżeć samej w pokoju, z tamtego okresu wyraźnie zapamiętała jedynie to, że raz nagle poczuła zapach brzoźowych liści, usłyszała, jak na ulicy podskakują ciężkie wozy, słońce zaświeciło ostro i oślepiająco jak nigdy wcześniej, niezauważalnie została wyniesiona prosto w lato. W domu było bardzo cicho, czasem jednak z kuchni na dole dobiegał brzęk blaszanych naczyń, a Claire wchodziła ciężko po schodach, z każdym dniem coraz bardziej zadyszana. Pewnego popołudnia

jednak uświadomiła sobie we śnie, że ta cisza ma w sobie coś nieznanego, jakby przestrzeń wokół dźwięku, którego od dawna musiała być świadoma, lecz dopiero teraz, we śnie, pękła otaczająca go błona. Gdzieś w domu krzychało dziecko, rozdierająco i głodno, żałośnie, potem coraz bardziej sennie, a ona niby na grzbiecie fali została wyniesiona prosto w jasne lato, nareszcie powiła, nareszcie ozdrowiała i godziła się, by muskały ją światło i ciepło. Ból dał jej spokój, martwe fale złego snu przetoczyły się przez horyzont i znikły.

Boże, jaszczurki przecież nie krzyczą.

A jednak nie wyzwoliła się całkiem od lęku, kiedy do pokoju wprowadzano wózek ze śpiącym dzieckiem, pochylała się nad nim powoli, gotowa błyskawicznie zamknąć oczy i na powrót zaszyć się w swoim bólu. Ale dziecko leżało spokojnie, miało cieniuteńkie wargi, przykrywające je prześcieradło unosiło się ledwo dostrzegalnie od równego oddechu, żadne tam piękne dziecko, bardzo blade i o dziwacznie cofniętym czole, ale na pewno nie było jaszczurką.

I tak życie powoli znów zaczęło płynąć. Nie chodziła już do pokoju Paula, często było go słychać, walił w ramę łóżka, aż cały dom się trząsał, wrócił mu zjadliwy głos starca, a czarną służącą, która obecnie się nim zajmowała, torturował pogroźkami i wyzwiskami, aż pewnego dnia z krzykiem opuściła jego pokój i dom, śmiertelnie przerażona, tłumacząc, że żółty pan próbował ją zabić bagnetem.

Chłopiec rósł, właściwie nie odchodziła od niego ani na chwilę, jakby w obawie, że coś się z nim stanie, dokona się nagła, bezlitosna przemiana i w mgnieniu oka przenicuje na lewą stronę jej marzenia oraz potajemne nadzieje. Ciągle musiała być blisko, a kiedy zasypiał wieczorem i z pokoju Paula dobiegało łomotanie, pochylona nad nim w świetle stołowej lampy dokładnie badała wszystkie linie, wszystkie nowe cienie na skórze jego twarzy, ale właśnie dlatego, że z lęku przed gwałtowną przemianą nie spuszczała z niego wzroku, jej uwadze umknęło powoli postępujące twardnienie, które rozpoczęło się w drugim roku życia chłopca, nie zauważyła, jak jego wargi z wolna sztywnieją, skóra ciasno opina szczęki, a oczy stopniowo zamarzają w bryłki lodu, każde w swoim oczodole, powiekom nagle wyostrzyły się krawędzie i miało się wrażenie, że skóra lada chwila pęknie.

Pewnego razu ciężko zachorowała i kilka dni musiała przeleżeć z gorączką w swoim pokoju, świat zniknął za zieloną kurtyną, desperacko szarpała jej lśniące fałdy, skrywające mnóstwo roześmianych, ostrzegawczych, groźnych i rozkazujących głosów, ale na próżno. Na kotarze tańczył dawno zapomniany, koszmarny cień, z początku tak wielki, że nie zauważyła jego kształtu, później zadrzała z przerażeniem i runęła w dół poprzez lata twogi.

Rozdygotana, z rozpaczony niemal odchodząc od zmysłów, zerwała się w środku nocy, pognąła przez pokoje do syna, obudzona stara mamka próbowała jej przeszkodzić, lecz ona wszystko zdążyła zobaczyć, zobaczyła małą, pomarszczoną twarz starca, steraną życiem, nim to życie się rozegrało, naznaczoną mnóstwem różnych doświadczeń, wszystkim zmęczoną, choć niczego jeszcze nie przeżył.

Z bolesnym lamentem, który obudził dziecko, zdarła z niego kołdrę, by obejrzyć nieforemne ciało, i raptem uprzytomniła sobie rzecz nie do zniesienia: wyrwane ze snu dziecko nie płakało, jego zimne oczy były całkowicie obojętne na wszystko i nigdy nic nie będzie go mogło obchodzić, uderzona powiewem chłodu jaszczurczej duszy, z krzykiem wypadła z pokoju.

Znowu stała w sypialni Paula, było jesienne popołudnie, na parapecie leżały liście, a w pokoju unosił się kwaśny zapach butwienia. Chodziła w tę i z powrotem między łóżkiem a oknem i przy każdym nawrocie zamierała, wstrzymując oddech, żeby wywabić go z nieistnienia, czuła, że ją obserwuje, lecz jego wzrok już jej nie parzył, nosiła jaszczurczy pancerz, który nie przepuszczał ognia ani chłodu, i nic jej nie mogło dosięgnąć, a pancerz narastał do wewnątrz.

– Jak się miewa twoja jaszczurka? – odezwał się w końcu, bez przerwy głaszcząc bagnet. – Od

dawna nie słyszałem, jak pełza po domu.

Wtedy podeszła do drzwi, a otworzywszy je, zobaczyła chłopca siedzącego na stołku przy wielkim regale z książkami, miał siedem lat, nie umiał czytać, był za stary, by mówić, był za stary, by cokolwiek mogło go cieszyć. Kolejno zdejmował z półki po jednej książce, kartkował każdą z roztargnieniem, jakby wyłącznie po to, żeby czymś zająć palce, jego wzrok ani na sekundę nie zatrzymywał się na ilustracjach, w końcu znużony upuszczał książkę na podłogę obok siebie, a opróżniwszy w ten sposób cały rząd, siedział dalej bezwładnie na stołku, ze zwieszonymi rękami, beznadziejnie zmęczony, zgarbiony, z szeroko rozchyłonymi kolanami i zimnym spojrzeniem sączącym się przez filtr beznadziei.

– Jaszczurka ma się dobrze – odparła, po czym zamknęła drzwi. – Zabiorę go w podróż, jeśli dasz mi pieniądze, i wrócę do ciebie bez niego albo wcale.

I pojechali. Och, jak bardzo cierpiała od spojrzeń ludzi w przedziałach kolejowych, w jadalniach, okrętowych salonach i biurach celnych. Widziała, jak te dobrze wychowane spojrzenia z roztargnieniem prześlizgują się po ciele chłopca, by zaraz pozornie zająć się czymś innym, choć tak naprawdę trzymały się go jak rzepy, tak, chłopiec cały był pokryty bezlitosnymi oczami, gęsto jak znaczki pocztowe oblepiały mu twarz, a myjąc go co wieczór, miała wrażenie, że woda mętnieje od obcych oczu, które zostawiają na dnie miednicy ohydny osad.

Och, jakże go nienawidziła w czasie tej podróży z kompletnie obcymi ludźmi. Demonstracyjnie, powodowana okrutną potrzebą dręczenia zarówno siebie, jak i jego, ścisnęła go za ramię, aby brutalnym gestem pokazać mu mijane właśnie osobliwe budowle, niezwykle zwierzęta w różnych miejskich ogrodach zoologicznych, na widok których każde dziecko z pełnym grozy zachwytem rozdziawiłoby buzię, albo dziwne typy, od jakich roilo się w pewnych miastach portowych, lecz chłopiec wszystko przyjmował jednakowo zimnym spojrzeniem, jednakowym wykonywanym prawą ręką gestem beznadziejnego braku zainteresowania, a ona zauważała, że ludzie, widząc, jak chłopiec odpłaca jej za te starania, ukradkiem się śmieją, z rozbawieniem odwracają twarze.

A jednak będąc z nim sam na sam, z bolesnym zdumieniem zdawała sobie sprawę, że mimo wszystko go kocha. Kiedy zasypiał wieczorem, zakrywała mu twarz prześcieradłem, brała go za rękę, głaskała ją i całowała, tak, czasem przez całą noc w ogóle nie spała i w podniosłym otumanieniu, jakie często jest wynikiem długotrwałego czuwania, wydawało jej się, że jakaś przemiana, wyraźna i dogłębna, musiała dokonać się w chłopcu przez noc, zmęczona twarz starca spłynęła, ustępując miejsca nowej, łagodnej twarzy dziecka, wciąż jeszcze pełnej niepokojów i nadziei. Z czułością, niezwykle ostrożnie odkrywała głowę chłopca, ale pod prześcieradłem nic się nie wydarzyło. Wówczas zalewało ją rozpaczliwe gorąco i wychodziła na pokład, na peron, lub hotelowy korytarz, zależnie od tego, gdzie akurat byli, żeby ochłonić, żeby wyśliznąć się okrutnej pokusie, która zawsze paliła opuszki jej palców, ilekroć to się działo. Och, jakże marzyła o absurdalnym zdarzeniu, fantastycznym przeżyciu, które porwałoby ich z mocą gwałtownej fali przyboju, niechby zjawił się jakiś straszliwy potwór i sprawił, że te wiecznie zamknięte na kłódkę usta rozdziawią się szeroko, te zamrożone oczy pękną wokół przerębli szczerzego przerażenia, a to martwe ciało zdrzży z bólu i rozpaczy.

Dotarli daleko na wschód, pieniądze im się kończyły, lecz teraz nic nie miało znaczenia prócz tego, by szukać zwierzęcia, zdarzenia i strachu. I kiedy odpłynęli z Rontonu, rozpętał się sztorm, wszystkich cisnęło pod pokład, przetasowało jak karty, ich cechy jakby pozamieniały się miejscami, wędrując z jednego na drugie. W końcu z wielkim wysiłkiem wyrwała się z chaotycznej wspólnoty strachu i popędziła przez toczący się pokład do skulonych pod schodami chłopca i kapitańskiego psa. Byli mocno w siebie wtuleni, plecy zwracając na zewnątrz jak tarcze, a ona przez mgiełkę choroby morskiej i miękką błonę strachu spostrzegła, że dygotanie

obu ciał jest identyczne, jakby pochodziło z jednego ciała. Och, pomyślała, teraz przynajmniej dygocze, i wróciła jej nadzieja. Drżącymi rękami przewróciła go na plecy, żeby zobaczyć zdeformowaną ludzkim strachem twarz. Potem upadła zrozpaczona na pokład i zsunęła się ku grodzi, nie będąc już w stanie bronić się przed wszystkim, co się na nią waliło. Och, jakże jaszczurczo zimne miał oczy, kiedy na nią spojrział, czuł zwierzęcy strach. Jaszczurka odnalazła psa, pies jaszczurkę, zwierzę zwierzę.

W czasie katastrofy grodzie pękła i chlusnęły na nich grube strugi wody, salon prędko się nią wypełniał, a oni, podtopieni i prawie oślepli, ruszyli w bród do schodów. Ktoś kogoś popchnął, ktoś upadł w wodę i utonął z bulgotem, a kiedy statek powoli przewracał się na bok, poturlał się pod wodą do szerokiej szczeliny.

Nikt tego nie zauważył, na ciasnych schodach na pokład każdy walczył o swoje, stopa w stopę, ramię w ramię, kolano w kolano.

Trochę bolały ją knykcie, knykcie, które trafiły chłopca w szczękę, wtedy na schodach czuła tylko tyle. Na pokładzie runął na nich sztorm, maszty łamały się i z ciężkim dudnieniem uderzały o reling, ludzi uwijających się przy szalupie ratunkowej bez przerwy powalały zielone fale, z sykiem przelewające się przez rufę, nagle w kipieli na przednim pokładzie zawirowała klatka z papugą kucharza i zaraz została bezlitośnie splukana. Szalupa z bezlitosną prędkością urwała się z żurawika, zesłała na wodę, nie roztrzaskawszy się o bakburtę, lecz po chwili bez wyraźnego powodu przekoziołkowała i znikła, a potem biała czapka kucharza, obracana wiecznym wirem na pokładzie, nie miała dosyć rozumu, aby zatonać, a potem ona sama wpadła w ten diabelski kocioł, wyciągnęła rękę po czapkę kucharza, zanim wszystko zniknęło jak w narkozie.

W jakimś stopniu na jej życie składały się złe przebudzenia ze złego snu, krótkie ozdrowienia po przewlekłych chorobach, drobne gorzkie chwile przytomności po niekończących się narkozach.

Jeszcze się nie obudziła, lecz coś w niej zostało rozbudzone i podstępnie, zdradziecko szykowało już to, co miało nastąpić później.

Istnieje wysoka ściana utraty przytomności, ciągnąca się od najniższych podłóg po najwyższe stropy, i człowiek oczywiście wie, że nie ma nadziei, że jest to najokrutniejsza ze ścian i najbardziej milcząca, jedyna ściana na świecie, która potrafi dochować tajemnicy, i ma przy tym krępującą cichą świadomość, że coś się dzieje po drugiej stronie, gdzie odzywają się głosy, zrazu nieznanym, powoli jednak dające się zidentyfikować, gdzie rozlegają się dźwięki, no i to stukanie, to mocne stukanie, to upiornie znajome trzaskanie – o, gdyby tak ściana pękła.

Tak, wie to, jeszcze zanim się obudzi, powoli, jak otwierające się nad ranem jeziorko w lesie, wraca do przytomności, ciepło napiera na jej kończyny, po omacku szuka czegoś, czym mogłaby się okryć, ale niczego nie znajduje i mimo że zna już niepojętą prawdę, przekręca bolącą głowę w górę ku skałom i sztywnieje na ten widok: cała jej skała usiana jest brunatnymi jaszczurkami, zastygłymi w upale, tylko ciała coraz to nowych jaszczurek twardo stukają o kamień. Nagle spostrzega, że oczy ich wszystkich zwrócone są na nią, ma wrażenie, że góra zaczyna sunąć w jej stronę wraz z całym swoim przerażającym brzemieniem, i znów wyslizguje się przez opiekuńcze obrotowe drzwi utraty przytomności.

Następnym razem jest noc, nieopodal płonie ogień, otula ją ciepła tkanina, a obok ktoś leży i chyba śpi. Przez piach ktoś nadchodzi, przystaje, pochyła się nad nią i wkłada jej coś do ust, daje jej pić, ona łapczywie przełyka, a potem liże dłonie karmiącego.

No i te świty, kiedy jaszczurcze trzaskanie kłuje w całym ciele, te jaszczurcze poranki, dnie, zachody słońca, zmierzchy, wieczory i noce. Bezustannie kurczyła się jak mięsień, wyczekując w bezruchu, przesiadywała przy ognisku, niezdolna już cokolwiek poczuć, cokolwiek pomyśleć, cokolwiek powiedzieć. Chciała opłakiwać zmarłego, ale odkryła, że kroczy po szklanych

dachach apatii i nie zna drogi w głąb smutku. Chciała żałować tego, co się stało, ale coś w niej przestało działać, była martwa i niema. Ale co zrobić?

Potem zabiła jaszczurkę.

Odprowadzana spojrzzeniami wszystkich powędrowała tego dnia o zachodzie słońca po skałę na płaskowyż, kamień znalazła w trawie, a jaszczurka wyszła z półmroku, została przewrócona na plecy i zgnieciona. Dlaczego to zrobiła, dlaczego zabiła jaszczurkę? Tak, w pierwszej chwili nie wiedziała, nie był to żaden od dawna opracowywany plan, który gwałtownie wprowadziła w życie, kiedy wchodziła na skałę, nic jeszcze nie było jasne, coś majaczyło w jej świadomości, ostre i podniecające – ale co?

Kiedy jednak kapitan sprowadzał ją pod ramię z miejsca zbrodni, obmacywała tę nową miękkość w sobie, swobodne poczucie wyzwolenia od tego, co się stało. Muszę wiedzieć, jakie to uczucie zabić jaszczurkę, myślała, muszę to wiedzieć, żeby móc stwierdzić: nigdy wcześniej tego nie zrobiłam, nigdy wcześniej nie przewróciłam gada na plecy, by kamieniem trafić w delikatny punkt na jego brzuchu. A więc chłopiec nie był jaszczurką, więc mimo wszystko był człowiekiem, inaczej się czuła, uderzając go, było to o wiele czystsze, tylko ten krótki ból w knykciach i po wszystkim.

Smutek zamknął się wokół niej, ów błogi smutek, który pozwala wszystkiemu zniknąć, który z jednakową zachłannością pochłania niedobre pragnienia i chamskie pożądanie, nienawiść i miłość, tak przyjemnie jest po prostu zanurkować z nadzieją, że cało i zdrowo wypłynie się znowu, kiedy wszystko się dopełni, kiedy żal się nasyci, kiedy ustąpi lęk. Lecz nawet w smutku kryją się zdradliwe punkty, na dnie pracują nurkowie, wbijają długie szpadle w szlam, obrazy ze wspomnień, którym pozwoliło się popłynąć równie łatwo jak łzom, niewinne i pozornie bez kontekstu, splotły się nagle w twarde jak żelazo łańcuch, na którego bezlitośnie dławiającą logikę nic nie można poradzić. Stale powracają schody, stromo wiodące z salonu na pokład, po obu ich stronach biegną poręcze zakończone masywnymi guzami z mosiądzu, a żelazne okucie stopni podzwania pod stopami. Pies zawsze wbiega i zbiega ze schodów u boku kapitana, w cieniu pod nimi siedzi chłopiec, chłopiec wciąż tylko siedzi, brodę podpira ręką, morze go nie interesuje, włócznie nie mają mu nic do powiedzenia. Podczas sztormu kołyszą się lampy, huśtają się szeroko na hakach, i nagle w ścianie salonu otwiera się szeroka szczelina, przez którą do środka chlusta woda.

Ona zostaje prawie do samego końca, choć woda szybko się podnosi, a przechył sprawia, że coraz trudniej jest dotrzeć do schodów. Stoi na pierwszym stopniu prawie po kolana w wodzie, w jej stronę bnie chłopiec i chce ją wyminąć, ona pozwala mu pokonać pięć stopni, po czym wyprzedza go, a cios, który odrzuca go do tyłu w wodę, pada tak szybko, że sama ledwo to zauważa. Ale oto schody są puste i długie, i strome, i ciche, widok tych pustych schodów, po których szybko podchodzi woda, prześladowuje ją na samym dnie smutku, aż wreszcie dociera do niej, że coś musi się z nią stać ze względu na te puste schody. Dlaczego go uderzyła, dlaczego pozwoliła mu umrzeć?

Jeśli to była jaszczurka, znenawidzona jaszczurka, to czy może teraz ją oplakiwać, dać się z taką przyjemnością pograć? Ale jeśli zabiła tego, kogo oplakuje, brzeszczot musi także zwrócić się przeciwko niej, ze schodów spadł ukochany człowiek, powalony jej ręką.

Teraz otwiera oczy i widzi, jak widnokrąg drży ponad niewidocznym już słońcem, kilka ostatnich pociągnięć smyczka czerwieni gra jeszcze na niebie i we włosach młodej Angielki.

Wówczas czuje, jak rozpacz narasta w niej niczym filar, i żeby jej nie rozerwało, żeby nie skruszyło jej głowy, wstaje i puszcza się pędem, jak zwykle odprowadzana spojrzzeniami pozostałych, biegnie w górę po skałę, przez trawę, na łądogach światło zachodu migocze gdzieś gdzieś jak rosa. I widzi jaszczurkę, która wygląda, jakby spała albo nieskończenie powoli

dokądś szła. I pada na kolana, i spękanymi ustami całuje powoli miękący pancerz jaszczurki,
stara hipokrytka.

Posłuszeństwo o zmierzchu

O zmierzchu Boy Larus, lotnik, stawał zwykle na najwyższej skale, gdzie docierał tylko wiatr, obozowisko przesłaniała zieleń, o tej porze głęboko granatowa, a przez niego ciężkimi falami przetaczała się cisza. Rany w pachwinach wyglądały z każdym dniem gorzej, bez przerwy czuł w nich gryzienie, jakby dwa zwierzątka o ostrych zębach, po jednym w pachwinie, wgryzały się z każdą godziną głębiej. Ostrożnie badał rany dłońmi, lecz niezwykłą wrażliwość palców, która zawsze wprawiała go w zakłopotanie, choć w skrytości ducha czuł zachwyt, zniszczył dokuczliwy piasek, twardość skał i żrąca woda, wyczuwał tylko jakieś obumarłe zgrubienie, a to nie mogła być prawda. Kiedy zaszyty w niedostępnym miejscu obejrzał rany, jego uwagę zwrócił przede wszystkim fakt, że zupełnie jakby były żywe, łapczywie odrywają jego ciało. Co prędzej wrócił do obozu, czując bez przerwy, jak zwierzątka wykorzystują jego słabość. Na miejscu szepsem poprosił miss Hardlock o kawałek tkaniny:

– Jest parę ran, które trzeba opatrzyć – powiedział niezgrabną angielszczyzną. – Parę dość trudnych ran, których sobie napytałem.

– Och – odparła – mogę panu pomóc – a spostrzegłszy jego zmieszanie i strach, że się wyda, spytała: – Ile panu potrzeba?

– Och, naprawdę niedużo – zapewnił, po czym zniknął w trawie z kawałkiem tkaniny. Naturalnie opatrunek nic nie pomógł, nie były to przecież otwarte rany, tkanina wprawdzie trochę grzała, lecz wystarczyło, że wykonał gwałtowniejszy ruch, a zjeżdżała po nodze i w ogóle sprawiała tylko kłopot.

Wspinaczka bardzo go zmęczyła, jego stan chyba szybko się pogarszał, nie miał już odwagi oglądać ran, gdyż macając okolice pachwin, przeraził się, jak szybko rosną. Pokusa, by popatrzeć, była wielka, świerzbiły go palce i żeby nie ulec, musiał czasem na gwałt znaleźć sobie jakieś zadanie, z groteskową gorliwością zajmował się chyba całkiem niepotrzebnymi rzeczami. Poza tym za dnia było znośnie, gdyż spojrzenia pozostałych, czujność pozostałych nie pozwalały mu posłuchać najskrytszych chęci, kiedy jednak się ściemniało i nikt już nie mógł go kontrolować, robiło się to przeraźliwie trudne.

Można by kontrargumentować, że przecież w ciemności rany są niewidoczne, a w każdym razie nie tak żenująco wyraźne jak w jasnym świetle dnia, najwyżej mającą niby ciemne cienie, znacznie ciemniejsze niż skóra ud i lekko wypukłe, ale zmierzch na wyspie – który wprawdzie trwa zaledwie ulotną chwilę, lecz to wystarczy, by ktoś, kto z lękiem tego wyczekuje, zdążył upoić się widokiem dwóch ran – charakteryzuje osobliwie ostre światło, światło skazane wprawdzie na śmierć i powoli duszone przez ciemność, lecz boleśnie ostre, jak gdyby zielona błyskawica, świecąca trochę dłużej niż zwykła błyskawica, rozdzierała świat przez to rozwlekłe mgnienie oka, żądając, aby bezwzględnie wydać jej wszystkie tajemnice.

By nie cierpieć z powodu tej słodkiej pokusy – słodkiej, gdyż właśnie jej osobliwych cech okrutnej rozkoszy, boleśnie wibrującego, brudnego zadowolenia obawiał się najbardziej – każdego dnia pod innym pretekstem: to chciał poszukać kamienia o ciekawym kształcie, to obejrzeć gwiazdę, której nie widać z ich kawałka plaży, to znów co innego, zwykł się szybko oddalać, cóż, to „szybko” jest względne, gdyż w miarę jak rany wciskały mu się coraz głębiej w nogi, jednocześnie zajmując coraz większą powierzchnię, chodzenie wiązało się oczywiście z coraz większym wysiłkiem, pod górę, a zwłaszcza stromo pod górę było mu niesamowicie trudno

iść, jednak wybrał właśnie tę trudną i uciążliwą drogę, bo kiedy wreszcie dotarł na nieduży płaskowyż z nagiego kamienia, wielkości lodowiska, położony pośrodku wyspy, górujący nad nią, doszczętnie przechodziła mu ochota, aby odsłonić rany i zachłannie łechtać je spojrzeniem. Czuł się jak na scenie, w bezlitosnym świetle reflektorów oglądany przez nagie spojrzenia, które krępują mu ruchy, zamykają go w normalnej przyzwoitości, nie pozwalają obnażyć się w tak straszliwy sposób.

Pod nim sunęły ptaki o wielkich skrzydłach, na które padało zielone światło reflektorów, niebo i morze prędko stapiały się z sobą, strzaskany statek wisiał na swojej podwodnej skale, na pokładzie nadal leżał masywny reflektor, przypominał skulonego człowieka, a każdy przecież musiał nauczyć się ukrywać rany, zarówno przed samym sobą, jak i przed innymi, nie okazywać bólu, panować nad sobą, aż pęknie i z diabelską prędkością zostanie przegięty w tył, i każdy przecież słyszał o spartańskim chłopcu ze skradzionym liskiem pod bluzą, który prędzej pozwoli, by lisek rozszarpał mu pierś, niż się przyzna. To dowód odwagi i wszyscy zostaniemy spartańskimi chłopcami, wszyscy pozwolimy, by rany rosły, aż całkiem nas pokryją i nikt nie będzie mógł szepnąć drugiemu: widzisz, on coś ukrywa, ale dobrze to robi, to godne podziwu, jak pozwala, by rany rosły, aż całkiem go pokryją, i nikomu nie zawraca nimi głowy. Dopiero kiedy będzie już na wszystko za późno, o ile w ogóle istnieje jakieś „za późno”, skoro od samego początku było za późno, ktoś się o tym dowie, ale oczywiście nic nie będzie można zmienić, gdyż rana, którą nosimy zamiast skóry, nieprzerwanie wrasta do wewnątrz, wwierca się z każdą chwilą bliżej mizernego jądra, które także stanie się jedną wielką raną, i jądro w tym jądrze, i jądro tego jądra, i wszystkie jądra, które wszystkie jądra noszą w sobie i które my nosimy w sobie, staną się ranami i powinniśmy udawać, że nic się nie dzieje, aż wielka rana, którą się staniemy, pęknie, my zaś niby ohydny strzęp wycięty z chorego palca olbrzyma spadniemy na ziemię i się rozbijemy, a ropa pocieknie na wszystkie strony. Będzie to znak, że panowaliśmy nad sobą dostatecznie długo, i wybaczcie, jeśli jesteśmy bezwzględni, dotychczas nie byliśmy tacy, ale kiedy wsiedliśmy do samolotu, ktoś krzyknął do nas: Chłopcy, Boy, Esper, Loel, Grenn, przy spadaniu weźcie pod uwagę, że gospodarstwa stoją blisko siebie, więc jeśli jedno zostanie trafione, pożar łatwo się rozprzestrzeni na pozostałe i skutecznie oświetli elektrownię pod kątem bombardowania, a rana, którą ja, Boy, nosiłem w sobie, dobrowolnie pokiwała głową, bo była to posłuszna rana i z pewnością myślała, że posłuszeństwo dobrze ranom robi, ponieważ kto jest posłuszny i dochowuje wierności zadaniu, które mu kazano poślubić, a w tamtym roku wszyscy po amputacji musieli poślubić tych, co amputacji jeszcze nie przeszli, tak więc kto jest posłuszny, czuje poprzez stulecia, jak spartański chłopiec oddycha ciężko, a z jego chudej piersi wypływa krew.

Może był to zwykły przyszczaty chłopiec, taki sam jak ty w czasach, kiedy w kieszeniach wiecznie nosiłeś łupiny fistaszków, śmiejąc nimi po bramach i kłatkach schodowych, oczywiście pewnie miał grecki profil, ale jego ramiona równie dobrze mogły być cherlawe, a plecy krzywe i mógł chyba być piegowaty, kiedy tak z liskiem pod bluzą stał przed obliczem surowych panów oskarżony o kradzież, z niezłomnym postanowieniem, że prędzej umrze, niż da sobie wycisnąć z ust przyznanie się do winy albo krzyk skargi. Mógł przed chwilą coś jeść, orzechy albo kleik, jeśli w tamtych czasach istniał kleik, i mieć jeszcze ślad po mleku albo miodzie na górnej wardze, którą dolną wargą uparcie przyciskał do zębów. Surowi panowie w togach – nie, takie rzeczy przecież nosili Rzymianie – może nie brali całej sprawy zbyt poważnie, choć tak się to przedstawia, kto nie machnąłby ręką na jakiegoś liska, w starożytnej Sparcie znalazłoby się chyba jeszcze kilka lisków poza tym konkretnym, może po prostu droczyli się z chłopcem, udawali dwa razy bardziej surowych, niż faktycznie się czuli, po krótkiej chwili nieprześlągananej surowości mieli uśmieć się pełną gębą, wyzwalając, i pozwolić chłopcu pobiec na słońce,

wołając za nim, żeby nie brał wszystkiego tak cholernie serio, bo tacy frajerzy są tylko w Atenach, gdzie całą zabawę psują rozporządzenia o ochronie zwierząt i puste gadanie.

Tymczasem jednak, zanim to wszystko nastąpiło, całe to wyzwolenie, uwięziony lis coraz głębiej i głębiej darł pazurami pierś chłopca i pod bluzą na pewno już płynęła krew, i jeśli chłopiec nie miał długiego płaszcza albo oponczy do ziemi, powinna niedługo zacząć ciec mu po udach i nogach, co przynajmniej część oskarżycieli chyba zauważy i krzyknie: Patrzcie, przecież chłopiec krwawi, trzeba mu pomóc, a może zresztą pozwoli, żeby sobie krwawił, zwykła sprawa, a Loel, który siedział przy karabinie maszynowym, został trafiony w ramię, musiało mu przerwać tętnicę, bo gwałtownie zbladł i upadł na twarz, i nic się nie dało zrobić, bitwa już się zaczęła, a w dole pościg wroga narastał falami, posyłał strone wiązki ognia śmigające bokiem, a nad głową huczało, jakby konie poniosły ogromny zaprzęg, i coś wielkiego, czarnego, co chyba chciało pochłonąć całą ziemię, ślizgało się jak po lodowisku odrobinę na prawo od lewego skrzydła i zatrzymało się dopiero w zbiorniku przy elektrowni, a w łunie bijącej z ośmiu płonących gospodarstw przez lament strzałów słychać było, jak cisza ponownie zamyka się nad zatopionym płonącym samolotem, później wzbił się ku tobie mocny, cienki i wściekły słup czarnego dymu, a po nim wielka, wszechogarniająca biała chmura.

Z Loela tymczasem uchodziło życie, głupio temu zaprzeczać, i pewnie już od dosyć dawna był martwy, kiedy na lotnisku w Berlingu wyniesiono go z samolotu i bezceremonialnie przewieziono do nieużywanego garażu służącego za kostnicę, przecież trwała wojna, można argumentować, a spartański chłopiec powinien chyba to przeżyć, co to zresztą za lis, który nie piszczy, dusząc się pod blużą, chociaż może był to isticie spartański lis i rozumował tak: jeśli się na pięć minut zamknę i tylko będę szarpał chłopcu pierś, aż upadnie i umrze z utraty krwi, przejdę do historii jako lis, o którym przez wieki będą pisać w podręcznikach, niezwykle ważny lis, który zyska ogromne znaczenie dla filozofii i w ogóle dla ludzkiej myśli, wobec tego może warto zamknąć się na pięć minut, bo normalne lisy się wydzierają, a lis, którego ja, Boy Larus, w wieku ośmiu lat trzymałem pod blużą, żeby zostać sławnym, ten lis piszczał jak cholera i wszyscy w kuchni zaczęli się na mnie gapić, a ciotka Anna puściła rączkę separatora tak gwałtownie, że pamiętam, jak dzwonek alarmowy, który niezgorzej dzwonił, kiedy się za wolno kręciło, tylko cicho westchnął, rozdarła na mnie bluzę i wyciągnęła liska, a ja miałem ledwo kilka dziurek w podkoszulce, dostałem w twarz i musiałem iść do łóżka bez kolacji, chociaż tak bardzo starałem się być dzielny.

A jednak rana w środku nie stała się od tego mniejsza, mamó, chcesz obejrzeć moją ranę, ale kiedy rozpięto kaftanik i zrolowano skarpetki, skóra wszędzie była cała i nigdzie nie leciała krew, nic nie nabrzmiało, nie spuchło ani się nie zaczerwieniło. Wiecznie wychodziło na jaw, że jestem kłamczuchem, aż w końcu: być posłusznym znaczyło w spokoju czuć, jak rana rośnie, nie utożsamiać się ze swoim bólem, nie informować ani osób nieupoważnionych, ani nawet samego siebie o tym, że rana piecze, zajmuje kolejne partie ciała, aż zapalenie stawało się niezbędne do życia, a żyć znaczyło być posłusznym, a być posłusznym znaczyło nigdy niczego nie chcieć, być posłusznym znaczyło przyjmować i przekazywać dalej to, co nie miało zostać, to zaś, co nie miało zostać przekazane dalej, zostawiać, żeby powstały nowe rany, być posłusznym znaczyło przemilczeć, jak kochanek mamy traktuje twoją siostrę Betsy, być posłusznym znaczyło stać z całą klasą nad otwartym grobem i zdierać sobie gardło, śpiewając na mrozie „Spójrz, jak wielkich ludzi powiła ojczyzna, spójrz na te wieńce uplecione z chwały”, chociaż każdy wiedział, że męzczyzna utopił się, „sprzeniewierzywszy kasę drogową i fundusze sądu okręgowego, i co tam jeszcze mu się nawinęło, a potem być posłusznym znaczyło – Nie, Loel pewnie i tak by umarł, nawet gdybyś postąpił w pewnym sensie niezgodnie z instrukcją, ale co stało się z Brosiusem, taa, kto to wie. I to też było takie idiotyczne, kiedy we dwóch znaleźli się w rowie

pod tarczą strzelniczą, Brosius wpadł na idiotyczny pomysł, postanowił wspiąć się na tarczę i nakleić trzymarkowy znaczek w miejscu, gdzie generał po raz pierwszy trafił, bo gdy tylko złapał uchwyt na ścianie, nawet nie zdążył się podciągnąć, zasyczał rykoszet i rozpruł mu szyję, żył jeszcze i tarzał się po ziemi, jakby się z kimś mocował, ale przecież nie dało się pobic przez pole po pomoc, ponieważ właśnie odbywało się strzelanie, a kiedy nagle zostało przerwane i jedyny odgłos, który rozbrzmiewał, który rozbrzmiewał tak ogromnie, tak okrutnie i tak straszliwie, że uszy człowiekowi mało nie odpadły, to był odgłos powolnie umierającego ciała Brosiusa, który wił się w żwirze jak robak, w kółko i w kółko, no więc kiedy strzelanie się skończyło i ktoś wrzasnął do telefonu: Zaznaczać!, człowiek oczywiście próbował krzyknąć: Ale, ale...

Zaznaczać!, i rzucono słuchawką, człowiek oczywiście próbował dzwonić na strzelnicę, ale telefon działał tylko w jedną stronę, i oczywiście dałoby się teraz przebiec przez pole i wykrzyczeć, co się stało, ale skąd można było wiedzieć, czy strzelanie nie zacznie się zaraz od nowa, a człowiek nauczył się opuszczać okop dopiero na rozkaz, a poza tym: kto mógł przypuszczać, że z Brosiusem jest aż tak źle, przecież tak energicznie turlał się w tę i z powrotem, musiało to chyba znaczyć, że ma jeszcze siłę i tylko go boli, a teraz leży spokojnie, co może chyba znaczyć, że już go nawet nie boli, kwestia paru minut, ale padł rozkaz, żeby zaznaczać, na łopacie pewnie była krew, kiedy zaznaczał, tylko na trzonku, nie mogło być widać z nasypu strzelniczego, za to na dłoniach, Brosius leżał na brzuchu, nieruchomo, i gdyby mieć czas, żeby się pochylić i sprawdzić, co z nim, ale właśnie zaczęło stukać na całej linii i wszystkich dwanaście tarczy zostało rozerwanych jednocześnie, a skrawki papieru pożeglowały do rowu i nadleciał cierpki śrutowy dym, po czym z wolna oddalił się w stronę lasu, a strzelanie trwało jakby nigdy nie miało się skończyć, telefon martwo milczał, a kiedy późnym popołudniem ktoś przyszedł go zmienić i spytał, jak długo Brosius nie żyje, odparł: No, tak ze cztery godziny.

I nikt nie mógł pojąć tej perwersyjnej przytomności umysłu, takiego braku szacunku dla śmierci, nikt nie wyobrażał sobie jego panicznego strachu i tego, jak się miotał w rowie, wlokąc zakrwawiony szpadel i własną żalostną rozpacz, i własną przeraźliwą skruchę, i własne okrutne tchórzostwo, które mu zaszczepiono, „dlatego że tak ma być” i dlatego że trzeba się słuchać matki i ojca, i wszystkich matek i ojców na świecie, wszystkich dowódców i przełożonych, wszystkich zarządzeń i ustaw, i rozporządzeń, i przepisów, i murzyńskich wodzów, i policji dla turystów, i wszystkiego, co jest duże i silne, i zdrowe, i ma do dyspozycji mięśnie, tors i autorytet. Siedział w więzieniu, konstruując jedną mowę obrończą za drugą, żeby zawałiła się ta władza, gdyż teraz to już chyba naprawdę zostało udowodnione, jak nieludzka i okrutna, owszem, jak śmiertelnie okrutna, w sensie dosłownym, jest władza, która kazała mu zostać i zaznaczać, gdy jego towarzysz wykrwawiał się na śmierć, przed sądem jednak wypadł blado i ni w ząb nie mógł pojąć, że wszyscy zgodnie poświadczają, jak łatwo by było zawołać przez telefon: Halo, zdarzył się wypadek, trzeba na chwilę przerwać strzelanie, i nikt chyba nie rozumiał, że nie mógł tego zrobić, ponieważ pokazywanie swoich ran zarówno sobie samemu, jak innym jest surowo zabronione. Wszak ci hipokryci w pozłacanych maskach, zarzucający mu niejedno, wiedzieli doskonale, że postąpiliby identycznie, gdyby właśnie ich to spotkało!

Ale ich to nigdy nie spotkało i to było najdziwniejsze: to zawsze spotykało jego, nikomu nie przytrafiały się równie głupie sytuacje jak jemu, on zawsze wdawał się przypadkiem w najbardziej niedorzeczne konflikty, a potem wszyscy twierdzili, że postąpił idiotycznie, może po prostu od urodzenia miał pecha, skoro nikt inny w całym pułku, ba, prawdopodobnie we wszystkich pułkach świata i prawdopodobnie w ogóle na całym świecie, tylko on – można chyba powiedzieć: z autentycznego strachu, że postąpi źle, i z jeszcze większego strachu, że nie okaże posłuszeństwa – na przykład wzywał strażnika do każdej kompletnie nieważnej osoby, jaka

pojawiła się w zasięgu wzroku, albo przydzielał swoim przełożonym inne, oczywiście wyższe stopnie niż te, które naprawdę mieli. Nie, nie urodził się pechowcem, a kiedy najgorsze minęło, kiedy zdołał zdyscyplinować swoje posłuszeństwo i lojalność zamknęła się wokół jego istoty jak łupina orzecha, wszystko stało się lepsze i lżejsze do zniesienia, a on z godną podziwu energią rzucił się na przydzielone mu zadania.

Jeszcze chyba pamięta spadochron, który trzeba było wypróbować, wymagający pięćdziesięciu ośmiu ruchów od włożenia do skoku, opanował je perfekcyjnie, bardziej perfekcyjnie niż inni, mechanicznie odliczał sekundy dzielące go od drzwi, w które jeden za drugim nurkowali z rozłożonymi rękami, i tamtego dnia w kolejce podmiejskiej, czy to z powodu ciepła, czy z jakiejś innej przyczyny rozsuwane drzwi były otwarte, on jechał przyciśnięty do ściany, przed nim stał człowiek z plecakiem podobnym do spadochronu i ten człowiek nagle odsunął się na bok i zniknął mu z oczu, i Boy raptem znalazł się w samolocie, zaczął cicho odliczać i jak zwykle zamknął oczy, chwiejnym krokiem pokonując odległość dzielącą go od drzwi, złapał za kant, żeby nabrać rozpędu, i już puścił, i już szykował się do skoku, gdy ktoś brutalnie szarpnął go do tyłu.

Żenująca sytuacja, nikt by nie uwierzył w jego tłumaczenie, że myślał, iż jest w samolocie, bo jak można pomylić samolot z tramwajem, każdy zapyta.

Ten człowiek chciał popełnić samobójstwo, mówi zażywny jegomość, który go uratował, puchnąc z własnej wspaniałości, ale złapałem go w ostatniej chwili, a wszyscy pasażerowie wstają ze swoich miejsc i patrzą na niego z naganą, z wyrazem milczącej pogardy na ustach, który znaczy: Niech pan sobie popełnia samobójstwo, ale nie w naszej obecności, mój panie, nie życzymy sobie widoku krwi, przesłuchaj świadków i innych związanych z tym nieprzyjemności – a biedny Boy musi wysiąść na następnym przystanku.

Tak to już jest z posłuszeństwem, że potrafi obrócić się przeciwko tobie, że dla wszystkich jest praktyczne, tylko dla ciebie rzadko, że zmusza cię do największych szaleństw, a potem musisz cierpieć i nawet nie możesz zwalić winy na kogoś innego, bo i tak nikt ci nie uwierzy. Jak taki wariacki pomysł mógł przyjść panu do głowy, pytają z szyderczym uśmiechem. Ja tylko wykonywałem rozkaz, odpowiadasz bez szyderczego uśmiechu, tylko wykonywałem rozkaz. Ależ to niemożliwe, mówią, w tej kwestii nie było żadnego rozkazu, a skoro nie było rozkazu, to kogo pan słuchał, Boga, diabła czy innego skurczybyka? Po tej naprawdę bystrej replice zaczynają rzeć ze śmiechu, nie słuchają twoich nadaremnych wyjaśnień. Nie widzą rany, która powoli cię zarasta, rany, która zaczyna się tuż poniżej kołnierzyka, zostawia w spokoju głowę i gołe dłonie, ale poza tym zalewa całą powierzchnię ciała.

Boy Larus chodził o zmierzchu po skalnym płaskowyżu wielkości lodowiska, dokąd musiał uciec ze swoimi ranami w pachwinach, żeby go nie kusiło obnażanie ich przed samym sobą, rozkoszowanie się nimi, smakowanie ich z dręczącym bólem.

Tymczasem ciśnięta w świat wielka błyskawica wieczornego światła osmałiła plamkę tej wyspy, na której sześcioro ludzi cierpiało tortury razem swoim głodem, swoim pragnieniem, swoim smutkiem i swoim paraliżem. Noce przychodziły i mijały, dni przychodziły i mijały, ale głód, pragnienie, smutek i paraliż powracały każdego ranka odnowione, widział, jak rodzą się nadzieje, bruzdy goryczy wrzynają się głębiej, zarost staje się coraz dłuższy i bardziej nieokrzesany, ciała coraz brudniejsze i coraz bardziej cuchnące, włosy rosną coraz bardziej skołtunione i nieokiełznane, twarze powoli, lecz nieodwracalnie miażdży mordega, ubrania robią się coraz bardziej obwisłe, kawałek po kawałku rozdierane na ostrościach wyspy, plecy się garbią, coraz bardziej poddańcze, oczy coraz bardziej harde i obłąkane z braku snu i braku nadziei, skóra grubieje, coraz gęściej pokryta ohydnyymi wypryskami i spalona słońcem, stopy, coraz bardziej pokrwawione, obojętnieją na to, co depczą, słowa stają się nieliczne i coraz

bardziej pokrwawione, obojętniej na to, co depczą, usta spękane i sztywne, ręce chudsze i coraz bardziej bezradne, łokcie ostre i mizerne, skóra ciaśniej opina kości biodrowe, rzepki, żebra, obojczyki, kości łokciowe, kości policzkowe, kręgi, piszczele, kości udowe, nadgarstki, miednice i czaszki – a mimo to przebywał jakby w innym świecie, jakby się zabłąkał w menażerii: może nie zdąży wyjść, nim do środka wdrze się mrok, ale kiedyś przecież przyjdą strażnicy; biegał w kółko między zamkniętymi na klucz klatkami, przynajmniej miał nadzieję, że są pozamykane, na próżno szukając wyjścia, lew ryczał, ciężkie węże z szelestem wiły się za grubymi szybami, parę małp darło się dziko, niemiłosiernie jazgotliwie, a samotny tygrys wyskakiwał z głębi ciemnego pomieszczenia. Tak, nieustannie drżał ze strachu przed dzikimi zwierzętami, które wyzierały z oczu jego towarzyszy, z ich twarzy i ciał. Odnosił wrażenie, że nie mają żadnych zahamowań, a żadne rany nie są zbyt wstydlive, by je pokazywać, bezwzględność przerażała go tak bardzo, że chciało mu się krzyknąć, a co najgorsze, tak bardzo, że sam czuł dziką ochotę, by zedrzeć z siebie ubranie i ryknąć: patrzcie, ja też mam bolesne rany, które rozłazały mi się po całym ciele, wtapiają się we mnie i z bólu odchodzę od zmysłów.

Patrzcie na nie swoim zachłannym wzrokiem, pieścicie je zachłannymi dłońmi, całujcie zachłannymi ustami.

O, jakże się ich bał i jakie to było słodkie uczucie, kiedy zielona błyskawica wypalała ich z jego świata, z tego słodkiego świata gasnących nadziei, zdyscyplinowanego chłodu i beztlenowej beztroski. Podszedł do wału, który mógłby być dziełem ludzkiej ręki, tak regularnie wznosił się ze skały, tak dokładnie odpowiadał na czyjś lęk przed zasadzką, napaścią i wszelkim wyobrażalnym podstępem. Otaczał trzecią część jego płaskowyżu i miał czerwone pręgi jak żaden inny kamień na wyspie, na szczycie zaś dźwigał tajemnicze czarne wypukłości niby szkatułki o niespotykanym kształcie, Boy próbował wyobrazić sobie, co zostało wciśnięte w kamień i raptem przezeń zduszone w chwili tężenia. Podniósł kamyk, postukał w szkatułki, lecz nigdzie kamień nie był równie twardy jak tu, w efekcie powstało ledwie parę nędznych rys. Zaczął powoli przesuwac placami po nierównościach, zamknął oczy, próbując odrętwieć, żyć wyłącznie w palcach, czuciem niejako wdrzeć się pod twardą osłonę i odkryć, co jest w środku, podsłuchać dźwięk, jaki to coś uwięzione w kamieniu musi nadal wydawać po milionach lat niewoli.

Lecz on sam był martwy, palce miał niewrażliwe, jakby pokryte papierem ściernym, a jego ucho nie słyszało nic oprócz śpiewu wiatru, który z szumem pędził autostradą Zmierzch.

Och, dawniej jego palce były takie długie i wrażliwe. Zobaczysz, zostaniesz muzykiem, moje dziecko, mówiło zbyt wielu i faktycznie grał na karabinie maszynowym, miał najdłuższe palce w kompanii, był też taki jeden ton w samolocie, nie, nie w samolocie, w powietrzu wokół niego, przypominał melodię, jaką usłyszał kiedyś na pogrzebie, pojawiał się w chwili, gdy mieli zmieniać kurs, jednocześnie szybko się wznosząc. Teraz jego uszy też przedstawiały się marnie. Klęczał, gładził kamień, nasłuchując jego zniewolonego głosu, chociaż wiedział, że to bez sensu.

Nagle drgnął, gdyż pod nim coś gwałtownie się poruszyło, coś wspinało się ku niemu, coś bezgranicznie przerażającego, coś, co chciało się na niego rzucić i przegryźć wszystkie trzymające go przy życiu błony. Podniósł wzrok, lecz to tylko dym z ogniska zmienił kierunek, w zielonym zmierzchu żeglowały teraz długie czarne cienie, ze wszystkich stron napierała ciemność, a oslepiająco biały dym odchylił się nagle w bok i miękkimi pasmami powoli piął się ku niemu. Spojrzał w dół w kierunku obozowiska, lecz trawa i wysokie zarośla zasłaniały mu widok, statek tymczasem trwał w zwykłym położeniu na podwodnej skale, dziwaczne zielone światło zamarudziło jeszcze w niewybitych bulajach, a komin pochylał się nad mostkiem kapitańskim i wyglądało to, jakby wymieniał zwierzenia z masztem o szerokiej klacie, który odginał się do tyłu, jeszcze niezłamany, postawny wieśniak, z rękami w kieszeniach

przepowiadający pogodę na następny dzień, a czapka kucharza uczepiona metalowej liny niekiedy trzepotała w tę i z powrotem, jakby szukając głowy. Raptem zdało mu się, że w wodzie, która jeszcze lekko migotała, wyraźnie jednak świadoma zapadającej ciemności, coś płynie, i nagle się przestraszył, chciał zamknąć oczy, ale powieki nie opadały. W odległości pięciuset metrów od statku coś powoli dryfowało do brzegu, czy to człowiek, to coś białego, jakaś część człowieka, lekko wyniesiona prądem głębinowym?

Och, jakże wszyscy obawiali się tej chwili, gdy zaginieni zaczną powracać, wyrzucani na brzeg, a ich martwe członki będą obwiniać tych, którzy ocaleli, i co wtedy? Morze nie przyjmuje z powrotem swoich zmarłych, to nie jest tak jak z kamieniem ciśniętym w wodę, kiedy się wie, że opadnie na dno, by nigdy już nie dać o sobie znać, zmarłych nie można rzucić tam, skąd przyszli, nie będzie odwrotu, jedynie to uparcie cuchnące oskarżenie w przybrzeżnej wodzie, ta groźba, to wieczne przypominanie o ich nieodległym losie.

Po chwili wir zakreślił wolno tym czymś białym, konające zielone światło rzuciło blask błyskawicy i zobaczył, że to niesiony martwą falą do brzegu ptak. A więc owe kroki, przed którymi tak energicznie chciał się bronić, a one nie ustawały, to nie tylko wierzący w nosie dym, to również te ciężkie kroki skrzypiące w trawie, przedzierające się przez zarośla, stąpające po twardej skale, które przystanąły, jakby z wahaniem, potem jednak, po niekończącej się chwili uciążliwego oczekiwania, gdy skulony za wałem rozpaczliwie usiłował ochronić się przed tym nowym zagrożeniem, podjęły, niby niepewnie, lecz ani przez chwilę nie wątpiąc o celu, wspinaczkę ku niemu. I wszystko, od czego chciałby uciec, pozwalając, by obozowisko i sześcioro ludzi na plaży, i cały repertuar ich katowskich usług, i gryzące deklaracje, i nigdy nieucichłe powątpiewanie w siebie, i wszystko inne przetoczyło się przez wał i gruchnęło go w kark, aż pojękując, wyciągnąłby się na nagim kamieniu, bardziej nagi niż kiedykolwiek wcześniej, i oczywiście że dłonie Loela były piękniejsze niż jego, wszyscy nabijali się z jego wrażliwości, koniuszki jego uszu były zawsze bardzo czerwone i zawsze zdawały się drżeć od niewidzialnego przeciągu, aż powiedział ostatniej nocy, nocy poprzedzającej dzień, w którym wszystko się stało, a wszyscy jak zwykle po koleżeńsku nabijali się z niego, ponieważ nie mógł sobie odpuścić mycia zębów, cokolwiek by się działo i cokolwiek by mu groziło: Muszę umyć zęby, bo co będzie, jeśli przyśni mi się moja narzeczona i zechcę ją pocałować, a kiedy później leżał na miejscu strzelca i uchodziło z niego życie, może przecież coś by się dało zrobić albo i nie dało, gdyby człowiek był odważny, a on, twierdziło później wielu, powinien być, ale tamten już nie żył, kiedy wrócili na lotnisko, kilka osób go wyniosło, był kompletnie nieruchomy, a rozchylone wargi odsłoniły piękne białe zęby, które nie były wcale takie białe, jak człowiek sobie wyobrażał.

Ale tak to już było z tym posłuszeństwem, czy w ogóle można, jak mówili koledzy, być odważnym i jednocześnie chcieć posłusznie wykonywać wszystko, co człowiekowi każą, przestrzegać wszystkich instrukcji i przepisów sztabowych, i tabel we wszystkich życiowych kwestiach, bo przecież nie będąc posłusznym, człowiek właściwie nie do końca miał odwagę żyć, pomyłki wprost pchały się pod nogi, kiedy raz w życiu chciał zrobić coś po swojemu, i dlatego tak to jakoś było, że człowiek nie miał odwagi robić nic, co mogłoby zostać uznane za idiotyczne, bo przecież od samego początku nauczył się, że trzeba wątpić w siebie, a polegać na kimś, kto ma rację, kto wie lepiej i może powiedzieć, i powie, co należy zrobić, i jeśli ktoś zabił Loela, to przecież nie on, jeśli Preses, który był najlepszym przyjacielem Loela, krzyczał, że Boy zabił Loela, był niesprawiedliwy, a więc Boy miał prawo płakać, co faktycznie zrobił, i tarzać się po dywanie w messie, a ból krótkimi falami przebiegał jego ciało.

A on, jakże on kochał Loela, tak bardzo go lubił za tę wrażliwość, która go cechowała i której nie bał się okazywać, i ostatniej nocy, nocy poprzedzającej dzień, w którym wszystko się stało, a

oni jak zwykle nabijali się trochę z Loela, bo zawsze, cokolwiek by się działo i cokolwiek by mu groziło, mył zęby z uporem i starannością, Loel powiedział z tą swoją łagodną powagą, zawsze otwartą i żywą: Muszę umyć zęby, na wypadek gdyby przyśniła mi się moja narzeczona i miałbym ją pocałować, ona bardzo dba o takie rzeczy, i kiedy go później wynoszono z samolotu, a w Boyu coś oniemiało i zamilkło, zauważył, że zęby Loela nie są wcale takie białe, jak sobie zawsze wyobrażał, tylko żółtawe jak zęby palacza, i poprzez zobojętnienie poczuł dziwne ukłucie satysfakcji.

Tak, kroki podkładały się coraz bliżej, obcy złapał się krawędzi wału i to dyszenie, którym nagle na niego powiało, a kiedy przydybany spojrział w górę, kapitan położył na wale drugą rękę, ciężko dysząc po tym wielkim wysiłku. Z niemałym trudem wdrapał się na górę, on także wybrał sobie uciążliwą trasę wspinaczki, przez chwilę siedział okrakiem na wale, z lśniącym butem po właściwej stronie, obejrzał ostatek zmierzchu, który wkrótce się skończył, zniknął w objęciach ciemności, miał trochę tego zielonkawego światła na połowie czoła, w głębokim oczodole, na policzku z kilkudniowym zarostem i po jednej stronie szyi, gdzie pęczniała żyła, jakby gotowa pęknąć przy najmniejszym napięciu.

Kapitan stuknął butem w płaskowyż, niespiesznie, miał czas, w sposób dostosowany do nerwów Boya Larusa. Boy wstał zdezorientowany i nagle poczuł, że rany w pachwinach zaczęły go piec, lecz zanim jeszcze zdążył okazać swój ból, strach, który dopiero co go obleciał, teraz zniknął, a on spokojnie, jakby nigdy nic, zwrócił się do kapitana:

– No proszę, kapitan też na przechadzce podziwia świat.

Potem rozejrzał się dookoła, po płaskowyżu, po ciemnej trawie i morzu nadal jeszcze ozdobionym wzorem kilku cienkich, boleśnie rozciągniętych, ciemnozielonych pasm, i po niebie, które wznosiło się ciemno nad morzem, grożąc zapewne, że je przy dusi, jakby rzeczywiście było się czego bać, owszem, kilka gwiazd mrugało od czasu do czasu niczym czerwone świetliki tropikalne nocą nad czarnym sitowiem.

– Larus – odezwał się kapitan, bez przerwy kopiąc w kamień, żelazo z pewną nonszalancko podkreślaną regularnością stuknęło o podłoże. – Larus, pan coś przed nami ukrywa.

– Ależ kapitanie, skądże, chciałbym zapewnić, proszę przyjąć moje zapewnienie.

– Wcześniej nie chciałem nic mówić, myślałem: no cóż, każdemu coś jest, nie można żądać, by wszyscy podporządkowali się organizacji, chociaż ja przez cały czas miałem pełną świadomość, że efektywna organizacja wymaga uległości wszystkich, równego wkładu wszystkich. No cóż, byłem pobłażliwy, myślałem wręcz, może coś jest na rzeczy w tym, co mówi o kamieniu, którego chce poszukać, niegroźne hobby, którego nie powinno mu się odmawiać, mimo wszystko, panie Larus, sytuacja jest wysoce niepokojąca. Tak, muszę powiedzieć, że do tej pory patrzyłem przez palce na pańską skłonność do samotnictwa.

Boy Larus spuścił wzrok na mężczyznę balansującego na jego wale, na jego własnym wale, który odkrył własnymi oczami. Był wysoki, lecz nie tak wysoki, by pamiętało się go przede wszystkim ze względu na wzrost, poza tym sylwetkę miał mocną i chyba dosyć dużo ważył, ramiona mogłyby należeć do marmurowego posągu, takie brutalne, takie kształtne i zimne, i jeszcze ta twarz, twarz kogoś, kto przywykł rozkazywać, i ciągły wyraz troski opadający z kącików ust ku brodzie, i ten sam wyraz w brwiach, w linii biegnącej od nasady nosa i zaraz ginącej w siatce wokół ust. Lecz nie było w niej nic z tego, czego obawiał się najbardziej, nic z owych przegranych twarzy, które, pokonane przez głód, godziły się na eksplozję wszystkich dotychczas trwożliwie skrywanych tajemnic.

Już popychała go ku niemu dziwaczna sympatia, nie, nie była aż tak dziwaczna, bo oto przyszedł do niego jedyne człowiek, z którym jeszcze dało się wytrzymać, człowiek, który może miał swoje rany, ale je ukrywał, człowiek, któremu z radością byłby posłuszny, jedyne człowiek,

który jeszcze chciał zmusić go do posłuszeństwa, człowiek, który jeszcze mógł go uratować.

– Wszak obaj jesteście wojskowymi – powiedział kapitan. Teraz było już prawie zupełnie ciemno, w dole jaszczurki z szelestem biegły do swoich nocnych kryjówek. – Obaj nawykliście do dyscypliny, obaj nawykliście do posłuszeństwa i wiemy, co to znaczy. Proszę spocząć, porozmawiamy chwilę.

Boy Larus usiadł na wale, było mu niewygodnie, ale nie miał odwagi zmienić pozycji, mimo wszystko cieszył się, że został uratowany, rozpierała go duma, że może być posłuszny temu mężczyźnie, który bezustannie stuka butem z cholewą o jego płaskowyż, wiedział przecież doskonale, jak pięknie uformowany jest ten but, ilekroć polerował go trawą, piaskiem i liśćmi, zwracał uwagę, z jaką zachwycającą troskliwością wytwórcy podeszli do konstrukcji, but był tak dobrze zbudowany jak jakiś ratusz, z miejscem na wszystkie możliwe funkcje, stanowił harmonijną całość jak instrument muzyczny, a przy tym był w naturalny sposób twardy i brutalny jak drapieżne zwierzę.

– Proszę usiąść bliżej – powiedział kapitan, przysuwając się do niego. – Pamiętam, jak pewnego razu w Verdisse zajęliśmy pozycję na górze przy kościele i pod murem cmentarza rozpaliliśmy ognisko, było to małe ognisko z liści i kilku patyków, nie dało się przy nim ogrzać, ale rzucało przytulny blask, a równiny wokół Verdisse były cholernie samotne. Mieliśmy wrażenie, że jesteście sami nie tylko w Verdisse, ale na całym świecie, działo się to jesienią i zapadł już zmrok, a ja kazałem zapalić to ognisko, żebyśmy nie czuli się tak cholernie samotni.

Boy Larus z szacunkiem słuchał opowieści o tamtym ognisku, tamtym ognisku pod Verdisse, które musiało być absolutnie wyjątkowe, skoro kapitan teraz go o tym zapewnia, lecz interesował się tylko przez szacunek, oto pękały ostatnie pręgi zmierzchu, pojedyncze matowe błyski rozbiegły się po chlupoczącym morzu, które nabrało głębszego odcienia, jakby nakryto je pokrywką, a słuch wyteżał się, nasłuchując odgłosów spod tej pokrywki. Teraz wszystko było czystsze i lepsze, teraz dwa zwierzątka w jego pachwinach mogły sobie gryźć do woli, on już nie da się skusić, nie odsłoni ran, żeby zachłannie je oglądać, i nie dopuści, by rysy twarzy ostemplowało mu to samo bezwzględne, zwierzęce i prymitywne samozaparcie co u większości towarzyszy, nie, nie towarzyszy, nie: współrozbitków.

W rozpoczynającej się nocy zakwitwały coraz liczniejsze gwiazdy, niepewne, czy zostać, czy ponownie zniknąć, gładził kamienne wypukłości na wale, wokół panował tylko spokój i cisza, a on na próżno usiłował wyłowić dźwięk ukryty w kamieniu i raptem obudził go cichy, lecz wyraźny sygnał, poczuł niepokój, w pierwszej chwili nie wiedział przecież, skąd pochodzi, i w całkowitej nieświadomości zaczął nerwowo stukać knykциями w wał. Potem przestał, by uważnie posłuchać kapitana, i natychmiast wyłowił ten nowy ton, który niezauważalnie wplótł się w jego głos, ten nowy ton niczym irytujący sygnał, co dopada stację radiową, niemal dusząc jej zwyczajny program, wdarł się do przemowy, czyniąc jej treść kompletnie obojętną: najważniejszy był ten irytujący sygnał. Nadal chodziło o ognisko w Verdisse, tej samej nocy zabrano koniom derki i spalono je, do cna odarto jeden klon, żeby nasycić ogień, i wyszczypano całą trawę z góry, zabrano zwierzętom owies, a mechanikom pakuły, by go utrzymać przy życiu.

Boy Larus miał właśnie dotknąć wybrzuszenia między sobą a kapitanem, lecz nagle poczuł jego piekącą dłoń i jakby musnął rozżarzony piec, w popłochu cofnął rękę.

Wtedy kapitan niespodziewanie przestał opowiadać o ogniu, urwał w środku zdania i powiedział szybko i dość niedbale: – Pan coś przed nami ukrywa, Larus. Pan coś przede mną ukrywa. Dlaczego przychodzi pan tutaj co wieczór?

– Panie kapitanie, proszę pozwolić mi o tym nie mówić, to bardzo trudne.

– Przyjacielu, obaj jesteśmy żołnierzami, nieprawdaż?, i jako żołnierze podlegający tej samej władzy wojskowej nie powinniśmy przed sobą nawzajem niczego ukrywać.

Niespodziewanie przerzucił owiniętą brezentem nogę przez wał, zsunął się na płaskowyż u stóp Boya.

– Panie kapitanie – powiedział Boy, a wszystko w nim poczuło się osaczone, czuł, że musi być posłuszny, zanim stanie się coś jeszcze gorszego – kapitanie, jeśli ma się ranę, jeśli ma się... jeśli ma się...

– Mów, przyjacielu, nie bój się.

– No, jeśli ma się ranę, jeśli ma się ranę gdzieś na ciele, dużą ranę, która, zdaje się, tylko rośnie, to co jest w takim wypadku właściwsze: zachować ją w tajemnicy przed wszystkimi czy wybrać kogoś zaufanego, komu można ją pokazać, by otrzymać poradę i pomoc?

– Wybrać kogoś zaufanego.

– Ale kapitanie, jeśli nic się nie da zrobić, jeśli ma się świadomość, że rana i tak nigdy się nie zagoi, to po co pokazywać ją przyjacielowi?

– Och, zawsze są jakieś powody, z ranami nigdy do końca nic nie wiadomo, taką, co wygląda najpaskudniej, można wyleczyć odpowiednimi środkami, inne rany, z pozoru niewinne, taa, właściwie raczej zaczerwienienia, mogą okazać się najgorsze, bo wrastają do wewnątrz.

– Tutaj występują oba przypadki – odparł Boy. – Wygląda to wstrętnie, właściwie są to dwie rany, które i wyglądają wstrętnie, i wrastają do wewnątrz.

Kapitan niespiesznie wyciągnął się na skale i zaczął powoli kopać o wał, niegłośno, ale rytmicznie i denerwująco. W końcu podniósł głowę i oparł ją na dłoni.

– Gdzie je pan ma?

No i ten ton, ten irytujący sygnał, który się ciągle przebija i kusi człowieka do oporu.

– Kapitanie – odparł Boy – tego nie mogę powiedzieć, tego nie mogę panu powiedzieć, kapitanie.

Upłynęła jedna wieczność za drugą, znów zapachniało dymem, cierpko i podniecająco, a kilka ptaków, mocno bijąc skrzydłami, sunęło wokół płaskowyżu, wciąż wkoło i wkoło, jakby wykonywały jakieś ćwiczenie. Kapitan przewrócił się na bok i walnął dłonią płasko o kamień.

– W której flocie pan służył, Larus?

– Siedemnastej zachodniej, baza Weston, pod dowództwem pułkownika Tolova.

– Został pan przeniesiony na początku wojny, nieprawdaż?

– Nie, nie tak od razu, przez półtora roku byliśmy zakwaterowani w Weston, nasze zadanie polegało głównie na strzeżeniu konwojów.

– Ale w końcu trafił pan do bazy na jednej z tutejszych wysp, nieprawdaż?

– Tak, w końcu przeniesiono tam dwanaście procent pierwotnego stanu, była to zresztą wyspa o nazwie Brondona, na mapie przypomina podkowę, a port lotniczy znajdował się między ramionami tej podkowy. Ogólnie port został dobrze pomyślany, osłaniały go długie, wysokie falochrony.

– Czym się pan tam zajmował?

– Rozpoznaniem, krążyły plotki, że na wodach wokół Rontonu ma się zgromadzić cała flota, jak zwykle dużo dymu z raczej niewielkiego ognia, prawdę mówiąc, nieszczególnie się przydaliśmy, parę lotów tygodniowo, poza tym gimnastyka i fechtunek, posiłki i gry.

– Pod czyim dowództwem stacjonowaliście na Brondonie?

– Kapitana Simmona, kapitanie.

– Kiedy zostaliście zaatakowani?

– Było to o świcie dwunastego stycznia tego roku.

– Dokładnie o świcie, a nie nocą?

– Nie, kapitanie, dokładnie o świcie. Pod osłoną mgły zbombardowano stację i kilka jednostek pływających, które nocą podkrały się w pobliże wyspy i wpłynęły do portu.

– Atak był dla was całkowitym zaskoczeniem?

– Tak, całkowitym, wprawdzie przy schodzeniu na ląd stawialiśmy pewien opór, ale został on niemal natychmiast przełamany.

– Wszyscy trafiliście do niewoli?

– Tak, wszyscy oprócz ośmiu, którzy zginęli podczas bombardowania, trzech, którzy zostali zastrzeleni przy schodzeniu na ląd, i kapitana Simmona oraz jednego porucznika, który nazywał się Osp i popełnił samobójstwo w piwnicy kwatery głównej.

– A więc potem pan uciekł, taa, już mi to pan opowiadał, zdobył pan żagłówkę i dotarł do Rontonu, gdzie wsiadł pan na ten statek, żeby dołączyć do siedemnastej floty na Rivinos. Tak było?

– Tak, kapitanie.

– Tak, no więc, jak już mówiłem, opowiadał mi to pan pierwszego dnia i wszystko zgadza się doskonale z tym, co pan wtedy powiedział. Wszystko zgadza się niepokojąco dobrze, zgadza się aż za dobrze, można by pomyśleć, że nauczył się pan wszystkiego na pamięć, aby udzielać wiarygodnych odpowiedzi, gdyby ktoś dostatecznie wścibski pana zapytał.

– Co chce pan przez to powiedzieć, kapitanie?

– No, chcę powiedzieć, że jedno się tu nie zgadza.

– Co takiego, kapitanie? – spytał Boy Larus.

Nagle poczuł silną potrzebę podparcia, zsunął się z wału i mocno oparł się o niego plecami. Mocno, mocno przyciskał plecy do kamienia, żeby się w niego zapaść, ale ten zimno go odpychał. W środku było mu potwornie gorąco, a mimo to marzył.

– Owszem – powiedział kapitan, usiadł i wydmuchnął do góry powietrze, jakby palił papierosa – kiedy zacząłem się nad tym wszystkim zastanawiać, jedna rzecz mi się nie zgadzała.

Przypomniałem sobie zdjęcie, jakie widziałem w pewnej gazecie, kiedy płynęliśmy z Rontonu, przedstawiało ono kilku wychudzonych więźniów z tego obozu, gdzie pan ponoć przebywał, którzy ukradli żagłówkę i dopłynęli nią na położoną na północ od Rontonu wyspę o nazwie Bellos. Na pierwszy rzut oka nie mieli w sobie nic szczególnego, byli znacznie bardziej wychudzeni niż pan, lecz to nie musiało mieć decydującego znaczenia, a jednak jeśli człowiek pottrzymał gazetę nieruchomo i przyjrzał im się bardzo dokładnie, pewna rzecz przykuwała uwagę, co zresztą skomentowano w artykule: wszyscy mieli na sobie mundury wroga – a dlaczego? No, po prostu dlatego, że mundury więźniów zgodnie ze starym zwyczajem spalono, aby doszczętnie wykrzewić z nich wrogość. Pan zaś nosi mundur ze znakiem siedemnastej floty. Niestety nie mam tutaj tej gazety, pewnie została na statku – ale jeśli –

– Tak, kapitanie – odparł Boy i wszystko runęło: on sam, płaskowyż, wyspa i świat, a przez niego przegalopował zawrót głowy.

– Zdezzererowałem.

A kapitan nie musiał daleko się wyciągać, żeby uderzyć Boya w twarz, trzy krótkie szybkie ciosy niczym szerokie smagnięcia batem, i padł z jękiem jak długi obok wału, i pochłonęła go słodka ciemność, zaraz jednak z bezlitosną energią go wypłuła. Kapitan stał pochylony nad nim, ciężko dysząc, a Boy po raz pierwszy poczuł cierpki wyziew z jego ciała, jego słów i oddechu.

– No to jesteś mój – powiedział. – No to jesteś mój. – I szepnął: – Pokaż mi rany, gdzie masz rany, teraz musisz mi je pokazać.

– Jest bardzo ciemno, kapitanie, nie możemy poczekać, aż się zrobi jasno? W pachwinach, w pachwinach.

Ostrożnie wstał po omacku, lekko odepchnął kapitana, po czym przez wał rzucił się niżej w ciemność i ciszę. Spadał ze stromizny z przerażającym łoskotem, jakby ziemia się pod nim otworzyła, i runął w dół, i próbował, pełznąc na czworakach, schronić się w trawie. Kapitan

przez cały czas go widział, potem pomógł mu wstać.

– Uważaj na siebie – upomniął go. – Nie powinieneś trwonić sił w tak idiotyczny sposób.

Razem weszli w trawy, które miękko zwały się ponad ich głowami niby wielka martwa fala.

– Przecież nie chcę zrobić ci nic złego, chcę tylko obejrzeć twoje rany.

Wtedy Boy Larus wyrwał mu się gwałtownie i spróbował uciec, ale wywrócił się przez jeden z tych podstępnych dołków, których mnóstwo jest w ziemi i w których jaszczurki chowają się na noc, coś głośno krzyknęło z bólu i z szelestem zniknęło w trawie. Boy Larus przestraszył się ciemności i nieznanego krzyku, i tego, co już się z nim stało, chociaż jeszcze się nie stało.

– To moje rany! – krzyknął. – Zostaw, daj mi spokój! O, już ja was znam. Już ja wiem, co się działo w pewnej bibliotece garnizonowej w Brosto tuż przed północą, kiedy kominek zgasł, a fotele zestawiało się po dwa i zza zamkniętych drzwi dochodziły szept i wzdychanie. Co panu do moich ran, o, zapewniam pana, nie ma tu nic do oglądania, to tylko dwie normalne rany, nic panu do tego, niech mi będzie wolno samemu przez nie cierpieć, to w końcu moje rany, moje, nie pańskie, niech pan pogłaszcze swoje.

– Żle pan to odebrał – powiedział kapitan, klękając w trawie obok niego. – Niech się pan tak nie podnieca, proszę się trochę uspokoić, nie żądam zresztą rzeczy bezsensownych: mogę panu rozkazać, mogę wydać panu rozkaz, a pan będzie posłuszny.

– Być posłusznym – pisnął. – Jakbym nie był dostatecznie posłuszny. Jakbym nie słuchał was wszystkich, jakbym nie robił zawsze rzeczy, które mnie napawały wstrętem, które uważałem za ohydne, które zadawały mi śmiertelny ból –

– A jednak nie umarł pan.

– Wszystko, co do mnie krzyczano, dziwne, że zawsze do mnie krzyczano, a nigdy nie zwracano się z prośbą, wszystko, co do mnie krzyczano, robiłem.

Zawsze mówił pan przecież, że bez posłuszeństwa nic się nie uda, wszystko się wali, organizacja pęka – a przecież byłem posłuszny i organizacja nie pękła, tylko we mnie coś pękło. Zrobiła mi się rana –

– Nie krwawi.

– Zrobiła mi się rana, która bez przerwy rosła, ale pan się nią nie zainteresował, zanim było za późno, nie rozkazał pan jej pokazać, nie krzyknął pan, pokażcie nam swoją ranę, jeśli łaska, bardzo interesują nas rany, zwłaszcza takie, które jeszcze nie nabrały jednoznacznie złośliwego charakteru. Pan zwyczajnie pozwolił, żeby rosła we mnie i na mnie, i przeze mnie, i wokół mnie, a ja byłem panu posłuszny we wszystkim, co pan rozkazał, tylko dlatego, że chciałem zapomnieć o ranach pod ubraniem, byłem panu posłuszny zawsze i we wszystkim.

– Wobec tego nie rozumiem tego wyjątkowego nieposłuszeństwa – powiedział kapitan, podniósł się szybko i pociągnął go kawałek przez trawę, a było tak bezgranicznie cicho, gwiazdy zdawały się wisieć na rozkołysanych wiechach, po trawie i skałach równomiernym oddechem sunęły opary, że niegłośne chlupotanie, gdy ktoś brodził w wodzie przy brzegu, ostro przebijało tę ciszę.

Wszystko było tak bardzo późno i tak bardzo za późno, a myśl, że nie zawsze tak było, wschodziła jak ta czerwona gwiazda nad nim, równie wysoka i niedostępna, i rana rozściełała się na ciele niby dywan, zakrywała wszystko, rozlewała się w jego wnętrzu i zakrywała wszystko, i gdyby rany umiały wołać, krzyknęłyby żałośnie: Także i to, o, także i to, lecz tak dalece był raną, że nawet nie spróbował gryźć, kiedy dłonie kapitana spadły na niego żarłocznie.

Tęsknota wieczoru

Nie, oczywiście, że na wyspie nie było wieczorów. Po krótkim zielonym zmierzchu niczym śmiertelnie znużony orzeł, który zlatuje na swoją skałę, zapadała noc i wszystko okrywało się nieprzeniknioną czernią. Owszem, mogły człowieka oprowadzić gwiazdy, jeśli już ktoś koniecznie musiał iść na spacer, spuszczały w przestworza cienkie, łamliwe wiązki światła niby smużki oddechu, niepewne i właściwie nieskore dotrzeć do celu, z uporczywą, gorzką ostrością wydobywające z ciemności jej cechy nocy, beznadziejnej nocy, wiecznej nocy. Człowiek mógł się orientować po odgłosach, jeśli koniecznie musiał. Wprawdzie jaszczurki udały się już na spoczynek i nie było słyhać, jak smagają skały swoimi twardymi ciałami, ale najwyraźniej istniały tu też jaszczurki szczególnego gatunku, które najlepiej czują się w ciemności; nikt jednak nie wiedział, jak wyglądają, ponieważ nigdy nie podchodziły do ogniska ani w ogóle nie zlażyły ze skał. Tymczasem, dopóki trwała ta ciemność, niekiedy głośno i wyraźnie rozlegało się ostre trzaskanie ogonem, pospieszne człapanie po kamieniu i dziwne, prawie ptasie gęganie, które nigdy nie odzywało się w dzień, trzaskanie jednak było ostrzejsze, a człapanie szybsze, jakby oto pobudziły się większe, bardziej bezwzględne i nie tak ospałe zwierzęta, a może to swoista niepewność nocy wyolbrzymiała w uszach rozbitków wszelkie odgłosy, czyniła wszystko przerażającym, z utajonych pragnień i pozornie pogrążonego w letargu strachu skręcała wiry, w których „ja” obraca się jak pusta muszla ślimaka.

– Boże, ależ ja się boję – powiedziała młoda Angielka. – Musisz zrozumieć, bardzo boję się nocy. Ty, Jimmie, pojmujesz chyba, że nie tak miało być, dlaczego nie mogło być zupełnie inaczej? Musisz zrozumieć, bardzo się boję wszystkiego, co się tu dzieje, i tego, co się stało, i tego, co się stanie. Wierzyłam, że będę mogła ci pomóc, chyba sam wiesz, jak bardzo nieszczęśliwy się wydawałeś, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Najchętniej bym, nie, wcale nie, byłam onieśmielona i się bałam, bardzo się bałam. Natychmiast odgadłam, kim jesteś, a przecież nie mogłam wiedzieć, że aż tak źle jest to wiedzieć i pozwolić, by inni się dowiedzieli, no i przez cały czas sądziłam, że wszyscy wiedzą i uważają to za żart, niewinną maskaradę, która w każdej chwili może się skończyć. Jasne, że się przestraszyłam, zrobiło mi się przykro i ogarnęła mnie rozpacz, kiedy później zobaczyłam, jak zareagowałeś na to, że wyjawiałam twoją tajemnicę. Chciałam z tobą tylko porozmawiać, ale musisz zrozumieć: ponieważ wiedziałam, kim jesteś, i jakby znałam cię od dawna, strasznie trudno mi było z tobą porozmawiać, skoro nie mogłam z tobą rozmawiać i śmiać się z tobą jako tym, kim jesteś, a nie z tym, jako kto figurujesz na liście pasażerów.

Myślisz, że jestem głupia, bo tak tu siedzę przy tobie i mówię ci o tym wszystkim teraz, kiedy jest ciemno, a my tak bardzo jesteśmy rozbitkami, że już bardziej się nie da, i boimy się ciemności i głodu, i jaszczurek, i całej reszty. Rozumiem, że uważasz mnie za ogromnie głupią, i chyba rozumiem, że nigdy nie zdołam sprawić, żebyś ściągnął brezent z głowy, póki tu siedzę. Myślisz pewnie, ależ gadatliwa jest ta młoda wariatka, prześladowała mnie od początku podróży i nie może mnie zostawić w spokoju nawet teraz, kiedy wszystko diabli wzięli, słyszę to w twoim milczeniu i odczytuję to z twojego bezruchu, a mimo to nadal tu siedzę i gadam bez przerwy.

Tak, dużo usłyszysz dzisiaj wieczorem, nawet jeśli pod brezentem zatykasz uszy i wyobrażasz sobie, że w ten sposób się ode mnie odetniesz. Zobacysz, że na dłuższą metę to niemożliwe, i wtedy odchylisz brezent i porozmawiasz ze mną o tym, co spotkało nas dwoje i co jest bardzo

ważne, chociaż teraz wszystko wydaje się kompletnie beznadziejne. Ale najpierw musimy uzgodnić pewną rzecz, a mianowicie, że teraz jest wieczór, powiedz, zgodzisz się chyba, że jeszcze przez chwilę będzie wieczór, a nie noc? Bo widzisz, dla mnie noc jest okropna, robi się tak czarno i wszystkie odgłosy stają się takie wyostrzone, i nie chcę cię błagać, żebyś mi pomógł to znieść, ponieważ mimo wszystko rozumiem, że chcesz, aby cię zostawić w spokoju, i uważasz, że to, co mam do powiedzenia, i wszystko, czego się boję, to dziecinne głupstwa, które nie mają dla ciebie najmniejszego znaczenia, ale skoro dla mnie tak ogromne znaczenie ma fakt, że jest wieczór, mam nadzieję, że przynajmniej zechcesz pomóc mi uwierzyć w ten wieczór, który wciąż jeszcze trwa.

Nie musisz odchyłać brezentu, żeby mi odpowiedzieć, i tak widzę po tobie, czy chcesz mi pomóc, czy nie, zresztą potrzebuję pomocy w zupełnej błahostce: chcę tylko jednego, spraw, abym uwierzyła, że jeszcze przez chwilę będzie wieczór, zanim nadejdzie noc, a ty będziesz mnie słuchał, aż wieczór dobiegnie końca i też będę musiała iść spać. Nie chcesz patrzeć i chyba cię rozumiem, wszyscy jesteśmy dla ciebie odrażający, bo jeszcze możemy... nie, dlaczego miałabym przypominać ci o tym, co cię dręczy. Uważałam za niesprawiedliwe, okrutne i wstrętne to, że mnie odprawiliś, nic z tego nie rozumiałam. Rozumiałam tylko własne pragnienie zemsty, własną wściekłość i własny smutek, odchodząc, byłam pewna, że za plecami śmiejesz się ze mnie z pogardą, najchętniej rzuciłabym się, chociaż nie, tego pewnie bym nie zrobiła. Bo widzisz, już we wczesnej młodości nauczyłam się nie pokazywać, co myślę, nie pokazywać, co czuję, a papa zawsze mówił, że tak trzeba, taki jest świat i każdy, kto chce, by go poważano, musi tak postępować.

Biedny papa, nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo cierpiał, wiecznie będąc wyłącznie poważanym, pozostałych z pułku zawsze przynajmniej ktoś kochał, im zawsze ktoś rzucał się na szyję i na powitanie klepał ich po plecach, ale papę zawsze otaczało jakby opakowanie ochronne ze szkła, które wszystkich trzymało na dystans.

Och, gdyby choć raz odważył się pokazać, co myśli i czuje, wszystko pewnie potoczyłoby się inaczej, on jednak tak mocno, tak ślepo wierzył w tamto, że nigdy by mu nawet do głowy nie przyszło zmienić zdanie. A gdybym mimo to potrafiła powiedzieć mu, na czym polega błąd, bo jednak dość wcześnie to sobie uzmysłowiłam, uzmysłowiłam sobie, że jeśli człowiek nigdy nie pokazuje, co czuje i myśli, to w końcu nie potrafi już ani czuć, ani myśleć. Zamarza, rozumiesz, i raptem nie ma już nikogo w jego otoczeniu, kto byłby dostatecznie ciepły albo przynajmniej dostatecznie zainteresowany tym chłodem, żeby ten zdołał stopnieć. Ze mną już też to się zaczęło, ale stała się pewna rzecz lub kilka rzeczy, właściwie uratował mnie rozciągnięty na kilka lat łańcuch wieczorów będących nocami.

Wiem, uważasz, że to, co teraz chcę ci powiedzieć, jest po prostu żalosne, bo tobie, który masz za sobą tak dużo, to znaczy tak dużo naprawdę życiowych doświadczeń, to, co mnie spotkało, musi się wydawać absolutnie obojętne, bez znaczenia i życiowej treści. A mimo to chcę ci o wszystkim powiedzieć, czuję się tak, jakby wypełniała mnie para, która lada chwila wybuchnie, jeśli ci wszystkiego nie opowiem. Słuchaj albo zatkaj uszy, och, rozumiesz, nic mnie nie powstrzyma, dopóki trwa wieczór.

W tym miejscu młoda Angielka zrobiła pauzę, niespiesznie wyciągnęła się na jeszcze ciepłym piasku, słyszała, jak woda głaszcze brzeg, poza tym panowała cisza, tylko ogień pomrukiwał i chcąc niejako utworzyć się na ogień, wodę i wieczór, zdarła z siebie grubą tkaninę i leżała nabożnie naga w ciepłej ciemności. Miękkimi dłońmi – może to ostatnia noc, kiedy jeszcze są miękkie – zaczęła gładzić elastyczną skórę, ciaśniej niż zwykle opinającą biodra i kości czoła i kolan, a lód, ukryty dotąd wewnątrz ciała, prędko stopniał.

Och, twoje dłonie, szepnęła, nareszcie twoje dłonie, pieść mnie przez cały wieczór.

Nagle usłyszała kroki na skale, ktoś wspinał się energicznie, po czym raptownie stanął, napotkawszy kogoś innego.

– Tak dłużej być nie może – usłyszała czyjś głos, niby dobiegający z dna studni. – To nie może dłużej trwać, coś trzeba zrobić. Musimy go wreszcie zabrać, to jedyna pewna i niepodważalna prawda. A...

Ale więcej nie usłyszała, gdyż albo rozmawiający musieli urosnąć, wznieść się ogromnie prosto w noc niczym kominy, albo ona sama opadła z niewyobrażalną prędkością na jakieś dno, przez jej świadomość zamglone głosy poszybowały jak cienie. Nagle przyszło jej do głowy, że z czymś trzeba się bardzo spieszyć, z czymś, o czym prawie zapomniała, trzeba się niesamowicie spieszyć, i wzdrygnęła się, leżąc na piasku, coś zimnego, najzimniejszego na świecie, wylało się na jej dłoń, a ona zmartwiła jak szkło, nie mając nawet siły na powrót się przykryć, przykryć swojego niemiłosiernie zmarzniętego ciała. Dłonie, wąskie długie dłonie bez nadgarstków, o puchnących od spodu, grubych żyłach, podczołgały się z piasku ze swoim chłodem i wpełzły na nią z wolna, z wolna.

Poruszały się na palcach, zapuszczając w jej ciało ostre lodowe szpony, a ona ani drgnęła, ponieważ sama była z lodu. Cały czas jednak pamiętała, tak jak skute lodem jezioro w płynącym przy dnie czarnym prądzie może pamiętać lato, że z czymś trzeba się bardzo spieszyć, że coś trzeba zrobić natychmiast, póki nie będzie za późno.

Aż raptem jedna z dłoni pełzających po jej piersiach opadła z siłą, paznokcie wbiły się jeszcze głębiej i dłoń znieruchomiła, a ostro zakończone palce dalej pogrążyły się w cieple. Tam zaś, głęboko, znajdował się mały mięsień, wrażliwa struna, a kiedy paznokieć palca wskazującego zmęczonej dłoni musnął tę strunę, zaśpiewała: głośny, czysty, straszny ton o ostrych krawędziach rozkołysał się w jej wnętrzu jak wahadło opętanego zegara. Poszarpał ją od środka i cała krew z jej ciała spłynęła do jednego miejsca, cała do jednego źródła, a ona zrobiła się w tym miejscu ciężka i gorąca, a wahadło zwalniało stopniowo, a ton zatonął w tym źródle, a z dna podniosły się żrące pęcherze.

– Wieczór dobiega końca, kiedy robi się ciemno – szepnęła, a może krzyknęła. – Musimy się spieszyć, ja muszę się spieszyć z mówieniem, ty musisz się spieszyć ze słuchaniem.

W pobliżu zamajaczyły jakieś cienie, słabe cienie o surowych głosach na linii wody.

– Tak być nie może – powiedział jeden cień, nim zniknął w ciemności. – Chyba każdy rozumie, że to niemożliwe. Jest tu już dostatecznie długo.

– Nie, to musi się stać możliwie najprędzej – krzyknął drugi ochryple. – Przede wszystkim ze względu na nią.

I oba zniknęły tak szybko, jakby weszły w ciemność przez drzwi obrotowe. Och, nie mogła czekać, aż drzwi zakręcą się jeszcze raz i podejdzie do niej ktoś obcy.

– Teraz znowu mnie słyszysz – krzyknęła albo szepnęła. – O, ktoś tu biegał i wołał, i wszystko zagłuszył, ale teraz znowu mnie słyszysz. Musisz słuchać, bo tęskniłam za tym, tęskniłam za tym przez całe życie, żebyś mógł mnie usłyszeć, ale do tej pory zawsze coś staowało na przeszkodzie, góra koło naszego domu, gdzie w letnie wieczory krzyczeliśmy, bawiliśmy się w echo, albo boisko do krykieta, gdzie papa pilnował, żeby nikt nie oszukiwał. Tutaj oszustwa się nie toleruje, mawiał zawsze, uderzając kijem o cholewę buta, człowiek nieuczciwy w grze to zły człowiek, bardzo zły. Ale powinieneś to słyszeć: nie umiem go naśladować, fantastycznie robiła to Nicky, moja jedyna siostra. Po każdej partii zaciągała mnie do bzowej altanki, podnosiła z ziemi patyk i trzepiąc się nim w piętę, przedrzeźniała papę. Wtedy był już na emeryturze i codziennie rano o dziesiątej wychodził na inspekcję boiska do krykieta, jakby to było pole bitwy, mierzył odległość między bramkami, żeby sprawdzić, czy w nocy się nie przesunęły, wycierał je szmatką, jakby napadał deszcz, i polerował do połysku. Kładł się na ziemi, by mrużąc jedno oko, skontrolować,

czy wszystkie linie, które powinny być proste, rzeczywiście są proste j czy przez noc na torze nie wyrosły żadne przeszkody.

– A ty uważasz, że on ma po kolei w głowie? – pytała Nicky, była ode mnie o dwa lata starsza i już zrobiła się arogancka, właściwie budziła we mnie wstręt i od rana do wieczora palcami wyciągała sobie z ust gumę do żucia. Skakała na jednej nodze od okna do okna, rzucała się raptem na podłogę, udając, że nogi łóżka to słupki bramek do krykieta. – No, nie, ten stoi krzywo! – krzyczała.

– John, przynieś młot, musimy to naprawić, to straszne, wprost nie do wiary. I jak człowiek ma grać uczciwie w takich warunkach?

Człowiek nieuczciwy w grze to zły człowiek.

Potem wtaczała się pod łóżko, w którym spałyśmy obie, i ściągała czerwoną narzutę tak, że nie było jej widać. I leżała w czerwonej jaskini, rozumiesz, a ja musiałam przynosić herbatę i ciastka, siedzieć na zewnątrz jako jej eunuch. Raz usłyszał to papa, bo krzyknął przez okno, żebyśmy natychmiast przyszły zagrać w krykieta, a ja odkrzyknęłam, że nie mogę, bo jestem eunuchem Nicky. O, zobaczyłam, jak dostaje szału, z furią walnął kijem o ziemię i prawie biegiem ruszył do domu. Wtedy się przestraszyłam, wpełzłam pod łóżko i objęłam te dwa lata, o które Nicky była ode mnie starsza, zachlipałam: Tak okropnie się boję, zaraz przyjdzie papa i mnie zbije, co to jest eunuch?

Usłyszałyśmy łomot jego wysokich butów w przedpokoju, gdzie z podłogi sterczały duże główki gwoździ, na których buty zawsze stukały z hałasem, drzwi otwarły się jednym szarpnięciem, ojciec stał przez chwilę w progu, dysząc z oburzenia, brzmiało to jak psy po polowaniu. Wśliznęłam się jeszcze głębiej w dwa lata Nicky, ale serce najwyraźniej się nie zmieściło, waliło i waliło, a ja zaczęłam się cała lepić od potu i w końcu Nicky mnie odepchnęła. Potem papa zamknął za sobą drzwi i groźny i niewidzialny stał gdzieś w pokoju jak wąż, którego syk słyszy się w lesie, chociaż jego samego nie widać. Cała się trzęsłam, a Nicky nie zrobiła nic, żeby mnie pocieszyć. W końcu powoli podszedł do łóżka i chociaż szedł lekko i powoli, drżała podłoga. Wtedy po raz ostatni poszukałam schronienia u Nicky, zasłoniłam sobie twarz jej długimi włosami, bo nie chciałam pokazać mu oczu, ale ona ze złością potrząsnęła głową i odsunęła mnie. Uważaj, idą słonie, szepnęła mi do ucha; sama w końcu nic nie zrobiła.

Później papa szarpnął do góry narzutę, od początku wiedział, że tam jestem, ale zamiast podejść od razu, bawił się w wojnę, zawsze bawił się w wojnę: wpierw rozpoznanie, potem atak. I zawsze wszystko wiedział, a jego bezlitosność zawsze polegała na udawaniu, że wcale tak nie jest. Miałam wtedy jedenaście lat i trudne dzieciństwo za sobą, uważałam je za takie i kiedy trwało, i potem, ale ogólnie rzecz biorąc, często przecież ten, kto miał ciężko i jako dziecko nacierpiał się niesprawiedliwie, jest przez to tak pokiereszowany, że kiedy przychodzi pora zdać relację, uznaje swoje dzieciństwo za absolutnie wspaniałe, bo zrobiło z niego tak niezwykłego człowieka. Ze mną tak nie było, nie myśl sobie, ja jako dziecko byłam chyba bardzo strachliwa, pamiętam nawet, że najbliższe sprawy, tak, chyba przede wszystkim te najbliższe, czasem śmiertelnie mnie przerażały.

Bardzo bałam się małych zwierzątek, wiesz, takich, co siedzą pod kamieniami albo piłkami do krykieta, które przeleżały na dworze kilka tygodni i trawa pod nimi żółkła. Duże zwierzęta, orły, bernardyny, byki, nie mogły mi napędzić stracha, ale Boże, te małe!

Przez kilka tygodni nie miałam odwagi wejść do kuchni i prawie nie byłam w stanie nic zjeść tylko dlatego, że jakiś owad, nie większy od mrówki, wylazł ze szpary w blacie, kiedy pewnego wieczoru poszłam napić się wody. Było naprawdę późno, wszyscy już położyli się spać, przez pola pędził nocny pociąg i dokładnie w chwili, gdy miałam zakręcić kran, to obrzydlistwo smyrnęło zza miedzianej listwy pod deskę do krojenia. Tak się przestraszyłam, tak potwornie

się przestraszyłam, zdawało mi się, że najpierw ze strachu topnieję i się rozpliwam, a potem z tego samego strachu krzepnę, zrazu na galaretkę, później w coś bardzo gęstego i twardego. Z przerażeniem wyobrażałam sobie potworności, jakie by mnie spotkały, gdybym podważyła deskę choćby na grubość paznokcia, i chociaż wiedziałam, jakie to głupie i idiotyczne myśli, wbiłam sobie do głowy, że robak rozmnaża się w tysiące tysięcy pod deską, która zaraz uniesie się na ich szarych grzbietach, a one nieskończonym strumieniem wyleją się aż po krawędź, deskę niczym pomost przerzucą na stojący w kuchni mój posąg, by następnie wpełznąć mi pod piżamę i niby cuchnący dywan (do tego na pewno cuchną!) rozścielać się na całym cieple, aż się uduszę i umrę bez tak miłej ojcu godności.

W końcu zrozumiałam, że aby nic się nie stało, trzeba cały czas patrzeć na deskę, i tak intensywnie zaczęłam wpatrywać się w żółtą deskę z resztkami cebuli, że aż zapiekły mnie oczy i musiałam je na chwilę zamknąć, a mrużąc powieki, uświadomiłam sobie przerażające następstwa tego zaniedbania.

Och, myślałam, że umrę, nie miałam odwagi spojrzeć, ale zdawało mi się, że słyszę, jak deska unosi się powoli, a potem rusza z miejsca. Jestem nieodwołalnie zgubiona, czułam, nieodwołalnie zgubiona – i zaczęłam krzyczeć. W przedpokoju pojawił się papa, musiał jak zwykle czytać jeszcze podręcznik do topografii, wysokie buty jak zwykle zastukały o gwoździe.

– Czego chcesz? – krzyknął. Nie: Co się stało, co ci jest, skaleczyłaś się? Jeśli ktoś krzyczy, znaczy, że czegoś chce, innego powodu sobie nie wyobrażał.

– Zwierzę, papo! – wrzasnęłam. – Zwierzę pod deską!

Chciałam przyłgnąć do ojca w oczekiwaniu pomocy i ciepła, ale on się odsunął, podniósł deskę i rozgniół żuczka o blat. Potem myślałam, że umrę, że wyrzygam wszystko, co w sobie mam, bo papa ujął dwoma palcami mokry zdechły ochłapek i podetknął mi go pod nos tak obrzydliwie blisko, że poczułam ukłucie cierpkiej woni.

– To? – spytał szyderczo, gdyż pytania zadawane podwładnym zawsze są szydercze, o ile nie są rozkazami.

Och, jak ja pędziłam przez cichy dom, ścigana przez te paskudne czułki, cierpką woń, ośliżłe sygnały małych zwierzątek gnieźdzących się pod płaskimi kamieniami, w szparach starych krzesel, które stały na deszczu, w szwach starych płaszczy mundurowych, w szczelinach okien domków letniskowych, w dołkach po słupkach do krykieta, kiedy przychodzi jesień, w rakietach tenisowych, które całą zimę przeleżały na strychu, w ręczniku, jeśli na chwilę zostawić go przy kąpielisku, w starych gazetach, których jeszcze nie zdążyło się wyrzucić, pod ławkami rozeschniętych łódek, w spękanej kicie starych okien – a całe to mnóstwo tylko czeka na chwilę słabości gatunku ludzkiego, na sekundę, gdy wszyscy zmrużą oczy, by ujawnić swoją przerażającą liczbę i wyroić się na świat, zalewając wszystko.

Było to straszne i w istocie właśnie te zwierzątka pokonały mnie wtedy, kiedy papa przyszedł, podniósł mnie z podłogi, postawił brutalnie i wrzasnął: Powiedziałaś, że w kogo się bawisz? W eunucha, papo – odparłam – w eunucha Nicky. Wtedy on dał, wiesz, dwa długie kroki do tyłu, jakby chciał przystąpić do mierzenia, bez przerwy zerkając na mnie krótko, jakby mnie kopał prądem.

– Jeszcze raz powiedz to słowo – powiedział groźnie, a ja jeszcze raz powiedziałam eunuch, bo chciałam wiedzieć, co znaczy.

Wtedy uderzył mnie w policzek i upadłabym, gdyby łóżko nie stało na przeszkodzie.

– No, powiedz to jeszcze raz – powiedział tryumfalnie, ponieważ nie sądził, że się odważę.

– Eunuch, papo – powiedziałam, bo przecież nadal nic nie rozumiałam.

Wtedy uderzył mnie w drugi policzek tak mocno, że łóżko zniknęło w mgławicy gwiazd, a ja upadłam na podłogę. Próbuąc znaleźć drogę powrotną do pokoju, słyszałam, jak krzyczy gdzieś

z bardzo daleka:

– Wyłaź, Nicky, czy to ty nauczyłaś Dragę tego słowa?

– Nie, papo – dobiegł mnie spod daszka studni jej głos, tak arogancki i nieustraszony, że trzeba być wojskowym, aby się nie domyślić, że kłamie. – Nigdy go nie słyszałam.

Potem zawołał panią Muehlhouse, a ona przybiegła, podniosła mnie, ochuchała cebulą i zaciągnęła do łazienki.

Papa powiedział, że mam siedzieć w areszcie, dopóki nie przeproszę. Postawiła mnie na podłodze, zapaliła światło i co rychlej zamknęła drzwi, żebym nie zdążyła spojrzeć jej w oczy i zobaczyć, jak bardzo się wstydzi. I stałam tak, rozumiesz, i czułam, że chcę na zawsze zostać w łazience i nigdy nie wychodzić, nie wyjść już nigdy więcej, bo to takie niesprawiedliwe. Wzięłam grzebień i zaczesalam swoje długie włosy na twarz, tak mocno i dziko, i buntowniczo, że nie miałam odwagi przejrzeć się w lustrze. Zrobiłam dwie małe szpary na oczy z nadzieją, że kiedy będę starsza, też będę wyglądać jak Clara Bow.

Ale dokładnie w tym momencie przypomniałam sobie o żyjątkach mieszkających na ścianie łazienki; podczas kąpieli Milli zawsze mi je pokazywała. Co za życie, mawiała o nich, co za nędzny byt. Było to kilka zwiniętych szarych żyjątek, które umiały podleciec parę centymetrów, jeśli je podrażnić palcem, poza tym jednak siedziały nieruchomo na ścianie niby kropelki zastygłego brudu.

Sposób, w jaki podfruwały, był niewyobrażalnie ohydny, przecież nawet niektóre motyle wyglądają jak szczury, ilekroć zamachają skrzydłami, i trzeba cały czas powtarzać sobie w głowie: motyl, motyl, żeby człowieka nie odrzuciło, istnieje też sporo owadów, które poruszają się w powietrzu mechanicznym, szarpanym ruchem i aż trudno uwierzyć, że taki ruch może być częścią przyrody, ale żadne ptaki ani owady, ani żuki nie fruwały równie obrzydliwie jak te, bo po nich cały czas było widać, że właściwie powinny pełzać, że w wyniku jakiejś niewytłumaczalnej pomyłki zostały obdarzone parą wątłych, brudnych skrzydełek, dzięki którym mogą poruszać się w górę i w dół po ścianie, ale już nie po pokoju, już nie w powietrzu.

Usiadłam na brzegu wanny i nagle, rozumiesz, wszystko wokół mnie zawirowało, miałam wrażenie, że ściany powoli podczołgują się do mnie, równie powoli jak przed chwilą ojciec podchodził do łóżka, i buchnął od nich smród, kłujący do bólu, i chociaż w obawie, że upadnę, nie miałam odwagi podnieść na nie wzroku, wiedziałam, że zmieniły kolor, nie są już zielone, tylko szare, szare, od podłogi po sufit pokryte tapetą tych małych latających gadów. Pomieszczenie kurczyło się stopniowo, a kiedy z sufitu oderwały się drżące krople wody i spadły mi we włosy, pomyślałam, że wszystko stracone, i zaczęłam krzyczeć, krzyczałam i krzyczałam, aż na schodach zadudniły buty z cholewami.

– Czego chcesz? – zawołał papa przez drzwi. – Chcesz wreszcie przeprosić?

Należało wszystko poświęcić, żeby wydostać się z tego więzienia, żadna cena nie była zbyt wysoka.

– Tak – wrzasnęłam, śmiertelnie przerażona. – Oczywiście, papo, przepraszam, przepraszam, papo.

I chociaż do całkowitego uduszenia pozostało tylko pięć centymetrów, trzeba było składać kolejne ofiary.

– Obiecuj, że nigdy więcej nie wypowiesz tego słowa!

– Tak, papo – wrzasnęłam. – Nigdy, nigdy więcej – i nie mogłam sobie przypomnieć, o jakie słowo chodzi.

Potem długo leżałam pod łóżkiem w naszym pokoju, nie płakałam, zimna i bez życia jak pień drzewa w jeziorze, stać mnie było tylko na to, żeby kopnąć Nicky, bezczelną obłudnicę, kiedy przyszła mnie pocieszyć.

– I to ma być wojskowy – powiedziała pogardliwym tonem, jaki usłyszała, kiedy wujek Bennie (brat mamy, który wprawdzie kiedyś istniał, ale teraz istniał już tylko na tej samej zasadzie co Bóg i Król) wypowiadał się o papie, dostawszy od niego naganę za to, że pożyczył od ogrodnika za dużo pieniędzy na hazard, i uszczypnęła mnie delikatnie w biodra, ale ja zaczęłam ją kopać, aż zniknęła, chichocząc. I tak leżałam, rozumiesz, jak ty teraz leżysz przy mnie, na plecach, z piętami przy podłodze i stopami sterczącymi pionowo w górę, dłonie przyciskając tak mocno do piersi, że później musiałam mieć czerwone ślady, ze wzrokiem wymierzonym prosto w gwiazdy, bo udawałam, że spód łóżka to niebo, i nic mnie już nie bolało, tutaj nie istniało nic, co sprawiałoby ból, i nic, co sprawiałoby przyjemność, lecz istniał krzyk, który nadal ukrywał się we mnie jak nieznana ryba w szlamie małego jeziora, ale oto: popatrz, pracuje, kopie pyskiem, powoli przewierca się ku zielonemu światłu na dnie, uderza ogonem i śmiga ku powierzchni, iiii... ależ ja krzyczałam pod tym łóżkiem, a mimo to nikt mnie nie usłyszał, wszyscy byli na boisku do krykieta, kilka sekund wcześniej rozlegało się regularne suche stukanie kijów, może ktoś stanął przed bramką i zwrócił się urażony do swojego kija: Słyszysz pan, jak lis piszczy w parku? Nikt mnie nie usłyszał i w sumie dobrze: kto by zrozumiał, dlaczego krzyczę, kto by zrozumiał, że krzyczę, bo nikt nie przyszedł mnie ogrzać, nikt nie przyszedł i nie rozpiął płaszcza, żebym mogła mu oprzeć głowę na piersi, nikt nie przyszedł i nie pochylił nade mną twarzy, żebym mogła ją pogłaskać, popieścić, nikt nie przyszedł i nie zrozumiał, że mogę marznąć, chociaż w domu jest bardzo ciepło i w dzień jest bardzo ciepło na dworze. Wszyscy tylko śmiali się na boisku do krykieta, oczywiście z godnością, może z jednego z dowcipasów papieża, które zawsze kończył rozkazem: ŚmieJCie się, raz, dwa!

Podkraǳłam się do okna i zobaczyłam połyskującą w trawie świeżo polakierowaną piłkę i sześcioro graczy: papę, Nicky, panią Muehlhouse, wujka Richarda, starego majora i obie jego dorosłe córki, które Nicky nazywała Żyrafami, poruszających się od bramki do bramki niby partnerzy w skomplikowanym układzie tanecznym.

Pierwszy szedł papa, często odwracał się z surową miną, żeby zobaczyć, jak sprawują się inni, udzielał opryskliwych rad, a wszyscy udawali, że się do nich stosują, gdy tymczasem dłonie im się trzęsły z wielkiej irytacji. A Kate, moja dorosła rozchichotana kuzynka, która musiała się schylać, żeby mnie pogłaskać po głowie, zapomniała zapiąć pasek swojej różowej sukienki i wisiał jej z tyłu na szlufce jak ogon, zabawnie żwawo dyndając, ilekroć uderzała piłkę.

Och, obserwowałam wszystko z bardzo wysoka i wszystko raptem okazało się tak zabawne, że wybuchnęłam śmiechem, a potem nagle zaczęłam płakać, bo pomyślałam, że zamknęli mnie w domu, i poczułam się tak bardzo zamknięta w samej sobie i tak dalece wykluczona z serc ich wszystkich, że jak robak popęzłam po podłodze z powrotem pod łóżko i leżałam, aż nadszedł wieczór, a pani Muehlhouse podniosła mnie i obejrzała pod górną lampą, jakbym chorowała na coś potwornie nieznanego.

O, wiele razy w ciągu tych lat długo leżałam sama pod łóżkiem, aż ktoś przychodził, podnosił mnie i płochliwie odsuwał, jakbym była ohydny zwierzątkiem, które paskudzi człowiekowi ręce. Ta mała jest krnąbrna, mówili ludzie przechodzący przez pokoje, jest cholernie krnąbrna. I mieli rację: byłam bardzo krnąbrna, zbudowałam sobie baśń, do której wpełzałam co wieczór i z której mogłam całemu światu krnąbrnie stawiać czoła. Była to baśń o wieczorze, o tęsknocie wieczoru, i baśń ta była wielka i krnąbrna.

Wpełzałam do niej jak do przeoblzrymiej muszli, a na górze wisiała w zenicie ciepła, czerwona gwiazda. I kiedy co wieczór papa stawał w drzwiach naszego pokoju i mówił swoim metalowym głosem: Pora spać, dziewczynki, już noc, przewracałam na siebie wieczorną muszlę, a tam działały się cuda.

Czasami, rozumiesz, czerwona gwiazda odrywała się od punktu zaczepienia, by z wolna opaść

ku mnie, czasami zmieniała się w oko ogiera, a koń rósł powoli, rosła szyja i grzywa, i kopyta, i duży, wspaniały język, którym lizał mnie po całym ciele, leżałam nago, żeby nie zmoczył mi piżamy, ale kiedy indziej wieczorna gwiazda była lampą stojącą na najwyższym piętrze dużej kamienicy i pospiesz się, mówił mężczyzna, który pomagał mi przejść przez niebieską ulicę pełną czerwonych autobusów i stoisk z kwiatami, pospiesz się, póki mama jeszcze żyje. I puszczałam się biegiem, a potem słyszałam głośny zgrzyt i domyślałam się, że przejechał go autobus, ale nie miałam czasu się odwrócić, bo winda właśnie ruszała. Mijaliśmy w locie kolejne piętra, a pasażerowie jeden po drugim wychodzili przez klapę w podłodze, zostawiając na niej duże mokre kręgi śliny, od których odsuwałam się przerażona. Ale winda wciąż wznosiła się coraz szybciej i szybciej, huśtała się jak łódź wiosłowa i nagle widziałam, że przez klapę ktoś próbuje wcisnąć się do środka, przez szparę w podłodze wpełzały długie palce i najpierw myślałam, że to węże, więc podbiegałam i zaczynałam po nich skakać, ale one piszczały, więc spuszczałam wzrok i widziałam palce, a spod paznokci dobywały się te ciche krzyki. Potem nagle zniknęły, podniósłszy klapę, widziałam, jak papa spada w głąb szybu, tyle że powoli, bardzo powoli i miękko jak w zwolnionym tempie i był to tak zabawny widok, że zaczynałam się śmiać, sama o mało nie wypadając przez dziurę.

Papa czerwieniał na twarzy z bezsilnej złości i na próżno usiłował spadać trochę szybciej, by dogonić bujające metr od niego buty z cholewami, lecz nadaremno, buty prowokacyjnie fikały w tę i we w tę, palce musiałam porządnie poturbować, oddzieliły się od dłoni i ciasno złączone spadały pół metra nad głową papy, tymczasem przestrzeń między głową a palcami wypełniały znieruchomiłe w powietrzu kropelki krwi.

Nagle prędkość spadania wzrastała, nie stopniowo, lecz nieprzyjemnie nagle i zdaje się, że krew i palce doganiały papę, zanim rozbrzmiały werble, te werble, które zaczynają grzmieć na sekundę przed skokiem artysty z trapezu. Tymczasem winda się zatrzymywała, a ja nie miałam czasu słuchać grzmienia i jednym susem przeskakując obrzydliwą ślinę, stawiałam w niebieskim pokoju, wysokim jak wnętrze kościoła, w błękitnawym świetle wieczoru. Draga, moja malutka, chodź do mnie, wołała mama z następnego pokoju, ja zaś przez owal w ścianie przechodziłam do tego równie wielkiego niebieskiego pokoju, lecz tam nikogo nie było, a liczba pustych niebieskich pokoi do przejścia była nieogarniona, tymczasem głos mamy przybierał na sile i nagle wchodziłam do sali, którą widziałam z ulicy i która też była pusta, nadal jednak dźwięczało w niej echo maminego głosu, a pod wysokim ostrołukowym oknem stała lampa z moją gwiazdą w środku i ta lampa wołała do mnie: Drago, jestem twoją matką, mówiła lampa i falował różowy abażur, nagle zaczynałam dygotać z zimna, zdierałam z siebie sukienkę i mocno przyciskałam płonąca lampę do piersi.

Wtedy lampa rosła, robiła się ciężka i ciepła, i obie padałyśmy na podłogę, i leżałyśmy tak, a lampa rosła nieprzerwanie, wyrastały jej ramiona, nogi i oplatały mnie, czułam to na całym ciele, było to bardzo ciepłe i błogie uczucie i miałam tak ciężkie powieki, że nie chciało mi się ich podnieść. Tymczasem gwiazda wypadła z lampy i cudownie mnie grzejąc, przesuwała się od piersi do brzucha i z powrotem. Nagle jednak zdawało mi się, że ją połykam, czułam, jak niczym gorąca kula płynie przez moje wnętrza, przez brzuch, żeby w końcu zatrzymać się między nogami, a od jej mocnego światła najwyraźniej całe moje ciało zaczynało świecić, bo kiedy wstawałam, lampa zniknęła, czułam się bardzo silna i lekka, a światło towarzyszyło mi wszędzie.

Raz podeszłam do stojących w głębi pokoju starych organów z pociemniałego drewna, oświetliłam je, usiadłam na stołku i zagrałam cudną melodię, która uniosła się w błękitny wieczór jak nitka dymu, ale musiałam przestać, bo od tej muzyki zaczęłam gwałtownie płakać. I wtedy odezwała się we mnie mama: Drago, córeczko, teraz jestem przy tobie; a ja odparłam: Tak, mamu, teraz jesteś przy mnie, i było mi ciepło na całym ciele, a najcieplej między nogami, gdzie

nadal tkwiła gwiazda.

I nagle pomyślałam o papie i powiedziałam: Mamo, tak mi przykro, zrzuciłam papę do szybu windy. Nie martw się, odparła mama, on też tu jest. I mama skierowała mój wzrok na okno, gdzie na gzymsie stał posąg papę w butach z cholewami, z bandoletem i kijem do krykieta w ręce. Mamo, powiedziałam, mogę wypchnąć papę z okna na ulicę? Tak, moje dziecko, nic nie szkodzi, jest ich mnóstwo.

Wtedy podbiegłam do okna, otworzyłam je i zobaczyłam, że na dole kilkoro dzieci z koszami owoców w dłoniach przystanęło, pokazując mi palcami, pewnie uznały, że świecąca dziewczynka to dziwna rzecz. Potem mocno pchnęłam posąg, a on zaczął spadać, mniej więcej połowę drogi spadał jako posąg, potem jednak nagle ożył i zatrzepotał rękami, a przebijając dach autobusu, jakby na powrót stał się posągiem. Czerwony autobus nie zatrzymał się, jak przypuszczałam, tylko spokojnie pojechał dalej do skrzyżowania.

Kiedy ulica opustoszała, wyglądało to tak, jakby ktoś bawił się w tłuczenie doniczek z kwiatami pod moim oknem, a na chodniku obok usypiska kilku mężczyzn w melonikach gestykulowało z przejęciem, domyśliłam się, że nad szczątkami papę. W końcu jeden z nich zamachał na betoniarke, taką z obrotowym pojemnikiem, kierowca wyskoczył i we czterech wspólnie zaczęli wrzucać szczątki do bębna. Samochód znów ruszył, a jeden z mężczyzn w melonikach wskoczył na stopień i zaczął frenetycznie wymachiwać czerwoną chustką do nosa, pokazując wszystkim, żeby uważali, i samochód z panem w meloniku uczeponym drzwi furgonetki jak mały diabełek, wyjąc klaksonem, zniknął mi z oczu. Wtedy gwiazda zaczęła mnie grzać, poczułam się ciepła i ociążała, położyłam się na podłodze i prze szczęśliwa pomyślałam, że nigdy więcej nie wstanę. Leżałyśmy obie z mamą na dnie małego błękitnego morza, szepnęłam: Mamo, teraz już chyba zostaniesz ze mną. Zostaniesz chyba bardzo długo.

Tak, powiedziała mama, cały wieczór. Cały wieczór.

I wieczory stawały się coraz dłuższe i dłuższe, często zasypiałam dopiero o brzasku. Drogie dziecko, ale ty jesteś blada, mówiła pani Muehlhouse, a ja się wzdrygałam, bo poza mamą nikt nie miał prawa mówić do mnie „drogie dziecko”. Ale ludzie siedzący w salonie albo przechodzący przez pokoje mówili bez przerwy: Krnąbrna jest ta Ulla, i była to najprawdziwsza prawda: sama zauważyłam, że skorupa wokół mnie stopniowo twardnieje, tymczasem jądro z wieczora na wieczór staje się coraz miększe i miększe, rozumiałam, że skorupa musi być taka twarda, skoro jądro jest tak strasznie miękkie, ale przecież nikt poza mną tego nie pojmował i dlatego tak bardzo starałam się wszystko, co ewentualnie mogłoby je zadrapać, nadkruszyć, zadrasnąć, twardą ręką trzymać na dystans. Z dobrze wychowaną obojętnością słuchałam wszystkich zaleceń, brałam udział we wszystkich zabawach, do których mnie zmuszano, sprawowałam się wzorowo na boisku do krykieta, gdzie pewnego razu młoda wesoła generałowa sprawiła, że papa o mało nie pękł z wściekłości, przepychając piłkę przez „kościół” nogą, a w odpowiedzi na jego wymówki ze śmiechem pomachała mu kijem przed nosem, więc przez grzeczność musiał się uśmiechnąć, chociaż zaciskał usta i uszy płonęły mu ze złości, a jednak wieczorem usłyszałam dobiegające spośród bżów szeptanie: Mój ty gburze, mój ty mały gburze, a kiedy z obojętną ciekawością rozchyliłam gałązki, zobaczyłam, jak wyciągnięta na ogrodowej kanapie z głową na kolanach papę, bawi się jego luźną dłonią.

Później tego samego wieczoru wybiegłam prosto z windy przez wszystkie błękitne pokoje i z siłą, która mnie samą przestraszyła, zepchnęłam posąg papę z gzymsu. I wiesz, co zrobiłam potem?

Mamo, wrzasnęłam tryumfalnie, słysząc, jak posąg roztrzaskuje się na ulicy, teraz można...

– Jeszcze nie – powiedziała młoda Angielka załężnionym głosem. – Jeszcze nie, słyszycie, jeszcze przecież jest wieczór – ale ktoś stał za nią w ciemności, stukając czymś twardym o

knykcie.

Wtedy przeturlała się kawałek bliżej boksera i szepnęła z goryczą: – Chyba mnie słuchasz, Jimmie, to mnie masz słuchać, tylko mnie i dopóki mnie słuchasz, jest jeszcze wieczór. – Ale ten, kto stał w ciemności, usiadł na piasku, nieprzerwanie stukając knykciami, a ona usłyszała, jak pozostali podkradają się, powoli, powoli, przez szorstki piach.

– Potem przyszedł czas, kiedy gwiazda zaczęła maleć, stopniowo traciła ciepło, jej blask matowieł. Kiedy papa gasił światło, wtulałam się rozpaczliwie w poduszkę, próbując sklepić nad sobą muszlę, ale byłam tak pusta i biedna, że nie starczyło mi siły.

Nieraz z miasta przyjeżdżała samochodem moja wysoka kuzynka Żyrafa z rozłożystą zieloną parasolką i swoją córeczką Vivian, a kiedy byliśmy z Vivian same w ogrodzie, brałam ją na ręce i szeptałam do jej głupiego uszka: Chodź do mamy, Vivian, chodź do mamy, a kiedy byliśmy same w salonie, kładłam ją obok siebie na kanapie, rozpinalam sukienkę i próbowałam przycisnąć sobie jej głowę do piersi, ale ona wierzgała i gryzła, i kuzynka nadbiegała z drugiego końca domu. Mamo, Draga chyba nie jest moją mamą, krzyczał głupi bachor, a pewnego wieczoru przez uchylone drzwi usłyszałam, jak Żyrafa mówi: Nie podoba mi się, jak Draga obmacuje Vivian, to naprawdę perwersyjne.

Gdy później siedzieliśmy przy herbacie w salonie, byłam twarda i zimna, jakby ktoś nadział mnie na oblodzony kołek, i przebiłam się nagle swoim wielkim chłodem przez wszystkie rozmowy. Papo, powiedziałam, papo, co to znaczy perwersyjne? On, jak się tego spodziewałam, momentalnie poczerwieniał i z zacięciem ugryzł grudkę cukru, tymczasem jego dłoń gryzła i gryzła kant stołu, ale wujek Bennie, który tego dnia przepuścił na wyścigach dwadzieścia funtów, wytłumaczył mi to najgłośniej, jak potrafił. Teraz cię porządnie spiorę, powiedział papa, kiedy wieczorem zostaliśmy sami, i tak zrobił, a potem wróciły moje wieczory.

W pewnym okresie Nicky prawie każdą noc spędzała poza domem, a kiedy ktoś przychodził i pytał o nią, nauczyła mnie mówić coś, czego już nie pamiętam. Nienawidziłam jej, niejasno podejrzewając, dlaczego tak jej płoną policzki, kiedy rano wkrada się do naszego pokoju. I nie znosiłam jej, bo kłamała, że niby ostatni kawałek drogi biegła, aby zdążyć do domu na czas – na czas, a była piąta. Ale pewnego wieczoru ja też wymknęłam się z domu i z drżeniem stanęłam na schodach, ale nikt mnie nie usłyszał, a na drodze pod starym dębem czekał na mnie młody człowiek, który poprosił Nicky, aby przekazała, że czeka na mnie co wieczór przez tydzień o dziesiątej pod starym dębem i jeśli nie przyjdę, rozeschnięta łódka zatonie wraz z nim na środku jeziora i wyłowimy go dwa tygodnie później przy naszym brzegu. Poszłam pod stary dąb z czystej uprzejmości, z czystej troski o potencjalnego samobójcę, a dotarwszy na miejsce, spytałam po prostu: No, czego pan chce?

Wtedy chwycił mnie mocno za rękę i chodziliśmy w tę i z powrotem po łące pod dębem przez całą godzinę, a ja marzłam w cienkiej sukience, zamierzałam przecież wkrótce wrócić, osiadała na nas rosa i tylko kukułka powiedziała coś na drugim brzegu jeziora, ale mój wieczór został zrujnowany i chciało mi się przez to krzyknąć.

Tymczasem jednak przy każdym nawrocie uścisk na mojej ręce stawał się mocniejszy, a ja domyśliłam się, że to kara dla zasupłanego języka. W końcu odezwał się nagle: Zimno ci? A kiedy odpowiedziałam tak, jemu się wydało, że nareszcie mnie zdobył, i truchcikiem pociągnął mnie przez łąkę.

Przez drzewa widziałam białe niebo, i przeraziłam się, że już tak późno, ale kiedy las się przerzedził, zobaczyłam, że to olbrzymi namiot rozbity na polanie. Z początku myślałam, że to cyrk, lecz po zatęchłym zapachu zgromadzeń, który nas uderzył od wejścia, po niemych rzędach ławek i brzydkim ołtarzyku na podeście poznałam namiot do odprawiania nabożeństw, zapomniany przez Boga i ludzi namiot modlitewny. Na trybunie przy ołtarzu trząskał piecyk, a

my, trzymając się za ręce, przejściem między ławkami ruszyliśmy w jego stronę. Nadal ci zimno?, spytał, kiedy stojąc na trybunie, zdaliśmy sobie sprawę, że zabrnęliśmy w beznadziejną ślepą uliczkę. Nie, powiedziałam, a on uznał, że niczego już nie bronię, oparł mi ręce na ramionach jak pies i upadliśmy razem na ziemię.

Leżałam nieruchomo na plecach, czułam, jak ciepło piecyka rozpełza się po mnie, sufit namiotu wydymał się niby powierzchnia wody i raptem, jakbym uświadomiła sobie jego zamiary, było to tak brzydkie, że rzygać mi się zachciało, uniosłam się na łokciu i zaczęłam go kopać, aż krzyknęłam z bólu.

– Nie tego chcę! – krzyknęłam, jakby ktoś w moje niedoświadczone usta włożył te doświadczone słowa. – Nie tego chcę.

– No to czego chcesz? – spytał drwiąco i niepewnym krokiem odszedł pod piecyk.

– Chcę się rozgrzać – odparłam. – Chcę się porządnie rozgrzać i mam tam gwiazdę, która by cię poparzyła, gdybyś spróbował.

Wtedy zaczął trzaskać drzwiczkami piecyka i od gryzącego dymu oboje zanieśliśmy się kaszlem. Próbował mnie zatrzymać, udając, że bardzo źle się czuje, i rozpaczliwie jęcząc, ja jednak co sił w nogach przebiegłam przez kościół i uchyliłam się od szczapy, tak że zamiast na mnie, białą ranę zostawiła na siedzeniu ławki.

Dopiero w domu, schowana pod kołdrą, poczułam, nie jak bardzo się boję, lecz jak bardzo mnie to zabolą. Zaczęłam płakać, ale bez zwykle towarzyszących płaczowi spazmów, płakałam z taką łatwością, jakby płakał we mnie ktoś inny, i z równie niewiarygodną łatwością przyszedł mi później krzyk: ledwo otworzyłam usta, a mama, czy ktokolwiek to był, krzyknęła we mnie.

Pewnego dnia pani Muehlhouse zmusiła mnie, żebym poszła z nią do namiotowego kościoła na wieczorne spotkanie, w tłumie przed wejściem stał wysoki siwy mężczyzna o sennych powiekach, otaczał ramieniem chłopca w moim wieku. Pastor z synem, szepnęła pani Muehlhouse nabożnie i wtedy go rozpoznałam, rozpoznałam chłopca: to on chciał się przeze mnie utopić, to on wyrzucił mnie na podłogę między ołtarzem a piecykiem.

Gdy później wszyscy usiedli, gdy odurzyła mnie gęsta duchota rozmiękczonej pobożnością i ciepłem ciał i zaczęło się wyznawanie grzechów, ktoś, nie wiem już kto, zaprowadził mnie na podium i oto nagle śpiewałam, całkiem sama nieznanym mi głosem śpiewałam nieznaną mi pieśń. Rodzina pastora siedziała na krótkiej poprzecznej ławce na samym przodzie i poprzez pieśń usłyszałam, jak gruba pastorowa mówi: Powinno się ją uciszyć, powinno się jej przerwać, ale pastor odparł: Dlaczego, przecież to piękne.

Potem pieśń dobiegła końca, co dotarło do mnie dopiero po długiej chwili ciszy, błada pani Muehlhouse o wytrzeszczonych oczach przywróciła mnie do świadomości. Wtedy upadłam na kolana przy ołtarzu, a głośny, pełny głos we mnie powiedział: Grzesznik, grzesznik, grzesznik... kto siedzi w ławce z białą raną, kto rzucił za mną szczapę, kiedy mu się nie powiodło?

– Tam – szepnęłam, wskazując ławkę pastora. – Tam, widzi pani, jak się czerwieni przy wyznawaniu grzechów, widzi pani, ze wstydu i strachu najchętniej by wybiegł z namiotu, patrzcie wszyscy w uniesieniu serc, patrzcie na syna pastora, który pewnego wieczoru przewrócił mnie na podłogę między ołtarzem a piecykiem i próbował zgwałcić.

Wtedy nagle zrobiło się cicho, cicho jak między błyskawicą a gromem, a ja znów zostałam wyniesiona na okrutną powierzchnię wydarzeń, spojrzałam na trupio bladego syna pastora – i musiało stać się coś potwornego: nie poznawałam go, nie istniał nawet cień podobieństwa między nim a tym, który twierdził, że mnie pożąda, och, to było okropne przeżycie, a kiedy raptem zobaczyłam pod sobą czerwoną, nabrzmiałą upokorzeniem twarz pani Muehlhouse, zrozumiałam, że tylko jedno może mnie uratować, i z wynaturzoną gotowością samobójcy otworzyłam się na krzyk we mnie, poddałam się krzykowi we mnie, jak jurne zwierzę bez

dreszczu obawy poddałam się krzykowi, rozplynęłam się w trujących kwasach, z otwartymi oczami dałam nura prosto w ośmiornicę i ściągnęło mnie w dół, ponieważ krzyk był tak ciężki, że nie zdołałam unieść go na stojąco.

Później się dowiedziałam, że niesiono mnie całą drogę do domu, a ja krzyczałam jak opętana, potem nastął chyba długi okres, w którym moim jedynym przeżyciem był biały maszt flagowy bezustannie przewracany i stawiany na moich oczach. Kiedy uznano, że dostatecznie wydobrzałam, wysłano mnie w tę podróż w towarzystwie korpulentnej milczącej kobiety, która teraz lekko chora czeka w Rantonie na nasz powrót i która potrafi tak chwycić człowieka za nadgarstek, że czuje się jak w kajdankach.

O, ale zostałam od niej wybawiona – i Jimmie, spotkałam ciebie, to kapitan powiedział komuś, kim jesteś, bo ja cię nie poznałam, chociaż tak mówiłam, żeby przeciągnąć cię na swoją stronę, otaczali mnie przecież sami wrogowie, wszyscy mnie przecież pilnowali, wszyscy oprócz ciebie. On, myślałam, on może dać ci ciepło, on może sprawić, by wieczór trwał dłużej, on może zwrócić ci twoje utracone ciepłe ciało, i wiem, że tego chcesz, Jimmie, czuję to, bo gwiazda, która do mnie wróciła, jest bardzo gorąca. Jimmie, czy mam odchylić brezent i pocałować cię w szyję, na ukos pod krtanią masz czerwone znamię i właśnie tam chcę cię pocałować, a może mam pieścić twoje ręce i dłonie, delikatnie całując grzły mięśni, sądzę, że smakują rabarbarem, a może mam cię rozebrać i dać ci swoją ciepłą gwiazdę, a rozgrzeje nas oboje, bo ja potrzebuję ciepła, Jimmie. Bardzo pragnę ciepła i wieczoru. Muszę się bardzo rozgrzać, bardzo, Jimmie.

Lecz bębnienie za nią stawało się coraz bardziej nieznośne, teraz ktoś uderzał kijem w piasek, okropnie mocno i kategorycznie.

– Zostawcie mnie! – krzyknęła, odskakując opętańczo w tył, ale jej nie zostawili. Cztery cienie na piasku, przykucnięte wokół niewidocznego obozowego ogniska, przysuwały się powoli coraz bliżej, drobnymi kroczkami, jak pionki szachowe otaczające króla.

O, wiedzieli wszystko, mieli ramiona ośmiornicy i oczy sokoła, i jadowitość węża, i gibkość pantery, była przegrana wobec ich wspólnej siły, nic nie mogła zrobić: tylko się poddać, jeszcze raz dać nura w ośmiornicę, obnażyć pierś przed dziobem sokoła, zdjąć buty dla węża i utulić pumę – i ten krzyk: – Myślicie, że nie wiem, pewnie myślicie: leży, wariatka, i gada, i miele ozorem, i niczego nie podejrzewa, to kompletne szaleństwo, to przecież nienormalne, to odrażające, lecz jakże się wszyscy mylicie. Widzicie, ja wiem, że on nie żyje, wiem, że leży tu martwy od rana, spytacie: jak można kochać zmarłego, jak można w taki sposób przemawiać do zmarłego, jak można prosić o pozwolenie, żeby go pieścić, ale powiedzcie: jak się wam wydaje, dlaczego go kochałam, dlaczego miałam odwagę go kochać: dlatego że był taki silny, taki zdrowy, pełen mocy i siły? Nie! Nie – dlatego że był chory i słaby, dlatego że rany zaczynały cuchnąć, dlatego że był sparaliżowany, dlatego że nigdy nie musiałam myśleć: dziś wieczorem zechce mnie posiąść, zaciągnie mnie do swojej kajuty albo w krzaki i zwali na mnie swoją kanciastą męskość, jednym ruchem rozłoży mi nogi, deską, jeśli będzie trzeba, i zada mi taki ból, jakiego potrzebuje, żeby zaspokoić swoją chuć i swoją próżność, obślini mi twarz, wyobrażając sobie, że za to go kocham, obrzuci mnie ohydnyimi słowami, myśląc, że to mnie podnieca, nie, jakże mogłabym kochać kogoś, z czyjej strony musiałabym się tego wszystkiego obawiać. Ale zmarły, martwe ciało, które nie pragnie już obrzydliwych uścisków, cóż jest czystsze niż śmierć, któż bardziej zasługuje na miłość niż zmarły lub umierający, martwemu ciału, które nadal zachowuje konsystencję żywego, można wyznać wszystko, nie tracąc przy tym dziewictwa, kogóż kochać goręcej i bardziej boleśnie niż tego, kto przed chwilą umarł i nie ma już nieczystej zdolności wywabiania z cudzych uczuć nieczystego prądu głębinowego? O, kochać bez wzajemności, z tym wszak wiązał się mój lęk, zawsze lękałam się miłości odwzajemnionej, zawsze szukałam ciepła, lecz tylko ja mogłam je sobie zapewnić własną miłością do

bezbronnych, do tych, którym nie starcza siły, by mi narzucić swoją brutalną, brzydką miłość. I zabierzcie go teraz ode mnie, zakopcie go, przywalcie kamieniami i piachem, ale nie zapomnijcie zrobić tego, czego żądzą płoną wasze oczy. Rzućcie się na mnie, wciśnijcie się we mnie, patrzcie, jestem przecież bezbronna, między nogami nie mam nawet gwiazdy, którą zawsze tak się chwaliłam, wgniećcie mnie w piach i niech moja nienawiść was podnieci, niech was podnieca do coraz to dzikszych wyczynów.

Biada pozbawionej miłości, myślicie, nie jest warta lepszego losu niż gwałt, niż wasza miłość narzucona w imię sprawiedliwości, amen.

Na nią. Na ziemię – nie, nie będzie wam potrzebna deska ani nawet pięść, nie będę się bronić, po prostu już nie muszę się bronić, zmarły nie musi się bronić, zmarły, który wszystko stracił albo wszystko zyskał – ot, tak.

I cztery cienie rzucają się na nią, plażę momentalnie wypełnia osobliwe życie, jakby wypadły skądś stada zwierząt wszelkiego rodzaju, wilków, bizonów, hien, tygrysów, wprawiając ją w drżenie swoimi ciężkimi ciałami, i ilekroć miga jej zwierzę, zalewa ją cierpka woń wilka albo tygrysa, albo lwa, a potem dym z piecyka w białym namiocie niczym bandaż miłosiernie miękko owija się wokół jej kończyn, prawie ją dusi – no i te maszty flagowe, te białe maszty flagowe, te wieczne maszty flagowe, obalane i podnoszone z łopoczącym proporczykiem cienkiego, cienkiego krzyku.

Ognie nocy

Na plaży migocze jasny ogień. Martwa fala powoli wtacza się na piasek i ogień odbija się w wodzie. Ale nocą płonie niejeden ogień. W Verdisse ogniska płonęły do świtu, pozbawione derek konie trzęsły się z zimna, a na polach leżał rzucony przez olbrzyma ognisty naszyjnik. Nagle konie zarżały głośno tuż przed wybuchem. Ale nocą płonie niejeden ogień. Benzyna na ciała, zeszywniała na mrozie ciała, łamliwe jak chrust, no i ten ogień, który powoli zapada się pod lód, z nastaniem rana zostawiając w jeziorze Tibirsik osiemnaście grobów. Ale nocą płonie niejeden ogień. Leżeć samotnie, marznąć w ciepłe przy kominku, na którym wszystkie jabłka już spaliły się na węgiel, słyszeć czyjeś kroki na schodach i koniuszek pejcza ześlizgujący się ze stopni niby szcurzy ogon, piekący ból w plecach o kwadrans za wcześniej, no i ten ogień, co strzela w górę płomieniami, oczekując widowiska. Ale nocą płonie niejeden ogień.

Widzieć ogień tłący się w czyichś oczach, czuć ciepło ciała, które pragnie ognia, samemu być zgasłym przez całą tę długą noc, a potem tylko wciąż coraz bardziej zgasłym, coraz bardziej pokrytym popiołem, w końcu już tylko popiołem. Ale nocą płonie niejeden ogień. Leżeć na płask pod kawałkiem brezentu i czuć, jak niespodziewane gorąco zajmuje opuszki palców, wlewa się w palce i w dłonie, i w ręce, i w ramiona, spływa przez tułów, przez nogi do stóp, do palców stóp, a potem za każdym razem wiedzieć, zawsze wiedzieć, że tego palącego bólu można uniknąć, tylko chłodząc się o czyjąś skórę, czyjeś ciało, czyjeś ramiona, czyjeś dłonie. I walczyć z samym sobą jak z diabłem, walczyć przeciwko własnym członkom, mocować się z własnymi palcami, bronić się z całej siły, a mimo to nie podołać, bo w końcu człowiek jest już tak bardzo rozgrzany, że spłonąłby, gdyby nie pozwolił palcom zadecydować.

I dłonie, zawsze gorące dłonie, wypełzają na brezent ku temu, który śpi obok. Chyba śpi, blask ognia oddycha na zaryglowanej twarzy Boya Larusa, powieki spoczywają czujnie zamknięte, no i ta dłoń, co zaciska się i otwiera na brezencie. Jeszcze kawałek, gorąco wciąż rośnie, jakby skóra płonęła, nie spalając się jednak, i to właśnie jest najbardziej żenujące: że człowiek nie spłonie raz na zawsze, by nie musieć już w tym uczestniczyć, no i ta dłoń, która zaciska się po raz ostatni i uderza cię po knykciach, podczas gdy spojrzenie pełne najbardziej milczącej pogardy, jaka w ogóle istnieje, rozdziera ci twarz niby paznokciem, twoją bezbronną twarz. Boy Larus nie wstał, leży jak zwykle boleśnie wyciągnięty w jednej pozycji, złożonej w równych proporcjach ze strachu i pogardy, dokładnie tak samo jak zwykle, ale czy to możliwe, by kapitan widział teraz, że tamten podpełza do niego jak wąż, język nagle wydłużył mu się nieprzeciętnie i błyskawicznie śmiga między zębami, a zanim nogi pokryje mu wzorzysta skóra, mocno kopie Tima Solidera, jakby chcąc go obudzić, ostrzec przed prawdziwym niebezpieczeństwem.

– O, gdybyś tylko był sam, ty, tak tchórzliwy w pojedynkę – szepcze kapitan do węża, ale wąż podpełza coraz bliżej, głowa kiwa się obłudnie i melancholijnie, a głęboko, głęboko w niej tkwią nieruchome jak szklane paciorki oczy Boya Larusa.

– Gdybym miał szydło – mówi kapitan. – Długie szewskie szydło, byłoby już po tobie – ale wąż zbliża się coraz bardziej i nie ma dokąd uciekać, nigdy nie było dokąd uciec: tylko czekać na smagnięcie, kuksaniec, ukąszenie, cios – i nagle głowa węża, którego tarczki w blasku ognia połyskują nad nim jak topór, opada, a potworna rana po ukąszeniu musi na wieki zionąć tuż nad kolanem jak usta.

Wszystko stracone i on o tym wie, biegnąc, a mimo to biegnie, aż jad przemienia nogę w

kamień, najpierw boli, potem noga robi się ciężka jak ołów i przestaje boleć. Obala go na ziemię, a on leży na plecach jak pokonana jaszczurka, tymczasem dopada go przemiana i wszystko przebiega zwykłym trybem. Jest druzgocząca samotność, która potrafi całą ziemię przemienić w pole czy też, ściślej rzecz biorąc, w płaską powierzchnię jak okiem sięgnąć, a przy tym nie do ogarnięcia wzrokiem, powierzchnię z metalu lśniącego łożyskowo, bez ani jednej miękkiej możliwości, bez ani jednego zagłębienia, w którym można by się schować, bez ani jednej dziury, w którą można by wpełznąć. Ta powierzchnia, oprócz emanującego z niej gładkiego, naoliwionego światła, odbija bezlitośnie ostry blask pochodzący z góry, promieniujący z nieruchomego ciała niebieskiego, przeogromnej kuli z tego samego zimnego, naoliwionego metalu, do którego człowieka przykuto kajdanami i który miliardami porów to światło wypaca. Na powierzchni jego samotności nie ma też cieni, nie da się na przykład wyciągnąć dłoni czy całej ręki, żeby schronić się w jej cieniu, światło chlusta bez przerwy, a poza tym: nie może się ruszyć, jest przywiązany do swojej powierzchni, nie, nie żadnym widzialnym sznurem czy więzami, które można by zerwać albo przegryźć, to, co znamienne, samo sedno, bodaj całym sensem jego stanu jest właśnie fakt, że na pozór nic się nie da zrobić, a on tylko leży plecami na twardej powierzchni jak szpilka na magnesie i wciąż tryska w niego światło, aż nagle przestworza zaczynają śpiewać z samotności.

W przestworzach jest sam, porzucony jak tratwa na morzu, obnażony jak tarcza strzelnicza wobec strzał, nie ucieknie już od swojego wyroku i wszystko może się zdarzyć. Może czekać na orły albo jastrzębie, które z gwiazd wściekle spadają na niego, ponieważ jest jedyną miękką rzeczą na całym świecie, czymś, w czym da się zatopić dziób, zahaczyć szpon, może czekać na meteory czy cokolwiek innego, co rozpląta jego nagą pierś, nagą wobec nieskończoności, lecz zamiast tego tylko przestworza zaczynają śpiewać, przestworza zaczynają śpiewać z samotności. „Tylko” – nie, nie takie znowu „tylko”, to wystarczająco straszne.

Trochę śpiewu, pomyślicie, trochę śpiewu można chyba znieść; lecz to nie tak: tego nie można wytrzymać, ale trzeba. „Przestworza”, to śmieszne pojęcie, którym człowiek śmie operować, wędrując przez szuwały i lasy, parki i chłodnie albo zatopiony w fotelu bujanym, patrząc w niebo przez żywopłot z bzu, przestworza to jezioro, po którym wiatr pędzi sielankowe łódki z chmur, przestworza takie, jakie ukazują się człowiekowi, póki spoczywa w małej dziurze na ziemi, gdzie się urodził, dorastał, był maltretowany albo maltretował i rychło umrze, te przestworza są kłamstwem dla tego, kto doświadczył ich nieogarnionej, wyniszczającej, przepelniającej goryczą samotności, przykuty do lśniącego metalowego pola, wokół siebie i nad sobą mając jedynie najogromniejszą, najsamotniejszą ze wszystkich pustek, z całych przestworzy, nad których potworną rozległością człowiek nigdy nie miał odwagi się zastanawiać, póki mieszkał w swojej dziurze na ziemi, to przecież jak studnia bez dna, człowiek nachyla się głębiej i głębiej w nadziei, że zobaczy wodę, cokolwiek stałego, byle tylko nie tę przerażającą pustkę, i w końcu przechyla się tak głęboko, że wpada, a potem spada i spada, i spada przez całe życie, nie doświadczając niczego poza tym pędem w dół bez celu, i umiera, nadal spadając, nie dosięgnąwszy dna, w trakcie spadania ulega zagładzie, pochłania go pustka po tej żałośniej nieudanej próbie zapełnienia jej sensem, sensem poszukiwania dna.

Lecz jak bardzo nieogarnione są te przestworza, człowiek nie jest w stanie pojąć, gdy spada lub leży przykuty kajdanami, które uciskają pierś, dopiero kiedy przestworza zaczynają śpiewać, przeczuwa wszystko, czego wcześniej nie przeczuwał, objawia mu się to z tak druzgoczącą wyrazistością, że gdyby tylko mógł, rozpękałby się jak balon. Ponieważ jednak leży tak żałośniej trzymany magnesem, nie ma rady: musi słuchać, nie może nawet podnieść rąk, żeby wetknąć sobie kciuki w uszy, a poza tym: to też by nie pomogło, kiedy bowiem przestworza śpiewają z samotności, człowiek przemienia się w wielkie, napięte, czujne ucho i jeśli nie chce słyszeć,

trzeba by meteoru, aby je zatkać, ciała niebieskiego, może starczyłaby gwiazda. A pieśń – o, pieśń jest piękna, lecz straszna, jest cudowniejsza niż wszystko, lecz niż wszystko potworniejsza, o, gdyby tak dało się od niej umrzeć, tymczasem można tylko żyć na leżąco, gdy pieśń przepływa przez człowieka jak woda w turbinie, i zawsze tak będzie, wydaje mu się, że przestworza zawsze będą rozbrzmiewały samotnością, a on sam, bezbronne ucho, będzie leżał rozpięty na bezlitośnie nagiej powierzchni, słuchając bezlitośnie pięknej pieśni, którą brak górskiego echa, zakłóceń atmosferycznych i bólu uszu czynią jeszcze bardziej bezlitosną.

Ale tak czy inaczej człowiek musiał zostać wybawiony od tej samotności albo po prostu zasnąć, budzi się w swojej dziurze na ziemi i widzi, jak zwyczajne migotanie wieczności uśmiecha się między roletą a ramą łóżka.

A więc już nie jest samotny, pomyślicie, a więc w porządku, żenująca przygoda, rozpaczliwy epizod dobiegł końca – a życie toczy się dalej, mimo wszystko cokolwiek mniej samotnie; ale prawda jest taka, że to nie koniec, to dopiero początek. Człowiek siedzi w swoim pokoju albo wychodzi ze swojego pokoju, obojętne, spotyka ludzi albo nie widzi psa z kulawą nogą, to bez znaczenia, człowiek gada do ściany albo milczy do ściany, człowiek je i pije albo tylko pije, człowiek pisze list albo tylko kupuje znaczek, odbywa podróż albo tylko kupuje bilet, człowiek idzie tańczyć albo tylko staje pod estradą, człowiek coś robi albo tego nie robi, człowiek zaniedbuje prawie wszystko albo nie pomija niczego; wszystko jedno, kompletnie wszystko jedno: zawsze tak czy inaczej będzie czuł tę szklaną ścianę dzielącą go od innych, tę twardą szybę, którą z sobą nosi i przez którą patrzy i patrzy, i którą przyniósł z wizyty w wielkich przestworzach. Człowiek jest odizolowany jak chory, i słusznie: jest przecież bardziej chory niż większość ludzi, można też powiedzieć: jest odizolowany jak skazany na śmierć, i też słusznie: bardziej niż większość ludzi zasługuje na śmierć.

Teraz też jest samotny, ale w gorszy sposób niż za tamtym razem, przestworza nie śpiewają z samotności, przestworza wcale nie śpiewają: zrzucają deszcz, śnieg albo wiatr – ale nic nie mówią.

Człowiek jest samotny w brudny sposób, w skąpy sposób, w nieestetyczny sposób, a skoro i tak nie ma ratunku (o ile uniknięcie samotności to rzeczywiście jakiś ratunek), nie dziwcie się, że człowiek tęskni za wielkimi przestworzami wraz z ich diabelską, lecz wysublimowaną muzyką, z ich bezlitosną, lecz higieniczną pustką, z ich absolutną wolnością od jakiegokolwiek życia, święta prawda, lecz także z równie absolutną wolnością od przymusu szukania wspólnoty, przymusu czułości, kiedy chce się drapać, przymusu szukania przyjaciół, kiedy człowiek właśnie się nauczył, że świat jest pełen wrogów.

Człowiek wraca tęsknie pamięcią do chwil absolutnego zaparcia się samego siebie, najbrutalniejszej i najbardziej wysublimowanej samotności, wraca całą mocą swojej nadziei, całym ogniem swoich marzeniach, człowiek posiadał niebezpieczny sekret, został wtajemniczony w zastosowanie niebezpiecznej trucizny, która zwie się samotnością, i jak morfinista dzieli teraz życie na dwa okresy: odurzenie i zdrowienie. Ale czym ma się zająć, kiedy przebywa w swojej dziurze na ziemi? Czy powinien próbować zdobyć bliskich przyjaciół – nie, gdyż człowiek się lęka, i prawdopodobnie słusznie, że posiadanie bliskiego przyjaciela, nawet jeśli „bliski” jest pojęciem jak najbardziej względnym, doprowadzi do niekorzystnej pozycji wyjściowej, a okazje, by zostać ciśniętym w zimne przestworza, będą coraz rzadsze. Powinien zatem trzymać ludzi na odpowiedni dystans – swoją drogą szyba czy błona bardzo w tym pomaga. Czy powinien znaleźć sobie kochankę – tak, ale jeśli już, to jedynie po to, żeby w stosownej chwili przestraszyć ją swoim chłodem, sprawić, że go znienawidzi, odepchnie od siebie najzimniejszą dłonią, uderzy z nienawiścią, ciskając go na złamanie karku w przestworza, przecież tego właśnie pragnął – dzięki! A może powinien rzucić się w życie towarzyskie, wmieszać się między wyznawców i

sympatyków i dać się kąsać pełzającym po dywanach węzom, które twierdzą, że go wysoce szanują, cenią itd. Albo czemu nie wystawić się na pogardę świata, na gniew świata, środki są przecież obojętne, efekty zresztą też, jeśli tylko mogą zaprowadzić w skrajną samotność, jeśli tylko mogą sprawić, że człowiek jeszcze raz usłyszy, jak przestworza śpiewają z samotności.

Bo jest tak, jak mówi jej pewnego wieczoru, zresztą ostatniego, rano odjeżdża pociąg z trzema tysiącami ochotników, a dzieje się to w pewnym sensie w jego młodości:

– My, samotni, jesteśmy szczególnym ludem, szczególną rasą.

Właściwie powinniśmy chyba być oznakowani w szczególny sposób, żeby każdy od razu nas rozpoznawszy, myślał: to samotny, jego muszę zostawić w spokoju, zanim mnie zarazi, oczywiście ma pod ubraniem duże rany jak oni wszyscy.

Stoi przed lustrem w zakopconym przedpokoju pełnym otrzymanych w spadku ciemnych mebli z palarni i zagląda w młodą, napiętą oczekiwaniem twarz pokrytą przypadkowo rozsypanymi po skórze drobnymi zmarszczkami powstrzymywanej rozpacz, w lśniące od whiskey oczy delikatnie nabiegłe krwią, na podbródek z pamiątką draśnięcia siekierą w dzieciństwie, białą blizną, która opada stromo ku szyi, nie jest to bynajmniej piękna twarz, ale dosyć szczerą, kłamie niezwykle mało jak na twarz, a on myśli: nie potrzebuję żadnego oznakowania i tak to po mnie widać. A jednak zasłania bliznę szalikiem i mówi dalej, wciąż wpatrzony w lustro poprawia szalik, bo zaraz wychodzi.

– Moglibyśmy nosić jakiś znak, mówiłem, małą łąkę przyszytą na piersi, łąkę z dużym S – S jak Samotny, Samotnik, Samopas i wszystkie inne złożenia z samo, jeden znak, nie dwa, nie sześć, nie sto. Idąc na ochotnika na wojnę, moglibyśmy...

– Ernst – mówi żona łagodnie, jak mówi się tylko w rozpacz, żeby konkretny człowiek, ale tylko on, się o niej dowiedział – dziękuję, że mnie tak wyśmienicie dręczysz, nigdy tego nie zapomnę, ale Ernst, nie idź jeszcze, co będziesz robił na dworze przez całą noc, pociąg odchodzi przecież dopiero o szóstej.

Plecak stoi spakowany przy drzwiach, gotowy w każdej chwili poderwać się do lotu, ciężkie ptaszysko, któremu w końcu znudziło się kuśtykanie po lądzie. Patrzy na plecak, na żonę i znowu na plecak, i myśli o długich smętnych szeregach bezlistnych topól wokół dworca i o tym, jak będzie się tam pałętał kompletnie bez sensu, paląc papierosa od papierosa, topiąc pety w kałużach, gwizdząc zrodzone w głowie smętne kawałki, myśli o tym, jak go będą zagadywać podejrzanego indywidua, którym się wydaje, że wędruje w poszukiwaniu towarzystwa, jak będzie musiał samotnie marznąć, nie mogąc jednak doświadczyć najsłodszej samotności.

– *All right* – mówi niechętnie, po czym powoli rozwiązuje szalik i po raz kolejny ogląda swoją bliznę, przesuwa po niej palcami. – *All right*, wobec tego zostaną jeszcze chwilę, ale niczego sobie nie wyobrażaj.

– Ależ Ernst – odpowiada i przechodzi do pokoju, żeby położyć się na łóżku – dawno przestałam cokolwiek sobie wyobrażać.

Kiedy on wchodzi do pokoju, pod szlafroczykiem jest naga i zreżymie zaaranżowanym przypadkiem daje mu to zauważyć. On jednak przysuwa do łóżka krzesło, siada i wbija wzrok w obrazek nad sekretarzykiem, taki, jakie się dostaje w spadku: koty bawią się piłką na łóżku przykrytym patchworkiem. Ramka jest pęknięta w czterech miejscach, można było ją skleić, myśli, gdyby na przeszkodzie nie wyrosło tyle samotności. W kąt nie patrzy, wie, że jest pusty, leży tam tylko kilka zmiętych rachunków, ale jeszcze w piątek zajmowało go biurko, potem zostało sprzedane, nagle zostało sprzedane, bo po co człowiekowi biurko, skoro przestał pisać, skoro wszystko już wyjawiał, cały mechanizm, tymczasem całkiem niedaleko toczy się wojna – tam też nie potrzeba biurka.

– Och, skarbie – mówi ona, pazernie ciągnąc go za rękę, on jednak nie kładzie się przy niej –

chciałeś wyjść bez pożegnania?

Chociaż tyle można chyba od ciebie oczekiwać, co?

– Niby dlaczego? – mówi, odwracając się przodem do pustego kąta, żeby go naprawdę zabolalo. – Niby dlaczego? Dlaczego można tego ode mnie oczekiwać? Myślałam, że już niczego się ode mnie nie oczekuje. Tu nie ma na co czekać, zamknięte na dzisiaj, zamknięte na noc, zamknięte od tej pory na wszystkie dni i wszystkie noce wieczności. Widzisz, jestem całkiem pusty w środku, wyciśnięty, jestem jak świeżo złowiony okoń, którym rąbnięto o kamień, aż trysnął mlecz, żyję już wyłącznie dla jednej rzeczy, ale nikomu nic do tego. Oczywiście, że jadę, ale nie dlatego, bym miał szczególną ochotę łązić po tych tam górach, o których teraz tyle się mówi, albo walczyć na bagnety w tych tam tunelach. W ogóle nie mam ochoty nic robić, ale widzisz, my samotni i tak znaczymy dla wojny bardzo dużo. Mówimy sobie: ty, to niespotykane wspaniała forma samobójstwa, tutaj naprawdę da się umrzeć, przestrzegając wszystkich zewnętrznych norm przyzwoitości, może nawet na krzyżu zawisnie medal, oto śmierć zdolna zaspokoić zarówno twoją próżność, jak i tęsknotę za śmiercią, czegoż chcesz więcej?

Kobieta leży na łóżku bez słowa, teraz może usiąść przy niej, a ona nie przewróci go na siebie.

– Rozumiesz, nie wybieramy strony, nie zajmują nas te sprawy, wszystko jest obojętne, dla nas nic nie jest ważne, a generałowie byliby przerażeni, gdyby wiedzieli, jak wiele cieni mają w swoich szeregach, jak wielu bez należytego wahania przeszłoby na drugą stronę, gdyby tylko wiedzieli, że tam szansę na definitywną samotność są większe.

– Boże – mówi ona cicho, lecz raptem wbija mu w udo paznokcie, krzyczy: – o Boże, wynoś się natychmiast, wynoś się stąd, nie chcę cię więcej widzieć, zostaw mnie samą z długami, z cuchnącym życiem nie do wytrzymania i z dzieckiem w szpitalu. Ty chyba masz kompletnie w nosie, co wszyscy o tobie gadają, a mówią, że jesteś bezwzględny skurwielem, pryskasz ot tak, bez dania racji, bez jednego słowa, bezwzględnie...

Obnaża się z tym krzykiem, miota się, jej gardło wrze od złorzeczeń.

– Pomyśl, jak poważnie bym cię traktował – mówi, lekko uderzając ją po szyi i ustach, aż milknie – gdyby nie to, że nawet twoja furia zalatuje płcią. – Skrajnie poniżającymi ruchami zawiązuje na niej niebieski szlafroczek, a zanim wstanie, raz jeszcze spogląda intensywnie w pusty kąt i zdaje mu się, że umyka z niego jakiś cień i z drwiącym skinieniem głowy mija go w drodze do wyjścia, cały pochód cieni, część z nich spaceruje między łóżkiem a duchem biurka, przedstawiając młodego nieznanego dramaturga Wilsona, jak uparcie przeżuwa garść replik, z których nigdy nic nie wyszło, tymczasem cienie turlające się po podłodze pod ścianą przedstawiają niepozbanionego talentu młodego poetę Ernsta W.

Wilsona sprzed niecałych trzech tygodni. Co się stało? Jakież tornado przemieniło owo rozpoczęte w tak korzystnych warunkach istnienie?

Żona przestała krzyczeć, tak, teraz dla odmiany płacze, ale człowiek nie może liczyć się z każdym płaczącym na świecie i definitywnie wychodzi, zamyka za sobą drzwi, słyszy, że płacz nie ustaje, lecz jest już za późno, żeby się przejmować. Nie, nawet nie czuje delikatnego ukłucia, które zwykle daje znać, że człowiek zrobił coś złego. W przedpokoju stoi plecak, chce odlecieć, a on mu na to pozwala: plecakowi można pozwolić, na co tylko zechce, plecak nie płacze, plecak nie przeszkadza swoim krzykiem, kiedy człowiek chce posłuchać śpiewu przestworzy, z plecakiem można otwarcie porozmawiać, on nie dba o chłód ani ciepło i maszerują razem, plecak i Ernst W. Wilson, przez wiele długich asfaltowych ulic, lśniących od deszczu i samotności, a on przez cały czas ma świadomość, że coś stało się po raz ostatni, jakby dopadła go nieuleczalna choroba czy może nieuleczalne zdrowie, to chyba w gruncie rzeczy jedno i to samo.

Już teraz, jeśli oparkszy się o pień topoli, zmruży oczy od deszczu i wiatru, może prześledzić opustoszały tor wiodący w sam środek samotności, szeroki tor, kolej żelazna bez szyn, ciężki,

wgnieciony w ziemię tor, z którego dobywa się jęk, bucha ogień, a ktoś leży zmiażdżony między kołami, lecz koła tylko toczą się dalej, ciężko i nieuchronnie, zapadają się kolcami w glinę, woda powoli podchodzi z odcisków końskich kopyt, z piasku unosi się para, gdy tor biegnie przez pustynię, ze śniegu słychać jazgotliwy krzyk, kiedy toczy się po zimowych drogach, niejeden pada rżąc, przekonany, że tonie, i w chwili śmierci ma sen, że tor jest pnem dryfującym tuż obok, którego trzeba się chwycić, żeby się uratować, więc ich palce chwytają go, lecz po torze nadjeżdżają kolejne koła i bez katuszy sumienia miażdżą palce, a oto ociekając potem, nadbiega truchtem Ernst W. Wilson, żeby nie zostać w tyle, depcze czyjąś wątrobę lub nerkę, albo żołądek, bo czasu przecież ledwo starczy, a ci wszak już umierają, poukładali się tak, że człowiek po prostu musi ich zdeptać, jeśli chce przejść – a to przecież oczywiste, że chce przejść, chce podążać za torem tam, gdzie tor się kończy, tam, gdzie on nagle porzuca tę złą ziemię i niczym tęcza wybiega w przestworza, w śpiewające z samotności przestworza.

I papieros za papierosem gaśnie z sykiem na powoli jaśniejącym asfalcie, lecz tor wciąż biegnie dalej, to dobry tor, by za nim podążać, prosty tor, tor pełen nienawiści i złorzeczeń, i on nigdy go nie porzuci, będzie kochał ten tor całą swoją nienawiścią i całą swoją miłością i zdepcze każdego, kto spróbuje go zniszczyć, skalać smrodem swojego gnijącego ciała, ociekając potem, będzie nim biegł przez skrzypiący śnieg, przez parujący piasek, przez wsysające błota, przez krwawiące pola, i będzie szeregowcem, a potem kapralem i sierżantem, i kapitanem, i pułkownikiem, a tor go nie opuści. Będzie wierny swojemu torowi. Będzie wierny swojej samotności i niewierny wszystkiemu poza nią.

A kiedy tuż przed świtem przychodzi do dziewczyny mieszkającej na drugim piętrze w małej, zawilgoconej kamienicy nad rzeką, mówi do niej twardo, gdy ona od razu przewraca się na łóżko w alkwie:

– Niczego sobie nie wyobrażaj.

A ona:

– W moim zawodzie człowiek niczego sobie nie wyobraża. Nie zdejmiesz plecaka?

A on uspokojony zdejmuje plecak i siada na brzegu łóżka, widzi, że pod spodem jest goła, ale pokazuje to mniej żdzirowato niż jego żona.

– Niepotrzebnie się rozebrałaś – mówi. – Chcę tylko chwilę porozmawiać, tylko porozmawiać.

– *Go on* – mówi ona i zamyka oczy.

– Dlaczego zamykasz oczy?

– Nie mam ochoty widzieć cię nago.

– Czy byłaś kiedyś naprawdę samotna?

– W moim zawodzie człowiek nigdy nie jest samotny.

– O – mówi on i porzuca wszystko, choć jego ciało przez chwilę jeszcze siedzi na łóżku, prawie czując smród potu, kanapek i whiskey wszystkich mężczyzn, którzy w tej alkwie rozmieniali swoją rozpacz. – O, jakże ja byłem samotny, jakże samotny i jakże szczęśliwy.

I przypomina sobie subtelne chwile samotności, kiedy wszystko tonęło, ludzie, potrzeby, myśli, a przez niego przepływała tylko ta przerażająca muzyka. Małego chłopca zostawiono w trawie, w bardzo wysokiej trawie, jeszcze niespecjalnie umie chodzić, a przed chwilą widziano tu długiego, czarnego zaskrońca, jak pełzył pod kępą trawy, i wszystkie dzieci z krzykiem popędziły do domu, zapominając o nim, bo nie można biec tak szybko, jak by się chciało, kiedy się taszczy chłopca, który jeszcze niespecjalnie umie chodzić, ponieważ chorował, zostawiono go wraz z jego trwożą, bezlitosnym strachem przed czarnym wężem. Zaraz się rozplacze, już widzi dom i długą, miękką trawę przez falującą mgiełkę łąz, lecz oto zaczyna padać deszcz, gęsty, brutalny deszcz, twardymi knykciami łomoce o dachy i z wyciem kładzie trawę, i porzucony chłopiec w

mgnieniu oka przemaka do suchej nitki. Za domem rozlega się głuchy grzmot i nagle burza przetacza się bliżej, błyskawice pełzają po dachu, deszcz nadpływa ścieżką, otacza jego stopy, trawa zwisa jak włosy po kąpieli, a on raptem spostrzega, że się nie boi, już ani trochę się nie boi, jest bardzo samotny, przez wszystkich opuszczony, ale przyjemnie jest być samemu, przyjemnie być opuszczonym. Oprócz niego na świecie istnieje tylko ta mokra trawa, deszcz i burza, nie istnieje już nic, co by chciało potarścić go za włosy, kazać mu przeżuwać, chociaż wszystko, co w życiu zjadł, podchodzi mu do gardła, błyskawice nie mają różg, trawa paznokci, a deszcz nie mówi surowym tonem – dlatego drze się jak opętany i wierzga jak bies, kiedy po deszczu, nagle sobie o nim przypomniawszy, ktoś przybiega go zabrać.

I jak to się dzieje innym razem, kiedy świnkaskarbonka leży rozbita na komodzie niczym roztrzaskane szczęście, a on sam sobie ukradł pieniądze na mały atlas wszystkich krajów, w których mógłby być sam, że gdy ojciec, szofer u państwa, różgą wbija go w samotność, jego przesywa nagle odkrycie, że dzięki różdze może zostawić wszystko i wszystkich, i z gwałtowną radością pozwala, by spadały na niego razy, a potem nadchodzą wszystkie te sytuacje, w których podejmuje pozornie najbardziej niedorzeczne działania, dokonuje najpodlejszych postępów, najokrutniejszych okrucieństw, żeby go wychłostali z tego świata, żeby go wynienawidzili prosto w słodką samotność, i nadchodzi czas, kiedy już jest za duży na takie rzeczy, lecz ze skrywaną radością odkrywa wszelkie okazje do samoudręczenia: możesz zabrać swoją błonę, wejść między zdrowo śmiejących się ludzi i z łatwością uformować z ich śmiechu strzały, które rozharatają ci serce, albo wygłodniały płci, lecz tak samo wygłodniały własnej rozpaczki możesz w noc świętojańską włóczyć się po parkach, gdzie na każdym kroku w trawie uprawia się miłość, i z gorzkim zachwytem czuć, jak twoje serce wypełnia płacz, w wieku szesnastu, siedemnastu, osiemnastu, dziewiętnastu, dwudziestu lat jest mnóstwo do zrobienia i każdego danego przez Boga dnia otwierają się przed tobą coraz to nowe drogi.

Odkrycie pogardy na przykład: och, jak słodko, ach, jak przyjemnie jest, przywołując w pamięci zniekształcony obraz pogardliwie zmarszczonego śmiechu, kilku tysięcy czerwonych ust, wszystkich jednakowo przesłoniętych odrazą, móc wznieść się w przestworza samotności. Zdarza się pewnego razu, że na niedużym przybrzeżnym statku, na który jeszcze w szkole zaciągnął się jako chłopiec okrętowy, żeby poczuć się bardziej samotnym, pracujący tam palacz pod czterdziestkę zaprasza go do ciasnej kotłowni pod przednim pokładem i uwodzi go, wzbudziwszy w nim najpierw odrazę opowieściami o zapachach i chorobach kobiet, wlewa w niego kilka szklanek whiskey, to, co się dzieje, jest tak zaskakujące, że nawet nie ma czasu się bronić, jest to tak straszliwie nowe, jakby pokazało mu się dotychczas nieznaną zwierzę, paraliżując go zdumieniem i strachem, potem jednak czuje się tak brudny, że ma ochotę wyskoczyć za burtę i utonąć, aby wreszcie się oczyścić, gdy po ciemku wraca przez pokład do forpiku. A wszyscy, którzy grają w karty, i wszyscy, którzy piszą listy na swoich pryczach, w tej samej dokładnie chwili zwracają ku niemu twarze, kiedy schodzi z trapu.

– Jak ci się podobało u Christiana? – wrzeszczy jeden.

– Chyba byłeś dla niego miły? – ryczy drugi.

– To świetnie, że wreszcie znalazłeś narzeczonego – krzyczy trzeci, ale nikt go nie bije, nikt się nie śmieje, w końcu jednak ich twarze tężeją drwiąco, jest zakazony, wszyscy przechodzą kwarantannę. Stoi ze zwieszonymi rękami i czuje, jak pogarda smaga go do krwi, a potem z przemożną radością pojmuje, że dla niego nie ma to znaczenia, dla niego pogarda jest zdrowa, może w ogóle najzdrowsza, i bez trudu wspina się z powrotem na trap, gdyż właśnie ktoś krzyknął:

– Idź stąd, nic tu po tobie! Idź do Christiana, od tej pory masz mieszkać w jego kajucie! Dla ciebie też pewnie znajdzie się miejsce w jego łóżku.

I przez cały rejs może mieszkać w kajucie Christiana, dlatego że czyni go to jeszcze bardziej samotnym, a człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja, a on potrafi leżeć w specjalnej pozycji, wyciągnięty na całą długość niby niedostępna wyspa na morzu, oczywiście można tę wyspę splądrować i złupić, lecz gdy łupieżcy i plądrujący się oddalą, woda na powrót zaczyna falować dookoła wyspy, która jest równie niedostępna jak przedtem, o ile nie przetrzuci się na nią mostu.

Ale zabierają go z powrotem do szkoły, czas płynie i leczy wszystkie rany, a pewien romantyczny nauczyciel wmawia mu, że istnieje coś, co nazywa się sublimacją, można sublimować swoje popędy, można uniknąć wszystkich złych doświadczeń, przeżywając swoje działania na płaszczyźnie duchowej. Kończy szkołę, podejmuje pracę w kancelarii adwokackiej, udziela lekcji języków, żeni się wcześniej, ma dzieci i od dawna nie tęskni już za przestworzami samotnego, ponieważ ktoś mu powiedział, że możliwa jest tylko normalność, możliwy jest tylko śmiech we właściwym momencie i płacz we właściwym momencie, i przestrzeganie konwencji, a bunt przeciwko nim wyłącznie na płaszczyźnie duchowej, człowiek chyba pragnie żyć w szczęściu, a szczęście to bezwzględność wobec samego siebie i bezwzględność wobec całej reszty, a poza tym: czas sam pożegnał wszystkich piratów duszy.

Siedzi tak na łóżku dziewczyny, tymczasem kosmaty wschód pełźnie jak zwierzę po szybie, a na ukos od domu podnoszą most zwodzony, kiedy połówki mostu zaczynają się pochyłać, z torów tramwajowych wysypuje się piasek i białymi strugami wpada do wody.

– Hej – mówi szorstko do dziewczyny, chwytając ją mocno za ramię, bo zasnęła – powinnaś była mnie widzieć, jak przez dwa lata drałowałem po obrysie trójkąta między stołem, łóżkiem i oknem, próbując skondensować swoją samotność, w wierze, że nie mam sobie równych, bo jestem ze wszystkich najbardziej samotny, bez przerwy czując tę niemoc, rozumiejąc, że te całe wiersze, zresztą nieudane i nikt ich nie chciał, rozumiejąc, że ta cała historia między biurkiem a mną to tylko żałosna ucieczka. Czasem prawie mnie to dławilo i szukając ratunku, rzucałem się na podłogę i darłem na sobie ubranie, czułem się oskarżany, krzychałem do żony: o co mnie oskarżasz? Nie jestem twoim sędzią, odpowiadała. Nie, jesteś moim katem, krzychałem. Nie mam topora, krzychała. Nie, ale ja mam, ryczałem – i tak dalej: dialogi toczyły się w nieskończoność niczym ruchome schody, a mnie coraz bardziej dławilo i niczego nie potrafiłem doprowadzić do końca. Ale wieczorem dwa tygodnie temu, kiedy byłem sam w domu – wyprowadziła się, jak zwykle tymczasowo – przewróciłem nagle stół i ustawiłem przed sobą jak barykadę, bo wydawało mi się, że ktoś wszedł do pokoju, żeby się na mnie rzucić, rozszarpać mnie, zgruchotać między zębami, i nagle jakbym dostał w tył głowy: pokój zniknął, gumką olbrzyma został wymazany z mojej świadomości, padło na mnie oślepiające światło, a ja znów leżałem przykuty do gładkiej powierzchni w przestworzach, zrazu było bezgranicznie cicho, potem rozległo się wycie, jakby skądś oderwała się kropla wody i nadlatywała ze świstem przez wieczność, a potem spadł ów niewidzialny deszcz, który zawsze poprzedza pieśń – potem przestworza zaczęły śpiewać, a ja ujrzałem, jak pod postacią ucha wyrastam coraz większy z podłoża, a kiedy się później obudziłem, pokój wyglądał zwyczajnie, lecz ja byłem cały spocony od pieśni i zrozumiałem, że nigdy nie zdołam uciec od swojej samotności, a już na pewno nie tak sztucznymi środkami jak wiersze, cała przeszłość rozpoznała mnie po zapachu i zwała się na mnie, a mnie przyszła do głowy osobliwa idea, że jestem kobietą i mężczyzną zarazem, i włożyłem ubranie żony, upiłem się, a potem kochałem się z sobą, aż nagle musiałem coś załatwić na strychu. Nikt mnie nie widział, ale pod drzwiami na strych zorientowałem się, że zapomniałem klucza, wtedy na schodach rozległ się hałas i wychyliwszy się przez poręcz, zobaczyłem, że na górę wchodzi grupa ludzi w czerni, wśród nich także moja żona. Skuliłem się w nadziei, że nikt mnie nie zobaczy, ale oczywiście ktoś szturchnął mnie w ramię i odwrócił do siebie przodem. Ernst, ktoś krzyknął, a ja popędziłem do mieszkania, lecz oni ruszyli za mną.

Rozejrzałem się dziko po pokoju i ze wstydem spostrzegłem, że bałagan, który tam zostawiłem, to bałagan kobiety, miękki, lekko trzpiotowaty nieład kobiety, a nie kanciasty i brutalny mężczyzny. Biurko postawiłem w kącie na sztorc i wszedłem za nie, żeby się bronić.

– Co wy wiecie o samotności? – krzyknąłem do nich.

– Co wiecie o wielkiej samotności przestworzy, nie wiecie, jak to jest, kiedy przestworza śpiewają z samotności. Czytaliście o tym wiersze, znacie to z romantycznych powieści – i koniec.

– Ale – krzyczałem głosem, który dziko wierzgał jak ogier, gdyż kat we mnie chwycił topór i odrąbał moje dawne normalne, przyzwoite „ja” – czymże jest cała literatura wobec jednego natchnionego samobójstwa? Czymże jest życie, jeśli nie jedną wielką nieudaną próbą samobójczą, cóż znaczy przyzwoitość życia wobec przyzwoitości śmierci?

– A teraz wszystko skończone – mówi do dziewczyny, która znowu zasnęła. – Wszystko sprzedane, teraz został już tylko tor, widzisz – i budzi ją brutalnie, wciskając jej banknot w ucho.

– Nie słyszałam, żebyś cokolwiek mówił – odpowiada ona i ziewa. – W każdym razie dziękuję. – On już zarzucił plecak na plecy i idzie na pociąg.

A tor przecina pustynie, połyskuje krwawo o zachodzie słońca, on biegnie po tym torze i pot i krew tryskają z niego niczym woda z fontanny, przeklina ten tor i kocha go, zasypuje go czysty biały śnieg, który skrzypi spod stóp i spod kół, bieleją sterczące wkoło żebra zwierząt i ludzi, a w rzekach tak samo wyglądają dziobnice starych zatopionych statków, czasem wzdłuż toru płonie ogień, czasem płonie w tobie, lepiej jednak gnać dalej z jedyną nadzieją, jaka została, kiedy wszystkie zbankrutowały: że tor odważy się na skok w samotność, w olbrzymią samotność, w której sama samotność śpiewa, i najlepiej poświęcić wszystko, najlepiej być wiernym swojej samotności i niewiernym wszystkiemu innemu, a może tor pod ostrym kątem zakręci przez Boya Larusa albo kogoś innego spośród ocalałych, zmiażdży klatkę piersiową jemu albo komuś innemu, gdyż zawsze jest nadzieja, jedyna wielka nadzieja: nadzieja, że skok dokona się właśnie z tej klatki piersiowej, właśnie z tego serca.

Walka o lwa

Taki mały wulkan na taki duży ogień.

Chyba niespodziewanie otrzymał tępy profil mordercy albo pijusa, gdyż oto wszyscy zaczynają się na niego gapić, wychylają się zza pustej beczki na wodę, wydaje mu się, a ich gesty są i złowrogie, i pełne trwogi. Ze snu wyrwał ich czyjś krzyk, po twarzach nadal pełza szok nagłego przebudzenia. Z dużym niepokojem przesuwają się o kilka kroków w bok, żeby słońce dodatkowo go nie zdradzało.

Kapitan powoli przekręca białe biodro w prawo, w jego stronę, przyciskając do niego pięść, jakby pod łachmanami miał w pogotowiu rewolwer.

Ale idiotycznie, myśli Lucas Egmont, idiotycznie, że nie pomyślałem o tym, że nie pomyślałem o swojej głupiej twarzy, na której dokładnie widać, co zrobiłem i co zrobię, równie dobrze mógłbym wykrzyknąć to na całe gardło i wysłoby mniej nieprzyjemnie, nie tak cholernie pełzająco. Zupełnie jakby po twarzy lały mi mrówki, a ja nie mogę ruszyć palcem, żeby je strzepnąć, bo nikt nie powinien się dowiedzieć, że tam są.

Teraz kapitan pochyla się ku niemu pod krępującym kątem, dłoń drży z tęsknoty za kolbą rewolweru. Nie otaczają go od razu, podchodzą powoli, złowieszczy, a przy tym ujarzmieni jak cyrkowe lwy, myśli, że gdyby miał bat, mógłby ich zmusić, aby padli na piasek i podpełzli do niego z czołami przy ziemi – jedno ukąszenie bata: zlizywaliby piasek z jego stóp. Tak rozmarzył się w nim strach.

Ale strach rozmarzył się w nich wszystkich, to pewnie ostatni dzień życia, a oni wiedzą o tym w żenującej nieświadomości, jak stary koń wie, że zostanie zaszlachtowany, kiedy pewnego popołudnia do boksów wejdzie krępy, woniejący krwią chłop o pałąkowatych nogach, założy mu obcą uzdę, wyprowadzi go jakimś dziwnym sposobem ze stajni na drogę, nie pozwoliwszy nawet napić się z beczki przy studni, a potem ruszą w niewłaściwą stronę, w kompletnie niewłaściwą stronę, albo jak krowa, która cały wieczór muczy pod stodołą, czując śmierć niby opar bijący przez wrota, chociaż w ciągu dnia była na pastwisku i nie powinna o niczym wiedzieć, a zaszlachtowana koło południa jałówka już wisi w szopie z tłustymi muchami w brzuchu.

– Kto krzyczał? Kto to krzyczał?

Pytanie zadaje kapitan, odgarniając płaszcz swoim niewidzialnym rewolwerem, i raptem wszyscy przypominają sobie krzyk, co stłukł powierzchnię wody, wybił głęboką, trwałą dziurę w zwierciadle, dziurę, przez którą może wyciec życie każdego z nich.

Jeśli człowiek jest jak wanna z białych kafli, którą w dzieciństwie i pierwszej młodości napełnia się czystą, psotnie pluskającą, świeżą wodą, najpierw letnią, potem coraz gorętszą, wodą, w której mają obmyć się czyny, myśli, uczucia, wodą skazaną na utratę czystości, lecz może nie całkowite zbrukanie, wodą, o której postanowiono, że zostanie spuszczone, kiedy kąpiący się nie będzie miał siły wydzielić z siebie więcej brudu, jeśli człowiek jest taką wanną, pewnie nadchodzi w jego życiu chwila, gdy jakaś nieznana ręka wyciąga nagle korek i ucieka z niego ostygła już woda wraz z całym brudem i czystością, a szum śmierci z rury odpływowej napełnia go strachem, następnie rezygnacją, a w końcu pragnieniem, by ta sama nieznana ręka, która właśnie wyciągnęła korek, pojawiła się ze szczotką, aby wyszorować brudny osad z brzegu wanny. Tymczasem z żalnym jękiem reszta mętnej wody zostaje wessana w czarną dziurę, wanna milknie, pustoszeje, wanna umiera, a łazienkę zalega mrok. Klucz przekręca się w zamku

od zewnątrz, zamyka łazienkę na wieczność, tutaj nikt już się nie wykąpie.

Przypominają sobie krzyk – lecz kto krzyczał? Słyszą szum – lecz skąd? Ogarnia ich strach – lecz dlaczego? Powoli wycofują się w głąb plaży, pod skałę, a kilka jaszczurek, które najwyraźniej ich obserwowały, wyciągnięte, odwraca się z flegmatyczną niechęcią i człapie w górę ku trawie. Potem wszyscy przystają bezradnie, a smród leżącego pod brezentem trupa nadpływa szerokimi falami z jedwabiu, by ich udusić. Wypełnia ich śmierć, robią się jak wazony, które tak długo stały w zapomnianym pokoju, że zatęchły w nich i kwiaty, i woda.

Rozpięty nad nimi krzyk rzuca bezlitosny cień szubienicy, a im słabiej pamiętają jego brzmienie, tym bardziej namacalny staje się on sam. Krzyk staje się ciepłem, a na ich ciała występuje pot, krzyk staje się cieniem, a oni marzną jak psy, krzyk jest w ruchach jaszczurek i w leniwym poszumie od strony płaskowyżu, krzyk leży schowany pod brezentem, który zakotwiczono w piasku kamieniami, żeby się nagle nie poderwał, odsłaniając to, czego się nie chce widzieć.

A jak to jest z beczką na wodę?

Nic się na to nie poradzi: bierze się szklankę i opróżnia się ją albo bierze się zły uczynek ze stosu uczynków niedokonanych i popełnia się go – i od razu człowiek wygląda inaczej. Samemu można chyba to znieść, własne postępowanie nikogo chyba specjalnie nie wzrusza, ale wygląda to tak, jakby człowiek miał na twarzy mięśnie lubiące udawać sumienie.

Nadeszły prędkie wiatry, na chwilę słodki, kleisty zapach śmierci przewiały nad lagunę i znowu jest łatwiej rozmawiać.

– Musiał to zrobić ktoś z nas – mówi kapitan. – Woda nie mogła wypłynąć ot tak, sama z siebie.

Mówi, a po twarzy pełźnie mu pot, obfity, szary pot, pot pełen strachu. Ukradkiem zbijają się w ciasną grupkę, jakby tym sposobem mogli uniknąć śmierci. Kapitanowi ledwo starcza miejsca na wymachiwanie rewolwerem. Stoją plecami do plaży, twarzami zwróceni ku skale, jakby czekając na rozstrzelanie.

– Nie, ktoś musiał to zrobić – powtarza jak echo Boy Larus, lecz jego głos brzmi tak niepewnie, że wszyscy oprócz Lucasa Egmonta momentalnie wbijają w niego wzrok, a on umyka spojrzeniem jak koń, bo żaden niewinny nie ma tak niewinnych oczu jak winowajca.

Donoszą na niego skronie, kości policzkowe i profil. Zawsze tak było, myśli Lucas Egmont, kropla wina i dosłownie każdy widział po mnie, że piłem, mogłem dobić rybę kamieniem, a wyglądałem jak podwójny morderca. Teraz już przecież za późno, Boże, jakże przywykłem umierać! – teraz już przecież za późno, a ja zawsze powinienem był nosić maskę na twarzy.

Tymczasem niczego jeszcze nie zauważyli, martwego boksera boją się bardziej niż martwej beczki na wodę. To Tim Solider wpadł na pomysł z kamieniami. Trzeba coś zrobić, żeby nie zwiąło brezentu, powiedział nocą, chodząc niespokojnie w tę i z powrotem między ogniskiem a gorączkującą dziewczyną z Anglii, coś, co powstrzyma smród, póki go nie pochowamy.

Tim Solider bardzo boi się smrodu, niczego nie boi się tak bardzo jak smrodu, miał ciotkę, która mieszkała sama na poddaszu i do końca życia mawiała, że każdy powinien pójść na pogrzeb albo odwiedzić dom pogrzebowy, żeby dowiedzieć się, jak pachnie śmierć, bo na chwilę przed śmiercią poczuje identyczny zapach emanujący z własnego ciała i wtedy zamknie się w domu, będzie się mył, będzie się szorował, ale to nic nie pomoże, nic już nie da się zrobić.

Zbitą grupką, niczym zwycięska drużyna, która opuszcza boisko, wchodzi na skały, poranek jest jasny jak brzoskwinia, a powietrze takie, że trudno oddychać. Zadyszani przystają prawie co drugi krok, udając, że oglądają się w tył, patrzą na morze, obserwują chmury na niebie albo spokojną smugę horyzontu, ale to tylko gra, gdyż nikt nie może usłyszeć, że ci braknie tchu, nikt nie może się dowiedzieć, że krwawisz, płakać trzeba zawsze awersem uśmiechu.

Tak, wszystko jest grą: prawie żadne z nich nie wie, jak tego ranka wygląda morze i niebo, gdyż jeśli patrzą na morze, martwa fala ciężko unosi podłużny toból, na chybcika zakryty kawałem brezentu, i przeraźliwie znajoma beczka toczy się z wolna w stronę lądu, a całe niebo kryje się w cieniu zmarłej, pustej beczki.

O, jakże go nienawidzą. Że też mimo tak wielkiej samotności można zostać tak bardzo zdradzonym. Zupełnie jakby człowieka porzucono na pustyni, porzucono bez nadziei na ratunek – a na koniec pozbawiono go nawet ratunku pustego kubka na wodę.

Nienawidzą go, lecz popiół strachu bezustannie prószy z nieba, kiedy wspinają się na

plaskowyz, dokąd smród nie ma siły dolecieć na zbyt ciężkich skrzydłach, zmarły zostaje niebawem zasypany tym popiołem i wnet istnieje już tylko jakiś wybrakowany zarys pamięci o nim – a gdy później przystają, żeby złapać oddech, całą plażę wypełnia ogromna beczka na wodę, są odrobinę spłoszeni i jeszcze trudniej im patrzeć na siebie nawzajem, kiedy jednak w popłochu odwracają się tyłem do plaży, zdaje im się, że ta sama wstrętna beczka powoli przewraca się w trawę i niechętnie znika, gdyż lęk to przebiegły chłopak, którego nie zadowalają bezużyteczne symbole, skoro istnieje tak wiele użytecznych.

Uciekając przed zmarłym, dotarli do pierwszych zarośli i tam, na gładkiej, stromo opadającej skale, której zielone rowki połyskują w słońcu niby lampasy, dochodzi do pierwszej eksplozji. Tim Solider stoi jak Murzyn ze zwieszonymi rękami, wpatrując się w tajemnicze zarośla, które nadal przerażają go tak samo jak za pierwszym razem, właśnie rozchylił gałęzie, by pospiesznie zajrzeć w zielony mrok, po czym gwałtownie, jakby zobaczył w lesie węża, cofnął rękę – i dokładnie w chwili strachu rzuca się na niego kapitan, niemal jak tygrys. Jego ciężkie ciało z okrutnymi oczekiwaniami uderza w ciało Tima Solidera, upadają prawie natychmiast, ciasno spleceni, a plecy Tima Solidera z paskudnym chrzęstem gruchoczą o skałę. Może coś sobie złamał albo coś mu pękło, zrazu leży spokojnie, nie dostrzegając jakby, że kapitan bez przerwy łomocze go pięściami w pierś.

Na krótką chwilę zapada zdecydowanie zbyt doskonała cisza, pewien swojej przewagi kapitan przestaje bić, na świecie słychać tylko świszczące oddechy tych dwóch mężczyzn. Ktoś zdławił ból morza, wiatr nagle przestał wiać, nawet jaszczurki nie tupią już po kamieniach, tylko na urwisku poniżej walczących dwie duże jaszczurki zastygły w śmiertelnym bezruchu, jakby ich obserwując.

Lucas Egmont pierwszy uświadamia sobie ich głuchą wrogość.

Powieki jaszczurek na tej wyspie są krótkie, szorstkie, miały wiele tysięcy lat, aby się zmarszczyć, i spod tych wiecznie opuszczonych zasłon oczy wyglądają niby wiecznie gotowe do skoku, lecz poza tym ciała jaszczurek są gnuśne i jakby z wrodzonego lenistwa stale hamują skok. A jednak zdawało się, że te dwie jaszczurki przyczajone w bezruchu nieco poniżej kapitana i Tima Solidera straciły raptem swe jaszczurcze dusze, a biały obłęd niemal rozsadza ich pancerze, leżą w doskonałym bezruchu, lecz to tylko fatalne przygotowanie do wielkiego skoku.

Wówczas zauważa ściekający po skale brunatny strumyczek, wrogo rozcapierzone jaszczurki czekają, aż przepłynie między nimi, i nagle wszystko staje się dla niego jasne, na oślep szuka ramienia, którego mógłby się chwycić, ale go nie znajduje, ponieważ stoi sam, chce ich ostrzec wrzaskiem, lecz nie może, bo kapitan pochyła się nad twarzą Tima Solidera i krzyczy: – Ty to zrobiłeś, ty, ty łajdaku! Ty odpowiadasz za wodę, to ty odkręciłeś korek i wypuściłeś wodę z beczki. To ty oszukałeś nas z jedzeniem, to ty przyniosłeś nam skrzynię szklanych paciorków, mówiąc: proszę się częstować. O, myślisz, że nie wiem, jak bardzo nas nienawidzisz tylko dlatego, że masz niższą pozycję niż my, tylko dlatego, że przyszedłeś na świat, aby służyć. Dokonałeś na nas morderstwa, bo z chwilą opróżnienia beczki stałeś się mordercą, przyjacielu, mordując nas, myślałeś: teraz się okaże, kto jest najsilniejszy, kto przeżyje najdłużej! Ha, będę się śmiać, kiedy zaczną się wic w męczarniach, i sam wijąc się w męczarniach, nie przestanę się śmiać. O, już ja wiem, jak to sobie obmyśliłeś, ale popełniłeś błąd, powiem ci, bo kiedy zaczniesz nas dręczyć pragnienie, kiedy w halucynacjach ujrzymy studnie i rzeki, i źródła, ty już będziesz martwy. Przeżyjesz tylko do chwili, gdy poczujemy pragnienie. Wtedy ze strachu i z pragnienia wpadniemy w szal, będziemy krzyczeć: Gdzie jest morderca?, a ktoś odpowie: Tam, spaceruje po grzbiecie skały, i wtedy poczniemy go ścigać, aż padnie, i dosięgniemy go mocą swojego szalu, a jeśli ktoś będzie ubolewał nad naszym postępowaniem, odrzekniemy: To był tylko morderca, to był tylko morderca, który otrzymał w pełni zasłużoną karę.

O, jak bardzo się boi, krzycząc, jak dokładnie wypełnia płuca porannym powietrzem, żeby wyrzucić swój strach, który chlusta na mężczyznę pod nim, ale mężczyzna pod nim ma swój własny strach, sztywno przesuwając plecy, żeby wyswobodzić się z uchwytu zmiażdżonej jaszczurki. Jaszczurki, którą przy gwałtownym upadku na skałę rozgniół plecami, chyba nie trzeba się bać, a mimo to czuje, jak martwe ciało jaszczurki się rozrasta, aż w końcu leży na nim cała, stopy obmywa mu, niczym fala śmierci, chłód, a gdy udaje mu się odwrócić głowę i widzi, jak brunatna strużka życia jaszczurki spływa po skale, wrzeszczy, dziko rozdziawiając usta: – Jaszczurki! Uwaga na jaszczurki!

Ale wszyscy oprócz Lucasa Egmonta myślą, że zwyczajnie próbuje się wymigać od odpowiedzialności za swoje czyny, a Boy Larus, drżąc z wielkiego posłuszeństwa i wielkiego strachu, podchodzi i nisko pochylony, pluje mu prosto w twarz. W tej samej chwili kapitan energicznie unosi górną połowę ciała tak, że siada na kolanach Tima Solidera, co okazuje się dla niego zbawienne.

Jaszczurki, które do tej pory zbliżały się powoli i na pozór niezainteresowane, uderzają raptem do ataku, „skok elektryzuje ich ociążałe ciała niczym błyskawica i jedna tuż przy drugiej po obu stronach brunatnej strugi z potworną równoczesnością wbijają się w pierś Tima Solidera. Przecinają cienką koszulę i gryzą, po ugryzieniu zwisają zwiotczałe jak szczury, a spod ich twardych pysków powoli wycieka krew. Ma się wrażenie, że cała krew spływa do ran, bo twarz Tima Solidera momentalnie żółknie jak u zmarłego, a kiedy Lucas Egmont klęka przy nim, jego oczy kulą się w trwodze, a paznokcie jednej ręki drapią skałę, aż odginają się od ciała.

Teraz jaszczurki znów są całkiem nieruchome, lecz skok nadal czai się w ich ciałach i nieszczerych oczach, a kiedy Lucas Egmont maca dłonią pierś Tima Solidera, czuje, że zwierzęta drżą pod pancerzami niby bomby zegarowe, bezgranicznie czułe na najmniejszy nacisk. Cofa rękę i cisza uświadamia mu, jak bardzo jest na świecie sam, a gdy pospiesznie rozgląda się wkoło, nie spuszcza jednak jaszczurek z oka, wszyscy czworo stoją ciasno stłoczeni w kącie między strachem a nienawiścią.

– Chodźcie mi pomóc! – krzyczy. – Trzeba je szybko oderwać, zanim się wykrwawi!

Ale żadne nawet nie drgnie, wszyscy stoją bezradnie nieruchomo, jak najbliżsi żałobnicy nad grobem po ostatniej mowie, tylko Boy Larus wykonuje symboliczny gest, jakby chciał podbiec, lecz chętnie pozwala, by przeszkodziła mu w tym stopa kapitana.

Wówczas Lucas Egmont rzuca się na ziemię obok Tima Solidera, unosi jego dłoń i niczym tarczę przysuwa ją do siebie ponad czerwonym pobojuwiskiem piersi, a widząc, jak ciężka, nieprzytomna dłoń wolno zmierza do celu, z gwałtownością nawałnicy pojmuje, jak potwornie to wszystko jest znajome. Dłoń jest dłonią, która mu się śniła, wiele razy leżał schowany za dużą, żółtą dłonią, która powłócząc palcami, stawiała krótkie kroki po czerwonym suknie, za nią zawsze były zwierzęta, niewidoczne, a jednak ohydnie obecne, milczące, a jednak ryczące swoim milczeniem, nieruchome, a jednak piersi rozsadał im skok.

Pojmuje, że wszystko, co w życiu ważne i poruszające, jest tylko powtórką twoich koszmarów, że wszystko, co się dzieje, wydarzyło się już wiele razy, że tak często trzeba odsiadywać ten sam ból.

Lecz kiedy dłoń jeszcze zmierza ku niewidocznym pyskom jaszczurek, a nieprzytomny człowiek zaczyna drzeć przed powrotem do świadomości, na skale za sobą Lucas Egmont słyszy czyjeś drobne kroczyki, ktoś wyszedł z kąta, a on, głęboko nie dowierzając, słyszy coraz bliżej kobiece kroki i kiedy są już bardzo blisko, słyszy, jak wyparte zwierzę używa im zwinnej ostrożności – a potem krzyk: – Zostaw je! – krzyczy. – Zostaw! – krzyczy madame i nadal krzycząc, pochyla się, żeby pogłaskać jaszczurki, a ich ciałami nie wstrząsa najłżejszy dreszcz. Następnie niczym tryumfalny sztandar wyciąga w górę ramiona i mówi, teraz wolniej, z

większym namysłem, już nie tak głośno, gdyż znalazła swojego Jezusa, który gotów jest dać się pogryźć jaszczurkom, gotów wbrew własnej woli dać się za nią zabić.

– Zostaw je – mówi ta, która pokonała strach, pozwalając, by pogryzły kogoś innego. – Zostaw je, tak czy inaczej jest już za późno.

Niech poniesie karę, tak czy inaczej na nią zasłużył, tak czy inaczej to los, na jaki zasługuje morderca.

I słyszy, jak oddala się drobnymi kroczkami, tym razem już nie jak zwierzę, bo nie musi się bać. Teraz jednak coś dzieje się z Lucasem Egmontem: dotychczas wszystkie zdarzenia po zajściu z beczką były równie realne i nierealne jak sen; w snach człowiek boi się i ocieka potem, chociaż niejasno podejrzewa, że to jeden wielki teatr, i dlatego że poprzez chmury i dym stale dostrzega kurtynę, która opadnie, kiedy nie będzie miał siły dłużej cierpieć, kiedy nie będzie mógł przestraszyć się bardziej, by się od tego nie rozpaść, właśnie dlatego senny strach i senna trwoga sumienia nigdy nie są ostateczne, zawsze wyraźnie odgraniczone od śmierci i skrajnego cierpienia – ale przez życie przebiega linia, za którą raptem zanika wszelka równowaga, a żeby tę linię przekroczyć, trzeba poświęcić cały spokój, niewinność i błogie szczęście, jest to linia oddzielająca sen od absolutnej jawy: człowiek przebywa w przestrzeni snu, oddycha powietrzem snu, jednocześnie mając przeraźliwą świadomość, że sen tym razem się skończył, a rzeczywistość jest bardziej rzeczywista niż kiedykolwiek wcześniej, strach ze snu wydostał się z ciemnej klatki i w najjaśniejszym świetle dnia węzowym ciałem oplata ci szyję.

Nagle więc Lucas Egmont budzi się z długiego snu, snu o pragnieniu, a w tym śnie wszystko się już wydarzyło: w tym śnie wrócił do zrećcznie zamaskowanego dzieciństwa, w tym śnie wielka ryba z kolcami na chwilę wyłoniła się z dna jak wiertło, przemieniając spokojną lagunę w morze trwogi, w tym śnie Lucas Egmont pozwolił, by woda pitna, ich ostatnia nadzieja, wyciekła w piasek, i w tym śnie z łaskawą obojętnością śledził polowanie pięciorga śmiertelnie przerażonych ludzi na winnego, z obojętnością, bo wszystko było tak dalece nierealne, bo wszystko, co się działo, stanowiło po prostu jedyną możliwą kontynuację złego snu – i dlatego upadek w przebudzenie jest tak przerażający, a on raptem leży kompletnie zeszywniały i czuje, jak słońce, po raz pierwszy słońce, rozcina mu kark niczym nóż, powietrze wciska się w niego, boksuje płuca, nagrzane kamienie palą skórę, a cierpki zapach krwawiącego człowieka na skale każe mu nagle zacząć dyszeć z obrzydzenia – no i te wibrujące w uszach krzyki przestraszonych ludzi na wyspie, tortura światła rzeczywistości tryska w niego stalowymi strugami.

Ale najwięcej w tym wszystkim jest krwi, krwi, przez którą się obudził, nagle przecież dłoń Tima Solidera robi się lepko czerwona, a pod jego tchórzliwymi palcami niby ropucha pełźnie oto ciepława ciecz – i w poczuciu kompletnej bezsilności, z obojętnie falującego, bezkresnego morza trwogi, która później go wypełnia, wyłaniają się jego bezsensowne działania na wyspie, pędzą ku niemu jak byki, przebijają go rogami, miażdżą kopytami, a na morzu trwogi nie ma ani jednej wyspy przebaczenia. Poświęć wszystko i umrzyj, ryczy morze do jego wewnętrznej pogardy, kiedy w pełni pojmuje, jaki jest przerażająco żałosny, poświęć wszystko i umrzyj – a gardzący sobą człowiek poświęca wszystko i umiera albo uchodzi z życiem, zależnie od okoliczności. O, paradoksalny bohaterze, o, żałosna dzielności.

Lucas Egmont musi być w czepku urodzony, bo niemal bez trudu wpycha palce do pyska dolnej jaszczurki, po czym rozwiera go pięścią, gwałtowny ruch prawie wyrwa mu dłoń z nadgarstka i rzeczywiście: krwawiąc z pyska, jaszczurka upada na skałę, on rzuca się na nią mocą swojego strachu, przewraca ją na grzbiet i kopie w brzuch, aż zwierzę zsuwa się z urwiska i roztrzaskuje o kamienie na plaży. Kiedy potem, drżąc na całym ciele z napięcia i niepokoju, odwraca się, by stawić czoła nowemu niebezpieczeństwu, Tim Solider jest sam ze swoimi ranami, ale wąska, czarnoczerwona linia miękko wiję się łukiem po skale pod duży krzak. Od

strony zarośli wiatr niesie cierpki, wrogi smród zgnilizny, jakby dybał tam na człowieka przyczajony trup. Robi mu się od tego zimno.

Nadal są sami, tamci czworo, kapitan i Boy Larus, madame i młoda Angielka, powoli schodzą na plażę, gdzie ogień snuje wieczną smugę dymu. Lucas Egmont rozdziera na sobie koszulę i wciska kawałki materiału w rany, tkanina prędko ciemnieje, a on bierze Tima Solidera pod pachy, by ściągnąć go po skałach na dół, czerwona fala krwi niby płomień uderza na twarz Tima Solidera, który pojękuje jak zwierzę, wpełzając z powrotem w stan świadomości.

Wówczas rozlega się krzyk młodej Angielki, która pada na kolana w wodzie przy brzegu poniżej martwego boksera i histerycznie zaczyna sypać sobie mokry piasek we włosy.

– Dlaczego zabiliście go dla mnie? Zamordowaliście go, oczywiście, że tak! Chodźcie tu, już ja...

Oni jednak zachowują na razie pełen szacunku dystans.

Wkrótce jednak otaczają ją kołem czy, ściślej mówiąc, półokręgiem. Nawet Tim Solider bierze udział w okrążaniu, z wahaniem wrócił do świadomości, krwawienie ustało, jest bardzo słaby, ale chodzi sztywno wyprostowany, a szkielet ze strachu nie pozwala mu się rozpaść. Boi się mianowicie, że znowu zaczną knuć przeciwko niemu i wykorzystają jego sen, by go zabić. Dlatego nie ma odwagi nawet przelotnie zerknąć na piasek, który, zdaje mu się, ma oczy i przysysa go nimi do siebie, miękną mu kolana, ogarnia go tępe zmęczenie, a ktokolwiek zechce, może pokonać jego ciało. Bez przerwy zatem rozgląda się wkoło, obserwuje ich jedno po drugim, jak szachista obserwuje figury przeciwnika, żeby je utrzymać na odległość. Zachowują wobec niego dystans, bo szanują jego rany, bo umierający zasługuje na większy szacunek niż żywy, ale Tim wierzy, że to jego wrogie spojrzenia nie pozwalają im się zbliżyć, a gdy tylko pewna granica zostaje przekroczona, gdy podchodzą o krok za blisko, jego ręce zaczynają spazmatycznie drgać, a dłonie powoli zaciskają się w pięści.

Jeszcze nie doszedł do siebie po napaści i uważa, że nienawidzą go, bo wszyscy byli pasażerami, a on jako jedyny ocalały członek załogi statku ponosi kapitańską odpowiedzialność za katastrofę. Nawet już nie jest pewien, kto go przewrócił, ostatni kadr pamięci przesłaniają olbrzymie cienie jaszczurek, które spadają na niego jak błyskawice, by zaryć się głęboko w jego bólu. Nie przypomina sobie też, że ktoś go uratował, wierzy, że opuszczony przez wszystkich, sam zwłókł się ze skały i padł na plaży ze zmęczenia, i jest im tylko wdzięczny, że nie skorzystali ze sposobności, aby z nim skończyć.

Ostrożnie podchodzą do krzyczącej dziewczyny z trzech stron: z plaży i z wody po obu jej stronach, jakby nieśli między sobą siatkę na ptaki, żeby złowić krzyk, i wszyscy stawiają jednakowo krótkie, przyczajone kroki, zarówno ci, co brodzą w wodzie, jak ci, co drepczą po piasku. A z niej cały czas wypływają krzyki, bez przerwy, jakby nagle puściły wszystkie zapory i wszystkie zatamowane krzyki chlusnęły naraz. Czasem niczym złuszczone kora w tym bulgoczącym potoku pada jakieś słowo, ale nie ma czasu pochwycić jego znaczenia, bo zaraz znika porwane przez wiry. Dziewczyna leży w wodzie na brzuchu, głowę ma wymazaną mokrym piaskiem, a gdy zbliżają się do niej, zaczyna wypełzać z wody jak jaszczurka, piersi i brzuch mocno wciskając w piach. Krzyki przechodzą w piskliwe zawodzenie, a ona z głośnym płaczem podnosi kamienie przytrzymujące brezent na ciele boksera.

Ale nie zdąża go zobaczyć, wszyscy rzucają się na nią ciasno stłoczeni, po czym wloką ją do ognia, ona wierzga i krzyczy – o, te przerażające krzyki, od których samemu ma się ochotę krzyczeć – bryzga piaskiem i wodą, chłodząc ich, bo właśnie nadchodzi upał, a brezent boksera paruje i woń jego śmierci powoli rozpościera się nad nimi niczym spadochron. W pewnej chwili dziewczyna im się wyrwa i naga wbiega do wody po pas, Lucas Egmont chce krzykiem ostrzec ją przed groźną rybą na dnie laguny, lecz ona nagle staje, powoli odwraca się do nich przodem, widzą jej białe ciało przebłyskujące spod wody jak biały marmur przez gęsty zielony deszcz. W kompletnym bezruchu patrzy na swoje stopy, dwie rybki śpiące na dnie brzuchami do góry, i na chwilę cały świat nieruchomieje. Za jej milczeniem rozpościera się spokojne morze, tylko wieczna fala wypiętrza się nad horyzont, zaraz jednak pochłania ją morska cisza, a ktoś ma wrażenie, że dziewczyna opiera barki o ciekłą linię horyzontu, tak pięknie odchyła do tyłu ciało.

W końcu wyjmuje ręce z wody i wyciera się z piachu, mówiąc półgłosem:

– Pozwólcie mu przyjść do mnie, pozwólcie mu przyjść do mnie...

Ale oni nie pozwalają mu przyjść do niej, choć tak wzruszająco prosi. Ustawiają się wokół zmarłego, a palce im bieleją od bolesnego mozołu hamowania krzyku. Lustrują się nawzajem szybko tajonymi spojrzeniami, gorący pot ścieka po ciałach i coraz trudniej to wszystko wytrzymać, jeśli się nie stoi w wodzie: upał kładzie się na głowach ciężką dodatkową czaszką, puls raptem wariuje, zupełnie jak w zamkniętej saunie, gdzie temperatura stale rośnie, aż w końcu człowiek pełza po podłodze i z jękiem błaga o najbardziej absurdalny ratunek: niech ziemia się rozpadnie, a budynek sauny runie, byle tylko wydostać się z tego piekielnego gorąca.

O, marzą teraz, by młoda Angielka znów zaczęła krzyczeć, marzą o gwałtownym wybuchu, który oswobodziłby ich z paskudnej sytuacji – lecz dziewczyna tylko składa dłoń w czarki i zaczyna niespiesznie oblewać sobie wodą piersi, powtarzając z uciążliwą monotonią:

– Pozwólcie mu przyjść do mnie, pozwólcie mu przyjść do mnie.

W końcu przestaje oblewać się wodą, podchodzi kilka kroków i zaczyna tańczyć, chwilami całe jej ciało znika pod powierzchnią, widzą krótkie, bolesne ruchy wahadłowe nóg, ręce wypływają i nurkują niby płaszczki, później ukazują się oślepiające ramiona, a ona miękkimi skokami przelatuje nad horyzontem, by potem jak spadający jedwab zanurzyć się w zieleni. Jest to taniec o tęsknocie, taniec o tęsknocie, która nienawidzi ukojenia, tęsknocie za niczym.

W końcu madame znajduje należący do młodej Angielki kawałek tkaniny, przerzuca go sobie przez ramię i ucieka od smrodu, upału i mężczyzn, na których straszny zapach dopiero teraz zwróciła uwagę, drżąc ze wstydu i rozgoryczenia, odkryła raptem, jak bardzo obsceniczny taniec nagiej dziewczyny obnaża ją samą, oszalała dziewczyna sprzedaje je obie pożądanym spojrzeniom z brzegu – madame chwyta ją mocno za ramię, zatrzymując w pół skoku. Patrzą na siebie jak dwoje ludzi, którzy spotkali się na samotnej linii między strachem a nienawiścią i jedno musi spaść. Madame osłania ją tkaniną, a zbliżając się do brzegu, pyta drwiąco:

– Wybierasz się do kochanka? Chce cię właśnie w takim stanie?

Wtedy młoda Angielka twardymi knykciami wali ją na odlew w nos, bodzie w plecy i próbuje gryźć, krzyczy: – Zabiliście go, myślicie, że nie wiem. Poczekajcie, aż zrobi się ciemno, poczekajcie, aż zrobi się ciemno.

– To twój kochanek nie żyje? – dziwi się madame słodko, trzymając ją na odległość wyciągniętej ręki. – Niemożliwe, moja mała.

Potem podnosi jej dłoń i głaszcze nią trzy ostre czerwone ślady po zębach na swoim lewym ramieniu. A dłoń jest zaskoczona, a potem dłoń czuje nienawiść, a jeden ze stojących na brzegu czuje się krępująco dotknięty tym gestem lodowatej wściekłości, który kreśli dłoń, opadając ku biodru.

Ponieważ nie mają łopat ani w ogóle nic, czym dałoby się kopać, w dodatku piasek jest za twardy na paznokcie, na pogrzeb należy przynieść z dna laguny mokry piach do zasypiania zmarłego.

Pracują przez dużą część najgorętszej pory dnia, spieszą się tylko na początku, kiedy smród jest zbyt uciążliwy, potem ich grabarskie ruchy stają się tak spokojne, szerokie i przekonujące, jak zawsze, kiedy człowiek boi się własnego lęku pod czterema warstwami mokrego piachu, który szybko twardnieje w upale. Kopiają rękami tuż przy brzegu, Jęcz w różnych miejscach wzdłuż plaży, i tak długo, jak długo trwa kopanie, prawie na siebie nie patrzą. Tylko czasem przypadkiem spotykają się przy zmarłym, klękają wówczas obok siebie i muskając się dłońmi, z nabożeństwem wygładzają świeży miękki piasek na starym, twardym.

Ale choćby nanieśli nie wiadomo ile piasku w ciągu gorących godzin południa, i tak nie zdołają pogrzebać pod nim swojego strachu. Nawet gdyby mieli pustynię, rozległą pustynię Sahary albo którąś z pustyń Mongolii, piasku mogłoby nie starczyć, jednemu marzy się pociąg, mały pociąg o wielu głębokich wagonikach, taki, jakie w rodzinnych stronach kursowały między glinianką a cegielnią, kiedy on sam był tak mały, że na świecie istniały tylko zwierzęta, a ten pociąg był największym zwierzęciem jak do tej pory. Gdyby tak mieć tamten pociąg, wagoniki czubato wypełnione piachem, biegalby między jednym a drugim z największą łopatą w parafii i tylko wygarniał, kiedy ze zgrzytem mijałyby wyciągniętego przy torach martwego boksera.

Inny idzie właśnie przez pustynię. Słońce pali z pustego i bezlitosnego jak biało oka nieba. Wszędzie tylko piasek, cały piasek świata leży rozsypany wokół niego, a on jest wędrującym centrum tego piaskowego oceanu, gdyż dokądkolwiek pójdzie, centrum przesuwają się wraz z nim. Nie istnieje tu żaden koniec ani początek, żadne w górę ani w dół, żadne do przodu ani w tył. Zegary świata stanęły, a Bóg leży na *lit de parade* na jakiejś całkiem innej gwiazdzie. Słońce też stanęło i będzie teraz płonąć, póki się nie roztopi, tak postanowiło. I wszędzie tylko piasek, człowiek rozebrał się do naga i położył na plecach w piasku, a piasek to miliony, miliardy od dawna uspionych zwierzątek, lecz jeśli słońce pogrzeje tak diabelnie jeszcze przez kilka godzin – nie, czas przecież nie istnieje! – kilkaset kroków w tę i z powrotem, i wkoło, i po kwadracie, obudzą się, a lubią gryźć, kiedy się budzą, i chcą natychmiast rzucić się na zuchwałego mordercę ich snu – „i żeby dosięgnąć słońca, wespną się na mnie, samotnego wędrowca na pustyni, ale przekonawszy się o daremności tych wysiłków, swój gniew zwrócą przeciwko mnie i powpełzają we wszystkie jamy mojego ciała, przez most języka do tunelu gardła, w przewody kloaczne nosa, w kopalniane szyby uszu i do oczu, które chciałbym zachować do końca, by w najmniej zakłamanej chwili zagłady móc skonstatować, że wszystkie nadzieje na zbawienie były dokładnie tak naiwne, jak zawsze przypuszczałem, w źrenicach więc wywiercą otworki, a potem wleją się przez nie, ciekawe cudowności, jakie muszą czekać za tak piękną błoną – lecz Boże, jakże je zawiodę, jakże je zawiodę”.

Ale ten, który idzie przez piasek, oczywiście tak samo jak pozostali boi się o swoje delikatne życie i poświęciłby wszystko, tak, nawet życie, żeby je ocalić. Chce zdobyć cień, duży, głęboki cień jak cień kasztanowców latem, i z tym cieniem przekreślić tak duże połacie pustyni, jakie da się przekreślić w ciągu zwyczajnego życia, i będzie się słał pod tym cieniem jak pod za dużym krzyżem – są wszak także małe, godne pożałowania krzyże, które słałają się pod tym, kto je

niesie – w głupiej nadziei, iż cień będzie dawał dość chłodu, by uśpione piaskowe zwierzątka obudziły się do życia dopiero wtedy, kiedy on sam polegnie, bowiem „jeśli człowiekowi w ogóle przysługuje jakiegokolwiek prawo, to za prawo człowieka, może najbardziej fundamentalne prawo człowieka, uważam wybór charakteru własnej śmierci. W pewnym sensie myślałem, że dawniej odbywało się to bardziej po ludzku, skoro przynajmniej niektórzy mogli być straceni mieczem. Ja chciałbym zostać ukrzyżowany, ukrzyżowany na pustyni takiej jak ta, pod warunkiem, że krzyż rzucałby dosyć silny cień, dostatecznie zimny cień, żeby powstrzymać piaskowe zwierzątka, aż zdążę umrzeć. Ktoś mówi na to, że nie można ukrzyżować niewinnego, jeśli już w ogóle trzeba posługiwać się tak abstrakcyjnym pojęciem jak ukrzyżowanie, skoro istnieje tyle pojęć konkretnych, a ja mówię, jasne, że nie można, ale rzecz w tym, że ja niewinność pojmuję inaczej niż prawie wszyscy.

Twierdzę, że być niewinnym to albo jeszcze się nie urodzić, albo być już martwym, a skoro człowiek zaszedł już tak daleko, że się na to godzi, byłbym chyba skłonny przyznać, iż oczywiście istnieje wiele rodzajów winy, wina bardziej niewinna niż inne i wina o największej zawartości winy, wina prawdziwie ociekająca winą i wina, z której tylko trochę kapie. Dla wielu jest to niepojęte, nie mogą zrozumieć, nigdy nie chwycą tego wszystkiego ni w ząb, zawsze będą zasypiać przy kominku i budzić się niepomni niczego, przegrzani ciepłem, marząc tylko o krągłej kobiecie, soczystej pomarańczy, kieliszku słodkiego wina, lepszej szcztoteczce do zębów albo w ogóle o niczym nie marząc.

Ale dla mnie, który krążę po piaskach pustyni i który zawsze krążyłem po piaskach pustyni, i który wreszcie wiem, że umrę w piaskach pustyni, nie jest to już takie niepojęte, lecz to prawda, ja także dopiero niedawno zacząłem to rozumieć, kiedyś też przecież zasypiałem przy swoim kominku – kłamałem, mówiąc, że zawsze byłem na pustyni, tak naprawdę musiało mi się to przytrafić dopiero co – ale różnica między mną a większością polegała na tym, że po obudzeniu trząsałem się z zimna i szcukałem zębami, i bynajmniej nie tęskniłem za tym, co zwyczajne, za tym, za czym powinno się tęsknić, żeby być normalnym. Ale gdy tak leżałem zmarznięty i cierpiący, często po chwili stawało się dla mnie jasne, że również i ja mam jakieś pragnienie, że ja też czegoś chcę tak samo jak wszyscy, ale w owym czasie jeszcze tak bardzo bałem się niebycia normalnym, że nigdy nie odważyłem się tego sformułować – teraz jednak, kiedy wreszcie idę przez pustynię i nikt prócz mnie nie usłyszy moich pomyślonych słów, mogę to powtarzać, ile razy zechcę.

Tęskniłem za uczuciem najgłębszego spokoju, spokoju przekraczającego wszelkie pojęcie, nie spokoju zarośniętej sitowiem zatoczki, nie spokoju wędki, nie spokoju banku po godzinach, nie spokoju piwnicy, kiedy cały dom śpi, nie, spokoju, którym napełnić może tylko wolna od winy samotność, spokoju człowieka niewinnie samotnego, samotnego, który nie porzucił nikogo dla własnej samotności, samotnego, który nie zdradził nikogo dla własnej samotności, samotnego, który jest poza wszelkim kontekstem krwi i cierpienia, więc nikt nie może go za to pociągnąć do odpowiedzialności. A może już było dla mnie jasne, że istnieje na ziemi taki punkt, że istnieje gdzieś pustynia, na której w końcu taka samotność będzie możliwa, albo, ściślej mówiąc, istnieje na tej pustyni takie miejsce, nie żadna banalna oaza, nie, przeciwnie: miejsce bardziej piaszczyste, bardziej upalne i bardziej nie do zniesienia niż wszystkie inne miejsca na tej piaszczystej, upalnej i już samej w sobie nie do zniesienia pustyni, i jeśli tego miejsca jeszcze nie znalazłem, błędę w poszukiwaniu, a gdybym go nie znalazł, choć mam wrażenie, że obszedłem i obwąchałem wszystkie zagłębienia piaszczystych wydm – wówczas, moi państwo, wówczas chciałbym prosić o ukrzyżowanie, wówczas moja wina będzie większa niż wszystkich, większa nie dlatego, żebym postępował bardziej niewłaściwie i niesprawiedliwie niż inni, lecz dlatego, że wyrzuty, jakie sam sobie czyniłem, moje poczucie winy i współudziału w ogromnym cierpieniu

były gorętsze.

Być winnym to mieć poczucie winy, to nie efekt popełnionych zbrodni, być niewinnym to być wesołym i szczęśliwym i nie pozwalać, by wszystkie przerażające wydarzenia i wypadki jakkolwiek wpłynęły na twój spokój. Dlatego uważam, że sądownictwo jest wykolejone, skoro doprowadza do egzekucji ludzi mniej winnych zamiast bardziej winnych, przestępców zamiast tych, którzy w sercu noszą wszystkie winy świata. To tak, jakby zabijać dzieci za postęпки, które popełniły w ciemności, dlatego że były do ciemności nienawykłe i nie rozumiały, jak działają ich ciała. Nie, ponieważ jedyni zbrodniarze to ci, którzy czują się zbrodniarzami, zamiast sprawiedliwości tropiącej i wydającej wyroki można by ustanowić sprawiedliwość dokonującą egzekucji, gdyż po upływie pewnego czasu opętany winą niczego bardziej nie pragnie, niż by wolno mu było umrzeć, by wolno mu było umrzeć za winę świata i swoją własną, i bez cienia wątpliwości, tak, bez strachu przed śmiercią, wszak nic więcej go już nie czeka, skoro wreszcie dotarł na samo dno świata, może zarekwirować sprawiedliwości własną karę śmierci – i żadna głowa nie pochyli się przed gilotyną z większą gracją niż jego, żadnej kobiecie pieszczota najcenniejszych naszyjników nie była miłsza niż jemu pieszczota stryczka zaciskającego się na szyi.

Ja zaś chcę krzyż, zaprowadzę magazyniera do składu drewna i wybiorę to, co będzie do mnie przemawiało, może kasztan, dlatego że zawsze lubiłem wielki, głęboki, miękki cień kwitnących kasztanowców, albo topolę, dlatego że na jednym z podwórek w mojej dzielnicy rosła topola, a ja tę topolę kochałem jako jedyny okaz zieleni na świecie, ale jednego drzewa nie chcę, tego, które przy mocnym wietrze trzeszczy jak szubienica, spytam niewinnego magazyniera, co to może być za drzewo, bo nie chcę krzyża, który trzeszczy jak szubienica, skoro zamawiałem ukrzyżowanie. Nie chcę pomocy przy gwoździach i nie chcę, żeby mi pomagano go nieść, chcę sam sobie być katem aż do ostatka, a jeśli na koniec czegoś zapragnę, to aby cień mojego krzyża był tak wielki i głęboki, żeby piaskowe zwierzątka się nie pobudziły, nim wszystko się dokona”.

Ale dla tego, kto idzie przez piasek pustyni, słońce wymyśla wciąż nowe zabawy. Czasem przykłada do ust dmuchawkę i dla igraszki wstrzykuje mu w rdzeń kręgosłupa rozżarzoną ławę, aż człowiek padnie i będzie wił się na piasku jak wąż. Nie, jak robak, jak dżdżownica, człowiek czuje brutalne palce wędkarza i nagle haczyk wbija mu się w brzuch i chyba nie słyhać, jak człowiek krzyczy, bo haczyk tylko zagłębia się coraz bardziej, a jest gorący i rozżarzony, najbardziej boli, kiedy przeciska się przez gardło, gdzie zaklinował się jeden z zębów, wędkarz zaczyna energicznie szarpać, bo haczyk musi dotrzeć do samej głowy, tak bardzo pragnie pławić się w mózgu, pewnie w swojej szufladzie w sklepie żelaznym podniecał się myślą, że któregoś dnia będzie się pławił w ludzkim mózgu. Ale potem nadchodzi najokrutniejsze: uczucie, jakby ci wyszarpywali nogi – i nic nie jest zbyt niewiarygodne, zbyt straszliwe, zbyt niemożliwe do przejścia: nogi oczywiście zostały wyszarpane, człowiek po prostu nie może być za długi, nogi wędkarz wykorzysta później i nagle człowiek znajduje się w piasku, walczy, wije się, jak potrafi, ale przecież nie potrafi zbyt wiele, powinien był częściej trenować wicie się, póki jeszcze miał szansę, w końcu porzuca te nierokujące niczego starania i tonie, piach zamyka się wokół niego jak ogień, a on pogrąża się coraz głębiej i głębiej: serce ma się zanurzyć, szyja ma się zanurzyć, cała głowa ma się zanurzyć, a potem coraz głębiej, coraz głębiej w niewyobrażalne potworności, w najgorętszy ogień – i człowiek tylko marzy, żeby mieć przynajmniej nogi, wymacać nimi teren, aby trochę więcej czasu upłynęło od pierwszego zetknięcia z tym do przeraźliwej, szybko stającej w płomieniach świadomości, czym jest to, co leży ukryte siedem metrów pod powierzchnią piasku. Ale w obecnej sytuacji, w obecnej sytuacji nerwy depczą bezpośrednio po tym, a krzyk przychodzi potwornie bezzwłocznie – o, gdyby tak mieć chociaż z metr, nędzny metr kości, mięsa i ścięgien na przyjęcie pierwszego potwornego zderzenia, szatański wędkarzu,

czy ty wiesz, co robisz? – krzyczy i krzyczy, i oto nagle jest wypchany piaskiem jak worek.

Wszędzie piasek, piasek piasek piasek, piasek jest światłem i ciemnością, cała głowa wypełniona jest piaskiem, od kiedy wszystko z niej wypłynęło, piasek przesypuje się w trzewiach, a głupi żołądek chyba w najlepsze próbuje go strawić, mimo to piasek nie pomaga uciec od przerażenia, od przerażającej świadomości tego, na czym okrutny wędkarz każe spoczywać swojej przynęcie. Twoje żałosne piaskowe „ja” przebiegają dreszcze strachu naśladujące zwoje haczyka tak wiernie, jak tylko można sobie wymarzyć. To straszne, bodaj najokropniejsze ze wszystkiego: własnymi nerwami deptać po zmarłym – człowiek chciałby eksplodować, chciałby rozpęknąć się na kawałki, lecz piasek jest bezlitosny, bo choćby nie wiadomo jak był gorący i wzburzony, człowiek nie może wybuchnąć, jakkolwiek dziko i długo by krzyczał, że musi zebrać się na odwagę i wylecieć w powietrze, piasek drwi sobie z niego, niewrażliwy zarówno na pochlebstwa, jak i na groźby, i żeby pokazać, na co go stać siedem metrów pod powierzchnią, jeśli faktycznie to tak głęboko, piasek podkrada się tuż-tuż i zaczyna człowieka obląkańczo łaskotać, a on nawet nie może się śmiać.

I w końcu dochodzą sygnały z góry, haczyk lekko drga i teraz człowiek robi wszystko, żeby się z niego nie urwać, kochany haczyczku, myśli jego piasek, nie opuszczaj mnie. I haczyk go nie opuszcza, człowiek jest wciągany w górę, nieuchronnie w górę, i błogosławi wędkarza za jego siłę. Lecz oto zwała się na niego ta przerażająca chwila, kiedy zauważa, że nie jest sam, w górę nie wznosi się sam, bo zdobycz, na którą wędkarz tak gorąco liczył, wznosi się razem z nim, wisi na jego nerwach jak na linie i zmarły nie puszcza, choć człowiek wije się coraz bardziej rozpaczliwie, i jego nerwy nie pękają, chociaż gorąco tego pragnie całym swoim piaskiem. I wreszcie światło, wreszcie światło, już nie wierzga, wisi oklapły, a piasek wysypuje się z niego, ustępując miejsca bólowi.

Nogi leżą na piasku, musiały umrzeć, w każdym razie się nie ruszają, tylko stopy są kurczowo wciśnięte w piasek, może z rozpacz i tęsknoty za stosem.

Naraz odrywa się to coś nieopisanego, co wzniosło się razem z nim, wędkarz śmieje się, obryzgując go rozżarzoną śliną, kopie to coś, a ono odpowiada głuchym brzękiem – i zanim oczy spadną na piasek, zmęczone oglądaniem tak wielkiego bólu, człowiek zdąża jeszcze zobaczyć, że to beczka, dosyć duża, zielona beczka, tylko tyle da się o niej powiedzieć, może jednak coś z nią było nie w porządku, bo wędkarz nagle jednym kopnięciem robi w piasku duży dół i wydając z siebie wściekłe okrzyki, strąca do niego beczkę. A później słońce puchnie niczym rozżarzona ropucha, by w końcu eksplodować i przemienić się w balon, w miliony, może miliardy balonów, które powoli, wszystkie jednakowo paskudnie rozżarzone, opadają na twoją pustynię, dodatkowo wzmagając panujący na ziemi upał, a ty cieszysz się, że przynajmniej nie masz już nóg, które czułyby gorąco, a balony zbliżają się coraz bardziej i nagle robi się dziki tłok, gdyż wszystkim tym milionom i miliardom zależy równie mocno, żeby wpaść do oczu człowieka – i naraz, w jednej płomiennie zatrzważającej chwili łączą się swoim gorącem i cała pustynia drży, wędkarz wpada do dołu, beczka idzie z dymem, a śluzówki człowieka zaczynają wibrować, aż w końcu pękają w przeraźliwej kaskadzie oślepiającego światła i gryzącego gorąca, które akurat chlusta na ziemię i na niego.

Kiedy madame i młoda Angielka wracają z tajnej wycieczki w głąb wyspy, a siedzący w cieniu skały jeden z trzech mężczyzn o rękach aż po barki pokrytych zaschniętym szarym piaskiem przypomina sobie nagle, z jaką nienawiścią pewna dłoń opadła do pewnego biodra, zatrzymują się porażone widokiem dwóch piaskowych wzgórków na plaży.

– Miał godny pogrzeb, trzeba przyznać – mówi Tim Solider, który zapomniał o utrzymywaniu dystansu, skoro minęło już tyle okropieństw.

– Nagle odłączył się od nas – mówi kapitan. – Można by pomyśleć, że dostał udaru

słonecznego, nie podchodził już do boksera, cały piasek wysypywał na pustą beczkę, zupełnie jakby jej widok znosił jeszcze gorzej niż widok trupa. Harował jak niewolnik, żeby ją *zakryć*, na koniec dosłownie czołgał się z piaskiem w dłoniach między wodą a beczką, a kiedy chcieliśmy go podnieść, wił się jak piskorz i krzyczał, żeby go puścić, bo jest równie martwy jak my, krzyczał. Można by pomyśleć, że to jego sprawka, nic już nie wiadomo, nic, nic na ten temat nie wiadomo.

Na to madame podchodzi do Lucasa Egmonta, który płasko jak kamień nagrobny leży na grobie ukrywającym beczkę, a kiedy usiłuje go podnieść, okazuje się kompletnie bezwładny.

– Powinniśmy chyba przynajmniej przenieść go do cienia – mówi. I właśnie w tej chwili dostrzega białą skałę, opuszcza go z powrotem na piasek i wchodzi do wody, pochyla się, żeby pogłaskać skałę, ponieważ pod piaskiem, który zanieśli na groby, połyskuje biała skała, lecz nikt jej nie zauważył.

– Musieliście być ślepi – mówi, pieszczotliwym ruchem oczyszczając ją z piasku. – Musieliście być ślepi jak głązy.

Nawet nie wie, jak bardzo są ślepi.

Biała skała jest zgoła inna, niż im się z początku wydaje.

Wyobrażają sobie mianowicie, że zaczyna się w miejscu, gdzie madame ją odkryła, skąd wybiega ku środkowi laguny, skąpo przykryta warstwą piasku, ale kiedy zmęczonymi dłońmi zeskrobują z niej piasek, widzą, że obiera całkiem inny, nieprzewidziany kierunek, i nagle dopada ich wszystkich silne, przemożne pragnienie, by do końca obnażyć białą skałę, wydobyć jej białe tajemnice. Tak, ich żądza działania jest tak wielka, że rzucają się w wodzie na kolana i w pośpiechu zaczynają dłońmi odgarniać piasek.

Upał już zelżał, a dno laguny jest nieruchome, wysoko w górze odrobinę wieje i dolatuje ich szelest wiech trawy, samotna jaszczurka zeskakuje z kamienia na kamień, choć może jest bardzo blisko, na ucho wydaje się daleko, niby gdzieś zza horyzontu dobiega szum niewidzialnego wodospadu, najbliższy dźwięk to głos gadającego przez sen Lucasa Egmonta. Położyli go w cieniu pod zboczem góry, a on ciągle śpi na brzuchu, przekonany, że leży na grobie beczki, co jakiś czas mówi niezbyt głośno, ale wyraźnie: chce być ukrzyżowany, po czym jakby wzdycha ze szczęścia.

Pięcioro ich pótleży na kolanach w wodzie, kopią i pracują z takim zacięciem, tak obojętni na wszystko, jakby pod szorstkim piaskiem wyspy leżała ukryta dusza świata, rozwiązanie zagadki ziemskiego cierpienia, a oni zapomnieli o wszystkim poza tą płytką ciepłą wodą i tym jeszcze gorącym piaskiem, który wypełnia czarki ich dłoni, i białą skałą, której biel wyostrza się, im bliżej lądu, jaśniej ku nim jej nagość.

I oczywiście, że o wszystkim zapomnieli: myszko, mówi szary kot strachu, myszko, pobiegaj sobie przez chwilę po trawie, zapomnij o ugryzieniu, zapomnij o pazurach, niech ostre białe zęby nad tobą pochłonie zmierzch. Myszko, miła myszko, nie będę cię teraz dręczyć przez pięć minut albo dwanaście minut, albo przez dwie godziny, albo trzy dni, biegnij, ile zdążysz, biegnij, ile zdołasz, biegnij, ile starczy ci odwagi! Biegnij przez jasną noc, której najjaśniejsze gwiazdy to moje oczy, będą oświetlały cię tyle czasu, na ile zasługujesz, biegnij przez skropiony rosą poranek i nie zastanawiaj się, przed kim rozchyła się trawa za tobą, biegnij przez długi słoneczny dzień i szukaj zapomnienia w moim litościwym cieniu, który będzie ci towarzyszył przez cały dzień równie wiernie jak twój własny! I nigdy nie uskarżaj się na wierność strachu, myszko, czasem najwyżej na swoją własną niewierność, którą usprawiedliwia jedynie fakt, że trwa tylko tyle, ile ja zechcę.

Pracują już długo, ciężko i energicznie, jakby kopali kanał wiodący do ocalenia, przestali używać dłoni, gdyż były nie dość skuteczne, bo im bliżej do lądu, tym głębiej skała zakopuje się w piach, kapitan nabiera swoim butem z cholewą, a Boy Larus i Tim Solider butami z brezentu, każdy ma wszak dwa narzędzia kopiące, a żeby praca szybciej posuwała się naprzód – żywią oczywiście nadzieję, że skała okaże się nieskończona, a oni nadal będą uparcie pracować, kiedy ze swoimi zębami i pazurami przybędzie wybawiciel – kobiety mają za zadanie wypróżnić pełne narzędzia w głębszej wodzie za zewnętrznym krańcem skały, i kolistą błoną z piasku unosi się na nieruchomej powierzchni laguny niby ślepe oko i to ślepe oko jest jedynym szczęśliwym okiem na wyspie, nie widzi ani zalegającego na dnie mizernego cienia rozbitego statku, ani nabrzeżnych grobów dwóch nadziei, po których nikt niczego się nie spodziewał, a które właśnie dlatego oplakiwano znacznie boleśniej, ani ognia, który powoli gaśnie, bo nikt od dawna nie marzył, ani

widm strachu, które bezustannie migają ponad polem widzenia niczym nietoperze, widm tego, czego każdy z nich najbardziej się lęka, widm, które szyderczo szczerzą się do nich, mimo że oni niestrudzenie wpatrują się w piasek i wodę.

Nagle skała podnosi się dość stromo dokładnie w miejscu zetknięcia wody z lądem, zwężając się do szerokości metra, by jednocześnie prawie pod kątem prostym wystrzelić ku nabrzeżnej skale, a warstwa piasku jest tak cienka, zaledwie parędziesiąt centymetrów, że wszystkich dziwi, iż w ciągu dni spędzonych na wyspie nie rozkopali jej stopami. Kobiety wychodzą z wody, stają za mężczyznami i patrzą na ich nagie plecy, ciemne od słońca i lśniące twarde niczym pancerze jaszczurek, a dłonie mężczyzn pracują jak maszyny, odgarniają piasek, który paruje od gorąca, i skała obnaża swoje coraz bardziej oślepiająco białe, jaśniejsze i gładsze, niebywale oszlifowane kobiece plecy.

Z bezwzględnością każdego przeznaczenia skała biegnie prosto do pogrzebanej beczki na wodę, oni wahają się przez sekundę, choć nie widać tego po ich mechanicznych ruchach, po czym otwierają grób. Piasek jest mocno ubity, lekko paruje z niego wilgoć, w końcu wyczuwają pod palcami beczkę, po czym przetaczają ją na bok z trwożliwą siłą, która sprawia, że z cichym pluskiem zatrzymuje się dopiero w płytkiej wodzie przy brzegu. W ciągu kilku sekund usuwają ślady pracy Lucasa Egmonta, by dokładnie w momencie, kiedy ich dzieło jest dopełnione, spostrzec, że było absolutnie zbędne, bo skała nagle się kończy, zupełnie bez sensu, jak gdyby ktoś przerwał jeden gest, aby wykonać drugi równie bezsensowny, zmęczyła się wpełzaniem na wyspę, może uznała, że to kiepska wyspa dla małej białej skały, a potem już się jej nie chciało spełzać z powrotem, ponieważ dno morza też wcale nie było lepsze.

To straszliwa chwila, kiedy skała się kończy, wszyscy zostali wyrzuceni z potwornego istnienia, bez ratunku, to prawda, lecz przesłoniętego zapomnieniem, w potworne istnienie bez ratunku, gdzie jedynym pewnikiem jest wyostrzona czujność, i gdy tak klęczą pochyleni, wyciągając szyje nad rozgrzebanym grobem, w ich plecach odbija się trwoźna bezradność w tak komiczny i przerażający sposób, że kobiety, które patrzą na nich z góry, najpierw mają ochotę się śmiać, a potem krzyczeć ze strachu.

Zakryjcie plecy, nie potrzebujemy już luster, chciałyby krzyknąć madame, zasłońcie się piaskiem, zasłońcie się popiołem i ubraniem, byśmy wasz strach ujrzały raczej na waszych twardej obliczach, tam jest znacznie czystszy, tam nas tak nie przeraża, bo nie musimy oglądać, jak potwornie wyglądamy, nie mogąc już o sobie decydować, otworzywszy się na pierwszy lepszy strach; lecz oto młoda Angielka tak mocno chwyta ją za rękę tuż powyżej łokcia, że ciało bieleje, a wolną dłonią, tą dłonią, która od trzech godzin jest nieruchoma, szybko wskazuje jedne z pleców na plaży, madame natychmiast dostrzega mały czerwony stempel po zębach na prawej łopacie, pospiesznie zerka na młodą Angielkę i widzi, jak przeraźliwie dobrze jej usta pamiętają pełne nienawiści ugryzienie, a język smak krwi z minionej nocy, i po tych ustach i po tej dłoni, która znów opada do biodra, domyśla się, co wkrótce nastąpi, widzi to, co nieuniknione, i czego nie da się zatrzymać, tak jak nie można zatrzymać lawiny, przeciwstawiając jej swoje ciało, a ten, który sparzony ich spojrzeniami błyskawicznie odwraca głowę, by wzrokiem splunąć przez ramię, momentalnie też to sobie uświadamia, równie boleśnie, gdyż kiedy znowu patrzy w piasek, bark drga mu przeraźliwie.

Potem chyba nie bardzo wiedzą, co ze sobą zrobić: schodzą na brzeg, wytaczają beczkę na głębszą wodę i patrzą, jak powoli się napełnia, a kiedy później wtaczają ją z powrotem na skałę, beczka rezonuje ciężkim, sytym głosem, i dopiero ustawivszy ją na małym wzgórku, pojmują tak naprawdę, jak bardzo są wobec siebie sadystyczni. O, jak zdołają odkręcić zawór, by woda opłukała skałę z resztek piasku, nie wspominając przy tym błogich chwil rajskiego chłodu, gdy z pełnej dłoni woda spływała do gardła, a potem chłodząco po kanałach ciała. W końcu ktoś

zamyka oczy i niby kat szybko przekręca kranik, a woda chlusta po skale, czyniąc ją jeszcze bielszą, sprawiając, że iskrzy jak klejnot z soli i masy perłowej – lecz najbardziej spragniony z nich, ten, który nadal żywi rozpaczliwą nadzieję, że kropla wody pitnej, jaka mogła jeszcze ostać się na dnie beczki, osiadła na skale, rzuca się nieprzytomnie na kolana i liże skałę, i pełźnie w dół, liżąc, aż w końcu rzyga solą i zaczyna płakać, zaczyna płakać słonymi łzami, które też nie nadają się do wypicia. I wstyd mu okropnie, kiedy znów wstaje i z udawaną złością kopie pustą już beczkę w dół plaży po skale, a ona, nim zacznie dryfować na wodzie, robi tak potworny, nieznośnie przenikliwy hałas, że Lucas Egmont się budzi, gwałtownie siada i sytuacja momentalnie staje się dla niego jasna.

– Co robicie z moją beczką? – krzyczy. – Dlaczego wykopaliście moją beczkę, jak śmieliście?

Patrzą na niego pustym, bezlitosnym wzrokiem posągów, a on spuszcza oczy.

– Dlaczego pan to zrobił? – odzywa się madame, chociaż podobnie jak pozostali czuje, że to już ich nie dotyczy. – Dlaczego wylał pan naszą wodę?

Wówczas przypomina mu się sen i wówczas przypominają mu się straszne chwile poczucia winy, gdy wszyscy oskarżyciele świata maszerowali na niego, by rozliczyć go ze wszystkiego, co dzieje się nie z jego winy, i gorzko poirytowany, dotknięty, że oskarżają go o taką bagatelę, rozgląda się wkoło, po czym znowu krzyczy: – No ale co z ogniem? Dlaczego pozwoliliście mu zgasnąć? A żywność? Dlaczego zjedliście całą żywność? Na co zdałaby się woda bez żywności? I na co zdałyby się żywność i woda bez statku, który by nas stąd zabrał? I na co zdałby się statek gotów nas uratować, skoro nie chcemy, by nas ratowano, bo jesteśmy uciekinierami, którzy dotarli na jedyny *no man's land*, gdzie wreszcie są u siebie!

Po chwili ktoś się odzywa:

– Niech pan zobaczy, jaką znaleźliśmy skałę.

I wszyscy stoją zapatrzeni w lśniąca białą skałę, upał znów zelżał, słońce opada nieskończenie powoli, lecz widać, że opada na jezor horyzontu, powoli i zatrwając bezsensownie jak swoista prawda morze stumetrową martwą falą przysuwa się ku wyspie, a wiatr wznosi się i opada z leniwym wyciem między niebem a morzem w ten niesamowicie piękny majowy dzień na południowej, północnej, zachodniej albo wschodniej półkuli. O, jak bardzo trwoga i śmierć są obojętne na nasze położenie geograficzne.

I nagle Lucas Egmont mówi:

– A na co nam ta skała? Co zrobimy z jakąś tam skałą? Czy to właśnie skały nam trzeba? O, Boże.

A może właśnie skały.

Tak, na co komu skała? Czy ktoś może powiedzieć, co się robi z małą białą skałą o powierzchni około ośmiu metrów kwadratowych, z których zresztą połowa znajduje się pod wodą? Czy w ogóle istnieje coś bardziej bezsensownego niż mała skała, w której nie można wywiercić dziur, by ją wysadzić w powietrze, chcąc wydobyć z tego jakiś sens, jakiś rozsądny sens?

Usiedli na piasku dookoła niej i głowią się, i rozmyślają, siedzą w milczeniu, aż w jednej przerażającej chwili czują, jak ciszę łazienki z szelestem przecina dłoń boga lub kogoś innego, aby wyciągnąć korek z dna wanny, a ssanie, gdy życie zaczyna z nich uchodzić, przypomina uczucie, jakby gdzieś w ciele pękła żyła. Ale to była tylko próba, korek znów tkwi bezpiecznie w odpływie, a dłoń nieruchomo jak mucha przysiada na suficie – i patrzcie, kot strachu znowu wypuścił myszkę, a oni uciekają przez trawy świata, stale chłodzeni jego wielkim cieniem. Myszko, szepcze kot szyderczo, myszko, nie opuszczaj mnie.

Siedzą i rozmyślają o małych białych skałach, jakie napotkali w życiu, lecz nie ma ich znowu tak wiele, w ich życiu było zastanawiająco mało białych skał, a młoda Angielka nie przypomina sobie nawet skał Dover, bo tak intensywnie myśli o tamtym.

– U nas – odzywa się Tim Solider po zbyt długiej chwili ciszy, a szmatki, które wrosły w rany od ugryzienia jaszczurek, powiewają na lekkim wietrze, już cuchną – u nas na rynku stał posąg tego koloru co ta skała i nazywaliśmy go duchem, bo był taki biały.

Zwłaszcza w blasku księżycy zdawało się, że świeci sam z siebie, kompletnie sam z siebie. Można by pomyśleć, że ktoś go natarł fosforem, ale to nieprawda.

– Chyba nie możemy z tej skały zrobić posągu – mówi kapitan opryskliwie, pieszczołliwym ruchem usuwając piasek ze swojego buta. – A gdybyśmy nawet mogli: czemu miałyby to służyć, to przecież kompletnie bezsensowne, skoro tutaj i tak nikt by go nie oglądał.

– Zapomina pan o ptakach, kapitanie, i o jaszczurkach – odpowiada Lucas Egmont i raptem bardzo chce mu się śmiać, miałyby ochotę wyciągnąć się na ziemi jak długi, sam na sam ze słońcem i chmurą, i tylko śmiać się na całe gardło, wyrzucić w śmiechu ten groteskowy obłęd, który sześciorgu skazanym na śmierć, sześciorgu nawykłym już do twardej wyściółki krzesła elektrycznego, sześciorgu o szyjach naznaczonych w poprzek cienką, ostrą linią od częstego łaskotania ostrzem topora, każe debatować nad jakąś skałą, głowić się, jak by tu wykorzystać rzucony gdzieś w świat bepański kamień. To bez sensu, owszem, bez sensu, ohydnie bez sensu, ale wpatrując się w skałę, raptem wyczuwa w ciszy ładunek wrogości i pojmuje nagle, że swoimi słowami zranił ich wszystkich, i ostrożnie przenosi wzrok z jednego na drugie, samemu nie dopuszczając do swoich oczu nikogo, i po powadze pełgającej w zakamarkach ich twarzy domyśla się, że skała dla wielu z nich stała się sakramentem, jedynym pewnym gruntem, jedynym stałym punktem na tym opętanczo wirującym świecie. Piotr – opoka. Może to Piotr stał się skałą i podsuwa im swoje plecy jako oparcie.

– Czy posąg rzeczywiście byłby taki bezsensowny? – odzywa się więc. – Moglibyśmy ciągnąć losy o to, kogo miałyby przedstawiać, a potem go wykonać, oczywiście pod warunkiem, że mielibyśmy dłuta i młoty, i wiertła, i łomy, żeby wyłamać dostatecznie duży blok, może zresztą starczyłoby tylko na popiersie, i pod warunkiem, że znajdowałby się wśród nas rzeźbiarz.

– Tak czy inaczej byłoby to bezsensowne – odpowiada kapitan.

– Ponieważ tak czy inaczej nikt tu nie przypłynie, niczemu nie służy stawianie posągu dla ptaków i jaszczurek, jak pan się przed chwilą wyraził.

Zapada lodowata cisza, od której zamarza powietrze wokół nich, a myśli zawisają im przy ustach niczym sztywne obłoczki pary, chociaż jest przynajmniej trzydzieści pięć stopni ciepła, szronowe stryczki zaciskają się prędko na ich szyjach – lecz zostało jedno jeszcze niewypowiedziane słowo, jedna jeszcze niesformułowana prawda albo kłamstwo, zdolne zbawić ich wszystkich przynajmniej na kilka minut. I Lucas Egmont doświadcza rzeczy całkiem sobie nieznaney: chwilowo, ponieważ akurat nie odczuwa pragnienia, nieszczególnie zainteresowany tego rodzaju zbawieniem, które potrzebuje skały, by móc się dokonać, owszem, chwilowo nieszczególnie zainteresowany zbawieniem w ogóle, jest bowiem pewien lub przynajmniej zakłada, że jedyne, co może skłonić człowieka do szukania wyjścia z dżungli tego świata, to totalna, jasno oświetlona świadomość tego, że wszelkie zbawienie jest niemożliwe właśnie ze względu na brutalnie dżunglową specyfikę dżungli, nie sympatyzując więc z głodem zbawienia, jakim płoną oczy większości pozostałych, czuje nagle nieprzewartą potrzebę, by wypowiedzieć owo błogosławione zdanie, które wszyscy prócz kapitana – on i ta jego perwersyjna samotność – pragną usłyszeć, chce być medium, anty spirytystycznym medium, i nieoczekiwanie odkrywa wroga swojego i pozostałych. Nachyla się do kapitana, krótkowzrocznie mrużąc oczy, musiał być od stu lat ślepy, skoro w tej twarzy nie dostrzegał wroga, zupełnie jakby spojrzeć w twarz starej zbroi, kiedy spod pordzewiałej przyłbicy łypie na ciebie czterysta lat samotności, lecz w szczelinach wzrokowych nadal połyskuje wspomnienie pełnych nienawiści oczu rycerza w czas bitwy.

O, kapitanie, myśli, jaka z pana stara zbroja, jaka stara, pusta zbroja. Całe życie przechodził pan jako zbroja bez rycerza, ktoś chciał pogłaskać pańskie czoło, a pan mówił: chwileczkę, tylko opuszczę przyłbicę, ktoś chciał poczuć, jak bije pańskie serce, a pan szeptał z drwiną: do tego trzeba miecza, więc ktoś przyniósł miecz i przebił nim pana, a klinga wyszła z drugiej strony przez blachę na plecach, nie czyniąc panu najmniejszej krzywdy, no, przez dziury ewentualnie mogłoby napadać do środka, ale to też nic takiego, bo deszcz rzadko pada poziomo. Nie mógł pan krwawić, dlatego że zbrojom przychodzi to z trudem, i był pan dumny, cieszył się pan, że jest pustą zbroją, ponieważ pustym zbrojom wybornie się powodzi: są samotne i zawsze będą mogły być samotne, a w samotności puste zbroje czują, jak w nich i wokół nich śpiewa. Trąbią na starych rogach myśliwskich i pod niebem znów rozbrzmiewają dawno zapomniane okrzyki sokolników, zbroję wypełniają dźwięki, jakie obowiązywały w czasach, kiedy zbroja żyła, w czasach, kiedy wypełniała ją życie, ciało, które mogło krwawić, kończyny, które mogły skręcać się z bólu, rżenie i okrzyki trwogi, i nawoływania, stare dźwięki wzbierają i opadają w starej zbroi, i śpiewa, i wibruje w niej przecudownie. Zbroja nie ma mianowicie serca, tylko wibracje i zawartą w nich trwogę odbiera jako cudowną muzykę, strach przed śmiercią, nienawiść do śmierci i nienawiść do życia umykają jej całkowicie, nie ma przecież nic głupszego niż samotność pustej zbroi.

Zwłaszcza po pańskich surowych szczelinach wzrokowych, kapitanie, widać, że jest pan dumny z bycia pustą zbroją, pusta zbroja nie może na przykład odczuwać strachu, może obojętnie przejść przez dowolny las, nie lękając się, że spośród wrzosów wypełźnie wąż i oplecie jej nogę. Pan uważa, że to zaleta, niesamowita zaleta nie móc się bać, i w głębi swojej pustki śmieje się pan z tych, których przeraża perspektywa umierania z głodu, umierania z pragnienia, umierania z samotności, umierania w paraliżu, umierania od ran, ale jeśli się pan głębiej zastanowi, może okaże się, że nie jest to aż taka zaleta, jak się panu wydaje. Brak lęku nie wynika bowiem z pańskiego dostępu do odwagi, lecz z pańskiej niezdolności do odczuwania czegokolwiek w ogóle, z tego, że nie może pan nic czuć, bo w ciągu ostatnich czterystu lat nie

miął pan czym czuć, a wspomnienia z czasów, gdy zbroję rozpierało życie, napełniają pana wyłącznie pustym śmiechem i sterylną niechęcią.

Dlatego można słusznie powiedzieć panu, jak ktoś kiedyś komuś powiedział: widzisz, ten, kto nie lęka się życia, nie będzie także życia kochał, widzisz, ten, kto nie ma w sobie lęku, nie będzie także miał w sobie odwagi, ten, kto nie lęka się śmierci, nie będzie mógł umrzeć z godnością, ten, kto nie lęka się siebie samego, nie będzie także nikogo kochał. Lecz nie będziemy o tym rozmawiać, kapitanie, pana nie da się otworzyć słowami, pana można otworzyć tylko otwieraczem do konserw albo pięciocalowym gwoździem, a rozłupawszy już pańską skorupę, człowiek będzie przeklinał tak zbyt skuteczne działanie.

Może zbroja usłyszała jego myśli, bo oto kapitan łowi jego spojrzenie, niczym lancę wbija wzrok w oczy Lucasa Egmonta, łamie i tak zostawia, a wrogość jednoczy ich nagle ciepłą strugą. Lucas Egmont miałby ochotę usiąść tuż przy nim, uścisnąć mu ramię i obie ręce i podziękować za to, że ofiarował mu swoją wrogość. Jakież poczucie bezpieczeństwa daje świadomość, że ma się pewnego wroga w tym rozhuśtanym świecie. I pewnego razu, za minutę albo za godzinę, albo kiedyś tam jeszcze przed inwazją ciemności, dojdzie między nimi do starcia i obu ogarnia owo szczególne poczucie tępej wdzięczności i strachu, jakie przepełnia człowieka na chwilę przed zatrważającym rozstrzygnięciem.

Ale przecież chciał być medium, antyspirowym medium dla całej reszty, dla szukających zbawienia, którzy jeszcze nie wiedzą, gdzie jest ich wróg, i dlatego chce najpierw spróbować pokonać kapitana, prawdziwie położyć go na łopatki, na rachunek tamtych.

Do zachodu słońca została jeszcze chwila, a daleko po zachodniej stronie przez otwór w horyzoncie na podobieństwo pary wtryskiwane są chmury, ktoś nagle wyobraża sobie, że to dym z kopcającego statku, który trzyma kurs na wyspę, i już lokalizuje miejsce, gdzie czarny komin pojawi się najpierw niby peryskop, ale chmury piętrzą się coraz wyżej, zmieniają się w góry, w coraz większe góry i nadzieja zostaje pogrzebana.

– Wydaje mi się, że nie jest to bynajmniej tak bezsensowne, jak pan myśli, kapitanie – mówi Lucas Egmont. – Twierdzi pan, że pomysł z posągiem jest bezsensowny tylko dlatego, że nikt nie będzie mógł go obejrzeć, kiedy będzie gotowy, zakładamy więc, że posąg faktycznie mógłby powstać, ja jednak nie mogę się zgodzić, że byłoby to bez sensu, nawet gdyby przez całą wieczność nie przepływał tędy żaden statek i nie zbliżył się do wyspy, zwabiony wrakiem. Według pana, w myśl pańskiego rozumowania, ten, kto jest sam, nie mógłby nigdy niczego dokonać tylko dlatego, że jest pewien, iż nikt na całym świecie się o tym nie dowie, ta świadomość sparaliżowałaby go i uznałby, że ostatecznie najlepiej skończyć z życiem w tym wielkim bezsensie.

– Przecież dokładnie takie jest moje zdanie – łagodnie odpowiada kapitan wrogim tonem. – Przecież dokładnie tak uważam.

Dla samotnego życie jest w gruncie rzeczy całkowicie bezsensowne i umarłby, ostatecznie, jak pan się wyraził, gdyby nie jedno, gdyby nie miał jednego, dla czego warto żyć, a mianowicie gdyby nie miał swojej samotności. Właśnie po to, aby móc się nią rozkoszować, postanawia mimo wszystko zostać tu przez jakiś czas, wykonując bezsensy, jakich wymaga od niego życie, ów duży, bezkształtny bezsens, oto ile trzeba zapłacić za bilet do samotności.

– Ale w takim razie – ciągnie Lucas Egmont – nie rozumiem, dlaczego tak bardzo sprzeciwia się pan bezsensowi posągu. Postawić posąg dla samotności nie jest bardziej bez sensu niż na przykład otworzyć furtkę, choć tyle furtek już wcześniej zostało otwartych, albo dobudować jeszcze jedną drogę do tyłu niepotrzebnych, jakie już istnieją.

– Dla samotnego – odpowiada kapitan i z westchnieniem ściąga but, po czym kładzie go sobie na kolanach – dla samotnego dozwolony jest tylko jeden rodzaj bezsensów i są to bezsensy, które

pomagają mu osiągnąć samotność, oprócz tego istnieje wiele niedozwolonych, by nie powiedzieć zakazanych, bezsensów, a najbardziej bezsensowne z tych wszystkich bezsensów są naturalnie takie, które prowadzą z powrotem w groźną, wszystko pochłaniającą, nienasyconą wspólnotę.

– Jedno się tu nie zgadza – zauważa Lucas Egmont. – Twierdzi pan, że wszelkie przedsięwzięcia w życiu są bezsensowne, a jednocześnie utrzymuje pan, że dla pana w pańskiej specyfice samotnego życia naprawdę ma sens, a mianowicie samotność samą w sobie, lecz samotność, ta największa i najbogatsza, i najpiękniejsza, i najbardziej podstępna samotność porównywalna z rajskim bytowaniem w jadojamie połączonej z salą koncertową, ów stan nie pojawia się u człowieka ot tak, nie można po prostu położyć się w piwnicy i czekać, aż spadnie na ciebie z ciemności, owa najbardziej poszukiwana samotność wymaga działania, wymaga, by pan aktywnie brał udział w tym, co nazwał pan bezsensami świata – lecz w tym punkcie, uważam, zawinił pan grubym błędem terminologicznym. Jako że owe działania przekonują pana o sensie życia, o tej niezachwianej samotności, nie jest chyba prawdą, iż są tak całkiem bezsensowne, dla pana, znaczy się, są to chyba, wprost przeciwnie, bardzo ważne i sensowne działania i sądzę, że różnicę powinien pan czynić nie między bezsensownym a bardzo bezsensownym, lecz między sensownym a bezsensownym. Nawet dla pana, który z takim zapalem temu zaprzecza, istnieją jednak po części sensowne działania, dokładnie tak samo, uważam, jak dla innych istnieje w życiu sens, nawet jeśli życie samo w sobie jest bezsensowne.

Naturalnie nie istnieje chyba nic, co samo w sobie miało by sens tutaj, bo wówczas zdecydowanie nie można by przebaczyć życiu, ale wszystko, co się robi, i wszystko, czego się nie robi, ma z pewnością jakieś znaczenie dla każdego człowieka, dla jego uczucia lęku, dla jego poczucia winy. Dlatego działanie, to śmieszne, bezsensowne, paradoksalne działanie jest tak pełne znaczenia, tak brzemienne odpowiedzialnością za wielu z nas, którzy pragną poczucia wspólnoty, lecz krążą odizolowani jak ciała niebieskie w przestworzach, z kolejnym uderzeniem pulsu coraz bardziej puste.

Dlatego trzeba wyciąć swój kawałek bezsensu świata i wyznaczyć, nim raz na zawsze wciśnie się nóż między zęby: wierzę w bezsens całości i niezamierzony sens części.

A ponieważ otrzymaliśmy skałę – ciągnie, a wszyscy wstają i patrzą na tę białą skałę, te białe dziewicze plecy, które czekając kilka tysięcy lat na słońce, stały się nieskończenie białe – ponieważ otrzymaliśmy skałę, bezsens jest jej nie wykorzystać, wyjątkowo sensownie natomiast coś z niej zrobić. O posągu naturalnie nie może być mowy, już choćby z tego powodu, że brakuje nam niezbędnych narzędzi, ale moglibyśmy zrobić coś innego. W skale można na przykład wyryć różne rzeczy, są białe skały, na których przy użyciu dostatecznie ostrych kamieni bez większego trudu można nakreślić czarne lub zielone linie.

– Co mielibyśmy wyryć? – pyta ostro kapitan. – Że na początku było nas siedmioro, ale jeden umarł prawie natychmiast, bo cuchnął nam tak ohydnie, że nie byliśmy w stanie tknąć jego choroby i postawić go na nogi – strzałeczkę do grobu, drugi z kolei nas zamordował, wylewając wodę pitną, a trzeci, kiedy byliśmy potwornie głodni, poczęstował nas szklanymi paciorkami, mówiąc: bierzcie i jedzcie.

Wtedy Tim Solider z krzykiem podbiega do kapitana, patetycznie zaciskając dłonie na jaszczurczych ranach, niczym heroiny w starych melodramatach:

– Zamknij się, milcz!

Staje przed nim zadyszany, a z ran wyciekają mu raptem dwie strużki krwi i płyną powoli do pępka, gdzie się łączą i zatrzymują na chwilę; zapominając o wszelkiej ostrożności, rzuca się na kapitana, lecz naturalnie się przewraca, upada na skałę, najpierw kolanami.

Kapitan pomaga mu wstać, a Tim znów jest tak słaby, że może tylko chwycić wyciągnięte ku sobie nienawistne dłonie.

Potem kapitan z drażniącą energią odwraca się – jest to brutalny zwrot wojskowego – przodem do Lucasa Egmonta i pustej zbroi opada przyłbica, ale przez wąskie szczeliny wzrokowe błyska nienawiść jak z latarni morskiej, i kiedy tak stoi, z płytami na plecach roziskrzonymi wrogą samotnością i miedzianym napierśnikiem pięknie wysklepionym tęsknotą za pchnięciami kopii, odzywa się głosem tak pozbawionym wątpliwości i tak zdecydowanym, że wszyscy rozumieją, iż decyzję podjął już dawno temu, na samym początku, może jeszcze przed odkryciem białej skały, może jeszcze przed katastrofą, może w ogóle na samym struchlałym początku samotności:

– No to wryjemy lwa.

– Lwa – powtarza Lucas Egmont. – Kto pamięta, jak wygląda lew? Prościej by było z jaszczurką.

Madame jednak pamięta, jak wygląda lew, drzewo kołysze się nad klatką dla lwów w bretanowskim zoo, na drzewie siedzi zbiegła mała, dygocze z zimna i rozpaczy, przychodzą ludzie z długą drabiną, a ona wskazuje burą małą, tłumacząc chłopcu, że mały są niebezpieczne, zwłaszcza te zbiegłe, mogą zeskoczyć z drzewa i rozharatać człowiekowi głowę, ani się obejrzy, ale chłopiec się nie boi, jak zwykle wygląda mało pojętnie, jak zwykle zatrwając odarty z człowieczeństwa, a ona desperacko szarpie go w stronę lwiej klatki. Popatrz, szepcze, popatrz na tego lwa, nie wyobrażasz sobie nawet, jakie lwy są groźne, widzisz, jakie mają miękkie podeszwy stóp, żeby skradać się kompletnie bezszelestnie, można by pomyśleć, że to najśłodsze zwierzęta na świecie – aż nagle, przeraźliwie warcząc, rzuca się z wściekłym rykiem na kratę, popatrz, jaka jest gruba, wystarczy je leciutko podrażnić, a rzuca się i rozszarpia człowieka na strzępy. Wsuń rękę między pręty, to zobaczysz, o, tak, głębiej, jeszcze trochę. Ale nic się nie dzieje, kompletnie nic, lew kładzie się pośrodku klatki, skąd ospałym spojrzeniem łowi jej dziki wzrok. Popatrz na mnie, mówi chłopcu, a on niechętnie cofa rękę, popatrz na mnie, i widząc jego oczy, ma ochotę krzyknąć, nawet lew nie potrafi obudzić w nich życia, nawet ryczący z głodu lew nie potrafi poruszyć jego duszy. Czy nigdy się nie zdarza, wzburzona zwraca się do strażnika, który schodzi z drabiny, przyciskając do piersi dygoczącą małą, czy nigdy się nie zdarza, że jakiś lew próbuje uciec? Nigdy, odpowiada strażnik jak echo, nigdy. Jak echo.

Kapitan podnosi do góry swój but tak, by wszyscy widzieli lśniącą skórę, i uderza go dłonią tuż powyżej obcasa, a podszedłszy naprawdę blisko, wszyscy widzą wypalony w skórze duży znak z lwem.

– Tutaj możemy zobaczyć, jak wygląda lew – mówi. – Czyż istnieje drugie zwierzę o tak prostej sylwetce?

– Równie dobrze można by wziąć jaszczurkę – upiera się Lucas Egmont. – Jaszczurki też są bardzo proste. Tu niedaleko leży jedna, można by ją przynieść, zdjąć pancerzyk i zwyczajnie odcisnąć na skale.

– Uważam, że lew jest lepszy – mówi kapitan. – A ten konkretnie lew ma w sobie coś szczególnego, choć to tylko trywialny lew ze znaku firmowego. Jeśli przyjrzeć mu się naprawdę uważnie – i wszyscy przyglądają się naprawdę uważnie, lecz mimo to zrazu nie widzą nic szczególnego – można zobaczyć, że lew ani nie stoi na ziemi, ani nie jest zawieszony w powietrzu, lew siedzi na człowieku, na zabitym przed chwilą człowieku, którego sztywność nadal zdradza zdumienie tą śmiercią. Siedziałem przy niejednym ogniu i ten znak firmowy, ten żenująco prawdziwy znak firmowy niezmiennie mnie zdumiewał, usiłowałem wytłumaczyć sobie jego przesłanie. Musi chodzić o samotność, myślałem, szczęśliwą samotność, ssącą samotność lwa, który powalił ostatniego wroga, jedyne, jaki jeszcze stał mu na drodze do samotności.

– Kapitanie! – krzyczy raptem Lucas Egmont. – Chyba nie chce pan przez to powiedzieć, że

mamy przedstawić ten sadystyczny znak firmowy ze wszystkimi szczegółami? Sam lew chyba wystarczy.

– O, to nic trudnego, zapewniam pana, chyba niczego nie rysuje się tak łatwo jak świeżo zabitego człowieka: jego sylwetkę charakteryzuje pewna nietypowa do tej pory zwartość, monumentalna prostota i przejrzystość linii, która mnie zawsze cieszyła i zaskakiwała, a myśl, że całe to piękno, owa pyszna klarowność niebawem przepadną nieuchwycone dłonią rysownika, wielokrotnie sprawiała mi ból. Dlatego muszę przyznać, że ten znak wyjątkowo do mnie przemawia, choćby nazywał go pan sadystycznym, i człowieka oczywiście też umieścimy na skale, ponieważ nadaje obrazowi sens, niezwykle trafnie przedstawia naszą sytuację. Na wyspie naturalnie nie ma lwów, w przeciwnym razie pewnie dałyby już o sobie znać, za to jest na przykład cisza, cisza tak strasznie stara, że najmniejsza dziura w niej, nawet tak minimalna, jak dziura wydrążona przez nas w ciągu tych kilku dni, jest postępkami tak okropnym, że winni, gdy naprawdę pojmą, co zrobili, oszaleją z trwogi i będą chcieli możliwie najprędzej zatrzeć ślady swojej zbrodni, pozbawiając się wszelkiej możliwości zakłócenia jeszcze kiedyś tej ciszy, i w końcu cisza całym ciężarem swego lwiego ciała stanie na naszej piersi, wreszcie sama, wreszcie znowu sama – i każdy, kto tu przybędzie, pomyśli: co za odwaga, co za bohaterstwo tak dalece zaakceptować samotność, by dobrowolnie i bez mrugnięcia okiem obnażyć pierś przed lwim pazurem. Wtedy Lucas Egmont woła z rozpaczą:

– Czy ktoś jeszcze chce popełnić samobójstwo? Czy ktoś jeszcze chce wyryć trupa pod lwem?

– Nie wiem – mówi Boy Larus.

– Nie wiem – mówi madame.

– Nie wiem – mówi młoda Angielka.

– Nie wiem – mówi Tim Solider.

– Wobec tego proponuję – mówi kapitan – żebyśmy się rozeszli po wyspie i w czasie spaceru każdy zastanowi się, czego chce, a potem spotkamy się tu o zachodzie słońca.

Ale już wspinając się po skale, większość z nich odwraca się i bardzo długo patrzy na plażę i jej groby, jeden zbezczeszczony, drugi jeszcze niezbezczeszczony, ślady stóp opętańczo roztańczone na linii wody, szary dołek, gdzie kiedyś palił się ogień, roztrzaskany statek, który pochyła się nisko nad laguną, jakby chciał pić, morze błękitne i obojętne jak niebo i cisza, i na pręgę po dymie ze statku tęsknoty, który głęboko i nieodwracalnie wgrzył się w niebo, szczelinę otwartą ku wieczności; długo patrzą, nim pójdą dalej w trawę i samotność, jakby mieli już nigdy nie wrócić.

Istnieje w życiu człowieka taki punkt, którego przeznaczenie polega na tym, aby się do niego nie zbliżyć. Jest jak nieduży, siny głaz, który bardziej siny i wyraźniejszy niż ciemność sterczy z ciemności i niby niewidzialna latarnia morska, która zapala się tylko kilka razy w ciągu ludzkiego życia i na jedno mgnienie oka ciska w noc serpentynę oślepiającego światła, rozświetla ją na jedną zawrotną sekundę – na jedną sekundę, ale to wystarczy. Ciemność wydaje się rozszczępiona straszną ścianą światła, a człowieka jak ćmę ciągnie tam nieubłaganie, aż nagle wszystko mija: światło gaśnie, lecz nadal pali siatkówki, a człowiek, z oczami krwawiącymi od światła, idzie odnaleźć ten dawniej tylko przeczuwany tajemniczy punkt, idzie gotów na wszystko, gotów przyjąć zarówno zbawienie, jak i zagładę, całą prawdę albo całe kłamstwo. I macając na oślep w ciemności, głęboko poraniony światłem, otacza ramionami tę niedużą skałę, ten fundament bezlitosności, do którego to, co zaszczute, zduszone, przemilczane, przysysa się jak pijawka, i człowiek sam staje się olbrzymią pijawką, która przysysa się do skały, tymczasem wszystko, co uważał za przedawnione, wgryza się w wymiona jego lęku. Nic nie jest przedawnione, nic nie może ulec przedawnieniu: ani jedna myśl, ani jedno działanie, ani jedno słowo, to właśnie jest straszne, kiedy się żyje bez lęku w ciemności, która człowiekowi zdaje się tą ostateczną, chociaż jest tylko odroczeniem, nim błysnie latarnia morska. Ach, jakże chciałby być ślepy, aby również to światło zostało mu oszczędzone, to światło tak straszne, dlatego że jego bezlitosna ostrość przebija nawet najszczelniej zamknięte powieki – i gdy człowiek w końcu leży tak wczepiony w noc przy swoim sinym kamieniu, a wszystkie zapomniane potworności wysysają z niego soki, krzyknąłby, gdyby sam nie był pijawką, dlaczego dopiero teraz, dlaczego wcześniej nie poszedłem w tę stronę, dlaczego nie podpłynąłem, ile było trzeba, by wejść w krąg światła niewidzialnej latarni morskiej, wiedziałem przecież, z której strony stoi, wiedziałem, że zwierzęco przyczajony mały głaz czyha w ciemności razem z pazurami i pijawkami, które w miarę upływu czasu stają się tylko coraz bardziej żarłoczne. Chociaż wiedziałem o tym od dawna, wierzyłem w ucieczkę jako najsprytniejsze możliwe szachrajstwo, ale biegnąc, po drogowskazach z emalią potłuczoną kamieniami, po węzowych wylinkach przygwożdżonych do drogi kołami ciężkich pojazdów, po świetlikach, które rozgniecione jakimś nienormalnym gniewem leżały w małych stosikach na skraju drogi, nieustannie przeczuwałem, że zbliżam się do potworności. I oto już za późno: potężne wahadło światła ogłusza człowieka i w ciemności istnieje tylko siny wir, który wie, co to ocalenie.

Wisi w powietrzu coś, co ją budzi, otrząsa się i rozgląda podejrzliwie dokoła – lecz jest sama. Zarośla i trawa jeszcze szeleszczą za kimś, kto skrada się albo biegnie w głąb wyspy, ale po chwili już tylko wiatr uderza o wiechy traw. Ona stoi jeszcze chwilę w miejscu, jej wzrok jak smutny pies biega w tę i z powrotem po przerywanym poprzecznymi skałami cienkim pasemku plaży. Już wcześniej patrzyła stąd na plażę, lecz zawsze wyglądało to inaczej, wcześniej plaża żyła i nie była taka wąska. Miało się wrażenie, jakby woda powoli zaczęła się podnosić, powoli, lecz wyjątkowo nieuchronnie, absolutnie zdecydowana wczołgać się na wyspę i zlizać całą suszę, ową pustynną suszę, której woda jest spragniona.

Po jakimś czasie jednak jej wzrok zatrzymuje się nagle przy wypalonym ognisku, martwą spaloną dziurę dzieli od wody taka sama odległość jak zawsze, a osobliwy, dziwaczny, siny rowek w powietrzu, smukły cień słupa w powietrzu dokładnie nad dołkiem, nadal przypomina o

dymie, dawnym przedmiocie nadziei, i kiedy zamyka oczy, cierpki zapach niechętnie płonącego drewna nadal łaskocze jej twarz. Może śnił jej się pożar domu, w którym za spękanymi od gorąca szybami można dojrzeć blade twarze, i wcale nie chciała nikogo ratować, ale pożyczyla od szefa straży pożarnej lornetkę i okazało się, że to tylko balony z wymalowanymi rysami twarzy podrygują na sznurkach, żeby się wydostać, lecz zawsze pękają z suchym trzaskiem, i obudziła się od tego trzaskania w ogniu.

Panie Boże, czy to przez ogień plaża wydaje się tak potwornie opustoszała, tak potwornie martwa?

Są przecież jeszcze groby, beczka podskakuje bezpiecznie na wodzie przy brzegu, a tam widać jej kreski na piasku, ostro nakreślone w piasku bruzdy, za które uciekała, chcąc pobyc sama. I wtedy, właśnie wtedy spojrzenie odrywa się nagle od jej woli i wykonuje szalony skok do wody, skok napięty rozpaczą i strachem.

Pruje wodę, aż piana bryzga, szerokimi ruchami płynie przez wody laguny i raptem chce zanurkować przed czymś, co unosi się na powierzchni, ale ów biały dryfujący przedmiot rzuca się na męznego pływaka i oślepia go, najpierw bólem, potem opętańczym strachem, a potem silnym poczuciem ulgi.

To nie chłopca martwa fala przerzuciła przez podwodne skały i popycha teraz w stronę lądu, to coś innego, coś zupełnie innego, i spojrzenie wraca do białej skały spokojną, harmonijną żabką.

Słońce powoli czerwienieje jak mak, a ona przypomina sobie o lwie i już zamierza wejść w trawę, aby zastanowić się nad tym prostym problemem, potem wrócić dokładnie w chwili, gdy słońce zacznie z sykiem zanurzać się w wodzie, i wszystko jest świetnie, lecz nagle spojrzenie potyka się na skale i coś zapomnianego, coś zapomnianego już dosyć dawno, co leży strzaskane nisko w dole, rzuca się gwałtownie na spojrzenie, spojrzenie krwawi, kiedy ona je odrywa i biegnie po skałach wzdłuż czerwonej falującej linii, a wysokie zarośla zamykają się za nią, i raptem wyczuwa zapach, który zarzuca jej na głowę ohydny kaptur, ona jednak nie zatrzymuje się, nie ma czasu się zatrzymać.

Dziwi ją, że jest tak zupełnie sama, świat został doszczętnie opróżniony z głosów, nagle świat został doszczętnie opróżniony z dźwięków. Brocząc ze wszystkich ran, upada w trawę, chociaż nie chce się zatrzymywać, rozpaczliwie wierzga wkoło, lecz odnosi wrażenie, że tylko osuwa się coraz głębiej w nadal jeszcze gorącą ziemię, twardą ziemię, która nie żyje, którą ogłuszyło słońce i zabiła trawa. Potem leży cicho w bezruchu, słuchając ciszy, ale nie ma odwagi, nie wytrzymuje tak zbyt długo z obawy, że od tej twardej, naładowanej ciszy popękają jej bębni.

Zapach wciąż depcze jej po piętach, jak robak spełza z długich źdźbeł trawy, a ona dopiero teraz, niemal całkiem bez strachu, smakuje go i usiłuje przypomnieć sobie ten zapach. Jest to zapach, jaki można spotkać w piwnicy, zapach wymagający zejścia po wielu stopniach z nadzianym na palec pobrękującym pękiem kluczy, potem otwierania kolejnych drzwi i wreszcie ostatnich ciężkich wrót, na które trzeba naprzeć barkiem, nim się otworzą ze zgrzytem. Jest to zapach ciemności, piwnicy albo innego ciemnego miejsca.

Wymaga lampy, niesionej w ręku lampy o mdłym świetle, rzucającej zalęknione spojrzenia we wszystkie kąty ciemności, przez co ciemność staje się jeszcze bardziej przerażająca, a zapach jeszcze bardziej tajemniczy. Jest to zapach filcowych podeszew, na jakich, biegając po mokrej trawie, stawia się długie kroki, żeby nie przebiła się przez nie wilgoć, oraz ze strachu przed węzami. Jest to taki zapach, który trzeba po cichu podejść, zapach, na który trzeba się rzucić, walczyć z nim chwilę, gryźć i miażdżąc ścisnąć ramionami.

Jest to taki zapach, który wymaga pójścia na sam koniec piwnicy, odstawienia latarenki na podłogę, aby roztaczała tylko mały, mglisty pierścień światła, niedocierającego nawet do

niskiego, zawilgotniałego kamiennego sklepienia. Następnie coś trzeba odsunąć: drewno, zabite gwoździami ciężkie skrzynie, głucho milczące na temat swojej zawartości, popsuty sprzęt rybacki, nadal oblepiony mokrymi wodorostami, pęknięte piłki do krykieta w dużych ilościach, worki, puste, ale mocno zawiązane worki z grubo tkanego płótna, w których coś chrzęści – piasek? – kiedy przerzuca się je na bok, jakieś toporki, pordezewiałe, bo długo leżały zapomniane na deszczu, do tego ewentualnie sparaliżowany szkielet żelaznego łóżeczka dziecięcego, które jakby nadal drży, kiedy podnosi się je pod sufit, drży, bo należało do dziecka niedawno zmarłego na gruźlicę. Wszystko to człowiek spiętrza za sobą jedno na drugim niczym barykadę, a jest ona tak wysoka, że trudno nawet domyślać się światła latarenki po drugiej stronie, i gdy człowiek stoi tak wciśnięty między cztery ściany z ciemności i sufit z ciemności, i podłogę z ciemności, od razu pojmuje, że to także zapach trwogi, zapach, który wymaga, by drząc od takiego nagromadzenia ciemności, przejść piwnicę w poszukiwaniu oskarda, a znalazłszy go, wziąć się do podłogi za barykadę, zrazu ostrożnie, aby w betonie powstały rysy, potem jednak coraz bardziej zapalczywie, w coraz większym strachu przed wszystkim, co tylko możliwe: że pobudzą się mieszkańcy domu i nic nie rozumieją, że poszukiwanie zapachu pod podłogą piwnicy nie przyniesie żadnego efektu albo że efekt będzie tak potworny, jak już się człowiekowi śni.

Ale dopiero gdy znów przedziera się przez trawę z oczami na pół przymkniętymi z pragnienia, aby ominąć to, co ją czeka, dopiero gdy prawie potyka się o martwą jaszczurkę, pojmuje, jak okrutna przygoda ją czeka. Pada na kolana przed cuchnącą jaszczurką i w pierwszej chwili chce krzyknąć: to nie ta, to nie moja jaszczurka, tę zabił ktoś inny; lecz zarys kamienia w zielonej gnijącej masie wciąż zachowuje przeraźliwą ostrość, usta pali wspomnienie pocałunku w jaszczurczy pancerz i odgłos, ten potwornie mokry, lepki odgłos, z jakim kamień zagłębił się w brzuch, szatańsko powoli wibruje w powietrzu wokół niej i nagle echem odzywa się twardy upadek morderczego kamienia na nabrzeżne skały, z łoskotem odbija się od ściany do ściany w pokoju świata, przyginając ją coraz bliżej jaszczurki – jakże walczy, by uchronić usta!

Później znowu biegnie, bo mimo wszystko się podniosła, mimo wszystko można się podnieść nawet po czymś takim, w biegu bezustannie pociera usta wierzchem dłoni, lecz wargi są równie suche i spękane jak zawsze, i nie lepi się do nich nic ze zgniłej jaszczurki. Uspokojona, zwalnia więc tempo, lecz zapach znów ją dopada, wwierca się w nią, spoufala się, przyciska do jej twarzy jak maska z eterem. Zmusza się, by myśleć jasno i spokojnie, podjąć jakąś decyzję, która nie wpędzi jej w żalostną panikę. Po długim marszu przez trawę, spokojnym marszu krokiem tak pewnym, jakim stąpa się tylko w strachu, po marszu w określonym kierunku, wytężając wszystkie zmysły, byle nie zboczyć z tego bezpiecznego kierunku wiodącego w nieznaną jej jeszcze część wyspy, poczuwszy, jak zapach powoli się rozrzedza, rozwiewa, pozostaje tylko mrocznym wspomnieniem w trawie dookoła niej, staje i obejmuje wiązkę trawy, po czym ją łamie, przygina ku sobie. Potem rozbiera się, zasłonięta trawą, i kładzie się pod nią oślepiająco naga. W dole jest bardzo ciemno, zarumieniony zmierzch pełźnie po ziemi, a ona pojmuje, że zachód słońca musi być już całkiem blisko, zamykając oczy, widzi, jak biała skała skrzy się z samotności, i zamyka oczy na długo, pozwalając, by odurzyło ją bijące od ziemi duszne ciepło.

Przyjemnie jest leżeć nago w trawie, nadpełza sen, wystarczy wyciągnąć po niego rękę i przysunąć do siebie. Tuż przed zaśnięciem mgliście wyobraża sobie lwa i białą skałę, lecz są one tak odległe, tak bezsensownie odległe, że po prostu pozwala im odpłynąć. Na co komu lew, kiedy można spać, na co komu biała skała, skoro i tak można zapomnieć?

Nie śpi jednak długo. W istocie przebudzenie zaczyna się od razu. Śni jej się sen, od którego się budzi, a jest w nim duży, płomieniście żółty dywan o zielonych brzegach i ona powoli kroczy po nim korytarzem bez końca. Została umieszczona gdzieś w połowie korytarza i nie wolno jej oglądać się za siebie, żeby sprawdzić, jak daleko zaszła, idzie bardzo szybko, szczęśliwa, że

dywan tłumi jej pospieszne kroki. Na korytarz wychodzą niezliczone drzwi o matowych szybach w górnej połowie, frapuje ją, że tych drzwi nikt w pośpiechu nie otwiera, nie dobiega też zza nich najłżejszy szmer, a mimo to czuje, że bynajmniej nie jest sama. Zatrzymuje się przed jednymi drzwiami i ogląda je przez swój but. To zabawne: w podeszwie jest dziura, dosyć duża dziura, ale zamiast wymienić zelówkę, w dziurę wprawiono szkło, silne szkło powiększające, przez które teraz ogląda drzwi. Nie umknie jej najmniejsza ryska, na żółtej klamce widzi odciski palców, wyciąga chusteczkę do nosa i ściera je, w rogach szyby zebrały się pajęczyny, które troskliwie zdmuchuje. I oto odkrywa w tych drzwiach całkiem nowy szczegół: jest na nich blaszka z nazwiskiem, emaliowana blaszka z nazwiskiem, na wysokości klamki. Tabliczkę pokrywa szorstki kurz, który można zdrapać tylko ostrymi paznokciami. We śnie wydrapuje spod kurzu napis i ze zdziwienia upuszcza but, szkło powiększające pęka z głośnym hukiem, mimo że spadło na dywan, i właśnie ten huk ją budzi.

W trawie obok niej ktoś stoi, kołyszając się na stopach do przodu i w tył, jest to mężczyzna, zwrócony do niej plecami gwizdże przeciągle jak na psa. Nie oglądając się, rzuca przez ramię gałązkę, która upada tuż przy niej, po chwili rzuca w tym samym kierunku kolejny kawałek świeżo ułamanej gałązki. Czeką na kogoś i dla zabicia czasu wymyśla sobie bezsensowne zajęcia. Patrzy na niego z tak dziwacznej, nerwowej perspektywy, że z początku go nie rozpoznaje, nagle jednak mężczyzna gwałtownym ruchem ściąga koszulę i zaczyna trzeć nią obnażone plecy, a połyskująca na prawej łopatce ranka zdradza go momentalnie.

Od kiedy widziała ją ostatnim razem, ranka stała się czerwieńsza i bardziej okrutna, choć może to tylko powoli zapadający zmierzch sprawia, że tak przerażająco świeci, według niej przypomina okrutne, żarłoczne, zachłanne usteczka wgrzające się coraz głębiej w jego ciało. Oto mężczyzna przestaje gwizdać, oto przestaje łamać gałązki, oto przestaje trzeć koszulą plecy, wciąga ją szybko przez głowę, po czym staje idealnie wyprostowany i nieruchomy, czekając na tego, kto nadchodzi.

Ktoś biegnie przez trawę, gorąco dysząc, i raptem młoda Angielka staje tak blisko niej, że madame mogłaby ją chwycić za kostkę, ściągnąć do siebie w trawę i prosić, by zaniechała swojego planu, błagać o łaskę dla umierającego, tak, może ją wręcz przytrzymać, aby nic nie mogło się stać.

Ale wszystko musi się stać, istnieją biegi wydarzeń, w które nie można się wtrącać, ponieważ są tak diabelnie logiczne, tak niedostępne człowieczym staraniom, iż nagle wydaje się całkiem bez sensu, że człowiek w ogóle istnieje ze swoją wolną wolą, swoim człowieczym rozsądkiem i tymi tam *agréments*, o których tak dużo się mówi.

Spotykają się mniej więcej na wysokości jej stóp, mężczyzna nachyla się całym ciałem nad młodą Angielką i bezlitośnie szybkim ruchem przyciska ją do siebie. Stoją tak w milczeniu przez jakąś minutę i ma się wrażenie, że są mocno przytuleni, ale od tyłu po spiętym ciele dziewczyny łatwo zauważyć, że się opiera, że nienawidzi i nie cierpi tego dotyku, jedno jej ramię drży ze strachu i niechęci, lecz mężczyzna, który opiera brodę na drugim ramieniu, niczego nie zauważa. Za jej plecami patrzy w trawę z zimnym tryumfalnym uśmiechem i nagle puszcza ją i obraca, jakby był jej treserem, i mocno chwytą drżące ramię, chcąc ją pociągnąć z sobą.

Ona wyrывa się gwałtownie i upada na kolana bardzo blisko i madame już myśli, że ją zobaczyli, tymczasem jednak dzieje się coś znacznie gorszego.

– Ktoś zabił jaszczurkę – mówi dziewczyna, ułamanym żdźbłem trawy wskazując na ziemię.

– Chodź, obrzydliwie cuchnie, nie można długo tu stać, smród jest nie do wytrzymania – mówi mężczyzna niecierpliwie, podnosząc ją, a ona mówi, że to okrutne i przerażające i że musiał to zrobić ktoś z nich, bo została zabita po ludzku, a potem znikają w trawiastym zmierzchu i trawiastej ciszy, a madame zostaje sama ze wszystkim, przed czym uciekała. I

wszystko jest takie straszne: wystarczy, że wyciągnie rękę, a już czeka na nią lepka, cuchnąca jaszczurka, madame zrywa garść trawy i wyciera nią dłoń, ale to nie pomaga, obrzydliwy smród przysysa się do niej niezwykle mocno, a na tabliczce, którą obskrobała na drzwiach, było napisane jaszczurka, chociaż dopiero teraz jej się to przypomina.

I pozostaje jej tylko uciec. Próbuje wstrzymać oddech, aż w końcu, niemal się dusząc, musi zaczerpnąć powietrza, a powietrze jest przesycone smrodem zdechłej jaszczurki. Biegnie na najwyższe skały na wyspie, zakładając, że tak wysoko wiatr wywieje z powietrza wszystko, co nieprzyjemne, ale im wyżej wchodzi, tym wszystko staje się bardziej dotkliwie. Musi często i na długo przystawać, oddycha głęboko w trakcie męczącej wspinaczki, a płuca niemal rozsada jej to, czego nienawidzi.

A jednak na samej górze wąskiej, wysokiej skały, która wygląda jak skurczony wulkan i opada stromo ku nieznanej plaży, gdzie na piasku połyskują białe kamyki, delikatnie czerwone o zachodzie słońca, powietrze jest nareszcie czyste, gorzkie i rozrzedzone, ale czyste. Tam pada na kolana dosłownie na skraju urwiska i patrzy, jak puste morze drżącą, rozżarzoną blachą rozpina się ponad ciemnością głębin, i wszystko zostaje zapomniane, znika. Jest sama wysoko na swojej skale i nic nie może jej dosięgnąć.

Przychodzi jej do głowy, że mogłaby być władcą świata: to przecież takie proste, samotnie tkwić na górze ponad wszystkimi.

Potem zdaje jej się, że daleko w dole widzi jaszczurkę pełznącą między kamieniami na plaży, to mała jaszczurka o roziskrzonym pancerzu, pełnie bardzo powoli, jakby coś jej się stało albo jakby obawiała się czegoś ukrytego za kamieniem. Madame wychyla się tak daleko, jak starcza jej odwagi, i pluje na jaszczurkę, ale nie trafia.

Już się nie boję, myśli, jaszczurek nie trzeba się bać. Gryzą przecież tylko, jeśli człowiek leży na ziemi, i można się z nimi bić, można je strącić nogą ze skały, gdyby zaczęły się zbytnio spoufalać.

Kiedy jednak przymierza się, by splunąć po raz drugi, widzi dużą jaszczurkę przyczajoną za rozpalonym kamieniem na skraju plaży i chyba chce krzyknąć do tej małej, żeby uważała, uciekała, ile sił w nogach, ale język zesztyniał jej w ustach, a na górze nie ma ani jednego obluzowanego kamienia, którym można by cisnąć w przyczajone niebezpieczeństwo. Mała jaszczurka też jest przekomiczna w swoich usilnych próbach wymknięcia się śmierci, nagle zmienia kierunek i rusza prosto na kamień, za którym czai się wróg, i pełnie teraz znacznie szybciej niż do tej pory. O, mogłaby skoczyć w dół, żeby ją uratować, ale już oczywiście za późno. Nie upewniwszy się, czy za najbliższym kamieniem nie grozi śmierć, jaszczurka chce minąć dużą jaszczurkę za płonącym kamieniem, lecz wtedy ta duża jaszczurka momentalnie jej dopada i ciska nią o kamień tak, że pancerzyk pęka, a kiedy mała jaszczurka zsuwa się na ziemię w konwulsjach śmiertelnego cierpienia, duża jaszczurka bezlitośnie zagrzebuje się w brzuch małej, ogonem niby koszmarnym biczem cały czas waląc w szczelinę między kamieniami. Jest to okropny odgłos, który zagłusza wszystko inne, zagłusza bicie serca, zagłusza świszczący nerwowy oddech, zagłusza morze i gwiżdżący wiatr. Lecz oto wszystko milknie, a duża jaszczurka leniwie, przesadnie ociężale wchodzi na oślepiająco biały kamień, plamiąc go śmiercią małej jaszczurki. Leży później nieruchomo na kamieniu, słońce połyskuje ciepło na jej potwornym pysku, a w cieniu pod nią mała nadal ze zdziwieniem rozwiera brzuch i jakby nadal słyhać było echo smagnięć ogona między kamieniami, głośnie i przerażające.

Nie, to był inny odgłos, to inny odgłos, tuż za nią rozległ się jakiś ostry trzask, ale ona nie chce się odwracać, żeby stawić mu czoła.

Lew, myśli gorączkowo, półożąc, nadal na kolanach, jakiego lwa bym wybrała, lwa, który...

...lecz oto już wchodzi po długich schodach; iskrząc się w ostrym górnym świetle, suną ku

niej świeżo wypolerowane miedziane okucia pokostowanych stopni, a żółta poręcz, której trzyma się obiema rękami, jest gorąca i drży, jakby lada chwila miała eksplodować. W dole coś szumi, stoły się wywracają, a zgniatane o ściany krzesła skrzypią i pojękują. Na nogach zzelaziałych od bezlitosnego strachu brnie w górę do zielonego prostokąta, zbawiennego prostokąta drzwi wysoko nad nią – lecz nagle okazuje się, że schody są ruchome, a woda z krótkim jak smagnięcie śmiechem zasysa jej stopy i łydki, ona zapada się coraz głębiej i głębiej w lepką, obrzydliwie letnią wodę, woda owija jej się wokół bioder, chwyta za piersi, oplata szyję i szemrze w ustach, okrutnie, z głośnym bulgotem, i uszy, i oczy – i oto cała jest pod powierzchnią strachu...

Odwraca się w popłochu, właściwie jednym gwałtownym ruchem odwraca się i wstaje, jakby chciała kogoś przestraszyć swoim wzburzeniem. Ale jaszczurki nie dają się przestraszyć, sto, tysiąc, dziesięć tysięcy jaszczurek, które pokrywają skałę przed nią, między ich pyskami a urwiskiem zostaje coraz węższy margines, by mogła obmyślać dla siebie ratunek, i ani drgną pod pancierzami, kiedy znienacka tupie w kamień. Podpełzają coraz bliżej, a słońce, które zaraz zanurkuje, lśni na olbrzymim dywanie z jaszczurczych pancerzy, ruchomym dywanie bez początku, a wkrótce także i bez końca, i już zaczyna ją otepiać mdlący smród, jaki wydają chyba miliony jaszczurek. Przestała tupać, znów osunęła się na kolana, z twarzą walecznie zwróconą ku jaszczurczym masom, pogodzona ze wszystkim. Nie ucieknie od tych już zdechłych jaszczurek, nie przebiegnie po ich pancierzach niby po kolczastym dywanie: powaliłyby ją smród, upadłaby, a one momentalnie rzuciłyby się na nią, nie będzie z nimi walczyć, rozdrażnione, załatyby ją, przygniotły do ziemi potwornym, cuchnącym ciężarem. Podchodzą do niej w nieznośnej ciszy, umilkło plaskanie ogonami, delikatny chrzęst trących o siebie nawzajem pancerzy to jedyny, ostatni odgłos życia.

Nagle madame krzyczy, nagle pada na ziemię przed jaszczurkami i krzyczy, usiłując, oczywiście nadaremno, paznokciami wydrapać rany w skale:

– Lew, lew, muszę przecież iść do lwa! Przepuście mnie, słyszycie, muszę przejść!

Ale jaszczurki nie odpowiadają, podpełzają tylko coraz bliżej, a margines wolnej przestrzeni jest teraz tak wąski, że nawet nie może rozłożyć ramion w pozycji pływaka, musi cofnąć rękę od strony jaszczurek, przetoczyć się do krawędzi tak, że druga ręka zwisa z ostrej skały, przetoczyć się bliżej i z rozpaczliwą siłą, z niepojętą mocą strachu przetoczyć się jeszcze bliżej, przetoczyć się z zaciśniętymi powiekami i krwawiącymi palcami, i ze stłamszonym ciałem, które już pogodziło się z okropnością upadku poza krawędź, i spadając, z zamkniętymi oczami i zmysłami znieczulonymi strachem, nie widzi nawet, że skała, z której spada, jest jak zawsze pusta, pusto mieni się w litościwym zachodzie słońca, który przestaje ją prześladować, gdy nadchodzi cień.

Muszę zapanować nad twarzą, by pozostała gładka i piękna, muszę mieć spokojne, czułe, wytęsknione dłonie, rozumiem, ciało nie wolno zdrzeć, a głos musi brzmieć spokojnie i subtelnie nagłaco, żeby on niczego nie podejrzewał. Może się zdarzyć, że weźmie mnie w ramiona i przycisnie do swojego potu, wtedy jeszcze nie wolno mi zwymiotować, muszę udawać, że mi się to podoba, jakbym o niczym innym nie marzyła, niż żeby przycisnął mnie do siebie najmocniej.

W tej samej chwili on mija zarośla, w których stoi schowana, a ona woła cicho, żeby go nie przestraszyć, i ostrożnie chwyta go za rękę. Kiedy odwraca się do niej i zanurza w zielonym, dusznym cieniu zarośli, w jego oczach pobłyskuje strach, a po napięciu twarzy i pełnych wahania ruchach ona zauważa, jak bardzo nadal jest nieufny.

Ależ ty się boisz, myśli, ale przymyka oczy, żeby w szparach między powiekami nie błysnął tryumf i jej nie zdradził, ależ ty się boisz, ależ ty się pocisz ze strachu, koszulę masz ciemną i wilgotną, aż cuchnie twoim strachem.

Potem ktoś przechodzi tuż-tuż obok zarośli, w których się chowają, a ona w popłochu przyciąga go do siebie i lekko przyciska mu dłoń do ust, by zaraz z dojmującą radością poczuć na skórze łaskotanie jego języka. Stoją ciasno przyparci do siebie przez jakąś minutę, oboje udają, że nasłuchują szmeru kroków nieznanego, który szybko oddala się przez trawę, chociaż w istocie nasłuchują tylko siebie nawzajem. Ona słyszy tuż przy uchu szum jego gorącego oddechu, jego stopy przesuwają się niespokojnie do przodu i w tył, aż liście szeleszczą, i z dziwnym podnieceniem czuje, jak między piersiami mocno, mocno łomoce jej serce. Potem nagle go puszcza, odejmuje dłoń z jego ust, pospiesznie całuje go tuż poniżej oka, po czym spada z niej tkanina, a ona przywiera do niego nagim ciałem.

Wstrząsana dreszczami, czuje zaraz, jak jego potworne, gorące dłonie ssącą pieśczętą błędzą po jej plecach, on odchyła się w tył, żeby oparła się na jego chwiejnym ciele, i wgrzyza się w jej usta jak pijawka, gdy tymczasem jego szalone dłonie już splatają się na jej łopatkach. Dokładnie w chwili, kiedy mają upaść na ziemię, ona zapiera się i szepcze gorąco:

– Nie, nie teraz, poczekaj, poczekaj, musisz poczekać, musisz chwilkę poczekać, tylko chwilkę.

Między nich zwiesza się cienka gałązka, ona tę gałązkę chwyta i łaskocze go nią po nagiej piersi, aż on znowu się uśmiecha, drugą dłonią łagodnie głaszcząc go po plecach, aż znajduje małe zagłębienie po ugryzieniu, a rozpoznawszy je, opuszki palców stają się gorące, usta przypominają je sobie i też stają się gorące, ale kiedy ona pochyła się nad gałązką i gryzie go w wargę, jemu nadal się zdaje, że tylko chce się całować, i pieści ją obiema rękami w najbardziej znienawidzony sposób.

– Kiedy – szepcze tymczasem, a siatkówki opina mu cienki, pijany welon – kiedy się spotkamy?

Ostrożnie, żeby go nie podrażnić, wyjmuje z siebie i zwraca mu jego dłonie.

– O zachodzie słońca – mówi. – Dokładnie o zachodzie słońca spotkamy się w trawie poniżej płaskowyżu, na który chodzisz wieczorami.

Wtedy on znowu pojawia się ze swoimi wilgotnymi ustami, przysysa się do jej piersi, ale ona panuje nad sobą, umie nad sobą zapanować dopóty, dopóki jej nie zostawi i znacząco puszczając oko, nie zniknie w wysokiej trawie. Wtedy pięścią bije w gałązkę, bije, bije w zarośla, aż z

wysiłku pada na ziemię, zadyszana leży na brzuchu w głębokim cieniu zarośli.

Może zasypia na chwilę w odurzającej duchocie pod wielkim krzakiem, a może tylko na chwilę wyślizguje się rzeczywistości, bo nagle wraca ból w plecach, okropny ból przeszywający jak pchnięcie nożem, nożem, który wysuwa się i zagłębia ponownie, kierowany nazbyt niestrudzoną dłonią. Ona wije się jak wtedy, żeby ją to ominęło, ale najwyraźniej nie ma litości, nic jej nie ominie, przez wszystko musi przejść jeszcze raz.

To gorąca dżungla, do której zielony zmierzch sączy się przez falujący dach gałęzi, wysokiej trawy i drżących parasolek liści na cienkich łodygach jak maszty flagowe. To wilgotna dżungla, a na dnie, gdzie ona dygocząc, przemyka się, kluczy, leżą cuchnące zielone dołki z wodą, pokryte zieloną błoną, która faluje, lecz nie pęka od tego, co mieszka pod nią. Jest wyjątkowo ohydnie zgrzana i spocona, zenujące gorąco oblepia jej ciało niczym mokry kostium kąpielowy, a żeby się go pozbyć, zrzuca z siebie ubranie, zawiązuje je w niechlujny tobołek i rzuca w węzowate zarośla, które z sykiem przyjmują go pod swoje włochate gałęzie. Nic to jednak nie pomogło, wprawdzie jest naga, ale dżungla ma gorączkę, a ona jest zamknięta w gorączce dżungli, gorączkujące drzewa, w których koronach pogwizduje wiatr, balansują na chwiejnych, spoconych pniach, z parasoli skapuje trucizna i syczącymi kroplami spada na ziemię, i ziemia też ma gorączkę, buchają z niej gorące, cuchnące wyziewy, a brudne dołki z zieloną błoną to jej rany.

O, jakże się boi, że coś jej się stanie, skaleczy się o coś i wytryśnie z niej zielona krew, a potem ranę pokryje identyczna zielona, rozkołysana błona. Pada na ziemię przy jednym z dołków i tarza się ze swoim gorącem, później ułamuje z krzaka gałązkę i ze strachem, lecz w pełni przekonana, że nic więcej nie da się zrobić, dziurawi skórę na dołku i przerażona widzi, jak dziura powoli rośnie, a pod błoną jakieś zwierzę czy w każdym razie coś żywego płynie w stronę otworu. Chce rzucić wszystko i puścić się biegiem, rzucić wszystko: godność, rozsądek i wszelką odwagę, i wszelką ochronę przed lękiem, i pognać na złamanie karku do zbawiennego wyjścia z dżungli, ale nie może się ruszyć ani nawet odwrócić wzroku, musi tak leżeć wyciągnięta nad dołkiem i patrzeć, jak zwierzę, które obudziła, wybijając otwór w jego więzieniu, zbliża się coraz bardziej i bardziej, aż nagle, nagle powoli z wody wyłania się ślepy łeb i po omacku wpełza na błonę, z wody wylewa się ciało, metr za metrem, bez końca, wije się po całej błonie, dostatecznie mocnej, żeby wszystko unieść, a potem wąż leży spokojnie, czerwony wąż o pozbawionym oczu łbie leży całkiem spokojnie, jakby zaskoczony napotkanymi nowościami, nagłą suchością, ciepłem całkiem innego rodzaju i odgłosami, które są już nie stłumione, lecz wrzaskliwie ostre.

Oboje leżą w absolutnym bezruchu, ona i wąż, a ona nie może się ruszyć, zresztą nie chciałyby tego robić ze strachu, że wąż wyczuje jej obecność i może zacząć ją gonić albo innym mieszkańcom dżungli uświadomi jej istnienie.

Gorąca wilgotna ziemia zaczyna nagle drżeć, a czas przecina potwornie ostry dźwięk trąbki. Wąż robi się nerwowy, jego długie ciało delikatnie drży, płaska głowa bez oczu i bez miejsca na oczy czujnie podrywa się z błony. Potem gdzieś bardzo blisko trzeszczą łamane gałęzie i sucha trawa i nagle słoń znowu trąbi, ona odwraca głowę: stanął między kilkoma parasolami, a jego czerwone kły połyskują złowrogo, jego potężne ciało nadal dygocze z pragnienia, by wszystko skruszyć, małe ślepia błyskają podle w ciasnych oczodołach, aż nagle słoń unosi trąbę i pryska grubą, czerwoną, cuchnącą strugą prosto w jej oczy.

Oślepiąca, słyszy, że słoń odchodzi, ciężko stąpa przez dżunglę tuż obok niej, a na jej plecy zwała się małe drzewko, kaleczy ją szorstkim pniem, zwierzę, parszcząc, oddala się coraz bardziej, a pędzące przez dżunglę trąbienie dociera do niej słabe i struchlałe, gdy ona tymczasem usiłuje wytrzeć oczy. W końcu znowu widzi, chce narwać trawy, żeby z czerwonych dłoni zetrzeć słoniową wydzielinę, ale dopiero kiedy, zapominając o ostrożności, gwałtownie siada i z

przeżeniem ogląda swoje ciało, spostrzega, że cała jest zjadliwie czerwona, straciła skórę, zamiast niej ma teraz cienką, krwawą błonę. Ostrożnie obmacuje ciało w obawie, że błona nagle pęknie, jest niezwykle rozpalona i niezwykle zawstydzona, spotkało ją coś nieczystego, coś, co sprawia, że raptem bardzo trudno jest żyć.

Wtedy nagle z ukłuciem zdumienia widzi, że światło w dżungli zmieniło kolor, nie jest już zielone, lecz rzęsiście czerwone niczym krwawy prysznic sączy się do środka przez dach i ziemia, i wszystkie liście, i gałęzie, i łodygi parasoli są tego samego koloru co ona. Kilka ognistoczerwonych ptaków powoli jak na spadochronach zlatuje z jakiegoś drzewa, bezustannie krzycząc do siebie przenikliwie, z zapalem, dźgając dziobami powietrze, jakieś duże, podobne do pancernika zwierzę śpi wysoko na paskudnie rozhuśtanej gałęzi, która może się złamać, a wtedy zwierzę runie prosto na nią. Ona jednak nie boi się już tak bardzo jak przed chwilą, przyjęła barwę dżungli i myśli, że jest pod jej opieką, dlatego dość spokojnie wyciąga się na plecach obok dołka, gdzie czerwona woda pobłyskuje pod ciałem węża, a ona węża też się już nie boi, skoro tak się do niego upodobniła, i kiedy ślizga się w jej stronę po czerwonej pikającej błonie, nie krzyczy ani nie próbuje się bronić gwałtownymi gestami.

Czuje go na nogach niczym zastygłą wodę, a dotyk, którego tak się bała, wcale nie jest ohydny, lecz przypomina pieszczotę, łaskoczce, sama głaszcze węża czerwonymi palcami i czuje, że są do siebie bardzo podobni, oboje są krwią zebraną w mizernej błonie, wąż daje jej ciepło, z węża emanuje gorąco, takie jak jej, ale bardziej intensywne, bardziej odurzające, nie tak żenujące właśnie dlatego, że takie mocne. I patrzy prosto w czerwony sufit dżungli, gdzie trzepoczą się motyle wielkości jaskółek o płomienistych skrzydłach, żywe liany, niebędące wężami, wiją się z pnia na pień, wielkie kameleony wysuwają języki, motyle więzną na nich jednym skrzydłem, które po chwili się urywa, a one same opadają spiralnie w czerwonym powietrzu, żałośnie trzepocząc swoim jedynym skrzydłem, potem na ziemi odpełzają jak robaki, lecz ona widzi inne zwierzęta nieruchomo uwieszane pod gałęziami tworzącymi dach, widzi ich oczy połyskujące niby diamenty w jaskini, aż nagle puszczają gałąź i spadają, rozcapierzając lśniące pazury, są wszak jak duże kotki, dwadzieścia metrów do ziemi, i lądują miękko z głuchym łoskotem, a ona słyszy, jak prychnąc niczym kotki, walczą ze zwierzęciem, na które spadły, i po chwili robi się cicho, w gorącym powietrzu cały czas wirują migoczące jednoskrzydłe motyle – widowisko okrutne i łaskotliwie przyjemne, jej ciało rozpala się od wszystkiego, co dzieje się nad nią i wokół niej, wąż leży teraz między jej nogami, ciężki, ciepły, nieruchomy – nagle jednak drga i tak szybko, że ona nawet nie zdąży kiwnąć palcem, żeby mu przeszkodzić, wpełza w nią całą swoją przerażającą długością.

Chce krzyczeć i bić, i przeklinać, ale jest przecież za późno, pozostaje jej tylko się pogodzić – lecz oto pojawia się ból w plecach, doprowadza ją do szaleństwa, głowa węża błędzi na oślep po wewnętrznej stronie cienkiej błony na plecach, która się rozciąga i *rozciąga* w nieskończoność, i niedługo pęknie, a ona chce, żeby stało się to jak najszybciej, byle ustąpił ten diabelny ból, wypełniający ją przeraźliwy brud wypłynął z niej razem z jej zbezczeszczoną krwią.

Ból jednak narasta, aż nagle z drzewa odrywa się pancernik i zwała się na nią w deszczu krwi, a ona z krzykiem albo z krzykiem ledwie wyszeptanym budzi się pod krzakiem i nie odczuwa najmniejszej ulgi, że to był tylko sen, czuje jedynie, jak falami narasta w niej dojmujące ciepło gorączkowo pulsującej nienawiści, i owijając się w swój kawał tkaniny, powoli wstaje, rozpalonymi z tęsknoty wargami szepcząc do kogoś bez przerwy:

– Daj mi tylko siłę, o, daj mi tylko siłę, żeby to zrobić.

Do nadejścia zachodu słońca chowa się na płaskowyżu, kuli się za naturalnym wałem i słucha albo usiłuje zapomnieć o słuchaniu wszystkiego, co się rusza w trawie i na skałach w dole. Chociaż nie jest szczególnie gorąco, chociaż wiatr nierównym oddechem chorego na febrę dmucha wokół jego głowy, poci się jak nigdy dotąd. Leży w idealnym bezruchu, by nie podrażniać ciała, rozpina ubranie, by oddech wiatru muskał skórę, ale nic nie pomaga: nie może uwolnić się od potu. Dręczący dyskomfort powoduje uczucie, że pory otwierają się niezależnie od jego woli, by wypłakać swoje brudne łzy, i ma żenującą świadomość smrodu, smrodu swojego spoconego ciała. Z każdym oddechem cierpki, nieapetyczny smród wlewa mu się do nosa i wypełnia głowę swoim brutalnym ciężarem. I wszystko się do niego lepi: cuchnące spodnie, poplamiona koszula, niezgrabne buty, włosy – po raz pierwszy w życiu czuje, jak włosy napierają na czubek głowy, przysysają się do głowy jak zimne, oślizłe żyjątko morskie, które człowiek wynosi na sobie z kąpeli, a potem nie może go odzepić, w słońcu stapia się ono coraz bardziej z czubkiem głowy i dopiero podczas kolejnej kąpieli jest szansa, by się go pozbyć.

Żeby mieć o czym myśleć i żeby nic z tego, czego się lęka, nie podeszło go od tyłu, zaczyna myśleć o włosach, o tym, że zawsze albo przynajmniej przez dwadzieścia pięć lat nosił popielatoblond włosy zmiennej gęstości i masy, wydarzyło się niejedno, zgubił sporo rzeczy, wielu nigdy już nie odnalazł, inne wyrzucił dobrowolnie, lecz niestety często je odnajdywał, jednego tylko nigdy nie zgubił ani ostatecznie nie odrzucił: swoich włosów, można powiedzieć, że pozostał wierny swoim włosom, nawet jeśli w wielu innych sprawach bywał niewierny. Głaszcze się po głowie jak matka, jeszcze nie zaczyna płakać, chociaż wie, że ma umrzeć, nauczył się, jak zbawienny czasem jest świadomy sentymentalizm, czułość wobec samego siebie, dodawanie sobie samemu otuchy, choćby człowieka czekało jeszcze obrzydliwie długie życie.

Z włosami tak się sprawy mają, myśli, że w gruncie rzeczy są częścią życia człowieka, może nawet ważniejszą, niż często się przypuszcza, a ścinając włosy, człowiek umiera, ważna część jego „ja” zostaje odcięta i mimo że człowiek nadal żyje, jest za każdym razem bardziej martwy niż przed obcięciem, niewinny fryzjer okazuje się w istocie katem, amputującym, bezustannie oddaje człowiekowi jedną z ostatnich usług. A jeśli z włosami tak się sprawy mają – i dlaczego miałyby się nie mieć, skoro z tyloma innymi rzeczami jest właśnie tak? – to sytuacja oczywiście przedstawia się identycznie na przykład z paznokciami. Bezmyślnie, nie czyniąc sobie najmniejszych wyrzutów, obcinamy paznokcie, choć niewykluczone, że reprezentują nasze życie w takim samym stopniu jak wiele innych rzeczy, jak nasze oczy, jak czyny, z których jesteśmy dumni, jak myśli, co do których jesteśmy jeszcze bardziej dumni, że potrafią nam się wykluć w głowie, chociaż w sumie nie jest to ani trochę bardziej niezwykle niż fakt, że rosną nam paznokcie czy włosy.

Leży na brzuchu, a jego pot znaczy skałę dużymi plamami, on jednak udaje, że tego nie zauważa, zresztą może to prawda.

Opuszkami palców przesuwają po zębatych horyzontach swoich paznokci, z zamkniętymi oczami próbuje wyobrazić sobie życie jako wielki paznokieć, paznokieć olbrzyma na dowolnej istocie. Skracają go czasem jakieś nożyczki albo pilnik, albo w ogóle nic go nie skraca i może rosnąć, duży i nieforemny, z czarnymi płatami brudu po brzegach, aż w końcu jest taki długi, że łamie się przy nieostrożnym ruchu, *fini*, koniec zabawy, pięknego życia, brudny paznokieć, który

spuszcza się w toalecie – albo skraca się za bardzo, codziennie okrutne nożyczki wpełzają w kąty i dręczą, i dręczą, aż paznokieć krzyknąłby, gdyby mógł. Z kolei inne paznokcie są ładnie przycięte jak żywopłoty i wypolerowane, że aż świecą, i merdają ogonem, takie są z siebie dumne, przy każdym poruszeniu dłoni, na której tkwią, zupełnie jakby były niezależne od ruchów tej dłoni, zupełnie jakby ta dłoń była ich najposłuszniejszym sługą.

Boy Larus, który leży na skale, ociekając potem, jak zawsze pobłażliwy w stosunku do własnego tchórzostwa, zaciska powieki tak ostro, że cienie wrzynają się w siatkówkę, a on przecież wie, że im szczelniej zamyka oczy, tym jaśniej ukazuje mu się jego położenie we wszechświecie, jego przygody objawiają się w całym swym szczęśliwym blasku. Nagle jednak wyobraża sobie rękę, rękę, na której jego życie tkwi jako paznokieć, srogo ukrócony paznokieć na twardej ręce, może najtwardszej ręce świata, dłoni nazbyt nawykłej do obchodzenia się z ogniem i rozpalonym żelazem, by stać ją było na jakąkolwiek łagodność, gdy nadejdzie godzina manicure.

Wówczas ręka chwyta pierwsze z brzegu nożyce do cięcia blachy i jak nie łupnie w paznokieć, aż ten wygina się z bólu w łuk i pęka po samą nasadę.

Może powinienem mieć inną rękę, myśli Boy Larus, może byłoby cokolwiek lepiej, gdyby mój paznokieć dostał inny palec innej ręki, ale przecież rąk się nie wybiera – i kto wie, co by mi się trafiło, może ręka kata, gruboskórnego łajdaka, który po każdej egzekucji przycina sobie paznokcie toporem. Wtedy zawsze nosiłbym pas zakrzepłej krwi i bez przerwy, przez całe życie, marzyłbym, aby kat przez pomyłkę urąbał mój palec.

Ach, jakież metafory podsuwa nam tchórzostwo, przewraca się niespiesznie na plecy, spokojny przez chwilę, i z cichym zadowoleniem otwiera oczy. Niebo piętrzy się ku jego spojrzeniom, jest błękitne, a na nim mnóstwo białych błyskawic obłoków, wyciąga rękę, chwyta się wału i bez niepokoju nasłuchuje trawy, ona jednak porusza się zupełnie bez trwogi. Świat jest piękny i jasny, ten, który tu leży, umrze niebawem i o tym wie, choć zdaje mu się to odległe i niespecjalnie się boi, dlatego że niczego innego nie można oczekiwać, skoro wszystko się skończyło, skoro wszystkie szansę na spokojne życie zostały zaprzepaszczone, a przecież wszystko jest takie proste, tak przeraźliwie proste: paznokieć zostanie nagle obcięty do końca, może wręcz wyrwany z korzeniami, bo znudził się właścicielowi – i co w tym nadzwyczajnego, co takiego dziwnego, że obcina się paznokcie, rzecz na porządku dziennym, nikt się nad rym głębiej nie zastanawia.

Leży nieporuszony jak kotwica w skale i pozwala, by słońce – może już po raz ostatni, myśli i na całym ciele robi mu się gorąco z poczucia własnej odwagi, że nie boi się tak pomyśleć – i pozwala, by słońce sączyło mu się prosto w twarz, jest jeszcze gorące, a delikatny profil, o który zawsze drżał, jak się drży o porcelanowy talerzyk, tkwi w jego twarzy niczym rozżarzona gruda. Leży spokojnie i harmonijnie, a życie nie defiluje mu przed oczami, jak to się ponoć dzieje u skazanych na śmierć, u wszystkich naszych umierających.

Nie myśli o niczym szczególnym, czuje się w pełni zadowolony, naprawdę zadowolony, bo wmawia sobie, że się pogodził, reguły gry zna już na wylot i niczemu nie da się zaskoczyć, zna głód, pragnienie, nagłe wyczerpanie, powolne słabnięcie i całą resztę. Wydaje mu się, że się pogodził, ale w istocie rzeczy wcale się nie pogodził, znalazł tylko chwilowe oparcie w nowym doświadczeniu, jest ono jak źródło, a on wkłada do niego wszystkie rurki swojego lęku i ssie, i ssie, i albo skończy się to tak, że źródło bardzo prędko się wyczerpie, a do rurek podejdzie brunatny szlam, rujnując wszystko swoim kwaśnym smakiem, albo też będzie pił tak długo, aż się udławi i rozpęknie – i wszystko pójdzie na marne, jak musi.

On w każdym razie zyskał nowe doświadczenie, które niemal wprowadza go w ekstazę, bo przyszło tak przeraźliwie nieoczekiwane, bo nigdy nie przypuszczał, że mógłby się zdobyć na

coś takiego.

Było to tamtej nocy, kiedy młoda Angielka wrzeszczała przeraźliwie. Najpierw wszystkich ich przestraszyła swoją niespójną gadaniną, chodziła od jednego do drugiego, prosząc o chininę dla chorego na malarię, którego jeszcze da się uratować, albo pytała, gdzie się podział bokser, czy tylko poszedł się przejść po wyspie, czy może złapał jakiś statek i odpłynął, bo jeśli tak, to przecież okropna bezmyślność, ponieważ solennie jej obiecywał, że zabierze ją z sobą, wszyscy chyba wiedzieli, jaka zażyłość łączyła ich dwoje – tak, wiedzieli i dlatego nie śmieli wykrzyknąć jej w twarz, żeby wreszcie dała sobie spokój, gdyż bokser umarł, prawdopodobnie w nocy, zauważyli to dopiero rano, kiedy należało rozdzielić wodę, spod brezentu uderzył ich inny zapach, mniej brudny, ale nie mniej straszliwy, i nie było też słychać jęków cierpienia, chociaż wszyscy nasłuchiwali z intensywnością słabej, słabiutkiej nadziei. Ktoś szybko odchylił brezent, po czym jeszcze szybciej go opuścił – młoda Angielka była przy tym i po jej twarzy odgadli, że wszystkiego się domyśliła, choć później próbowała to ukryć pod maską niepokornego, spazmatycznego obłędu.

A po tym otumaniającym dniu nadeszła owa straszna noc, a im większa zapadała ciemność i im większa zapadała cisza na wyspie i na rozległych wodach dookoła nich, tym silniejsze stawały się ich wątpliwości, czy jej obłęd rzeczywiście jest symulowany. Siedzieli wokół ognia ciasniej niż do tej pory i bardziej niż do tej pory przestraszeni, gdyż nie był to żaden bezosobowy sztorm, na który tak czy inaczej nic się nie da poradzić, ani kipiel morska, którą daremno by prosić o litość, nie, było to wyjątkowo nieprzyjemne, ponieważ bezustannie zagrażało im samym, mogło każde z nich dopaść bez choćby sekundy uprzedzenia i tych, co jeszcze trwali w normalności, stracić w najstraszliwszą samotność: samotność przerażonego w lesie upiorów – dlaczego człowiek nie miałby się stać powykręcany drzewem?

Słyszeli z daleka jej mamrotanie, czasem monotonną recytację, czasem ton czysty jak dźwięk dzwonu, który przerażał ich jeszcze bardziej, bo mógł być wstępem do krzyku, krzyku tak potwornego, że już na zawsze miotałby się nad wyspą jako wieczne echo.

Dookoła, mimo trzaskającego ognia, panowała gęsta ciemność, lecz bardzo przyjemnie było mieć twarze litościwie ukryte teraz, kiedy już sprawy miały się tak, a nie inaczej, było bardzo przyjemnie, ponieważ najpierw widać to właśnie po twarzy: na czole młodej Angielki nagle zarysowała się zmarszczka, dziwny łuk znad jednego oka do nasady włosów, niby linia niebywałego zdumienia, usta zacisnęły się bez udziału jej woli, kiedy to się z nią działo, kilka razy próbowała je otworzyć, żeby coś powiedzieć, lecz wargi się znarowiły, a gdy w końcu jej się udało, to jakby już nie wiedziała, co mówić. I teraz byli bardzo wdzięczni ceniom rzucanym przez blask ognia, bo nie musieli obawiać się tego okrutnego palca, który z drzeniem wyciągnie się ku nim, i przerażonej źrenicy, która krzyknie: No popatrz, wyglądasz dokładnie jak ona!

Boy Larus przez cały czas był przestraszony, ale też zirytowany, zirytowany faktem, że nikt nie wychodzi z inicjatywą, że kapitan nie mówi tego, co należy powiedzieć, żeby wszyscy wreszcie zareagowali i przeszkodzili jej, a kiedy kapitan wreszcie przedstawił im swoją decyzję, on niemal zadrżał ze szczęścia i pełen energii do działania, gotów być posłusznym nawet w rzeczach najbardziej nieprzyjemnych, z lekkim uśmiechem ruszył u boku kapitana w mrok i ogarnęło go bardzo dziwne uczucie, że miło by było musnąć go przelotnie, a może czuł też z rozkoszą, jak ciepły piasek łaskocze go w podeszwy stóp. Boy Larus z kapitanem wiele razy przeszli dosyć blisko niej, cały czas rozmawiając, żeby obudzić w niej agresję i w trakcie żenującego przedstawienia, jakie miało nastąpić potem, wyjawić jej całą prawdę. Chyba jednak kompletnie nie dało się zwrócić na siebie jej uwagi, a ponieważ na dodatek trudno było wytrzymać ten potworny smród, kapitan postanowił, że będą do niej podchodzić pojedynczo w pewnych odstępach czasu, na różne sposoby próbując ją sprowokować.

Wszyscy jednak z niepowodzeń wracali jednakowo pokonani, jej głos stawał się coraz bardziej piskliwy i mieli wrażenie, że słyszą w ciemności, jak ten krzyk nadpełza przez piasek niczym wielkie czarne zwierzę, które lada chwila może skoczyć im do gardła, i ktoś twierdził, że chyba najlepiej by było zostawić ją w spokoju, dopóki nie zaśnie wyczerpana tym potwornym rozcapierzaniem się nad własnym smutkiem, ale Boy Larus nie śmiał porzucić myśli, że coś da się zrobić, i dlatego nieprzerwanie chodził za nią w tę i z powrotem na linii brzegu, a ciepła woda przyjemnie chlupotała wokół kostek, czasem przystawał tuż za nią, zagrzebując w piasku palce stóp, lecz ona chyba i tak niczego nie zauważała. Słowa chlustały z jej ust niespójnym strumieniem, a on im większy czuł strach, tym głębiej wchodził do wody, aż sięgnęła kolan, i wtedy zatrzymał się ze stopami przyjemnie wwierconymi w dno, spojrzął w stronę lądu i zobaczył milczącą gromadkę przycupniętą wokół ognia, a przed sobą dwa nieruchome toboły, milczący i gadający, martwy i żywy, i zrozumiał, że nikt go nie widzi, gdy tak stoi w ciemności, i poczuł się chroniony przed wszystkim, co straszne i niebezpieczne, uciekł w najbezpieczniejsze miejsce na ziemi.

Właśnie wtedy spostrzegł raptem, że młoda Angielka leży na piasku nago, zrzuciła tkaninę, którą zazwyczaj tak pieczołowicie się owijała, a jej ciało połyskuje w ciemności niczym marmurowa skała, świetliście odcina się na tle piasku, a piersi i kontury pozostałych wzniesień jaśnieją ze szczególną mocą, niby gorące, migotliwe łańcuszki, niespokojnie drżące na jej ciele – i momentalnie ogarnęło go bezgraniczne zdumienie, że oto stoi na plaży tuż obok niej, musiał wyjść z wody we śnie, a teraz obudziło go palące pożądanie, które w nim błyskawicznie nabrzmiało, wypełniło go płonąca ropą.

Nagle przy ogniu ktoś poruszył się gwałtownie, więc on jeszcze nie mógł położyć się przy niej z obawy, że zaraz ktoś przyjdzie.

Niepewnie ruszył w stronę ognia, a wówczas kapitan podniósł się pospiesznie i podszedł do niego, po czym powoli cicho podkradli się obaj do nagiej dziewczyny. Stanęli w odległości mniej więcej metra od jej nieruchomej głowy i nieuważnie słuchając jej mamrotania, poili się blaskiem rozciągniętego ciała.

Zapominając o dyscyplinie, Boy Larus złapał kapitana za rękę.

– Można by... – powiedział z przejęciem. – Można by...

– Zabraniam panu – uciął kapitan, po czym odwrócił się gwałtownie, aż piasek zajęczał, i brutalnym, rozkołysanym krokiem ruszył z powrotem w stronę ognia.

Boy Larus wszedł powoli do wody i przez mgnienie oka poczuł w rozpalonej nabrzmiałości ukłucie chłodu, lecz gdy chwilę później woda pieściła mu kolana, wszystko było znów jak przedtem.

Zwrócony przodem do laguny patrzył, jak na tle wąskiej gwiazdzistej szczeliny w głębi nieba niewyraźnie rysuje się detal sylwety statku, później jednak widział już tylko jaśniejącą pod wodą małą białą skałę i rozpalony pochylił się, by jej sięgnąć, a woda, która wtedy wspięła mu się po udach na brzuch, piekła tak bardzo, że musiał porzucić wszelkie myśli o skale, zawrócić i ruszyć do brzegu – a na plaży leżała ona, a on dał się ku niej popchnąć, lecz może mimo wszystko nigdy by nie padł na kolana i nie przycisnął do niej najpierw dłoni, potem ramion, a potem całej reszty, gdyby go nie zachęciła, gdyby nie wołała, aby ją zgwałcił.

Właśnie wtedy zdarł z siebie ubranie, właśnie wtedy poczuł taki żar, że żadna woda na świecie nie przyniosłaby mu ochłody i nie powstrzymałyby go niczyje zakazy, nawet tego, kogo najbardziej się lękał, bo pokazywać, co potrafi, mógł do tej pory wyłącznie z dziewczynami, które, kiedy na nie napierał, zabijały w nim słabość, ciskając mu w twarz słowa, jakich nie wolno wypowiadać. A jak na nią opadł i jak to z początku wyglądało, nie wiedział, oprzytomniał nieco, kiedy już było po wszystkim, a on, dysząc, przycisnął wargi do jej białego, gorącego ucha i

nabrał w usta mnóstwo piachu, a potem oprzytomniał jeszcze bardziej, kiedy gwałtownym ruchem, który jemu tylko sprawił rozkosz, poderwała usta do ugryzienia w łopatkę, a gdy próbowała zwalić go z siebie, co jej się udało dlatego, że nie miał siły stawiać oporu, oprzytomniał prawie całkiem, wszedł do wody, aby splukać z siebie resztki żaru.

Gdy później wrócił do ognia, wszyscy siedzieli jak przedtem, ale już nie tak lekliwie skuleni, a zacząwszy nasłuchiwać, zdał sobie sprawę, że młoda Angielka zamilkła, i był ciekaw, czy wiedzą wszystko, cokolwiek, czy nie wiedzą nic. A potem dotarło do niego, że jest mu wszystko jedno, nie dba o to, co kto myśli albo wie, czuł tylko rozpierającą go od środka radość, wielką radość, że wreszcie złamał jakiś zakaz, sprzeciwił się rozkazowi, po raz pierwszy sprawdził, jak funkcjonuje jego własna wola, zobaczył, że można robić, co się chce, i sprawia to wyłącznie przyjemność.

Ale przez pierwsze godziny, owszem, przez sporą część pierwszej doby był jeszcze tak sparaliżowany radością, że automatycznie reagował na kapitańskie gwizdnięcia, tylko chwilami w olśniewających przeblyskach pamięci wracało do niego owo przyprawiające o zawrót głowy doświadczenie mniej więcej takie, jakie ma pierwszego dnia po maturze młody człowiek, ilekroć spojrzy na swoją studencką czapkę leżącą na półce w przedpokoju i myśli w radosnym uniesieniu: Prawda, do diaska, jestem studentem.

Tak więc siedzą wokół białej skały, a jemu nagle się przypomina: Prawda, mam przecież własną wolę, mogę na tej wyspie robić, co mi się podoba, nie muszę niczego wyrzynać w kamieniu, i na chwilę przed zachodem słońca rozstaje się z młodą Angielką, cały czas myśląc, że nie wróci, że nikt nie może zmusić go do powrotu, kiedy on tego nie chce. A jeszcze chwilę bliżej zachodu słońca leży na swoim płaskowyżu i wyobraża sobie siebie jako zmaltretowany paznokiec, który niedługo przyjdzie pora raz na zawsze obciąć, lecz nie boi się tego, tak mu się wydaje. Wizja jest wyjątkowo udana, a on jest wyjątkowo dumny, że wreszcie może robić, co chce, i myśleć, co chce, o rzeczach, o których chce.

Wstaje, świat jest czerwony od zachodu słońca, lecz skała pod nim nosi mokre smugi jego potu, on jednak nie chce o tym myśleć.

Raptem słyszy, że przez trawy ktoś nadchodzi, i ostrożnie przełazi przez wał. Teraz miałem być z powrotem na dole, myśli, teraz miałem stać na plaży i słuchać bełkotu tych durniów, ale na co komu jakieś lwy? Na co komu lwy, skoro istnieją stosunki płciowe?

Kiedy zaczyna schodzić, czuje klucie w miejscu ugryzienia na prawej łopatkę, z roztargnieniem przesuwając po nim palcem wskazującym lewej ręki i myśli, że to pewnie pryszczyk.

Zatem nie zauważywszy jej w trawie, zostawiają madame jej losowi, tak samo jaszczurkę, którą oboje spostrzegli i wywączali, odchodzą ciasno spleceni, a Boy Larus, nieco wyższy niż młoda Angielka, tryumfalnie toruje im drogę przez trawy. Trafiają w trawie na spory dołek i żeby już sobie nie przypominać, jak to było tamtego dnia, kiedy kapitan go dopędził, prowadzi ją w bok, chcąc mijać tylko nienaruszoną trawę, i cały czas mu się zdaje, że to on ją wiedzie, prowadzi do spokojnego, osłoniętego miejsca, gdzie będą mogli razem opaść na ziemię, iluzja własnej wolnej woli otumaniała go mianowicie tak bardzo, że wierzy, iż wszystko, co się wydarza, dzieje się, bo on tego chce.

Lecz w rzeczywistości to młoda Angielka wiedzie ich oboje na z góry upatrzone miejsce, spokojne, samotne miejsce, gdzie rzadko ktoś zachodzi. Co jakiś czas zerka na niego, kiedy on nie patrzy, przegląda się w jego zadowolonym uśmiechu i gdyby nie jej zamiśl, uciekłyby od niego z krzykiem, bo to wszystko jest takie ohydne, woń jego ciała, piwniczna wilgoć, jaką na siłę przesącza jej tkaninę, przyciskając ją mocno do siebie, ów jeszcze nieuświadomiony strach przed niepowodzeniem, który pęka w jego mięśniach, przydając miłosnym gestom potwornej brutalności.

Błogosławi minutę, w której dochodzą do skał, w tym miejscu opadających stromo na plażę. Dwie skały chylą się ku sobie we wzajemnej pieśszczocie, tworząc dostatecznie dużą szczelinę, by zmieściło się w niej silne męskie ciało, jest to ta sama szczelina, przez którą Tim Solider ruszył w dół po skrzynię swoich tęsknot, teraz jednak nie ma tu ptaków, cały płaskowyż, na którym stoją, i kamienne zbocze jest zafajdane przez ptaki, a w świetle zachodu wygląda to jak biegnące przez górę czerwone żyły, jakby góra krwawiła.

Puszcza ją, bo czuje się niepewnie, nie spodziewał się tak pustego i niedostępnego miejsca, a tutaj jest bardzo nago, bez ciemności, w której można by się ukryć, albo wysokiej, bezpiecznej trawy wszystko staje się gorzko jasne, a on boi się, że słabość nakreśli na jego twarzy poprzeczne linie, które go zdradzą, i niemal w panice obejmuje ją mocno, przyciska do siebie z rozpaczliwą siłą.

– Nie poszlibyśmy raczej w trawę? – szepcze, szepcze, bo sądzi, że głos by mu zdrzał, gdyby przemówił. – Tu chyba nie warto zostawać.

A w nią uderza fala potu i brudnego zwierzęcego ciepła, walczy, żeby się oswobodzić, bije, ale bije łagodnie, by na razie jeszcze absolutnie niczego się nie domyślił. Pieśszczotą wysuwa się z jego objęć, bierze go pod brodę, unosi ją ku czerwonej poświacie i widzi, że nadal chce tylko powalić ją na ziemię, gryźć, kochać jak zwierzę.

– Tylko chwilkę – mówi. – Zostaniemy tu tylko chwilkę. Potem pójdziemy w trawę i upadniemy razem na ziemię, a ty będziesz mnie kasać w trakcie.

I z zadowoleniem widzi, jak drobne, drobne drażniące słówka potrafią go podniecić, nie potrzebuje bata, żeby go zatrzymać, wystarczą drobne rozpalone słówka.

Ujmuje delikatnie jego wilgotny bark, pociąga w dół, siadają obok siebie na górze i patrzą, jak brzeszczoty skał zdają się ze sobą stapiać w czerwonym, niespiesznie gasnącym świetle.

– Jakie to uczucie, kiedy robisz to ze mną? – pyta niespodziewanie. – Sam rozumiesz, jestem kompletnie niedoświadczona, nie mam o tym pojęcia, pewnie zauważyłeś, że był to mój pierwszy raz.

On śmieje się krótko i już za ten śmiech najchętniej zrobiłaby to, co i tak zamierza zrobić, za sam ten śmiech.

– Nie przejmuj się – mówi, mocno klepiąc ją po ramieniu. – Nie martw się, poszedłem się później opłukać.

Jej palce momentalnie przepelnia żądza duszenia, na razie jednak musi nad sobą panować, przecież jest od niej o wiele silniejszy, to by go tylko podnieciło, rzuciłby się na nią z krzykiem: ale z ciebie napalony dzieciak, jak wtedy. O, jak on wtedy leżał pełen władzy i chuci, jej nienawiść tłumacząc na miłość.

– Dlaczego mnie ugryzłeś? – pyta następnie, gładząc twarde powłoki jego warg. – Dlaczego właściwie ugryzłeś mnie tak mocno?

A on znowu się śmieje, tylko tym razem ciszej, niezgrabnie próbując capnąć jej palce.

– A dlaczego ty mnie ugryzałeś? – on na to. – Ty też raczej nie byłaś oziębła, też wbiłaś we mnie zęby. Takich rzeczy się nie analizuje, rozumiesz, tak się po prostu robi, bo człowiek odchodzi od zmysłów. Ty przecież też tak zrobiłaś, ale nie wiesz dlaczego, co?

Coraz bardziej rozochocony zaczyna ją macać, zimne wilgotne dłonie skaczą po jej udach jak ropuchy.

– Raz – szepcze jej gorąco we włosy – raz miałem dziewczynkę, która ugryzła mnie w ucho, prawie mi odgryzła ucho, kiedy to robiliśmy. Zobacz, można wyczuć pod palcami bliznę.

I nic nie jest zbyt przerażające, żeby nie mogło się wydarzyć, nic nie jest zbyt ohydne, żeby nie mogło jej spotkać. Chwyta ją mocno za nadgarstek, a ona zbolalymi palcami wyczuwa nabrzmiały łuk blizny po wewnętrznej stronie ucha.

– Czujesz? – szepce, a ona słyszy, że to wspomnienie go podnieca, i opuszcza rękę.

Potem, żeby jej milczenie go nie zaalarmowało, pyta natychmiast, jak do tego doszło, jak to się stało, że się ze sobą tak gwałtownie stopili, bo ona niewiele pamięta z tego, co działo się po śmierci boksera, między teraz a wtedy jest duża biała przestrzeń, a on oczywiście chętnie opowiada, wykonując rękami szerokie, pyszałkowate gesty, dokładnie tego się spodziewała. A opowiadając, przypomina sobie swoje wielkie odkrycie, przypomina sobie, jak pomogła mu odzyskać własną wolę, i sądzi, że o tym też musi napomknąć, położyć na to szczególny nacisk, bo to może mu pomóc osiągnąć stosowną przewagę.

– I wtedy kapitan powiedział – kończy, kładąc jej nieszczęsną głowę między swoimi nogami – i wtedy kapitan powiedział: tego panu zabraniam, tego zabraniam panu najsurowiej, ale kiedy to mimo wszystko się stało, powiedział: ponieważ się stało, potraktujemy to jak mężczyźni.

Mężczyźni, myśli ona, mężczyźni. Muchy plujki. Mężczyźni.

Plujki. Przełazą z jednej na drugą z całym swoim brudem, rozpościerają ohydne skrzydełka i na swoich spotkaniach przechwalają się, jak słodko było zbrukać tę czy tamtą czystość.

W trawie nieopodal ktoś idzie, wzdragają się z różnych powodów, ale nikt nie przychodzi i wkrótce znowu zapada cisza.

Teraz jest już ciemno i wszystko, co ma się stać, powinno się stać, kamienie jeszcze się iskrzą, a patrząc jej w oczy, widzi delikatny czerwony błysk i dla tego błysku rzuca się na nią z ustami i mocno gryzie jej wargi.

– Oczy błyszcząły ci tak ponętnie – mówi, kiedy ona kuli się w jego ramionach, dygocząc z bólu.

Wtedy ona szepcze, głaszcząc jego włosy, które, zimne i lepkie, obklejają głowę niby grubaśna skóra: – Kochany, zanim pójdziemy w trawę, mogę cię o coś prosić?

– Proś, o co chcesz.

– Ale nie wiem, czy się odważę, to tak dziwnie zabrzmiało.

– No, po prostu powiedz.

– No – zaczyna, drżąc lekko, ale on przecież i tak myśli, że to z pragnienia, by znaleźć się w trawie – wszystko tak szybko poszło dziś w nocy, a ja tak mało na ten temat wiedziałam, tak mało wiedziałam o swoim ciele, a o twoim nie wiedziałam nic. Nie mogłabym, nie mogłabym zobaczyć, jak wyglądasz nago?

On w odpowiedzi gwizdże, wstając, i za to gwizdnięcie też będzie umiała się zemścić, kiedy nadejdzie pora, i za wstrętny, obraźliwy sposób, w jaki zrzuca z siebie ubranie.

Po chwili czule przywiera do niego i delikatnie prowadzi go do szczeliny między skałami. Wyglądają przez nią oboje, z głębi morza dobywają się czerwone błyski, jakby było pełne zatopionych latarni morskich. On stoi na samej krawędzi, jego bosc stopy mimowolnie wczepiają się w twarde kamień, patrzy na trzydzieści metrów dzielących ich od plaży, którą nagle napełnia miękkie zmierzch, zacierając całą ostrość ostrych kamieni, a on przez jedną zawrotną sekundę słyszy ssący chłopot wody między tymi kamieniami. Potem ona mówi powoli, tuż za nim, dysząc mu w prawy bark: – Poczekaj tu chwilę, a ja pójdę w trawę. Stój tak, nie trzymaj się skały, stój teraz całkiem swobodnie, całkiem swobodnie. O, tak.

Zapada cisza, a w ciszy on zastanawia się nad tymi słowami, nad tymi słowami fotografa, a potem, potem, kiedy jest za późno, przypomina ją sobie z plaży w ciągu tego dnia, jej spojrzenia i gesty, kiedy dowiedziała się, co ją spotkało w nocy, lecz oto lekkie popchnięcie ciska nim w przestworza i nie wie, czy spada jak obcięty paznokieć, czy jak bohater, lew ciska mu swoje ryczące wspomnienie, i może przypomina sobie ton głosu, słowa: – Skąd to ostatnie nieposłuszeństwo, Boyu Larusie? – za późno jednak.

Szedł zrazu powoli, lecz nagle zaczęło mu się spieszyć i ruszył biegiem w górę po skale, chociaż nikt tak do końca nie wie dlaczego.

A jednak idący na przodzie Lucas Egmont czuje na ramieniu klepnięcie, a kiedy odwraca się w popłochu, odrobinę przestraszony, widzi, jak zadyszany Tim Solider patrzy na rany na swojej piersi, potem na skałę, i dostrzega pasmo krwi, które jaszczurka powlokła w zarośla, a gdy następnie podnosi wzrok, po raz pierwszy w czasie pobytu na wyspie się uśmiecha.

– Widzę, że brakuje panu kawałka koszuli – mówi do Lucasa Egmonta. – Dziękuję.

Potem podąża za śladem biegnącym w zarośla, ale wszedłszy w gęste, niemal nieprzebyte chaszczce, żałuje, że posłuchał chwilowego przyływu odwagi, i wydobywa się z nich, nie podjąwszy próby wytropienia zdechłej jaszczurki, która na niego napadła. Dokładnie w chwili, kiedy zanurza się w trawie, z krzaka obok dobiegają go namiętne, ściszone głosy, więc szybko się oddala, żeby nie przeszkadzać. Idzie wzdłuż kolczastej linii zarośli, aż w końcu dociera do osłoniętego zakątka między stromą skałą a gęstym krzakiem, kiedy jednak podnosi wzrok, widzi, że całą wolną przestrzeń zapełniają nieruchome, może uspione jaszczurki. Czuje uścisk w piersi, mimo to siada pod skałą, nigdy nie był strachliwy, nigdy nie bał się, że ktoś go będzie chciał pobić, zrobić mu krzywdę, bał się tylko swojego ciała, kiedy raptem na jego przerażonych oczach rozpadło się na swoje marne części składowe, kiedy nogi nagle nie mogły się ruszyć, ponieważ zobaczył w podręczniku ilustrację przedstawiającą budowę mięśni nóg.

Teraz oczywiście stracił całą siłę, twarz mu się zapadła z głodu, nie jest w stanie nosić większych ciężarów, a już zwłaszcza po tej ostatniej utracie krwi, zresztą tutaj i tak nie ma nic do noszenia, lecz pomimo całej słabości nie czuje się aż tak potwornie jak wtedy, kiedy sądził, że znalazł skrzynię z prowiantem, która okazała się skrzynią szklanych paciorków, ciężką, bezwartościową skrzynią, na którą zmarnował prawie wszystko, co mu jeszcze zostało z dawnej siły, żeby ją przywlec towarzyszom niedoli. Tamtego razu czuł się tak potwornie, dlatego że był bardzo samotny, przez wszystkich odepchnięty, a kiedy przyszedł prawdziwy głód, głód, któremu nie mógł się już oprzeć, bardzo się cieszył, że jest odepchnięty, bo nie musiał z nikim dzielić się swoim znaleziskiem, nie musiał się z nikim solidaryzować – mimo to jednak solidarność mu się narzucała, nie dało się być tak bardzo samotnym, jak przypuszczał, a kiedy się uspokoił, zrozumiał, jak to dobrze, bo to w gruncie rzeczy najlepszy dowód, że jeszcze funkcjonuje jak żywy człowiek, że dla każdego, kto przez jakiś czas dźwigał poważniejszy ciężar, solidarność jest równie niezbędna jak pożywienie i woda. Ludzie po prostu nie radzą sobie w pojedynkę i dlatego solidarność właściwie nie jest cechą charakteru, zdarzają się jednak chwile, kiedy człowiek czuje się samotny i przez wszystkich opuszczony, i jeśli w takich chwilach nie będzie myślał, że nawet opuszczony ma swoją dumę, lecz okaże solidarność w sytuacji, w której równie dobrze mógłby okazać pogardę i złą wolę, wówczas solidarność będzie jedynym dowodem, że człowiek nie jest jaszczurką, która zwyczajnie zarasta pancerzem, kiedy wszyscy się od niej odwróca.

Naturalnie cała ta historia ze szklanymi paciorkami była dla niego strasznym wstrząsem. Przecież wszystko postawił na tę właśnie szansę, poświęcił sny niejednej nocy, poświęcił strach wielu dni, aż w końcu bardzo ostro bił się z samym sobą o podział – a oto rezultat jego wielkich trudów: piskliwy śmiech madame, zrazu nieufne, potem pełne nienawiści miny pozostałych. W

mgnieniu oka wszystko runęło, długo leżał pogrzebany pod domkiem z kart iluzji, nie mając odwagi drgnąć w obawie, że cały świat mógłby się rozpaść.

Na co to wszystko, na co wszystkie poświęcenia, na co cała odwaga, jaki pożytek ze wszystkich dobrych uczynków, skoro rezultaty i tak budzą wyłącznie śmiech? Nagle objawiła mu się bezgraniczna amoralność bytu. Życie było jak bieganie w kółko po ogromnym labiryncie, takim, jakie w co bardziej ambitnych wesołych miasteczkach urządza się dla dzieci, a w centrum na kamieniu połyskiwała kusząca perła i każdy z wypiekami na policzkach, pełen niezachwianej wiary w uczciwość labiryntu, wbiegał w młodości do środka, by pierwsze okrążenia pokonać w radosnym przeświadczeniu, że wkrótce będzie u celu. I tak mijało życie, a człowiek biegł i biegł, wciąż przekonany o dobrej woli świata w stosunku do wszystkich biegnących z zapalem, i dopiero kiedy było już naprawdę za późno, zauważał, że ścieżka, którą biegł, tylko pozornie zmierza do centrum, budowniczy labiryntu opracował kilka różnych torów, lecz tylko jeden prowadzi do perły, i tak oto ślepy przypadek, nie zaś obdarzona wzrokiem sprawiedliwość, wytycza losy biegnących, a więc dopiero kiedy jest już za późno, aby zawrócić – jeśli to w ogóle możliwe – człowiek zostaje poinformowany, że to, czemu poświęcił wszystkie swoje siły, ma wprawdzie pewną wartość jako nakład pracy, lecz nigdy nie mogło przynieść praktycznego efektu. W takich okolicznościach nie powinno nikogo dziwić ani oburzać, jeśli co bystrzejsi wyrwywają się ze swojego toru i przeskakują kilka daremnych okrążeń, żeby na skróty dotrzeć do centrum. Jeśli ktoś nazywa to niemoralnością, jeśli ktoś nazywa to zbrodniczym poczynaniem, powinien mimo wszystko wziąć pod uwagę, że niemoralność człowieka przenigdy nie dorówna dobrze naoliwionej, doskonale działającej zbrodniczości porządku świata. Z jednej strony prędko stojąca w płomieniach rozpacz, która przybiera mniej zrównoważone postaci, z drugiej strony świadoma, zimno lśniąca niklem niemoralność, dumna ze swojego chłodu i połysku.

Po przeraźliwym niepowodzeniu ze skrzynią szklanych paciorków zdał sobie sprawę, że jest jeszcze bardziej odepchnięty niż do tej pory, ustępował wszystkim z drogi i pilnie baczył, aby nikomu nie dostarczyć powodu do narzekania. Doglądał ogniska, jakby było chorym dzieckiem, o które trzeba się bez przerwy troszczyć, dopóki w becze jeszcze cokolwiek chlupotało, każdego dna zakopywał ją głębiej w piasku, żeby się chłodziła. Lecz nie robił tego przez solidarność, przeciwnie: swą solidarność zużywał oszczędnie, działał zaś wyłącznie jak służący, by zatuszować niepowodzenie, co było równie naturalne jak pocenie się ze strachu.

Lecz oto nadszedł ranek, kiedy beczka była pusta, a piasek pod nią przesiąknięty. Natychmiast zrozumiał, że podejrzenia padną na niego, i zasznurował twarz dla ochrony przed ciężkimi spojrzeniami, jakie się na nią rzuciły, żeby rozszarpać ją na sztuki. Atak ze strony kapitana był mniej zaskakujący niż ze strony jaszczurek, bo kiedy później ocknął się na plaży ze strzępkami materiału poupychanych w rozległych jaszczurczych ranach, pamiętał tylko mocne ugryzienia jaszczurek w piersi i nie zastanawiał się zbytnio nad tym, jakim sposobem dostał się na dół, po prostu przyjął obojętnie, że sam tego dokonał, a potem padł na ziemię i nikt mu nie pomógł, bo komu przyszłoby do głowy pomagać poławiaczowi szklanych paciorków i złodziejowi wody.

A jednak już przy grzebaniu boksera, kiedy wykańczał go najmniejszy wysiłek, zaczął rozmyślać nad tym, co właściwie zrobił, i wystarczył rzut oka na skałę, by się przekonał, że było absolutnie niemożliwe, aby ciężko poraniony człowiek w pojedynkę zwałokł się z takiej stromizny i nie spadł. Ktoś musiał mu pomóc; rozejrzał się wkoło, chcąc się dowiedzieć kto. Nie mogła to być żadna z nieobecnych kobiet, im po pierwsze nie starczyłoby siły, a po drugie zawsze emanował od nich ów na pół nieświadomy surowy chłód, jakim kobiety otaczają się dla ochrony przed napaścią. Kapitana oczywiście wykluczył, ponieważ w grę wchodziła walka na śmierć i życie, a nie żadne rycerskie gry towarzyskie, swoją drogą zdumiewał go sam fakt, że po ataku jaszczurek kapitan nie zrzucił go ze skały.

Boy Larus był zdecydowanie zbyt lojalny wobec kapitana, aby odważyć się na coś, czego może nawet chciał, co jednak mijało się z wolą kapitana.

Wobec tego pozostawał tylko Lucas Egmont, Lucas Egmont, o którym nikt nic nie wie, który może coś ukrywa, a może tylko takie sprawia pozory, skrytych twarzy jest przecież tyle samo, ile twarzy otwartych. A kiedy szukał go wzrokiem, jego spojrzenie padło na strzępki tkaniny w ranach, w ciągu tego upalnego dnia widział je oczywiście wiele razy, lecz nie zastanawiał się głębiej nad tym, jak wyglądają ani skąd się wzięły, teraz po raz pierwszy zwrócił uwagę na ich właściwości. Okazało się, że jest to miękka, delikatna tkanina, jakiej nigdy wcześniej nie dotykał, a nim zabarwiły ją wyspiarski brud i jego własna krew, była biała, tkanina z białej koszuli.

Wszyscy pracowali nago od pasa w górę, ale on poszedł do cienia pod skałą, gdzie leżały ich ubrania, i od razu zobaczył, że chodzi o białą koszulę Lucasa Egmonta. Miękką białą tkaninę gładził przez chwilę z wdzięczności, lecz także dlatego, że była tak przyjemna i chłodna w dotyku, a kiedy później poszedł z powrotem do grobu, może by rzucić się swojemu wybawcy na szyję, zobaczył, jak tamten czołga się w górę plaży z nieprzytomnym wzrokiem, drgającymi ustami i mokrym piaskiem w dłoniach, którym obkłada pustą beczkę.

Był to tak fantastyczny widok, że tylko stał i patrzył, lekko kołysząc rękami, pozostali dwaj też przerwali pracę, gapili się na niego, lecz Lucas Egmont, jakby nieświadom szaleńczego charakteru tego przedsięwzięcia, z niemal nieznośną dla obserwatorów cierpliwością pełzał między beczką a morzem, kolanami przekopując w piasku płytki kanał.

Wówczas Tim Solider pojął to, czego pozostali jeszcze nie rozumieli: że beczkę opróżnił Lucas Egmont, Timowi zrobiło się najpierw gorąco z wściekłości, miał ochotę pobiec i pięścią zanurzać mu głowę w wodzie, raz za razem, aż w końcu nie starczyłoby jej sił, aby podnieść się nad powierzchnię, potem jednak upał stał się raptem tak potworny, że ani jednego zamiaru nie dało się doprowadzić do końca, on zaś mechanicznie ruszył nad wodę poniżej grobu boksera i znów zaczął nosić piach, tymczasem w głowie śpiewało mu kompletnym niezrozumieniem. W pewnej chwili na przykład zrobiło mu się niezmiernie żal Lucasa Egmonta, w ogóle nie był to mężczyzna szczególnie postawny, raczej przeciętny, ale teraz, pełznąąc w piasku, wydawał się tak żałośnie pokurczony, że Tim zapragnął wręcz zostawić boksera własnemu losowi, by zamiast tego pomóc zakopywać beczkę.

Potem jednak nadeszło pragnienie i piekło, i piekło jak pieprz i imbir we wnętrzościach i jelitach, i w żołądku, i gardle, jama ustna i suche, spękane wargi nienawidziły Lucasa Egmonta największą nienawiścią świata, a w każdym razie tej wyspy. Lecz oto nastąpiło popołudnie, a z nim chłodzący cień i ugasił wszelkie nienawiści poza jedną, lecz kiedy usiedli wokół białej skały, a kapitan drażnił go i ranił kąśliwą wyniosłością, on znów znalazł w Lucasie Egmencie sprzymierzeńca, przecież właśnie jego Lucas Egmont bronił w swojej długiej mowie, przecież właśnie jego myśli Lucas Egmont przedkładał słuchającym i niesłuchającym w kręgu wokół skały, i nagle poczuł tę samą dojmującą wdzięczność co niedawno w czasie pogrzebu.

Solidarność, myślał, solidarność ze strony złodzieja wody, a jednak solidarność, jedyna, jaką okazano mi na tej wyspie. Nie mogę jej odrzucić, dlatego że to jedyna solidarność na świecie, dlatego że jest ona jak do tej pory jedynym ze strony porządku świata dowodem na istnienie rys także w owej litej niesprawiedliwości.

Teraz leży w zakątku między skałą a zaroślami i rozmyśla o lwie Lucasa Egmonta, który także jest jego lwem, lwem miłosiernym, lwem solidarnym. Och, nie musi czekać do zachodu słońca, żeby wybrać jedną ze stron, dla niego przecież wszystko jest jasne, w każdej chwili mógłby zacząć walczyć i czuje radość, paradoksalną radość, bo przecież w tej sytuacji lada moment umrze od ran, z głodu, z pragnienia, od tego, co akurat najmocniej ugryzie, ale czuje radość, bo mimo późnej pory jednak nadarzyła się możliwość, aby się z czymś posolidaryzować, z ideą, z

człowiekiem, z symbolem.

Czuje radość, bo życie bez wody, życie bez pożywienia, życie bez kina i skórek od bananów, gumy do żucia i kościelnych dzwonów może temu, kto tego chce, dać mimo wszystko możliwość obrony przed obojętną zbrodniczością świata.

Tylko symbolicznie? No cóż, a co nie jest symboliczne, czyż nasze osiągnięcia w ogóle, nawet jeśli walczymy w świecie milionów relacji międzyludzkich, opuszkami palców muskamy losy milionów, czyż nasze osiągnięcia nie są również wówczas tak mizerne, że walka, którą dla nich toczyliśmy, byłaby bezsensowna, gdybyśmy nie uznali symbolicznego znaczenia walki, znaczenia walki jako walki? Czy przy tak wątplych efektach praktycznych można by w ogóle cokolwiek robić, doprowadzić do końca bodaj jedno jedyne działanie, gdybyśmy nie liczyli na symbole jako elementy praktycznej rzeczywistości?

Raptem brakuje mu wewnętrznego spokoju, żeby dalej siedzieć, wprawdzie na piersi ma dziury, lecz czuje, że życie pulsuje wyjątkowo mocno pod dwiema rdzawymi szmatkami, które tkwią w nich niby zatyczki w beczce pełnej krwi. Jest wyczerpany, lecz to go stymuluje, jak wtedy, kiedy po całonocnej hulance człowiek wraca do domu i wszystkie myśli, które trzeba sformułować i których jeszcze nikt nie sformułował, zwałają się na niego, a on niemal dusi się własną zmęczoną żywotnością. Idzie dość szybko przez trawę, przedziera się przez zarośla, czuje śmigające pod stopami jaszczurcze pancerze, ale brak mu wewnętrznego spokoju, żeby się tym przejmować. Kiedy wychodzi na skałę, do zachodu słońca pozostaje jeszcze chwila, a on zatrzymuje się i patrzy na chmury, które w wielkich gromadach rozciągają się na wyrzuconym na brzeg horyzoncie, przypominając kłęby dymu z dział oddających salut.

Znajduje tam także kamień, twardy kamyk w kształcie wąskiego klina mogący się nadać, gdyby mieli coś wyryć w białej skale. Znosi go na dół, podobnie jak kilka gałęzi, które pozbiarał już wcześniej, ale zostawił na górze, na dole jednak przypomina sobie nagle, że przecież ogień tak czy inaczej nie płonie, i zniecierpliwionym ruchem ciska gałęzie do wody, nie patrząc specjalnie, gdzie wylądują.

Kamień kładzie na skale, po czym stoi i patrzy w lagunę, głowiąc się nad wyglądem lwa. Raptem czuje w prawym oku ukłucie, jakby trafiła je mała błyskawica, odwraca głowę bystrym ruchem drapieżnego ptaka i widzi, że przy brzegu niby wielki pływak kołysze się na wodzie przyniesiony przez morze ptak.

W pierwszej chwili widok ten całkiem go paraliżuje, chce mu się śmiać i płakać, krótki szloch faktycznie wykrzywia mu twarz, zaraz jednak martwieje w bezruchu i ostrożnie zerkając za siebie, podkrada się na palcach do zdechłego ptaka, jakby się obawiał, że ten znieacka poderwie się do lotu i zostawi go sam na sam z jego głodem, z jego bezwzględny głodem roztaczającym płomień, który przepala wszystkie stropy i wszystkie podłogi zamiarów i oczekiwań.

W końcu podbiega, wbija palce w cuchnącego ptaka i przyciskając go do swojej wyjącej piersi, puszcza się pędem przez plażę, bez przerwy pełen lęku, że ktoś go zatrzyma, zawoła za nim, żeby stanął i się podzielił. Potyka się na śliskim grzbiecie skały znaczącej granicę ich skrawka plaży, a skacząc po gładkich kamieniach, obsiadłych przez zielone żyjątka o ssących ryjkach, które pękają ze świstem, kiedy po nich depcze, potykając się na nierównościach tej plaży, zaczyna płakać gwałtownym, wstrząsającym szlochem, który wyciska krew z ran na jego piersi, i nie płacze z radości, że wreszcie zdobył coś, czym zaspokoi głód, nie, płacze ze smutku i z nienawiści do samego siebie za to, że nie był silniejszy, i głównie z rozpaczony wbija zęby w ptaka, bardziej z rozpaczony niż z głodu, i raptem usta ma pełne pierza, pluje, a potem usta ma pełne miękkiego, zepsutego mięsa i rzyga, leżąc na brzuchu na śliskich kamieniach. I tak rzyga i rzyga, lecz to nie wystarczy, czuje się jak kloaka i potrzeba mu wody, dużo bardzo czystej wody, żeby wypłukać z siebie całą obrzydliwość, i dlatego podnosi swoje drżące, żalosne ciało, na ile

starczy mu sił, i wpełza do wody. Ale dno opada tutaj pionowo w dół, a on nie może nic zrobić, żeby się bronić, kiedy tonie, czuje przy tym chyba zbyt wielki wstręt do samego siebie, żeby w ogóle chcieć bronić się przed oceanem, który oto wlewa się w niego przez usta i dusi. A on opada, opada głęboko i do ostatka ma w ustach zgniłego ptaka.

Lew, król wszystkich zwierząt. Kiedy Lucas Egmont zostaje sam, krąży dość bezsensownie w trawie, formułując myśli na temat lwów. Jego, pochodzącego ze stosunkowo północnego kraju, w dzieciństwie zawsze irytowało przedstawianie lwa jako króla zwierząt, ponieważ w jego kraju nie ma lwów, a w jego biednej dzielnicy tylko raz się zdarzyło, że pewien chłopiec poszedł do cyrku, a kiedy wrócił, kilku kolegów zaprowadziło go na podwórko i między metalowymi kubłami na śmieci sprąło skakanką, tylko dlatego że jego tatę stać było na wizytę w cyrku. W pewien sposób obraźliwy był fakt, że właśnie lew, ów bardzo daleki lew, musi być królem zwierząt, zupełnie jakby jakiś murzyński król w Afryce nagle obwołał się królem kraju na dalekiej północy i po prostu trzeba by się z tym pogodzić, tylko dlatego że tak jest napisane w podręcznikach.

Dlaczego lew jest królem zwierząt, myśli Lucas Egmont, krążąc w trawie, siekając długie łodygi traw. Dlaczego nie słoń, dlaczego nie pyton, dlaczego nie człowiek? Dlatego że lew jest silniejszy od innych zwierząt, mądrzejszy albo większy? Nie, to chyba nie tak, lew nie jest jakimś nadzwyczajnym zwierzęciem, ale zdobył swoją pozycję, pozycja została mu przydzielona, bo jest najlepszym wyobraźalnym symbolem królewskości. Samo pojęcie „lew” wyjątkowo dobrze przemawia do owej istotnej części naszego „ja”, która zajmuje się symbolami, która żyje w świecie symboli, a my pogardzamy tym światem, ponieważ nie jest realny, zupełnie jakby realność, wierność naszej rzeczywistości, była szczególnie godna szacunku, skoro istnieje tak wiele nierzeczywistości, wobec których wierność jest znacznie ważniejsza.

Kłęka w trawie i łapie małego żółtego motyla o delikatnych czerwonych szwach na skrzydełkach, kiedy trzyma go w dłoni, jedno skrzydło odpada i przemienia się w przejrzystą kroplę, która powoli spływa wzdłuż jego zagiętej linii życia. Nigdy dotąd nie widział takiego motyla, ostrożnie szturcha go paznokciem, ale najwyraźniej najlżejsze dotknięcie jest zbyt mocne, bo motyl momentalnie stapia się w szarą grudkę, a od dmuchnięcia rozwiewa się niczym popiół.

Czy taką walkę w ogóle da się obronić, myśli, czując jeszcze na dłoni łaskotanie motylej kropli, gdy tymczasem obłoczek popiołu opada w trawę, czy to rzeczywiście mądre porzucić wszelką walkę o życie, by poświęcić się walce o kształt jakiegoś lwa? Ale gdybyśmy mieli żyć, gdybyśmy wzięli się do pracy i spróbowali nałapać ryb albo wykopać studnię, żeby zdobyć wodę, gdybyśmy zrobili wszystko, aby pożyć jeszcze kilka godzin, czyż nie byłoby to także działanie symboliczne, symbol przeżycia – nie naszego osobistego przeżycia – który nas, potencjalnych samobójców, nic a nic nie dotyczy, lecz symbol przeżycia gatunku ludzkiego, który też niespecjalnie nas dotyczy, ale który bardzo przemawia do naszej fantazji i talentu do symboli, jeśli połączą w tym celu siły? Czyż wszystkie nasze działania nie są symboliczne, czy w ogóle istnieją działania bezsensowne, można też zapytać: czy w ogóle istnieją działania sensowne, czyż nie istnieją wyłącznie działania symboliczne, czyż nasze działania, jakkolwiek szalone czy bezsensowne mogłyby się wydawać obserwatorowi, nie są pełne sensu, kiedy przyświeca nam określony cel symboliczny, jeśli opleciemy sznurem pierwszy z brzegu dąb i spróbujemy go zwalić, będzie to działanie równie sensowne jak zburzenie domu czy powieszenie się na strychu, ponieważ wszystkie one symbolizują bezsens ludzkich dążeń. Każdego lata, kiedy z pewną dobrze sytuowaną rodziną jeździłem na szkiery, kilka wysp zawsze spowijała błękitna migotliwa mgiełka, nigdy ich nie odwiedzaliśmy, gdyż symbolizowały dla nas sens życia,

tajemniczo migoczący sens, cudownie było stale mieć go przed oczami, spoglądając na pozbawione sensu morze, a motyl, którego bierze się do ręki i miętosi, póki się rozkruszy, w sumie nic by nie znaczył – bo cóż znaczą kropla płynu i obłoczek popiołu? – nie znaczyłby kompletnie nic, gdyby nie symbolizował zagłady przez zmiętoszenie, ryzyka, że można za bardzo wymiędlić prawdę świata.

Przykucnięty w trawie, słucha, wkoło rozlega się mnóstwo głosów i kroków, a on nagle zaczyna myśleć o wszystkich lwach, jakie raptem narodziły się na wyspie i ciężkimi łapami zdeptują trawę. Jest bardzo ciekaw, a zarazem boi się decyzji pozostałych, trudno mu będzie się ugiąć, jeśli zwycięży lew kapitana, nie ze względu na siebie, gdyż wmawia sobie, że dla niego cała ta historia nie ma znaczenia, lecz ze względu na tych, z których rzeczywistością próbował się zidentyfikować, gdy spostrzegł, z jakim żalosnym trudem próbują sprzeciwić się kapitanowi. Wyobraża sobie, że to ich myśli krążą mu po głowie, zupełnie jakby dało się pomyśleć bodaj jedną myśl albo wymówić jedno zdanie, samemu nie ponosząc za nie odpowiedzialności, i chyba doznaje lekkiego wstrząsu, kiedy dotarłszy na skraj trawy, gdzie potwornie cuchnie padliną, której jednak nie udaje mu się zlokalizować, spostrzega Boya Larusa i młodą Angielkę ciasno objętych opodal skały odbijającej czerwony zachód słońca. Słyszając jego kroki, wzdrygają się i odskakują od siebie, on jednak stoi w podstępny bezruchu i już po chwili Boy Larus znów ją do siebie przyciąga, a on ma ochotę wybiec i krzyknąć, co oni właściwie wyprawiają, kiedy gra toczy się o tak wiele, pieszczoty muszą poczekać, lew jest ważniejszy niż pewne usta, patrzy i jest głęboko wzburzony, utożsamiając, że zawiodą jego zaufanie, mimo to jednak nie ma serca zakłócać ich szczęścia, więc umyka po cichu jak szczupak w szuwały.

Przez trawę przebiega teraz wiele ludzkich śladów, a on podąża krętą ścieżką wśród zarośli i po raz pierwszy zwraca uwagę na ich dziwaczny kształt, jakby ich wcześniej nie widział, jakby dotąd tylko migąły mu przed oczami ostre, zielone. Ponieważ do zachodu słońca została jeszcze chwila, zatrzymuje się i uważnie ogląda duży krzak o mięsistych liściach i mechatych gałęziach. Dla zabawy skubie włoski na gałęzi, ale tkwią za mocno, niewzruszone. Raptem jego palce muskają nieduży mieszek dyndający na jednej z wyższych gałęzi i podniósłszy wzrok, spostrzega, że cały krzew jest pełen zielonych mieszków, małych, bardzo zmniejszonych dyń, a kiedy zrywa kilka, okazuje się, że coś w nich chlupocze. W pierwszej chwili myśli, że się przesłyszał, ale przysuwając mieszek do ucha, pojmuję, że jest wypełniony płynem. Ostrożnie rozłamuje go na dwie połowy, w obu przezroczysty napój przypominający wodę, i z tak przeraźliwą mocą uświadamia sobie własne pragnienie, że ogarnia go nagła ochota, żeby cisnąć połówki i uciec, nie dać się skusić, lecz zamiast tego jedną część mieszka unosi do ust.

W tej samej chwili w pobliskich zaroślach rozlega się trzask i ktoś pospiesznie z nich wychodzi, a Lucas Egmont pojmuję, że od początku był obserwowany.

– Niech pan uważa, panie Egmont! – krzyczy kapitan. – Przestrzegam pana przed wypiciem tego. To niewinne zielone maleństwo zawiera jedną z najbardziej niebezpiecznych trucizn, jakie w ogóle istnieją. Na niektórych wyspach tubylcy maczają w niej strzały do dmuchawek, by zapewnić ich całkowitą skuteczność.

Wtedy ręce Lucasa Egmonta zaczynają drżeć, a trawa i zarośla rozpływają się, wydłużają jak cienie w nieruchomej wodzie, ale kapitan uspokajająco bierze go za nadgarstki i chociaż Lucas myśli intensywnie o lwie, upływa chwila, zanim udaje mu się zapanować nad dłońmi. Kapitan tymczasem zrywa z krzewu owoc, rozłamuje, po czym wchodzi z Lucasem w wysokie zarośla opodal skały, wychyla się daleko do przodu i kładzie obie połówki na połyskującym kamieniu, następnie zaś z powrotem się chowa.

Po chwili zza skały wypęła duża jaszczurka; widzą, że od razu dostrzega czarki, lecz może świadoma strasznego niebezpieczeństwa, nie ma odwagi się zbliżyć. Długo krąży wokół nich, ale

koła stają się coraz bardziej krzywe, aż nagle jaszczurka jest już przy połówkach owocu i długimi haustami wychłęptuje zawartość najpierw jednej czarki, a po krótkim wahaniu również drugiej. Potem przez chwilę bawi się pustymi szkatułkami, a kiedy następnie z ohydny rzęzeniem wyskakuje w powietrze, Lucas Egmont myśli, że to dalszy ciąg zabawy, lecz już spadając na ziemię, jaszczurka jest martwa.

Kapitan niedbałym kopniakiem strąca jaszczurkę ze skały, słyszą niegłośnie uderzenie o piasek, a kiedy później schodzą, wraz z pustką i ciszą czekają na nich tylko trzy trupy, człowieka i dwóch jaszczurek. Kapitan opiekuńczo kładzie rękę na nadgarstku Lucasa i uśmiecha się doń tak poufale, że Lucas nie może nie zauważyć, czego kapitan oczekuje w zamian za ocalenie mu życia.

Fałszywi przyjaciele chyba mimo wszystko jeszcze ujdą, myśli Lucas, energicznie cofając rękę, lecz niech Bóg nas strzeże przed fałszywymi wrogami, na których wrogości nie można polegać.

Tak, czeka na nich troje zmarłych, lecz ani jednego żywego, a zmarły bokser czeka na nich bardziej niż zwykle. Zrazu tego nie zauważają, ale kiedy ukląkszy przy białej skale, zaczynają badać palcami kamień, który znalazł dla nich Tim Solider, słyszą zbyt dobrze sobie znany odgłos: nazbyt długo targany wiatrem brezent, i obaj mają niemałego pietra, widząc, że bokser leży jak przed pogrzebem, przykryty tylko brezentem. Ktoś odgarnął piach, plaża jest rozkopana stopami, którym się niesamowicie spieszyło, i odnoszą wrażenie, że mogą pójść po śladach stóp, po lekkich śladach nagich stóp przez plażę.

Ale zanim rozpoczną pogoń, podchodzą do boksera, ostrożnie, jakby w obawie, że nagle wstanie i zdradzi swe straszliwe tajemnice.

Kląkają przy nim, kulą się przed smrodem, tymczasem bokser jest zasłonięty przed ich wzrokiem, nie tylko zakryty brezentem, lecz także owinięty grubą szarą tkaniną, tkaniną młodej Angielki.

Tropią ją wzdłuż laguny, niepewna kierunku, to wbiegała do morza aż tam, gdzie dno gwałtownie opada, to biegła chlupoczącym skrajem wody albo wysoko brzegiem. Plaża jednak się urywa, a w głąb laguny, która kończy się kawałek dalej, wychodzi podwodna skała i dziewczyna obeszła tę skałę, po czym ruszyła pod kątem prostym na ląd, dalej są kamienie i trudno ją tropić, tylko parę razy weszła w błoto, może zapadła się po kostki, by natychmiast pospiesznie szukać ratunku na kamieniach. Nagle kapitan klęka i w milczeniu wskazuje duży kamień w wodzie kawałek od brzegu.

Widać na nim mały czerwony stempel świeżej, jeszcze niezakrzepłej krwi. Dalej mniej więcej identyczne czerwone znaki widnieją na wielu kamieniach aż do niskiej skały, która stromo opada w głęboką wodę, a jest to około pięćdziesiąt metrów od krańca laguny.

Lucas Egmont pada na brzuch, podczołguje się do krawędzi i dłonią osłania oczy, by móc spojrzeć w wodę. Jest zielona głęboko, głęboko, lecz oto zdaje mu się, że zieleń ustępuje miejsca czemuś białemu, co z mocą ostro przebłyskuje przez wodę. Białe coś nie ma konturów, rozlewa się i kurczy, może to biały kamień, może dziewczęce ciało, a może złudzenie. Po prostu złudzenie. Spuszcza na to kamyk, który tonie, niby wirując, aż w końcu powoli mości się wygodnie na samym środku tego czegoś białego, jak ropucha na prześcieradle. Lecz chwilę później wszystko znika, woda przy dnie mętnieje, a on nawet wyężając oczy do granic możliwości, nie widzi nic, nic z tego czegoś białego, nic poza płaszczką, która przesuwa się w górę i w dół między dnem a powierzchnią niby podwodna winda.

Kiedy wracają na plażę, z kamieni paręset metrów od ich miejsca podrywa się olbrzymia chmara ptaków. Wzlatują całkiem bezszelestnie, a gdy zaciekawieni podchodzą, widzą mały biały tobołek wciśnięty między kamienie, które co jakiś czas obmywa woda, próbując go im wyrwać.

– Zjadają się nawzajem – mówi kapitan, szyderczo kopiąc kamień. – Zupełnie tak samo jak my.

Siadając później po dwóch stronach białej skały, spostrzegają, że ptaki, niemal całkiem nieruchomo szybując na szeroko rozpostartych skrzydłach, wiszą w powietrzu dokładnie nad nimi.

Lucas Egmont raczej nie myśli o nieprzyjemnych ptakach, myśli o wielu innych rzeczach,

nagle staje się dla niego jasne, że nikt z pozostałych nie wróci, dlatego że to w ogóle nie była ich sprawa, dlatego że nie mówili tym samym językiem, dlatego że nie mówili w ogóle żadnym językiem, dlatego że żyli tylko dla swoich nieartykułowanych potrzeb i musieli eksplodować, gdy pojęli raptem, że ich potrzeby nie mogą już być zaspokojone, a oni nie mogą już dłużej kontrolować swoich eksplozji. Przecenił ich zainteresowanie sprzeciwem wobec monolitycznej niesprawiedliwości świata, ich zainteresowanie owym pozornie bezsensownym działaniem, które wstrząsa światem, ich zrozumienie dla najistotniejszej misji człowieka: powiedzieć przynajmniej pół prawdy o całym kłamstwie świata. Utożsamiał się z nimi, nie z nimi takimi, jakimi są, lecz takimi, jakimi sądził, że będą, i dlatego, teraz to czuje, dlatego musi ponieść straszliwą odpowiedzialność utożsamiacza, okropne brzemie, musi stać się jak jeden z tych, z którymi się utożsamiał. I dlatego też nie bardzo się przejmuje, kiedy kapitan z wyraźnym zamiarem napędzenia mu stracha wyrzuca nagle dłoń ku niebu: – Widzi pan ptaki, panie Egmont, te piękne ptaki nad nami!

Jakże spokojnie czekają na nasze gardła.

Nad plażą i morzem zapada zmrok, woda prawie przestała jaśnieć. Co jakiś czas wiatr się natęży, aż trzeszczą maszty statku, lecz poza tym jest niemal całkiem cicho. Któryś z nich sięga po kamień, podnosi go, podrzuca niewysoko w powietrze i łapie lub upuszcza na skałę albo któryś z nich wyrzyna w skale kilka kresiek, ale przestaje, bo oczy tego drugiego prześladują go bezlitośnie.

W końcu odzywa się kapitan:

– Niedługo będzie ciemno, jeśli mamy zacząć dzisiaj, musimy natychmiast brać się do roboty i ustalić, czego chcemy, ponieważ już po pierwszych liniach musi być widać, czy lew będzie symbolizował samotność, czy swego rodzaju wspólnotę. Ja bynajmniej nie mam jasności co do tego, jak pan sobie to wszystko wyobraża. Będzie to wszak samotny lew, ale jak lew, który sam w sobie jest samotny, może symbolizować cokolwiek innego niż samotność, konkretną samotność, nie totalną – w przeciwieństwie do mojego lwa, który opiera łapę na zabitym?

Na to Lucas Egmont odpowiada:

– Przede wszystkim to nie ja wysunąłem pomysł z lwem, ale skoro już na tym stanęło, uznałem, że proponowany przez pana wizerunek lwa jest całkiem nie do przyjęcia, nie do przyjęcia dlatego, że z okrucieństwa czyni cudowność, z okrucieństwa kogoś, kto dobrowolnie, z szeroko otwartymi oczami otwiera się na samotność, zabija wszystko, co słabe i kruche, wszystko, co jest potrzebą wspólnoty, by ocaleli wyłącznie okrutni samotnicy swoim jedynym ogniem kochający samotność. Z kolei samotny lew, który nikogo nie depta, to zupełnie co innego. Nie chcę powiedzieć, że reprezentuje wspólnotę, lecz demonstruje spokojną siłę, pełną osobowość, harmonię, którą w każdej chwili może przebić ryk dzikiej bestii.

Strach i harmonia pod jedną postacią – oto mój lew. Osobiście chętniej wybrałbym węża, nie tylko łatwiej wyryc go w skale, ale też mówi więcej o owym lęku, który niczym zakrzep rusza nagle przez twoje tory, kiedy robi się ciemno, a wrogom coraz łatwiej jest ukryć siebie i swoje zamiary.

– Obstawę przy swoim lwie – mówi kapitan. – Na Boga, co pan wie o samotności? Co pan wie o samotności na strychu, kiedy dach się wzniósł i poszybował w dal niczym para łabędzich skrzydeł? Co pan wie o nieskończonej samotności świata, jest większa, niż człowiek śmie sobie wyobrazić, poza pewnymi chwilami ekstazy, kiedy i tak nie może jej opisać i tylko doświadcza jej koniuszkiem każdego nerwu w swoim ciele.

– Uważam, że na pańską samotność nie można liczyć – mówi Lucas Egmont. – Przecież pan się nią rozkoszuje, pan przeżywa ją jak największe szczęście, a nie największą niesprawiedliwość. Pan przecież w gruncie rzeczy nigdy nie jest sam, pan przecież zawsze nosi przy sobie samotność, pańska głowa tkwi w niej jak w wielkiej torbie, a chcąc poczuć samego siebie, jak onanista, chcąc więc poczuć samego siebie, po prostu wciąga pan torbę głębiej na głowę, aż niemal się pan dusi, i niczego nie kocha pan bardziej niż to duszenie się, proszę się nad tym zastanowić.

– To nieprawda, że się nią rozkoszuję – mówi kapitan. – Musi pan jednak zrozumieć, że jedyny sposób, by znieść wielką samotność, która tak często mnie dopada, to przyjąć ją jak dar, jak mile widzianą przyjemność, a poza tym uważam, że mała samotność, ta, którą odczuwa Iks z Igrekiem, kiedy im przyjdzie na to ochota, jest dla zdrowia świata znacznie bardziej

niebezpieczna niż moja. Wyłącznie najsilniejsi potrafią znieść samotność podobną do mojej, przede wszystkim potrzeba do tego bębneków, silnych bębneków, zdolnych wytrzymać ów przeraźliwy ciężar, jaki na nie napiera, gdy przestworza zaczynają śpiewać z samotności.

– Czy pan naprawdę słyszał tę pieśń, o której pan mówi?

– Oczywiście, wielu z nas ją słyszało. A pan?

– Tak.

– Mogę pana nauczyć ją słyszeć, jeśli pan chce. Rozumie pan, to całkiem proste. Oczywiście najtrudniej jest za pierwszym razem, ale z czasem nabiera się wprawy i potrzeba tylko działań określonego rodzaju, uczuć szturmującej ku tobie wrogości, pogardy, nienawiści i raptem znajdujesz się w owym najjaśniejszym z przestworzy.

Kapitan przeszedł na stronę Lucasa Egmonta, siedzi teraz obok niego i podniósłszy jego rękę, pociera nią swoją jak smyczkiem.

Lucas zerka na niego pospiesznie, czoło kapitana jest całe złane potem, złane pełzającym potem.

– Tak bardzo się pan boi? – pyta z drwiną, cofając rękę. – Tak bardzo się pan boi zostać sam? Bębunki nie wytrzymają?

– Nie boję się – odpowiada kapitan zapalczywie. – Nie boję się zostać sam.

Potem milknie i wbija wzrok w piasek, a strach zrećźnie modeluje mu twarz, dołki od uśmiechu wymienia na krzywizny strachu, zmarszczki wrzynają się głębiej. Kapitan bierze kamień i rąbie nim w skałę, aż w ciemności powstają głębokie czarne dziury.

– Co by pan zrobił, gdybym pana opuścił? – pyta Lucas Egmont. – Przecież tak prosto byłoby zwyczajnie się stąd zabrać, mógłbym pobiec w trawę i ukrywać się tam nie wiadomo jak długo, i nie odpowiadać, choćby pan wołał i wołał, nie odpowiadać nawet wtedy, kiedy z płaczem zaczęłyby pan jęczeć moje imię.

– Nie szukałbym pana – odpowiada kapitan oschle. – Wziąłbym kamień i wyrył lwa, tego lwa, który jest na cholewie mojego buta, lwa z zabitym człowiekiem, a potem, skończywszy, położyłbym się przy skałę i powoli osunął w skrajną samotność, bębunki by mi popękały i pierś by pękła, i serce by stanęło, ale nie miałyby to żadnego znaczenia, bo już głębiej w samotność i tak nigdy bym nie zaszedł.

– Zabrałyby pan ze sobą tę przestraszoną twarz? – pyta Lucas Egmont. – Myśli pan, że też by pękła czy raczej zachowałyby swój strach nawet wtedy, kiedy pańskie przestworza zaczęłyby śpiewać?

Myśli pan, że nie pojmuję – ciągnie z mocą, kiedy kapitan w milczeniu odwraca wzrok. – Myśli pan, że nie do końca to rozumiem, nie rozumiem, dlaczego pan siada teraz obok mnie i próbuje zarazić mnie swoją samotnością? Po prostu zauważył pan, że nagle zostaliśmy sami, bo pozostali odeszli w zachód słońca, żeby już nigdy nie powrócić, zwyczajnie nie interesowało ich, co nam świta w głowach, cała ta historia z lwem, nawet pański ładniutki poddany Boy Larus nie posłuchał pana w tym wypadku, chwilę przed zejściem tutaj widziałem, jak leży na skałę z dziewczyną z Anglii. A teraz tak bardzo się pan boi, bym ja też od pana nie odszedł, że próbuje mnie pan zatrzymać, robiąc ze mnie chorego tak jak pan, zarażając mnie swoją straszną chorobą. Oczywiście, mówi pan, już wcześniej bywał pan samotny, lecz było to, jak pan teraz widzi, zupełnie co innego, miał pan wszak nieograniczony dostęp do ludzi, wiedział pan, że ze swojego trującego snu przebudzi się pan w zwyczajnym życiu, które zawiera dokładnie tyle samotności, ile panu trzeba, żeby w pełni odzyskać świadomość. Tutaj jednak nie ma pan odwagi zanurkować w swoją wielką samotność, bo nie wie pan, jak to będzie wyglądało po powrocie. Wówczas może tu panować samotność większa niż wszystkie, jakie pan napotkał w ciągu całego życia, i przed tym chce się pan zabezpieczyć, zabierając mnie z sobą, lecz to się panu nie udaje, więc pan się

dąsa i burmuszy, i nie ma pan odwagi spojrzeć mi w twarz tylko dlatego, że powiedziałem panu prawdę. Ale proszę mieć się na baczności, ja też jestem nosicielem zarazków, ja też choruję, a jednak nie staram się pana zarazić, bo pan i tak nigdy by nie zrozumiał, jak nosić tę chorobę, myślałby pan, że ona także jest rozkoszą, jak wszystkie choroby, które pan przechodził.

– No, więc co to za choroba? – pyta kapitan głucho, odwrócony w inną stronę.

– Ta choroba to poczucie winy – mówi Lucas Egmont. – Z nią też można sobie igrać, ją też można przekształcić w rozkosz, jeśli się chce, ją też można wynieść pomiędzy najszcześniejsze błogostany. W każdym razie to potworne doświadczenie, mogę panu powiedzieć, obudzić się z dudnieniem w głowie, choć noc nie jest prze hulana, obudzić się nagle i poczuć, że brak już siły, by wstać tego dnia, w tym tygodniu, w tym roku albo w tym życiu, po prostu brak siły, rozumie pan, dlatego że na czubku głowy niczym miedziany filar niesie się wszystkie winy świata, a każda próba wstania skończyłaby się tym, że człowiek gruchnąłby na ziemię i przeraźliwie się potłukł, czego wszak również lepiej unikać. No więc leżysz tak przez kilka dni, aż przychodzi ktoś i stwierdza, że wcale nie jesteś chory, tylko zbyt leniwy, żeby wstać. Niech pan zacznie tańczyć charlestona, mówią, doskonale rozrusza pan stawy. A ty naturalnie chcesz osiągnąć doskonałość, zarówno w stawach, jak i wszędzie indziej, ale nie trzeba dużo czasu, byś się zorientował, że doskonałość znaczy niezupełnie to, co myślałeś. Nie, być doskonałym to przede wszystkim przemykać oczy na winy świata, tańczyć po lewej stronie sali balowej, kiedy po prawej trwa strzelanina i leje się krew. No jasne, że z czasem można dojść do wprawy, przywykłem na przykład do wstawania, jak pan widzi, choć oczywiście z początku było to trochę uciążliwe, póki doradcy jeszcze tłoczyli się wokół mnie i uważali, i sądzili, i twierdzili, że nie oplaca się brać na siebie zbyt dużo. Że na wędrowkę przez pola i lasy najlepiej wziąć plecak.

Człowiek naturalnie był wdzięczny za taką uczynność, lecz ona nic nie mogła poradzić na jego zdaniem najpoważniejszy feler: że tak nieliczni pomagają w ponoszeniu win świata, tak nieliczni mają sumienie, że brzemień tych nielicznych staje się prawie nie do uniesienia. Rozumie pan, że winy świata to zupełnie co innego niż samotność świata: samotność świata odczuwa tak wielu, że na każdego nie przypada jej tak znowu dużo, przyzwoite ludzkie brzemień, jeśli w ogóle się jej tyle uzbiera, ale wina – pod nią się człowiek ślania.

– A dlaczego miał pan poczucie winy, co pan zrobił, jaką zbrodnią zawinił?

– Taa, na tym właśnie polega cały paradoks, widzi pan. Nic nie zrobiłem, to znaczy wtedy nic nie zrobiłem. Byłem absolutnie niewinny, a mimo to miałem poczucie winy. Uważałem, że odpowiadam za wszystko, co się dzieje, że z mojej winy dzielnica slumsów, gdzie moi rodzice zostali, kiedy mnie udało się wynająć pokój bliżej banku, ta dzielnica roi się od suchotniczych dzieci, to moja wina, że tak wielu staruszków umiera w nędzy w miejskich przytułkach, tak, na widok żebraka albo biedaka o dziobatej twarzy zawsze czułem ukłucie w sercu. I oczywiście usiłowałem pomagać w ramach dostępnych mi środków, żeby pomniejszyć swoją winę, próbowałem wszystkich mechanizmów, jakie obywatel ma do dyspozycji, chcąc załatwić coś dla tych, którym jest najciężej, lecz muszę powiedzieć, że wszystkie co do jednego okazały się niewystarczające, w kilku przypadkach wręcz zbrodniczo niewystarczające. Stowarzyszenia dobroczynne budziły we mnie wstręt swoją onanistyczną samowystarczalnością, jakby po każdej jałmużnie musiały przeglądać się w lustrze i sprawdzać, czy przy ustach pojawiła się kolejna bruzda miłosierdzia, partie polityczne zdecydowanie za dużo uwagi poświęcały kwestiom peryferyjnym, twierdząc, że pracują nad przekształceniem społeczeństwa, owym przekształceniem, które miało na dłuższą metę wyzwolić świat od wszystkich niesprawiedliwości, jakie napierały na czubek mojej głowy, lecz była to tylko cyniczna parafraza permanentnego odraczania, o to właśnie chodziło. Czasem poruszano w propagandzie problemy najuboższych i co najbardziej mnie w tym wszystkim uderzało, to fakt, że niedolę świata

wykorzystuje się do reklamowania partii politycznej, że ze sprawy tak oczywistej jak zapewnienie spadku liczby dzieci chorych na gruźlicę robi się wielki hit reklamowy partii, której postępowanie poza tym trzeba obserwować z nieufnością lub pogardą. Nie, dla nas, opętanych winą, nie istniała żadna odpowiednia organizacja, niedolę świata zaanektowali tacy, co już przestali poczuwać się do winy, o ile w ogóle kiedykolwiek się poczuli, ponieważ żyli w złudzeniu, że robią niesamowicie dużo, by ją złagodzić. Pierwszy błąd polegał według mnie na tym, że tyle mówiono o ideach, to właśnie pożerało bardzo dużo cennych sił, tymczasem według mnie idee nadają się do piaskownicy, idee są oczywiście potrzebne, ale człowiek ma się nimi bawić, idee to śliczne zabawki dorosłych, zmagania między ideami odbywały się na całkiem niewłaściwej moim zdaniem płaszczyźnie, zamiast gromadzić się ze swoimi bezlitosnymi, z sadyistyczną konsekwencją głoszonymi ideami przy stołach, przy których ponoć ważą się losy świata, ludzie powinni zebrać się na boisku do tenisa i rozegrać o nie mecz albo zagrać nimi w wielkim teatrze, albo umówić się na rozległych zielonych łąkach, by tam w słońcu gonić je z siatkami na motyle. Nie ma nic groźniejszego niż traktowanie idei poważnie i nic piękniejszego niż traktowanie ich jak zabawy, którą powinny być. Oto bawimy się tutaj we dwóch i nic na świecie nie jest ważniejsze niż te lwy, pański i mój. Symbol jak symbol – w świecie symboli nie ma różnic, wszystko jest równie wielkie albo równie małe i na tym właśnie polega cały wic. A co było potem, no – miałem w każdym razie dosyć tego, że nic nie mogę zrobić, choć czuję się, jakbym mógł wszystko, siedziałem na dwóch stołkach, wobec czego powziąłem postanowienie. Postanowiłem załatwić sobie prawdziwą winę, winę, którą mógłbym wziąć na swoje barki, winę, o której mógłbym powiedzieć, że naprawdę jest moja i że właśnie ją będę ponosił, nie jakąś cudzą. Tak więc dokonałem zuchwałej malwersacji i już pierwszego dnia urlopu znalazłem się poza granicami kraju z okazałą kasą podróżną, rozpoczynając schodzenie ku życiu w stosunkowej wolności od winy, które właśnie okazało się kompletnie inne, niż sobie wyobrażałem.

Przez cały czas mówił w pustkę ponad skałą, nie zwracając uwagi na otoczenie, a teraz kapitan wykorzystuje jego obniżoną czujność, rzuca się na niego i mocno wciskając jego plecy w skałę, krzyczy jazgotliwie:

– Teraz pomoże mi pan wyryć mojego lwa, dość już tych głupot, dość mam pańskiej przeklętej gadaniny. Jak się panu wydaje, dlaczego pana uratowałem – żeby mi się pan sprzeciwił? Nie sądzi pan, że miałem jakiś cel, ostrzegając pana przed tym diabelskim napojem? Zrobiłem to tylko dlatego, że do tego zadania potrzeba przynajmniej dwóch osób, wymaga tego samo rzemiosło, by tak rzec.

Mogę pana zmusić do pomocy, bo jestem od pana silniejszy, owszem, mogę pana kupić, bo kieszenie mam pełne szklanych paciorków, a to jedyna dostępna na wyspie waluta.

Krawędź skały wbija się w łopatkę jak nóż, Lucas Egmont wije się, lecz nie może się oswobodzić.

– Kapitanie – szepcze w końcu – nie może mnie pan zmusić, jak pan twierdzi, może mnie pan zatłuc na śmierć, ale nie może mnie pan zmusić do wyrzycia tego lwa, może mnie pan też związać, ale związanego jeszcze trudniej byłoby panu mnie zmuszać do czegoś, czego nie chcę. A swoją drogą wbrew temu, co się panu zdaje, nie mam wobec pana długu wdzięczności za to, że mnie pan uratował.

Nie, bynajmniej nie ma wobec niego długu wdzięczności. To zabawa na śmierć i życie, a pytanie o dług wdzięczności nie jest najważniejsze. Ważniejsze jest sprawdzenie, czy można zabić kogoś, kto ci uratował życie. Może można.

– To nie fair, kapitanie – ciągnie – a pan też nic na tym nie zyskuje. Traci pan tylko czas, a robi się coraz ciemniej i wkrótce nie będzie już widać znaczka na pańskim buciku, musi pan

pamiętać, że nie mamy też ognia. Nie, można to załatwić inaczej, i fair, i szybko, a mianowicie wymyślając dla siebie nawzajem zadania, trudne, lecz nie niewykonalne, a ten, kto zadaniu nie sprosta, przegrywa i jego lew odpada.

Wtedy kapitan go puszcza i siada po drugiej stronie skały, bez przerwy klepiąc dłonią cholewę buta.

– Wylosujemy, kto pierwszy zostanie poddany próbie – mówi Lucas Egmont. – Przegrywa ten, kto dostanie kamyk, który trzymam w dłoni.

Wyciąga zaciśnięte dłonie i kapitan pełnym trwogi wahaniu wybiera lewą, tymczasem w każdej dłoni leży kamyk, a on kamyk z prawej dłoni szybko, niezauważalnie upuszcza na kolana, po czym pokazuje pustą dłoń.

Wówczas kapitan wstaje, a na ustach trzepocze mu się lękliwy uśmiech.

– No, co ma pan dla mnie w pogotowiu, Egmont? – pyta, udając obojętność, choć dygoce na całym ciele.

– Przepłynie pan lagunę – mówi Lucas szybko, żeby mu głos nie zdrzął.

– W tę i z powrotem?

– Tak, z powrotem też.

– W ubraniu?

– Nie, nagi od pasa w górę.

– W spodniach i bucie?

– Tak.

Ściąga koszulę przez głowę i rzuca ją Lucasowi Egmontowi, po czym dygocząc, choć wcale nie jest zimno, przecina plażę i powoli wchodzi do wody. I dokładnie w porze zielonego zmierzchu świat jaśnieje intensywnie, noc wysuwa jezior z czarnej paszczy i popatrz, jak wokół niego jasno. Powierzchnia laguny jest jak jedwabny obrus, kiedy kapitan idzie przez wodę, prawie słyhać jedwabny szelest.

Wchodzi najgłębiej, jak może, nim zaczyna płynąć, woda sięga mu prawie do ramion, kiedy wyciąga się, by wykonać pierwszy zamach ręką, potem jego głowa kładzie się na powierzchni niczym dryfujący kanister, a on z czołem zanurzonym tak, że z wody wystaje tylko gęsty czub czarnych włosów, wpływa na czarny tor w zielonej wodzie. Po chwili przyspiesza, jego but chlupocze energicznie tuż pod powierzchnią i mniej więcej na środku laguny dokonuje się.

Ryba musiała niespodziewanie podplłynąć pod niego, kapitan zdąża tylko wydać z siebie krótki krzyk, który ani trochę nie mąci lśniącej powierzchni laguny, lecz na mgnienie oka rozdziera powietrze wokół Lucasa Egmonta, a jemu przez chwilę trudno jest oddychać. Potem rozdarte ciało kapitana nie ma już siły dryfować, głowa szybko znika jak wciągnięta pod wodę boja i wszystko się uspokaja, cichnie.

Jedwab laguny pokrywa się lekką morą, tylko tyle widać z ran świata, wnet jednak wygładza się, odzyskuje zwykłą gładko zieloną, lśniąca bezlitosność.

I oto Lucas Egmont jest sam, bardziej samotny niż kiedykolwiek wcześniej, bardziej samotny nawet niż wśród współczujących.

Rzuca koszulę kapitana do laguny, lecz natychmiast zmienia zdanie, wchodzi po nią do wody, żeby zamiast tego przykryć nią zmarzniętego trupa. Później siedzi przez chwilę przy białej skale, bawiąc się kamieniem, i nagle przypomina sobie, że żaden z nich, ani kapitan, ani on sam, go tu nie przyniósł. Ktoś jednak musiał go przynieść, młoda Angielka, która, jak wykazano, była na plaży, kiedy wszyscy się rozeszli, nie mogła tego zrobić, zbyt oślepiona podwójną chucią, do martwego Jimmiego Baaza i do żywego Boya Larusa, żeby myśleć o podobnych sprawach, Boy Larus też nie mógł tego zrobić, zbyt pochłonięty pragnieniem kochania młodej Angielki. Madame nie widział, zresztą miała osobliwie nieobecny minę, od kiedy swoim strachem plunęła w twarz pogryzionego przez jaszczurki Tima Solidera. Tim Solider. Musiał to zrobić Tim Solider. I przypomina sobie, że tylko Tim Solider wydawał się zainteresowany lwem, gdy po południu roztrząsali tę kwestię, siedząc wokół skały, i bierze do ręki kamień, i próbuje odszukać w piasku ślady tamtego, ale to oczywiście beznadziejny wysiłek w tej oszałamiającej ilości śladów, które ścigają się na plaży. Nagle widzi, że przez półmrok opodal miejsca po ognisku prześwieca coś białego i jest to ptasie pióro, i przypomina sobie o chmarze ptaków, które nadal kołują nad plażą, lecz już mniej gorliwie, bo zaczyna się ściemniać. Ciska kamień w stronę skały i z piórem w dłoni biegnie do zdechłego białego ptaka, który, jeszcze niewessany w wodę, wciąż podryguje między kamieniami. I tam zauważa go prawie od razu, wisi w dziwacznej pozie głową w dół, jedna stopa uwięzła w wąskiej szczelinie skalnej tuż pod powierzchnią wody, a on poleciał do przodu, wyłamał stopę tak, że ciało zwisa idealnie pionowo. Mocno chwyta stopę, próbuje ją oswobodzić, ale jest tak zaklinowana, że trudno cokolwiek na to poradzić. W końcu szarpie gwałtownie i stopa się luzuje, ale ponieważ w ogóle nie liczył się z dużą wagą ciała, wypuszcza ją z dłoni, a ciało tonie tak szybko i tak głęboko, że nie zdąża złapać go po raz drugi.

Wciąż trwa przejrzysty butelkowozielony zmierzch, gdy rusza z powrotem, nieszczęśliwy w całkiem nowy sposób. Nie ma jak temu zaradzić, mały, tępy smutek podgryza jedną po drugiej nogi jego ufności, aż w końcu Lucas kładzie się przy martwym ogniu, próbuje odszukać jakąkolwiek jasność. I rzeczywiście znajduje coś, co dodaje mu otuchy, a gdy przeleżawszy tak chwilę, wstaje i podchodzi z powrotem do skały, która teraz połyskuje czarodziejsko w pociemniałym półmroku, myśli, że tak długa walka nie może być nadaremna, musi mieć jakiś sens, sensem musi być wykonanie tego, w czym między innymi Tim Solider chciał mu pomóc, musi wyrwać lwa, lwa swojego i Tima, zanim zrobi się jeszcze ciemniej. Więc odnajduje kamień, po czym kładzie się wygodnie na skale i po morzu i po locie ptaków, i po tupocie jaszczurek zgaduje, że zaufana noc szykuje się do *entrée*.

– a potem dzieje się rzecz straszliwa. Nie brakuje mu woli, trzyma kamień pewną dłonią, leży wygodnie na skale i nie jest za ciemno, żeby jeszcze przez dłuższą chwilę dobrze widzieć każdą kreskę rysunku, wszystko jest, jak być powinno, a on odbył walkę, by pokonać wszystkie wątpliwości, i wszystkie wątpliwości zostały pokonane, a mimo to może wydarzyć się rzecz tak straszliwa: nie przypomina sobie, jak wygląda lew, a lew kapitana, jedyny model, leży nieżywy na dnie okropnej laguny.

Och, jakże walczy, by sobie przypomnieć, tarza się w piasku, leży nieruchomo z zamkniętymi

oczami i próbuje sprawić, by kamień łagodnie podążył po obrysie cienia, który pamięta z dzieciństwa, lwa na cyrkowym afiszu, lwa z podręcznika do zoologii, próbuje rysować na piasku, lecz efekt jest tak żałosny, że z wściekłości gryzie piasek, aż w ustach ma go pełno i prawie zaczyna się dusić, i kaszlący i ślepy od piasku błędzi zygzakiem po plaży, uderza o skalne ściany, pada na kolana w wodzie, potyka się o dołek po ognisku, przewraca się na białej skale, na jedno przerażające mgnienie oka dotyka ciała zmarłego, a kiedy sobie uprzytamnia, co to, krzyczy jak opętany, przełykając piasek, i pędzi pod skalną ścianę, i staje, plecami przyciska się do niej, wodzi wkoło dzikimi, nadal na pół ślepyimi oczami, jakby szykując się do obrony przed rzeczą najokropniejszą.

I właśnie wtedy przychodzą lwy. Trzaskając ogonami, z grzyw wytrząsają deszcz i piasek, nadchodzą z hukiem przez plażę i rycząc, stają przed nim. Nieprzeliczone mnóstwo lwów, zajmują cały brzeg, tak, z pewnością całą wyspę, gdyż oto słyszy ryk i trzaskanie ogonów, i łopot grzyw wysoko nad sobą i kuli się w najbardziej znikomą znikomość, one zresztą chyba też nieszczęśliwie się nim przejmują, obracają się na piasku, a pył wzbija się obłokiem i kompletnie go oślepia, z rykiem wskakują do wody, nie mając w brzuchach cienia szacunku dla ostrej ryby, prychają w wodzie jak konie, a wróciwszy, otrzepują się tak niedbale, że od tego chlapania Lucas przemaka do suchej nitki, a potem nieoczekiwanie zeskakują ze skały nad nim, swoje przerażające kończyny stawiając tak blisko niego, że całe usta ma pełne piachu, zgina się w pół i konwulsyjnie rzyga, a w głowie ma wielki kołowrót ryku, sapania, prychania i wrzasków nieszczęśliwych zwierząt na wyspie, którym przydarzyło się coś potwornego, a gdy tak wymiotuje na leżąco, jeden z lwów staje nad nim, ślini się i warczy, groźnie unosząc górną wargę, a jego mdli od smrodu brudnych zębów drapieźnika. Gdyby tylko zechciały przepaść, gdyby tylko zechciały odejść, wie już przecież wszystko o lwach i z zamkniętymi oczami rysuje w powietrzu jednego lwa za drugim, aż w końcu odgryzają mu rękę, zresztą nie ma zamkniętych oczu, chociaż, tak mu się wydaje, oślepl od piasku i strachu.

I nagle zapada upiorna cisza, i nagle odzyskuje wzrok, choć tego właśnie bardzo sobie teraz nie życzy, a to, co musi oglądać, podczas gdy przez dziurę po odgryzionej ręce uchodzą z niego krew i życie, jest najstraszliwszą rzeczą na świecie. Jeden z lwów zszedł na dno laguny, gdzie wywęszył utopionego kapitana, który teraz siny na twarzy, z nieruchomo wytrzeszczonymi oczami i czaszką oblepioną włosami siedzi na grzbiecie lwa jak futerał na róg i obaj nieuchronnie zbliżają się do Lucasa Egmonta. Na kolana, szepczą martwe usta, a on pada na kolana i sekundę przed tym, jak lew zadaje mu śmiertelny cios w czubek głowy, krzyczy.

– To pan, to pan wygrał, poddaję się.

Ale raptem świat jest jak podmieniony, a on przekształca się w młodego samca tryskającego chucią i żądzą życia, pędzi na skałę i rzuca się w dół, gardząc śmiercią, ognistym tańcem godowym wzbija w powietrze piaskowe bryzgi i lekko i psotnie przewraca młodą lwicę, która przekornie kąsa go w podzięce za zuchwałość, a gdy gwiazdy eksplodują i rozdzierają go lwie krzyki, które rozdziera on, przychodzi noc i wszystko dusi pod narkozą. Maską na wszystko i wszystkich, i ten głęboki, przerażający, wyzwający sen.

Budzi się, jest jeszcze noc, a kilka dalekich gwiazd na próżno usiłuje podejść bliżej. Przeciąga się i po ciemności i ciszy zgaduje, że znalazł się na dnie świata. Tak, Lucas Egmont jest na dnie świata, bo tak się rzeczy mają, że nie można spaść nie wiadomo jak głęboko, „ja” ma niezliczone mnóstwo szklanych dachów, ale pod najniższym z nich jest dno, bezpieczny azyl dla poszukującego, dla poszukiwacza, któremu w dzieciństwie przepowiadano, że zajdzie daleko, on jednak wciąż tylko opadał głęboko, coraz głębiej i głębiej – aż na samo dno.

Na dnie świata jest przestronnie, ciepło i cicho, dokładnie tak przestronnie, ciepło i cicho, żeby temu, kto spadł aż tam, w czasie krótkiego pobytu było wygodnie i miło. Na dnie świata można zadawać wszystkie pytania i formułować wszystkie myśli bez obawy przed nieznaną, zawrotną głębiną, jaka otwiera się pod nimi. Dno świata jest wolne od lęku o tyle, że jest bezpiecznym dnem wszystkich lęków, i wolne od lęku o tyle, że ten, kto tam wylądował, zna już wszystkie rodzaje lęku: lek przed śmiercią, lęk przed paralizem, lęk przed głodem, lęk przed wypadkiem na rowerze i ostrym kantem siodła, lęk przed upadkiem i lęk przed rowem, lęk przed dużym placem i lęk przed karawanem oraz wszystkie inne lęki, którymi udekorowana jest droga z dna świata po jego powierzchnię.

Ale dno świata jest także wolne od wielu innych rzeczy: jest wolne od miłości i wolne od nienawiści, i wolne od winy, i wolne od radości, i wolne od nadziei, i wolne od rozczarowań, gdyż po drodze spadający poszukiwacz zostaje ogołocony ze wszystkiego, w czym mu było do twarzy i w czym mu nie było do twarzy, i jest całkiem nagi, nagi jak nigdy dotąd, nie ma ani kąpielówek wątpliwości, ani płaszcza kąpielowego nadziei, w który mógłby się owinąć, ale ponieważ nie jest ciemno, może przyjrzeć się sobie i zobaczyć, jak się prezentuje bez wszelkich przebrań, wszelkich masek, by na tej podstawie określić swoje położenie w świecie; jest jak zmarły, który z zamkniętymi oczami obserwuje miejsce, gdzie się utopił.

Chciałem wykonać właściwe działanie, myśli, chciałem zrobić wszystko, żeby wykonać najwłaściwsze z działań, bo wszyscy z takim pietyzmem wypowiadają się o właściwym działaniu, o tym, kto wykonuje właściwe działanie, lecz jak można być na tyle okrutnym, aby zapomnieć o tym, kto próbuje wykonać właściwe działanie, ale w nieodpowiednim momencie coś mu staje na przeszkodzie. Co zrobić z kimś, komu na przeszkodzie staje jękanie się albo padaczka, albo przeziębienie ze śmiertelnymi powikłaniami, albo fatalne zaćmienie pamięci: nie pamięta, jak wygląda lew, dopóki jeszcze jest jasno, a zanim zrobi się naprawdę ciemno, na plaży zjawia się raptem mnóstwo lwów, które mu pokazują ze szczegółami, jak wyglądają, i dopóki jeszcze istnieje szansa, by dokonać właściwego czynu, by na białej skale wyryc podobiznę lwa, któryś lew odgryza mu jedyną właściwą rękę do jedynego właściwego działania, a później nagle ma i rękę, i wspomnienie lwa, ale jest tak ciemno, że już się nie da. Czy istnieje dla niego ratunek? Tak, jakiś ratunek po prostu musi istnieć – o ile w ogóle trzeba mówić o ratunku albo o zatonięciu statku. Może nie istnieje ani jedno, ani drugie. Swoją drogą dlaczego mielibyśmy przepaść i jak ma nam wypaść przepadanie, skoro nie wierzymy w żadne karzące zwierzchnictwo wszystkich zwierzchnictw, choć poza tym zgadzałyby się to oczywiście z naszym amoralnym porządkiem świata, w którym nie wystarczy znosić znoje i radości, jeśli później też się żyje bez nich.

Wprost wybornie dopełniłoby to wizję Justitiae naszego porządku świata o lubieżnych rysach i

z agresywną żelazną maską na wykrzywionej chucią twarzy.

To wyjątkowo sadystyczna myśl, że mielibyśmy być sądzeni za nasze właściwe i niewłaściwe działania, ponieważ działań, o których sami decydujemy, jest bardzo niewiele. Ślepy przypadek, który od ślepej sprawiedliwości można odróżnić tylko po tym, że jeszcze nie nosi przepaski na oczach, zarówno przecież rozpoczyna, jak i zamyka nasze działania, a co oczywiście powinniśmy i musimy zrobić ze względu na istnienie naszego często żarliwie negowanego sumienia, to dać się ponieść w pewnym kierunku i jak najbardziej uparcie utrzymać ten kierunek, lecz z najszerzej otwartymi oczami mieć przy tym świadomość, że cel często jest złudzeniem, a istotą rzeczy musi pozostać właśnie kierunek, gdyż to on, a nie co innego, jest pod naszą kontrolą, pod kontrolą naszego żałosnego „ja”. A świadomość, właśnie świadomość, otwarte oczy, które z przerażeniem obserwują swoje przerażające położenie, musi być gwiazdą naszego „ja”, naszym jedynym kompasem, kompasem, który stwarza kierunek, bo gdy nie istnieje kompas, nie istnieje także kierunek. Ale jeśli wobec tego wierzę w kierunek, wątpię w wypowiedzi o człowieczym złu, ponieważ w obrębie jednego, a więc i wybornego kierunku mogą znajdować się prądy zarówno dobra, jak i zła.

Tak jak można powiedzieć, że wrodzoną częścią ludzkiej natury jest zło, można też powiedzieć, że wrodzoną częścią ludzkiej natury jest dobro, nieprzeparty pęd do bycia dobrym, który czasem pakuje człowieka w komiczne sytuacje. Ja, Lucas Egmont, oczywiście jak wszyscy natrafiłem w swoim wnętrzu na to, co nazywają złem, jak i na to, co nazywają dobrem. Pewnego razu udawszy się na ryby, musiałem złapać ostatni pociąg do domu, bo w przeciwnym razie czekałoby mnie kilkadziesiąt kilometrów marszu, trochę za późno się zebrałem i już było słychać sapanie pociągu w dolinie. Raptem zobaczyłem kilkoro dzieci szukających po okolicy białego domu, usłyszałem to, mijając je biegiem, ale tak mi się spieszyło, że nie miałem głowy się zatrzymać, a jednak w miarę zbliżania się do stacji czułem coraz większe wyrzuty sumienia, rosły mi w piersi jak puchnące grudy, i kiedy pociąg w kłębach pary wtaczał się na peron, moja komiczna dobroć kazała mi wrócić i wskazać dzieciom drogę, gdy jednak później już się żegnaliśmy, jakieś wypowiedziane przez chłopca zupełnie niewinne zdanie tak mnie rozwścieczyło, że go spoliczkowałem, aż krew poszła mu z nosa, a on zaczął wrzeszczeć, jakby go kto nożem ukłuł, mnie z kolei naprawdę sprawiło to przyjemność, bo swoim paradoksalnym złem zemściłem się za swoje paradoksalne dobro. Nie godzę się na dzielenie działań na dobre i złe czy nawet właściwe i niewłaściwe, lecz tylko na kontrolowane i niekontrolowane, świadome i nieświadome, a ponieważ najistotniejsze jest utrzymanie kierunku na słabo majaczący albo wręcz niewidoczny cel, również najważniejsza jest granica między kontrolowanym i niekontrolowanym.

Jako że nie jesteśmy na świecie sami, a w każdym razie nie aż tak, jak byśmy chcieli, mamy obowiązek utrzymywać swoje wybuchy pod kontrolą, sprawiać, by nasze niezbadane wybuchy paradoksalnego zła albo paradoksalnego dobra zmierzały w przybliżonym kierunku przybliżonego celu. Co się zaś tyczy celu, to może nie jest aż tak rozpaczliwie ważne, by określać go z tą samą sadystyczną dokładnością, z jaką porządek świata w błogim za pan brat z przypadkiem określają położenie człowieka w czasie i przestrzeni.

Naturalnie musimy walczyć przeciwko nim obu, gdyż grunt to właściwy kierunek do choćby i błędnego celu, trzeba tak wyostrzyć świadomość, by stała się ostra jak klinga, spiczasta jak grot strzały o brutalnej sile wiertła. Następnie w świadomości funkcjonuje sumienie będące tylko sielankową parafrazą lęku, gdyż lęk nieustannie przypomina nam o właściwym kierunku i jeśli zdusimy lęk, stracimy także zdolność zwracania się w określonym kierunku, zaczniemy na lewo i prawo popełniać głupie prywatne wybuchy, które spowodują wielkie szkody przy minimalnych efektach. Dlatego lęk musimy utrzymywać przy życiu, niby stale oczyszczany z lodu port, który

pomaga nam przetrwać zimę, prąd głębinowy szemrzący na dnie zimowych rzek.

Zanim wyznaczyłem swój kierunek, wiodłem życie nieodpowiedzialnego dynamitarda-amatora, który miał poczucie winy, lecz zielonego pojęcia, jak by się go pozbyć, przypominałem żywą, gotową w każdej chwili eksplodować bombę, której rażenia i czasu eksplozji sam nie byłem świadom, dryfowałem niby płat sadzy po kanale odpływowym. Kompletnie bez sensu zmalwersowałem pieniądze w banku, kompletnie bez sensu ruszyłem w drogę i kompletnie bez sensu znalazłem się na tym statku w Rantonie, wylałem naszą wspólną wodę, łapiąc się ostatniej nędznej deski ratunku dynamitarda-amatora: dochować wierności swojemu strapieniu.

Lecz dopiero kiedy zauważyłem białą skałę i wybuchła walka o lwa, zaczęło się moje życie. Dopiero wtedy otrzymałem kierunek do jakiegoś celu, który bezdyskusyjnie był nieosiągalny, co jednak w końcu nie miało znaczenia, ponieważ liczy się sama walka, a nie cel, ponieważ to radość walki, a nie radość celu nie pozwala człowiekowi przepaść, ponieważ „przepaść” istnieje, nawet jeśli nie znaczy nic konkretnego, przepaść to żyć nieświadomie i umrzeć spokojnie i błogo, nie mając za sobą ani jednego aktu bezsensownego oporu wobec wielkiego bezsensu świata, przepaść to rozrzucić swoje wybuchy po wielkim poligonie przypadku, przepaść to zawołać jak Lucas Egmont w tamtej chwili: będę wierny swojemu pragnieniu, lecz niewierny wszystkiemu poza tym; albo jak ktoś inny: będę wierny swojemu głodowi, lecz niewierny wszystkiemu poza tym; albo jak ktoś jeszcze inny: będę wierny swojej płci, lecz niewierny wszystkiemu poza tym; albo jak kolejny ktoś: będę wierny swojemu posłuszeństwu, lecz niewierny wszystkiemu poza tym; albo jak ten: będę wierny swojemu paraliżowi, lecz niewierny wszystkiemu poza tym; albo tak: będę wierny swojej tęsknocie, lecz niewierny wszystkiemu poza tym; albo też: będę wierny swojemu smutkowi, lecz niewierny wszystkiemu poza tym; albo wreszcie to: będę wierny swojemu lękowi, lecz niewierny wszystkiemu poza tym.

Nie, można bowiem powiedzieć jedynie: będę wierny swojemu kierunkowi i wierny wszystkiemu, co on obejmuje: swojemu lękowi, swojemu głodowi, swojemu pragnieniu, swojej rozpacz, swojemu smutkowi, swojej tęsknocie, swojemu paraliżowi, swojej płci, swojej nienawiści, swojej śmierci. Tak, w obrębie swojego kierunku będę tak wierny swojej śmierci, że bez drżenia i z wdzięczną obojętnością wobec faktu, że dane mi było żyć, będę mógł przejść przez piasek, niespiesznie wkroczyć do wody, a tam –

I przechodzi przez piasek, a piasek jest miękki i ciepły, i jego palce u nóg tęsknie się w nim zagrzebują, ale oto i mokra, twarda linia wody, która chłodzi jego rozpalone nagie podeszwy stóp niczym napój. I niespiesznie wchodzi do wody, i czuje, jak jej miły chłód ogarnia stopy, grzebie stopy, grzebie kostki, powoli wspina się po nogach niby chłodny i miłosierny wiatr, rzepki unoszą się na powierzchni i opadają pod nią, i uda liże woda coraz wyżej niby miękki szorstki język, miękki szorstki język śmierci. I woda zakrywa wszystkie wspomnienia wszystkich chłodnych chwil i wszystkich gorących chwil, wszystkie gorączkowe słowa wyszeptane w chwili, kiedy – I woda spokojnie obmywa brzuch i zwilża spragnione usteczka pępka, a klatka piersiowa, która podnosi się i zapada, zostaje raptem zamknięta w o wiele większej, o wiele miększej klatce, a drobne wierzchołki sutków przysysają się do powierzchni, a potem już jest dołek między obojczykami, małe śliczne wydrążenie, jakby specjalnie do tego stworzone, żeby wessała się w nie woda, i grdyka, której już nie musi używać, ponieważ wszystkie krzyki zostały wykrzyczane, bez sprzeciwu poddaje się życzeniom laguny i oto mała spiczasta fala uderza o podbródek, przychodzi z ciemności i toczy się w ciemność za nim, i podbródek opada w dół, a usta całują powierzchnię i są jednakowo przyjemnie chłodne, ona i usta, a on raptem płynie. Nogi i podbrzusze, i przepona, i korpus unoszą się miękko z ciemności dna ku ciemności powierzchni, a ręce stają się skrzydłami i oto ciało cicho jak łódź o wciągniętych wiosłach sunie przez miękką wodę, a ucho, które spoczywa na linii wody, z dna laguny głęboko pod sobą nagle wyławia cichy plusk, a oku, które kładzie się na ślepej powierzchni laguny, zdaje się, że głęboko pod sobą dostrzega nagłą zmianę zielonego światła na światło czarne, i sunie jeszcze może dziesięć centymetrów, nim jest po wszystkim, nim przestaje istnieć, przestaje istnieć dla wszystkich prócz wody, jeszcze przez jakiś czas, lecz jako wspomnienie istnieć będzie trochę dłużej dla pewnego banku, dla kilku bladych kancelistów, dla mężczyzny, od którego kupił nielegalne papierosy, dla dziewczyny o spoconych pachach, ale zdrowym uzębieniu, która co srode przychodziła dzielić z nim łóżko, dla kilku jaszczurek, które spotkał na pewnej wyspie, i może najbardziej, najostrzej istnieć będzie jako wspomnienie w lancy ryby, której tygrysi cień dokładnie teraz ryczy w górę ku niemu – a potem: *fini*.